

Elisabeth Dored

Piłat i Nazarejczyk

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych

Warszawa 2003

Przełożyła z norweskiego Maria Gołębiowska_Bijak

Skład, druk i oprawa:

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych,

Warszawa, ul. Konwiktorska

Przedruk: Wydawnictwo "Książnica",

Katowice 2000

Korekta: K. Markiewicz

i I. Stankiewicz

Elisabeth Dored (1908_#1972R) marzyła o tym, by zostać malarką, lecz ojciec, świadom, że życie artysty rzadko bywa usłane różami, zmusił ją, by ukończyła szkołę o profilu ekonomicznym. Takie wykształcenie miało stanowić zabezpieczenie na przyszłość. Jednakże Elisabeth postawiła w

końcu na swoim i podjęła studia w Akademii Sztuk Pięknych w Oslo. Ukończywszy je, wyruszyła w podróż po Norwegii - i malowała. W czasie tej wyprawy w roku 1931 poznała przyszłego męża, Johna Doreda, któremu odtąd zawsze towarzyszyła w podróżach po całym świecie. Kiedy zmarł w roku 1954, jemu poświęciła swoją pierwszą książkę, "For meg er jorden rund" (1955, "Dla mnie świat się kręci"), przedstawiającą życiową i twórczą drogę Johna. Cztery lata później wydała powieść "Kochałam Tyberiusza", wyrosłą co prawda z długoletniej fascynacji Oktawianem Augustem, lecz opowiadającą o jego córce, następnie "Den fonikiske trappen" (1963, "Fenickie schody") oraz "Pilatus og Nasareeren" (1967, "Piłat i Nazarejczyk"). Do każdej długo się przygotowywała, przeprowadzając szczegółowe studia historyczne, czytając starożytnych dziejopisarzy. "Fakty posortowałam [...], po czym zestawiałam z nimi każdy szczegół" - wyznaje autorka. - "Z początku przypominało mi to rodzaj lamigłównki czy może grę cieni, stopniowo jednak postacie nabierały kształtu, życia, poruszały się." Owo niemal intymne obcowanie z bohaterami dało efekt niezwykły: postacie, które Dored wprowadza na scenę, są nam bliskie, choć żyły przed dwudziestoma wiekami. Nakładem Wydawnictwa "Książnica" ukazała się powieść Elisabeth Dored "Kochałam Tyberiusza".

`rp

Pamięci dziennikarza

Johana Halmrasta

z serdeczną wdzięcznością

`rp

Na wstępie winna jestem Czytelnikom pewne wyjaśnienie, aby nie zaskoczyły ich stosowane przeze mnie określenia: Judejczycy i Żydzi. Zwierzchnictwo rzymskie w Palestynie obejmowało Judeę, Samarię oraz Idumeę. Ponieważ jednak Idumea miała podrzędne znaczenie, nazwałam protektorat w skrócie Judeą_Samarią. Pozostała część kraju była podzielona na księstwa. Ta sytuacja, która zresztą nie przetrwała dłużej niż około czterdziestu lat, sprawia, że w czasach Chrystusa nie można postawić znaku równości pomiędzy Judejczykami i Żydami. Żydzi - to wszyscy Izraelici, którzy wyznają Prawo Mojżeszowe. Natomiast Judejczyk jest mieszkańcem terenów Judei, podobnie jak Galilejczyk pochodzi z obszaru Galilei.

Na końcu książki znajdują się pozostałe objaśnienia.

Ląd!

Głos z dziobu przedarł się przez sztorm, lecz nagły poryw wichru zmiótł okrzyk z pokładu i rozszarpał go na strzępy piany, nim zdołał dotrzeć do śródmaszcia. Statek chybotął się, wspinał na fale, galopował na ich grzbietach, wznosił się przebłagalnym gestem ku niebu, drżał jak napięta cięciwa między dwoma żywiołami, by opaść dziobem w rozwartą przed nim ciemnozieloną otchłań. Nim się wynurzył, a woda cofnęła swe wiry, kipiel sięgała Poncjuszowi po kolana. Wczepił się palcami w deskę umocowaną pod osłoną burty. Jeśli się im powiedzie i zakończą ten rejs żywi, będzie to raczej zasługą Fortuny niż Neptuna.

Dosyć zresztą otrzymał ostrzeżeń, zanim podnieśli kotwicę. Morze Śródziemne w zimie było nieobliczalne, a sztormy siekły je bez

uprzedzenia niby batem, sprawiając, że fale wrzały w grzesznym buncie. Niemniej Poncjusz wbił sobie do głowy, że muszą wypłynąć, a uchodził za człowieka o silnej woli. Teraz za późno było na żale.

Ląd!

Oślonił dłonią oczy, starł z brwi krople wody. Pod powiekami szczypała sól, a na wargach czuł taką gorzkość, że musiał splunąć.

Ląd? Czy dobrze usłyszał? Któż zdoła przy tej pogodzie odróżnić ląd od nieba i morza? Horyzont przysłaniała szczelna kurtyna bryzgów piany i wody. Bez zastanowienia wychylił się zza osłony. Napór wichru wtłoczył mu powietrze na powrót do gardła, toteż musiał się natychmiast cofnąć za nadburcie.

Może jednak powinien był posłuchać rad doświadczonych mężów i odwlec podróż o parę miesięcy?

Stanowisko w Judei w żadnym razie nie wymagało tak nagłego wyjazdu.

Nowo mianowany prokurator oczekiwał zwykle, póki ustępujący nie powróci do Rzymu. Na ogół nie brakło tematów do rozmowy z

poprzednikiem. Poza tym ci, którzy znali ten teren, powiadali, że nie jest specjalnie nęcący i że Poncjusz niewiele by stracił, odkładając podróż.

Niemniej po wizycie u Tyberiusza, od którego odebrał instrukcje, coś mu nie dawało spokoju... Nie to, żeby Tyberiusz nalegał na pośpiech... Jednak

w drodze z Kaprei do Rzymu Poncjusz dokonał przypadkowo tak

karkołomnego odkrycia, że od tej chwili jego myśli zaprzętało wyłącznie jak najszybsze opuszczenie Wiecznego Miasta, ucieczka od tego gniazda

zmij na Forum, zniknięcie za wszelką cenę, bez zważania na porę roku i

pogodę, dobre rady i ostrzeżenia. Dziękował losowi za mianowanie, które dawało mu powód do wyjazdu bez zwracania szczególnej uwagi.

Pierwsza część podróży minęła nadspodziewanie gładko, natomiast za Rodos chwycił ich sztorm. Najgorsza była ostatnia doba. Poncjusz musiał się przymocować pasem, by nie wypaść z koi, a kiedy tuż przed wschodem słońca wyszedł na pokład za potrzebą, ujrzał, jak kapitan okłada pięściami marynarza wymierzającego położenie gwiazd, co bardziej niż słowa wskazywało na zdenerwowanie wśród załogi i fakt, iż nie potrafiąco ustalić pozycji statku. Podszedł do relingu, udając, że nie zauważa zajścia, ale obudziła się w nim niepewność. Nagły wyjazd zdał mu się teraz bezrozumną ucieczką - myśl wysoce nieprzyjemna dla męża uchodzącego na ogół za statecznego i rozważnego.

Ląd!

Kolejny okrzyk z dziobnicy głos tym razem doniósł. Ląd na horyzoncie!

Wszyscy na pokładzie unieśli głowy i zwrócili wzrok na wschód.

Obezwładniające zmęczenie ostatnich dni zaczęło ustępować. Jak na polu walki, gdy poprzez bitewny zgiełk przedrze się pierwsza fanfara zwycięstwa i wnet, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znika wyczerpanie i budzą się nowe siły.

Poncjusz pospieszył z nowiną do Prokuli. W chorobie niewątpliwie potrzebowała otuchy. Ze względu na Prokulę gryzło go trochę sumienie. Podczas zaokrętowania w Ostii zajął dla siebie zewnętrzną kajutę, pozostawiając jej pomieszczenie w głębi, gdzie powietrze było tak zużyte, że lampy niemal gasły... A uczynił to, choć znał jej podatność na chorobę morską. Chciał sprostać rejsowi z godnością, a że nie czuł się na morzu zbyt pewnie, musiał mieć dość powietrza. Oczywiście wiadomo, że choroba morską nie zależy od woli czy też konstytucji fizycznej, jednak niemęska to rzecz leżeć w pościeli i wymiotować. A Poncjusz obawiał się,

że gdyby uległ mdłościom, straciłby w oczach towarzyszącego mu orszaku respekt, do którego przywiązywał dużą wagę.

Cenę za to musiała płacić biedna Prokula - chociaż w jej stanie położenie kajuty i tak nie odgrywało żadnej roli. Toteż kiedy dobiegały go zza ściany jęki i jednoznaczne odgłosy, czuł się doprawdy podle. Ale nie potrafił się przemóc, by jej zaproponować zamianę - przede wszystkim ze względu na własne samopoczucie, ale także dlatego, że po ostatnich tygodniach spędzonych w Rzymie pozostała w nim jeszcze resztką swoistej irytacji. Zanim wyruszył do Tyberiusza na Kapreę, prosił, by wybrała rzeczy, które chciałyby wziąć ze sobą na Wschód. Zważywszy, że do ich powrotu mogło upłynąć sporo lat, należało z góry dokładnie rozważyć skład zabieranego mienia. Spędził poza domem wiele tygodni, a jednak kiedy wrócił, nic nie zostało postanowione. Zastał ją zagubioną wśród ksiąg. Każdą zwój obracała na wszystkie strony, by wreszcie stwierdzić, że bez żadnego nie może się obejść. Chciała zabrać ze sobą całą bibliotekę, natomiast meblom i statkom nie poświęciła najmniejszej uwagi.

No cóż, nie była praktyczna... Długo próbował znaleźć usprawiedliwienie dla jej niedostatecznych zdolności jako pani domu, pomagał w miarę możliwości planować i zarządzać gospodarstwem. Stopniowo wszakże doszedł do wniosku, że nie talentów jej brakuje, lecz chęci, i odtąd z trudem zdobywał się na cierpliwość.

Do tego małżeństwa doprowadził Nigrin, jego starszy brat. Poncjusz nie chciał się wiązać. W kobietach mógł przebierać, a zakładanie rodziny nie miało większego sensu, póki nie był w stanie podejmować decyzji w jej sprawach wedle własnego uznania. Gdyby kiedykolwiek kariera wyniosła go na takie szczyty, że mógłby się uniezależnić od brata, wówczas

nadszedłby moment, by się rozejrzeć za odpowiednią małżonką. Na razie jednak Nigrin był najstarszym z rodu i reprezentował jego interesy, a o potomków mógł skutecznie postarać się sam.

Cóż, kiedy się uparł! Mężom na wysokich stanowiskach w państwie prawo nakazywało ożenek, a Nigrin nie wątpił, że Poncjusz daleko zajdzie.

Mądry zaś przygotowuje się zawczasu...

Poza tym Klaudia Prokula stanowiła tak znakomitą partię, że po prostu nie stać go było na wypuszczenie tej szansy z ręki. Jej ojciec pochodził z domu Klaudiuszów i chociaż pokrewieństwo należało do dalekich, to zawsze istniała jakaś cieniutka nitka więzów krwi, łącząca dziewczynę z Tyberiuszem Cezarem.

Po spotkaniu z wybranką Poncjusz zaczął się wahać. Prokula sprawiała wrażenie potrzebującej opieki, co go tak ujęło, że wobec bezustannych nacisków Nigrina wreszcie się poddał.

Nie da się ukryć, iż miała swoje słabostki, zresztą kto ich nie ma? Jednak małżeństwo przydało życiu Poncjusza pewnego uporządkowania, które mu dość odpowiadało. Ani razu też nie pojawił się powód do nieufności. Nie dlatego, że Prokula nie umiała się podobać, w końcu wielu mu jej zazdrościło, lecz że odznaczała się szczerością i wiernością oraz starannym wychowaniem.

Dopiero wszakże na Kaprei zdał sobie w pełni sprawę z walorów zdobyczy. Podczas jednej z rozmów Tyberiusz spytał o Prokulę i wyraził żal, iż nie przybyła na wyspę razem z Poncjuszem. Długo mówił o niej i jej rodzie, podkreślając, że niewielu mężów ceni tak wysoko jak jej ojca. Przysłuchującym się rozmowie, którzy dotąd nie okazywali nowo upieczonemu namiestnikowi zbytnej uwagi, ogromnie to zaimponowało i

Poncjusz poczuł nagle wzrastający respekt dla swojej osoby. Po raz pierwszy w życiu musiał przyznać, że brat mimo wszystko był zręczny i przewidujący, umiał zadbać tak o siebie, jak i o swój ród.

Nigrin, giętki i pełen dobrej woli, mówił dużo i chętnie. Czasami zdarzało się, że obiecywał więcej, niż zdołał dotrzymać. Zawsze też łatwiej się z nim było porozumieć poza domem niż w czterech ścianach rodowej siedziby. Lubiano go na Forum i poważano w mieście.

Poncjusz nigdy nie czuł się dobrze na Forum. Nie umiał powiedzieć, czy dlatego że brakowało mu zamiłowania do intryg i pociągania za sznurki, czy też dlatego, że właśnie Nigrin sprawdzał się w polityce. Z zadowoleniem odkrył, iż Prokula także nie poświęca uwagi wydarzeniom na Forum i cieszy się możliwością wyjazdu na Wschód. W pewnym sensie dobrze się dobrali i gdyby miał teraz sporządzić bilans dotychczasowego życia, bez wątpienia małżeństwo z nią stanowiłoby jedną z istotniejszych pozycji po stronie aktywów.

U zejścia z pokładu wisiała gruba skórzana zasłona, a niskość nadproża kazała mu pochylić głowę. Zapach uderzył w nozdrza smrodem dna czeluści. Musiał zatrzymać się na chwilę, nim zdołał uczynić kolejny krok. W kajucie panował półmrok, tylko w kącie migotał blady płomyk łojówki. Biel twarzy Prokuli stapiała się niemal z pościelą. W powietrzu wisiał kwaśny, duszący odór. Opanował się siłą woli, by nie zawrócić w drzwiach.

- Już niedługo skończą się twoje cierpienia - odezwał się, na ile to było możliwe, wesoło. - Właśnie dostrzeżono ład.

Nie starczyło jej sił na odpowiedź, tylko skinęła dłonią. Przysiadł na brzegu koi. Poszukała na oślep jego ręki i przyłożyła ją wierzchem do

policzka. Poczul wzruszenie i wstyd, że oto jego żona leży w takiej ciemnej dziurze.

- Dzisiaj jeszcze przeniesiesz się do mnie - rzekł. - Tam jest więcej powietrza. Ja zamieszkać tutaj.

Potrząsnęła głową.

- Obojętne mi, gdzie leżę - wyszeptała i odsunęła z nagle jego dłoń. - Idź już!

Gestem przywołała warującą w pogotowiu niewolnicę. Poncjusz pospieszył do wyjścia i wciągnął głęboko powietrze. Biedactwo!

Natychmiast zamieniła się kajutami. Lepiej, żeby jego godność trochę ucierpiała, niżby Prokula miała tu dłużej pokutować.

W miarę jak podpływali do lądu, wiatr cichł, a morze się wygładzało. Na południu rosła w oczach góra Karmel. Poncjusz kazał wynieść Prokulę na pokład. Znalazł dla niej zaciszny kącik, gdzie drzemała na poduszkach otulona pledami. Już teraz wyglądała o niebo lepiej. Lekki podmuch igrał kasztanowatymi włosami, a policzki pokryły się słabiutką mgiełką rumieńca. Była w niej jakaś kruchość, częściowo zapewne spowodowana morską chorobą, niemniej pamiętał, że gdy zobaczył Prokulę po raz pierwszy, zwrócił uwagę właśnie na jej wiotkość i delikatność. Nie należała do kobiet wzbudzających zainteresowanie, ale kiedy już się ją zauważyło, niełatwo było zapomnieć. Najpiękniejsze miała oczy, wielkie, szaroniebieskie - jak u wszystkich z rodu Klaudiuszów. Na Kaprei raz za razem odkrywał podobieństwa między Prokulą a Tyberiuszem: szerokie jasne czoło czy zwężony dół twarzy. Oczy Prokuli były głębiej osadzone, niemniej miały ten sam kształt i wyraz. W chwilach zamyślenia jej spojrzenie stawało się często jakby nieobecne, niczym u niemowlęcia,

zanim na dobre zacznie brać udział w życiu.

Charakterem przypominała ojca, Klaudiusza Prokulusa, i najwyraźniej chciała go naśladować. Matka w powszechnej opinii była rzutka i energiczna, ale wносиła w otoczenie niepokój. Często sama jej obecność powodowała napięcia. W małżeństwie z nią Klaudiusz Prokulus stał się jeszcze bardziej wyciszony, niż go ukształtowała natura, i Poncjusz w cichości ducha właśnie teściowej przypisywał winę za to, że Prokula nie interesowała się sprawami życia codziennego. To wyobcowanie stanowiło swego rodzaju element koniecznej obrony, który przyswoiła sobie już we wczesnym dzieciństwie.

Poncjusz pytał ją kilkakrotnie, o czym myśli, gdy się tak oddala od niego i rzeczywistości.

- Nie wiem - odpowiadała zaskoczona, marszcząc czoło. - O niczym... Po prostu istnieję.

Właściwie powinna była dostać za męża kogoś ze znaczniejszych domów, żeby się nie musiała kłopotać o przyziemne sprawy. Nie chodzi o to, że Poncjusz był zbyt biedny. Starczało im na wszystko, ale nie mógł zapewnić jej warunków, do jakich się przyzwyczała.

Cokolwiek pozostało po ojcu, odziedziczył Nigrin. Zamiast się kłócić o spadek i brać na siebie długi wdzięczności względem brata, Poncjusz wolał zadbać o swój dobrobyt sam. Związał się z armią i jako dowódca zdobył majątek, który jednak uszczupliły lata spędzone w Rzymie gwoli pilnowania kariery. Przy niezbyt gospodarnej żonie, prowadząc w oczekiwaniu na stanowisko w którejś z prowincji otwarty dom dla rzymskich dygnitarzy, rychło ujrzałby dno szkatuły.

Dawniej w zamorskich koloniach można się było obłowić po uszy, ale

Tyberiusz położył kres wyzyskowi i ściśle kontrolował swoich legatów. Niełatwo im przyjdzie związać koniec z końcem w Judei, jeśli Prokula nie podoła swoim zadaniom. Gdyby miał, podobnie jak dawniej w rodzinnym domu, parę zaufanych sług do obsadzenia kluczowych stanowisk, stanowiłoby to dużą pomoc. Jego służba jednak była nowa - cały sztab famulusów rodziców przypadł w udziale Nigrinowi.

Ojciec Prokuli najwyraźniej zdawał sobie sprawę z nękających ich trudności z familia urbana, * albowiem gdy zięć otrzymał mianowanie do Judei, podarował im żydowską niewolnicę i podkreślił, że nigdy nie posiadał nikogo uczciwszego od niej. Na imię miała Rachela, pochodziła z Kapadocji i jako dziesięciolatka dostała się do armeńskiej niewoli. Prokulus kupił ją na targu w Antiochii w czasie któregoś ze swoich pobytów na Wschodzie.

Przed rejssem zabrakło czasu, by się jej przyjrzeć bliżej, jeśli jednak była równie sprawna jak uzdolniona językowo, to zaprawdę stanowiła znakomity nabytek. Władziała płynnie łaciną i greką, a także aramejskim i dialektem armeńskim. Znała zapewne także hebrajski. Wyglądała na zrównoważoną i godną zaufania. Rysy miała regularne, natomiast sylwetkę krępa, a stopy wielkie i płaskie. Przekroczyła czterdziestkę, lecz sprawiała wrażenie silniejszej niż większość kobiet w tym wieku. Jej jasny, spokojny wzrok kojarzył się patrzącym z siłą i wyważeniem.

Gdyby tylko potrafiła wzbudzić dla siebie szacunek reszty służby, Poncjusz chętnie powierzyłby jej zarząd nad domem. A jeśliby się okazała wierna, mógłby jej obiecać wolność, kiedy z czasem pozostawią za sobą Judeę. Jak tylko dotrą na miejsce, sprawdzi zdatność Racheli do tej roli. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nazajutrz rano powinni się

znaleźć w Cezarei.

Z każdym zwrotem rosło w nim napięcie, gdy stojąc na dziobie studiował linię brzegu. Plażę zaznaczał biały wyłóg spienionych fal, w plamach zieleni przycupnęły osady jak ulepione z gliny gniazda, a za nimi rozciągała się wyżłocona słońcem pustać. To jeszcze nie była jego dziedzina, lecz Fenicja, podległa rzymskiemu legatowi w Syrii. Palestyna zaczynała się nieco dalej, na północ od Cezarei; to miasto stanowiło rezydencję rzymskiego namiestnika Judei; tam miał się znaleźć jego i Prokuli dom. Cezarea nosiła dawniej miano Stratonis Turris, od fortecy leżącej przy pobliskim szlaku z Syrii do Egiptu. Była to wówczas mała, biedna wioska, zamieszкана po połowie przez Żydów i Fenicjan. Dopiero Herod Wielki zainicjował nową epokę w jej dziejach, przebudowując osadę i zakładając port dla stacjonujących w kraju rzymskich wojsk. Wraz z tą nową funkcją miejsce otrzymało nową nazwę, wywodzącą się od samego Cezara.

Palestyna uchodziła za prowincję trudną do zarządzania i Tyberiusz nie ukrywał, że stosunki tam są bardzo niepewne. Problemy pochodziły z czasów jego poprzednika. Oktawian August budował swoją politykę w regionie na fundamencie przyjaźni z Herodem Wielkim, który długo i wiernie służył Rzymowi. Po jego śmierci jednak powstały między spadkobiercami niesnaski, które przedłożyli w Rzymie Augustowi. Jego to wyrokiem kraj został podzielony pomiędzy czterech synów Heroda, przy czym zniesiono władzę królewską, a całą Palestynę podporządkowano legatowi w Syrii. Czterej władcy lokalni otrzymali tytuły książęce. Trzej z nich przyjęli zarządzenie bez protestu, natomiast ten, któremu przypadła w udziale Judea, nie krył niezadowolenia. Wkrótce też zniechęcił do siebie

poddanych, toteż cesarz po dziesięciu latach rządów skazał go na zesłanie. Terytorium Judei zostało w następstwie tych wydarzeń przekształcone w prowincję, obsadzaną przez przysyłanego z Rzymu namiestnika.

Dysponował on władzą prokuratora i odpowiadał bezpośrednio przed Augustem - w przeciwieństwie do pozostałych trzech ksiąząt tetrarchii, którzy w dalszym ciągu podlegali jurysdykcji syryjskiej.

Nic więc dziwnego, że w takiej sytuacji nie obywało się bez tarć, tak pomiędzy poszczególnymi regionami, jak i pomiędzy książętami a rzymskim zarządcą. Co gorsza jednak, podział ten stanowił kość niezgody między legatem w Syrii a przedstawicielem Rzymu w Cezarei, legat bowiem dążył do skierowania podatków z Judei na powrót do własnej szkatuły.

Tyberiusz nie chciał stawiać Augustowi zarzutów, jako że podział Judei nastąpił w jednym z najtrudniejszych okresów jego panowania.

Nieszczęście polegało na tym, że nie dał się odwrócić, albowiem wszelkie decyzje cesarza poprzez jego apoteozę stały się boskimi, a przez to nieodwołalnymi. Dopiero przy kolejnym postępowaniu spadkowym, to znaczy po śmierci któregoś z tetrarchów, mogła nadarzyć się okazja do rewizji wyroku i scalenia podzielonego kraju pod jedną władzą.

Tymczasem rolą Poncjusza było przetrwać w miarę spokojnie na stanowisku. Wedle wieloletnich doświadczeń zebranych przez Tyberiusza większość problemów dawała się rozwiązać za pomocą rozwagi i zdrowego rozsądku. Cesarz dodał przy tym pochlebnie, iż wybór Poncjusza na prokuratora w Judei nie był przypadkowy i że on ze swej strony jest pewny dobrych rezultatów tej misji.

Ale Tyberiusz wspomniał także o innym zadaniu, do którego Poncjusz

zupełnie nie czuł się przygotowany. Dotyczyło ono licznych przypadków śmierci w rodzie julijskim. Ze świata żywych usuwano jednego cezara po drugim i żadne z tych zabójstw nie doczekało się wyjaśnienia. Nawet tak zazwyczaj sprawny prefekt gwardii pretoriańskiej i prawa ręka Tyberiusza, Sejan, który zwykle radził sobie z wszelkimi trudnościami, nie potrafił rozwiązać tych zagadek. Tyberiusz oczywiście nie zazna spokoju, póki morderca się nie odnajdzie i nie zostanie przykładowo ukarany. Dwa wypadki śmierci miały miejsce na Wschodzie, toteż prosił Poncjusza, by dawał pilne baczenie, bo wprawdzie stało się to dawno, ale nigdy nie wiadomo, na co się człowiek natknie, gdy oczy i uszy ma otwarte. Poncjusz musiał więc w związku z tą sprawą przestudiować wszelkie informacje i fakty, jakie wyszły na jaw podczas śledztw, oraz przysiąc na swą cześć, że gdyby coś odkrył, natychmiast zamelduje o wszystkim bezpośrednio Tyberiuszowi, nie wtajemniczając nikogo postronnego. I właśnie w drodze powrotnej z Kaprei do Rzymu dokonał wstrząsającego odkrycia, które sprawiło, że na łeb, na szyję uciekł na Wschód. Wiozący go wówczas statek zawinął do portu wojennego w Misenum i podczas rozmowy ze znajomym na nabrzeżu Poncjusz usłyszał historię z czasów młodości prefekta Sejana. W tej samej chwili pewna myśl jak błyskawica rozświetliła beład informacji związanych z serią cesarskich mordów, przez który dopiero co się przekopał. Płomyk strzelił w górę i w mgnieniu oka Poncjusz ujrzał cały splot wydarzeń. To Sejan, prefekt pretorianów, osobiście ponosił winę... Sejan, zaufany pomocnik Tyberiusza, mordercą cesarów! Sejan, podpora imperium, był zdrajcą!

W pierwszym odruchu chciał zawrócić i pobiec z tą rewelacją do Tyberiusza. Szybko jednak ochłonał. Puste słowa, bez świadków i

dowodów, niczego nie zdziałają. Nie zdoła przekonać Tyberiusza. Jako homo novus, człowiek świeżo mianowany na urząd, nie miał żadnych szans wobec meża tak potężnego jak Sejan, który służył cesarzowi nieprzerwanie przez blisko dwadzieścia lat.

Poncjusz rozważał i wypróbowywał w myślach wszelkie warianty, wreszcie doszedł do wniosku, że nie pozostaje mu nic innego, jak pociągnąć na Wschód i tam szukać śladów - tak jak polecił władca.

Nadzieje na łatwiejsze wypełnienie zadania rozbudzała świadomość, że teraz wiedział, czego szukać. Przed Tyberiuszem może jednak stanąć dopiero z niepodważalnymi dowodami w ręku.

Jakie natomiast były zamysły zdrajcy? Czy zaczeka, póki wiek nie powali cesarza, gdy tymczasem jemu uda się usunąć z drogi wszystkich spadkobierców? Czy też planuje w sprzyjających okolicznościach pozbawić życia także Tyberiusza i w powstałym zamieszaniu samemu ująć ster państwowej nawy?

Oblał się zimnym potem, gdy próbował wyobrazić sobie bieg wypadków.

A kiedy dotarł do Rzymu i pomyślał, że w każdej chwili, ledwie tylko wytknie nos z domu, może napotkać prefekta, ziemia zaczęła mu się palić pod stopami. Żeby tak móc się kogoś poradzić! Gdyby Nigrin usłyszał choć wzmiankę o podejrzeniach w stosunku do wszechpotężnego Sejana, na pewno by stwierdził, że brat postradał zmysły. Podobnie przyjaciele.

Zresztą jego życie nie byłoby warte pustego dzbana po winie, gdyby rozeszła się wieść, że o morderstwie cesarów podejrzewa samego prefekta pretorianów. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie powierzyć tajemnicy teściowi, ale odrzucił ten pomysł. Gdyby nawet Prokulus, skoro mieli do siebie zaufanie, uwierzył mu na słowo, cóż pocznie bez dowodów? Jemu

Tyberiusz także nie da wiary i przypuszczalnie uzna, że wiekowy krewny na starość stracił rozum. Poncjusz nie miał prawa pozbawiać go spokoju ducha tylko dlatego, że sam czuł się wytrącony z równowagi i bezsilny... Nie pozostawało mu nic innego, jak trzymać język za zębami. Łamiąc słowo i odjeżdżając bez zawiadomienia o odkryciu, sprzeniewierzał się jednak swym zasadom. Długi rejs dodatkowo działał mu na nerwy, toteż bywał rozdrażniony i niesprawiedliwy.

Nie tylko Prokula, ale i towarzyszący mu podwładni obserwowali go ukradkiem. Fakt, że to dostrzegał, pogarszał jeszcze sprawę. Poncjusz stracił humor i utyskiwał, że bezużytecznie marnują czas. Najgorsze były noce. Godzina mijała za godziną w ślimaczym tempie, a on nie mógł zmrużyć oka. W zamkniętej przestrzeni kłopoty doskwierały mu w dwójnasób. Ostatniej nocy koja stała się dlań stanowczo za wąska, a kajuta zbyt ciasna i musiał wyjść na pokład. Odszukał zauważony wcześniej zwój lin i usiadł na nim, wyciągając wygodnie nogi i opierając się plecami o maszt. Postanowił tu pozostać, póki nie ukoji duszy i ciała oraz nie zaprowadzi porządku w myślach.

Statek kołysał się lekko. Czasami jakaś spóźniona większa fala wybijała go z rytmu, wtedy kadłub pojękiwał w proteście, a burty omywała z sykiem spieniona woda. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz niebo lśniło już ciemną zielenią oczekiwania, gwiazdy zaś pobłyskiwały jak kaganki zapalone dla uczczenia nocy.

Z gwiazdami Poncjusz był za pan brat. W czasie kampanii towarzyszył ich wędrownikom po nieboskłonie przez otwarte wejście do namiotu i niejednym raz doświadczył, że uroczysty spokój nocnego nieba pomaga leczyć troski i kłopoty codzienności.

Tyberiusz także poszukiwał w nich pociechy, gdy potrzebował ulgi w dźwiganiu brzemienia, jakie Rzym nałożył na jego barki. A nie czuł, by z upływem lat ten ciężar się zmniejszył. Zawsze sumienny, z wiekiem stał się pedantyczny. Niezwykle dokładnie studiował każdą sprawę, mawiając, że jedno tylko ma pragnienie - by go uznano za władcę sprawiedliwego. Inne opinie ludzi o nim i jego sposobie rządzenia są mu obojętne. Los nie mógł się zdobyć na większą ironię, przydając mu za podpórę i pomocnika Sejana. Tego Sejana, który nie odróżniał, co jest zgodne, a co niezgodne z prawem, i który nie omieszkał odpłacić za nieograniczone zaufanie Tyberiusza najczarniejszą zdradą.

Na tę myśl Poncjusz nie mógł usiedzieć dłużej w spokoju. Wstał więc i w tej samej chwili zauważył tuż obok jakiś ruch. Była to Prokula.

- Ty?! Tutaj? - zawołał zdumiony.

Tak, to ona. Także nie mogła zasnąć, więc kiedy usłyszała, że wychodzi na pokład, pospieszyła za nim. Sporo czasu minęło, nim go dostrzegła w ciemnościach, a wtedy siedział już bez ruchu i nie chciała mu przeszkadzać.

Zmarzła, toteż otoczył ją ramieniem okrytym płaszczem i spytał, czy długo tu czeka.

- Tak... - odparła cicho.

- Żebyś się tylko nie zaziębiła... Trzeba się było odezwać wcześniej - rzekł zaniepokojony.

- Pewnie powinnam dać o sobie znać...

W jej głosie brzmiało dziwne skrepowanie, lecz nagle wyprostowała się, jakby podjęła jakąś decyzję.

- Co się z tobą dzieje, Poncjuszu? - spytała z lękiem. - Od powrotu ze

spotkania z Tyberiuszem nie jesteś sobą. Coś się musiało stać!

Czuł, że Prokula drży, że jej ciało jest napięte jak cięciwa łuku, ale nie od razu znalazł odpowiedź.

- Czy między tobą a Tyberiuszem coś zaszło? - pytała wobec jego milczenia.

- Nie, absolutnie nic - uspokajał. - Ale w drodze powrotnej odkryłem przypadkowo kilka spraw, które mi się nie podobają - dodał z całą obojętnością, na jaką go było stać.

- Wracaliście może razem z Sejanem? - spytała po chwili.

Pytanie padło tak nieoczekiwanie, że odparł ostrzej, niż zamierzał:

- Nie! Wyjechał na długo przede mną. Skąd zresztą wiesz, że Sejan był na Kaprei? Ja ci tego przecież nie mówiłem - dorzucił opryskliwie.

- Od Nigrina. Twój brat miał nadzieję, że skorzystasz z okazji i zaskarbisz sobie jego przyjaźń, skoro jest taki wpływowy.

- Niech Nigrin pilnuje lepiej własnych interesów i nie wtyka swojego długiego nocha w moje - mruknął ze złością.

Prokula zaczerpnęła tchu jak przed skokiem na głęboką wodę.

- Sejan to zdrajca, najgorszy łotr na świecie! - stwierdziła głośno i wyraźnie.

Poncjusz wzdrygnął się i próbował jej zamknąć usta, ale zręcznie się wywinęła.

- Sam widzisz, jak się boisz - szepnęła.

Ścisnął ją za ramiona, aż syknęła.

- Mów, co wiesz! - rozkazał.

Jęknęła z bólu, więc rozluźnił chwyt.

- Sejan jest mordercą! W żadnej piersi nie biło dotąd tak niewierne serce!

To on pozbawił życia Pizona i Skryboniusza, najlepszych przyjaciół ojca. Ludzie sądzili, że popełnili samobójstwo, ale ojciec wie, kto ich zabił.

- I powiedział ci to?

Skinęła głową.

- Mnie i innym członkom rodziny. Za zamkniętymi drzwiami. Musieliśmy najpierw złożyć przysięgę, że będziemy milczeć, a potem ojciec opowiedział nam, jak to się stało. Na koniec wymógł na nas przyrzeczenie, że nigdy się nie zadamy z tym łajdakiem, nawet za cenę życia. Tego samego dnia wycofał się ze wszystkich funkcji publicznych. Jeśli rozejrzysz się wokół siebie, Poncjuszu, zauważysz, że nie on jeden tak postąpił. Dlatego czułam taką wdzięczność za twoją nominację i za to, że my także możemy opuścić Rzym. Zaniepokoiłam się na wieść o bytności Sejana na Kaprei i potem, gdy ujrzałam ciebie tak odmienionego po powrocie.

- I dźwigałaś to brzemie, nie zwierając się nikomu? - spytał zdumiony.

- Przysięga jest przysięgą. Najpierw chciałam wspomnieć o tym przed wyjazdem ojcu, ale się zlekłam, że zacznie cię podejrzewać, więc milczałam. Ale po dzisiejszych odwiedzinach w kajucie postanowiłam cię wtajemniczyć. Jestem przecież twoja, mamy dzielić z sobą wszystko, a więc także nasze przysięgi.

Poncjusz poczuł ukłucie w sercu. Oto on pogrąża się w żalu nad sobą, a tymczasem ona pod tym samym ciężarem potrafi się nie ugiąć.

Przyciągnął Prokulę do piersi. Oczywiście, że będą się dzielić wszystkim. Jeśli mają przejść przez życie razem, potrzebują wzajemnego zaufania, nie mogą wznosić między sobą żadnych barier...

Chciał przytulić policzek do jej włosów, lecz wyzwoliła się z jego uścisku.

To nie koniec - musiała mu powiedzieć coś jeszcze.

- Niczego tak nie pragnę, Poncjuszu, jak dzielić z tobą troski i radości.

Dlatego powinienes wiedzieć, że stałeś mi się droższy nad życie. Ale ty nigdy nie dałeś mi poznać, co dla ciebie oznacza nasze małżeństwo... i ja...

Głos jej się załamał, odwróciła się gwałtownie i pobiegła do kajuty.

Poncjusz pospieszył za nią.

Rozmawiali do białego rana. Co za niespodzianka! Taił swoje odkrycie, marząc jednocześnie, by móc je komuś powierzyć, poszukać czyjejś rady, i oto tak upragniony przyjaciel odnalazł się w tej, z którą połączył go węzeł małżeński! Nie tylko lepiej od niego znała Tyberiusza, lecz także więcej wiedziała o Sejanie. Jej zdaniem wcale nie mało Rzymian żywiło podejrzenia w stosunku do prefekta pretorianów, ale póki żyła wdowa po boskim Auguście, stara Liwia, wszelkie próby jego zdemaskowania były z góry skazane na niepowodzenie. Zważywszy, że oboje maczali palce w wielu zbrodniach, musieli się wzajemnie kryć. Tyberiusz zdawał sobie sprawę z roli, jaką odegrała matka, i nienawidził jej z całego serca za zło, które mu wyrządziła, niemniej jego zaufanie do Sejana było niewzruszone. Najgorsze jednak, że im dłużej mu to zaufanie okazywał, tym więcej osób podejrzewało samego Tyberiusza o współwinę w zabójstwach.

Zdaniem Prokuli nie tylko obowiązek wobec zmarłych pchał Tyberiusza do kontynuowania śledztwa, ale w równym stopniu chęć oczyszczenia własnej osoby. Tajne zadanie, które otrzymał Poncjusz, nie stanowiło na pewno misji specjalnej wyłącznie dla niego. Skoro cesarz sam był odcięty od poszukiwań, nic bardziej naturalnego, że polecał swym wysłannikom baczyć na wszelkie pogłoski.

W tym Poncjusz zgodził się z Prokulą, gdyż wysokiego stanowiska w

provincjach nie otrzymywał nikt, kogo by Tyberiusz uprzednio nie sprawdził. Inna sprawa, że szanse znalezienia śladów czy dowodów były minimalne.

Tymczasem władza Sejana rosła z dnia na dzień. Jednym z zadań Poncjusza jako cesarskiego namiestnika powinno więc być utrzymanie powierzonego mu terytorium z dala od wpływów ludzi prefekta.

Wprawdzie Judea stanowiła w ogromnym imperium jedynie niewielki skrawek, lecz z militarnego punktu widzenia, kluczowy strategicznie rejon pomiędzy Syrią a Egiptem.

Zorientowany w sprawach wojskowych Sejan był tego na pewno świadom, dlatego tak bardzo należało się strzec ewentualnych jego zwolenników.

Niełatwe zadanie. Prawdopodobnie pozostawali w ukryciu, maskując swoją działalność.

Niemniej na terenach, które Poncjusz objął jako prokurator, poza Tyberiuszem Cezarem nie będzie władał nikt inny.

Obudził go hałas na pokładzie, a gdy wyrzął, okazało się, że statek stoi w porcie. Słońce już wzeszło, ale ponieważ Poncjusz nie musiał się pokazywać, póki nie zostaną zakończone przygotowania do zejścia na ląd, mógł jeszcze przez chwilę delectować się spokojem.

Z nabrzeża zamierzał dotrzeć do miasta konno. Gdyby jego ognista Ksantypa po morskiej podróży nie była w formie, trzeba by wziąć jakiegoś rumaka ze stajni miejscowego garnizonu. Nie lubił używać lektyki, stanowiła dla niego oznakę słabości. W młodych latach służył pod komendą Tyberiusza, a ten nie schodził prawie z konia, posilał się i spał na ziemi i we wszystkim dzielił trudy swoich żołnierzy. Tu, w Judei, Poncjusz

nie napotka zapewne wielu tego typu wyzwania, tym bardziej jednak będzie musiał dbać o sprawność fizyczną.

Na uroczystość powitania przywdział pancerz, tak wyczyszczony, że mógł się w nim przejrzeć jak w lustrze, łańcuchy zaś i odznaczenia z każdym jego ruchem sypały skry. U wejścia stał wyprostowany jak struna niewolnik z tarczą i oszczepem. Zazwyczaj Poncjusz nosił oszczep sam, ale podczas oficjalnego wjazdu potrzebował wolnej ręki do pozdrawiania ludności, toteż tym razem uczynił wyjątek.

Oszczep - pilum - był jego ulubioną bronią. W armii z przyczyny dowodzonych przez siebie, atakujących z zaskoczenia oddziałów pilani zdobył taką sławę, że nie szczędzono mu pochwał i nadano honorowy przydomek Pilatus, Oszczepnik. Bardzo wysoko sobie to wyróżnienie cenił. Rodowe imię, Poncjusz, miało dość skromne korzenie; chociaż ród od pokoleń należał do ekwitów, ciesząc się zasłużonym poważaniem, to jednak przydomek Nigrin wyraźnie nawiązywał do ciemnawej skóry jego członków i nie przydawał mu chwały. Natomiast Pilatus, Piłat, pobrzmiwał szczękiem żelaza i uznaniem, opromieniał ród blaskiem rycerskiej sławy.

Do sławy i uznania przywykł Poncjusz w armii tak dalece, że po powrocie do Rzymu bardzo go zaskoczyło odkrycie, iż w swoim rodzinnym mieście jest prawie nieznany.

Niektórzy sądzą, że przydomek zyskał z powodu nowego typu maszyny miotającej pociski, którą rzekomo miał skonstruować. Inni tymczasem utrzymywali, że Piłat to żartobliwe żołnierskie przekształcenie nazwy szyku - *passim pilatim* - który stał się głównym przedmiotem ćwiczeń w armii po klęsce w Lesie Teutoburskim, gdzie podczas wykonywania tego

właśnie manewru nastąpiło załamanie szeregów, dające początek brzemiennej w skutki panice.

Poncjusz był rzeczywiście wielkim służbistą i ostro "piłował" wówczas swoje oddziały, natomiast to, że chwalebny przydomek został zamieniony w szydercze przezwisko, nie tylko go gniewało, lecz wręcz obrażało i gdyby nie wzgląd na karierę, stałby się w Rzymie rzadkim gościem. Kto jednak chciał dojść do czegoś w życiu, musiał potulnie trzymać się Wiecznego Miasta, toteż Poncjusz kupił tu sobie w końcu dom, w szacownej dzielnicy, bo na samym Awentynie.

Jednak nikt nie troskał się mniej od niego, gdy Tyberiusz oznajmił, że nieobecność w stolicy, z uwagi na ciągłość władzy w prowincjach, będzie długa i należy się liczyć z dziesięcioletnim pobytem w Judei.

Po okresie spędzonym w Rzymie i przeciągającym się rejsie Poncjusz zatęsknił do czynnego życia. Lubił regularne zajęcia i z góry się cieszył, że konną jazdą i codziennymi ćwiczeniami z bronią usunie sztywność mięśni, nabytą w mieście i podczas morskiej podróży. Już z pokładu usiłował zlokalizować stadion, ale jak okiem sięgnąć rozciągał się jedynie widok na port, sam w sobie zresztą wart uwagi. W całym imperium opowiadano legendy o wspaniałości urządzeń portowych w Cezarei.

Na tym odcinku wybrzeża nie było naturalnych zatok. Wodne masy z Nilu drażyły plażę jak podziemny nurt, a miejscowy piaskowiec ustępował pola w zmaganiach z wiatrem i prądami. Wcześniejsze próby zbudowania falochronu spełzły na niczym. Dopiero kiedy Herod Wielki sprowadził twarde kamień z dalszych okolic, udało się opanować żywioły. Zwożone tratwami potężne bazaltowe bloki zatapiano w wodzie, aż wreszcie jak grzbiet morskiego potwora wyłonił się z fal połyskujący czernią pomost.

Całość uwieczono szeregiem kolumnad, dających cień podczas przechadzki wokół portu, gdy ktoś w letnim skwarze chciał się ochłodzić podmuchem lekkiej bryzy. W basenie portowym mieściło się więcej statków niż w samym Pireusie i dałoby się tu usłyszeć chyba każdą obcą mowę. Ba, Nabrzeże Heroda w Cezarei stało się tak szeroko znane, że kto nie przespacerował się osobiście pod jego kolumnadą, nie mógł uchodzić za prawdziwego światowca.

Stare zabudowania osady zostały zrównane z ziemią i w całym mieście ze świecą by szukać choć jednego budynku nie pokrytego marmurem. Wokół portu, w głąb lądu, białymi tarasami wznosiły się schroniska, gospody oraz magazyny, a centrum stanowiła świątynia kultu Cezara i Romy.

Pod budynkami znajdowała się sieć kanałów; podążający z południa prąd morski wykorzystano tak sprytnie, że płukał kanalizację i wyrzucał fekalia na północ od miasta, by ani termy w jego południowej części, ani port nie ulegały zanieczyszczeniu. Podwójny rząd akweduktów zapewniał obfite zaopatrzenie w słodką wodę. Cezarejczycy mogli się zaprawdę bez przesady szczycić, że mieszkają w najnowocześniejszym mieście Wschodu, co naturalnie nie oznaczało konkurowania pod względem wielkości i znaczenia z Antiochią czy Aleksandrią, lecz jedynie to, iż miasto było zdrowe, czyste i zamożne, opierając solidne podstawy swego bytu na żegludze i handlu. Termy, teatry, cyrk i forum sprawiały, że mogło się z równym powodzeniem znajdować w Italii, jak i w najodleglejszym zakątku basenu Mare Internum. Na pierwszy rzut oka Cezarea wydawała się nawet bardziej rzymska od samego Rzymu - równo wytyczone ulice krzyżowały się pod kątem prostym, a bruk przypominał gładkością pałacowe posadzki, czego nie dało się powiedzieć o nawierzchniach w

Wiecznym Mieście.

Ksantypa rozkoszowała się każdym stawianym krokiem, tańcząc przez ulice swym najwyszukańszym paradnym stępem. Zaraz po sprowadzeniu na ląd trochę grymasiła, ale po wyczesaniu zgrzebłem i masażu poczuła się stanowczo lepiej, a gdy stajenny zakładał jej buty, by wyciszyć stukot kopyt po kamieniach, była już zadowolona i wesoła. Zamiast podrzucać łbem jak zwykle, gdy się jej coś nie podobało, gryzła dziś spokojnie wędzidło niby dobrze wychowana klacz, kiedy zaś chciała na coś zwrócić uwagę swego pana, po jej grzbiecie przebiegało dyskretne, choć wyraziste drżenie. Poncjusz, który większość trasy przebył z uniesionym ramieniem, wykorzystywał od czasu do czasu taki moment, by opuścić rękę, poklepać ją po szyi i wyszeptać do ucha parę miłych słówek. Rżała wtedy cicho z radości i omiatała boki ogonem.

Pierwszym, który pojawił się na pokładzie, by ich przywitać w nowym kraju, był komendant Dziesiątego Legionu, ciężki, powolny mąż o okrągłym, bezbarwnym obliczu i jasnych brwiach. Na Poncjuszu sprawił wrażenie niemal ospałego, może jednak taki efekt dawała zwisająca luźno, wystająca dolna warga?

Gdy Poncjusz wyraził życzenie odbycia uroczystego wjazdu konno, komendant zastrzegł, że lektyki stoją w pogotowiu, a muzykanci są nastawieni na powolny marsz. Zdaniem namiestnika powinni jednak poradzić sobie z dostosowaniem rytmu do tempa orszaku, a on sam, dodał zwięźle, potrzebuje ruchu. Ten człowiek musi od razu pojąć, że od tej pory trzeba spełniać, i to bez szemrania, wolę zastępcy cezara, nie dowódcy wojsk. W jego wyblakłych oczach brakło zdecydowania, poza tym trochę zbyt często i z nadmierną ciekawością zezował ku Prokuli. Najlepiej mu

bez zwłoki pokazać jego miejsce.

Program dnia był wypełniony po brzegi. Po oficjalnej ceremonii złożenia ofiary na forum następowało przejście w procesji do miejscowej świątyni Cezara i Romy, potem komendant wydawał obiad połączony z przeglądem kohort. Na zakończenie przewidziano ucztę w pretorium z przemowami ciągnącymi się długo w noc.

Dopiero po powrocie do siebie mogli z Prokulą porozmawiać o bogatym we wrażenia dniu. Obojgu dom wydał się nadspodziewanie duży. Do ich własnej rodziny dołączyła wojskowa załoga rezydencji łącznie z całkiem pokaźną liczbą miejscowej służby. Prokulę martwiło, jak się zorientuje w takiej masie ludzi, a na myśl o rachunkach doznawała prawdziwego zawrotu głowy. Na widok kolumny cyfr, jak twierdziła, podobnie jak na widok wysokich schodów, kręci się jej w głowie. Poncjusz musi przyrzec, że z samego rana porozmawia z Rachelą na temat zarządzania domem. Ta kobieta ma silną rękę i na pewno potrafi dobrze rachować. Podczas obiadu komendant opowiadał, że większość Żydów, zazwyczaj trudniących się handlem, jest obyta ze sztuką liczenia.

- Owszem, zauważyłem, że nadskakiwał bardziej tobie niż mnie - odparł na to Poncjusz. - Kamień spadł mi z serca, skoro mówisz, że dyskutowaliście o rachowaniu.

Prokula udała, że nie słyszy kwaśnego tonu małżonka. Wyjaśniła, że komendant jest człowiekiem towarzyskim i nie lada znawcą życia. Bawił ją wieloma interesującymi historiami z czasów obecnych i z przeszłości. Potrafił nawet opisać Heroda Wielkiego, którego widział kiedyś u Augusta.

Poncjusz, który brał się właśnie do zdejmowania butów, nagle

wyprostował plecy.

- Powiadasz, że widział Heroda? U Augusta?

Prokula spojrzała na niego zdziwiona.

- Tak. Cóż w tym dziwnego? Herod odwiedzał cesarza bardzo często.

Dlaczego więc komendant nie miałby okazji go ujrzeć?

- Sama powiedziałaś: u Augusta - zniecierpliwił się Poncjusz. - Posłuchaj więc dobrze, ale uważaj, bo będziesz musiała rachować! Herod zmarł przed trzydziestoma laty, a to oznacza, że komendant sam mógł mieć wtedy dwadzieścia kilka. Wy tłumacz mi, proszę, co taki złotodziób porabiał w pobliżu cesarza, jeśli nie należał do jego kręgu? A ktoś taki jak on nie należał doń na pewno. Skądinąd wiadomo, że będąc w szeregach gwardii przybocznej, odbywa się służbę na Palatynie już w wieku lat dwudziestu. Skoro zaś komendant, choćby dawno, służył w pretorianach, nie mamy żadnej gwarancji, że nie jest zausznikiem Sejana.

Prokula wyraźnie się przestraszyła. Poncjusz zmarszczył brwi. Czym prędzej wyda rozkaz przeprowadzenia ćwiczeń. Wówczas się okaże, czy komendant potrafi po legionowemu utrzymać linię frontu w bitwie czy też stosuje taktykę pretorianów. Niewiele trzeba, żeby się zdradził. Zanim jednak może być mowa o manewrach, muszą z Prokulą zakończyć objazd związany z objęciem urzędu oraz odbyć wizyty w Sebaste, Samarii i Jerozolimie.

W Sebaste znajdowała się główna kwatera Dziesiątego Legionu i sławna twierdza z dawnych czasów, którą odrestaurował Herod Wielki. Na szczycie umocnień, na skale, kazał dodatkowo zbudować wspaniałą, rozległy zamek dla siebie. Rezydencja ta, od kiedy kraj przeszedł we władanie Rzymu, znalazła się w dyspozycji namiestnika.

Spotkanie z żołnierzami przebiegło bez żadnych zgrzytów. Obozy w całym imperium organizowano wedle jednolitego wzoru niezależnie od tego, czy wojska stacjonowały w Afryce, w Azji czy w Europie. Każdy z załogi znał swoje miejsce, toteż odnoszono się do siebie z poczuciem pewności i bez skrepowania. Poncjusz był zadowolony ze swego legionu, chociaż odrobinę większa dyscyplina bardziej by odpowiadała jego gustowi i oczekiwaniom.

O ile spotkanie z wojskiem cechowała swoboda, o tyle zetknięcie się z Samarytanami zdominowała rezerwa. Mimo prób wyjścia naprzeciw zarówno przy powitaniu, jak i w treści mowy wprowadzącej, Poncjusz odniósł wrażenie, że stoi przed szeregiem sfinksów. Gdziekolwiek spojrzał, napotykał kamienne twarze. Widocznie stosunki lokalne były dużo bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażał przed przyjazdem. Więcej, z bliska problemy wydawały się niemal nie do rozwiązania.

Augustiański podział terytorialny spowodował głębokie pęknięcia wzdłuż i wszerz kraju. Własna dziedzina Poncjusza rozpadła się na dwie części, a Samarytan i Judejczyków rozdzieliła przepaść nie do przebycia. Różnice pomiędzy nimi istniały zawsze. Z powodu obcego pochodzenia Samarytanie czuli się wśród plemion Izraela, co dość naturalne, jak dzieci innej matki. Dlatego to, że Herod Wielki nie urodził się w Palestynie, nie uchodziło w ich oczach za skazę - odwrotnie, traktowali to jako dużą zaletę. Ich sympatia, jak to zazwyczaj bywa, spotkała się z wzajemnością. Herod uczynił dla Samarii więcej niż dla innych dzielnic kraju, pochodziła stamtąd nawet jedna z jego licznych żon. Jej pierworodny został po śmierci Heroda tetrarchą Judei i w ten sposób Samaria uzyskała władzę półkrwi własnej, ku wielkiej radości swych mieszkańców oraz ku równie

wielkiemu oburzeniu i niezadowoleniu rodowitych Judejczyków. Stosunki między nimi a herodiańskim domem panującym od pierwszej chwili cechowało napięcie. Nie pomogło przejście Heroda na judaizm. W ich oczach pozostał poganinem i obcym. Jakże mogli wyznawcy Prawa Mojżeszowego od ponad tysiąca lat, którym od dzieciństwa wpajano zakaz zabijania, uznać króla bez skrupułów pozbawiającego życia wszystkich stojących mu na drodze? Nie cofnął się nawet przed zamordowaniem najbliższych - bracia, szwagrowie, wujowie kolejno dawali głowy pod topór. Nie oszczędził także swej pierwszej małżonki, Mariamme z rodu Machabeuszów; co więcej, zgładził trzech synów, a jednego z nich zadusił własnymi rękami. Inne ofiary, obcego bądź nieustalonego pochodzenia, nie miały już nawet numerów porządkowych. Toteż pewnie i August niejednokrotnie dochodził do wniosku, że mąż pokroju Heroda Wielkiego znacznie bardziej nadawałby się na władcę Syrii bądź Egiptu niż ubogiej i ascetycznej Palestyny.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że starał się pozyskać względy mieszkańców Judei. Otoczył Jerozolimę murami i basztami obronnymi, tak że miasto królowało nad okoliczną pustynią, a świątynię rozbudował do rozmiarów, które przyniosły jerozolimskiemu przybytkowi światową sławę. Niemniej serca Judejczyków w dalszym ciągu pozostawały dlań zamknięte, a kiedy jego syna ustanowiono tetrarchą, przenieśli swoją nienawiść na latorośl, co oczywiście nie przyczyniło się do złagodnienia księcia. Wrogość kwitła przez dziesięć lat i zakończyła się podróżą poselstwa z Judei do Rzymu oraz oskarżeniem władcy o okrucieństwa. August zesłał tetrarchę na dożywotnie wygnanie do dalekiej Galii.

Nikt dzisiaj nie wspominał, z jakim przyjęciem spotkali się powracający

do Jerozolimy po złożeniu skargi posłowie, kiedy wyszło na jaw, iż August wcielił Judeę z Samarią do imperium, ustanowiwszy swojego namiestnika. Wątpliwe jednak, by powitano ich hołdem palmowych liści. August bowiem tak gruntownie ogołocił kraj z suwerenności, że jego prokurator, obok najwyższej władzy sądowniczej, miał także prawo wyznaczania i odwoływania najwyższego kapłana jerozolimskiej Świątyni. Ten, który miał być ośrodkiem jednoczącym Żydów, zależał od woli cesarza. Wielu odwróciło się podówczas od Jerozolimy i w poszukiwaniu wolności skierowało swe kroki do rządzonych jeszcze przez tetrarchów części kraju, których nie naruszył nowy porządek.

Ustanowienie rzymskiego zwierzchnictwa nad Judeę spadło na Samarytan jak grom z jasnego nieba. Po wygnaniu księcia mieli nadzieję na przejście pod władzę legata Syrii, a tymczasem otrzymali w zamian rzymskiego prokuratora, który do tego rezydował na ich terytorium, co napełniło serca goryczą i kazało przypisywać winę za to nieszczęście chytrym Judejczykom, wspierającym niekorzystny rozwój wypadków.

Obmyślili więc zemstę. Gdy zbliżyło się święto Paschy i Żydzi z całego świata wędrowali do Świątyni na modły, do Jerozolimy przybyła też grupa Samarytan. Przebrani za prawowiernych wkradli się do przybytku i pod pozorem składania ofiar padli na kolana przed ołtarzami. Zamiast jednak darów ofiarnych rozsypali na stołach Pańskich kości zmarłych.

Trupie kości i pogańskie szczątki! W mieście nastał sądny dzień. Gorsze zbezczeszczenie nie mogło chyba dotknąć domu Pańskiego! Tym bardziej że zbrodnia dokonana się w tygodniu przed świętem Paschy, dowiedział się więc o niej cały świat, a wielu przybyszy z daleka, nie mogąc czekać na oczyszczenie Świątyni, powróciło w rodzinne strony nie złożwszy ofiary.

Gdyby rzymski zarządca nie przebywał wtedy w Jerozolimie i natychmiast nie postawił na nogi Dziesiątego Legionu, pokój by się nie utrzymał. Od tego jednak dnia ustały wszelkie kontakty między oboma ludami. Nie tylko już bowiem Judejczycy, lecz wszyscy prawowierni Żydzi odwracali głowy i kierowali wzrok w inną stronę, gdy mijał ich jakiś Samarytanin. Poncjusz westchnął ciężko. Takie oto stosunki panowały na terytorium, którym przyszło mu władać. I niczego w nich nie zmieniało, że był piątym z kolei prokuratorem, a od owego skandalu w świątyni minęło niemal dwadzieścia lat. Oplątywała go sieć przeciwstawnych interesów. Jakże miał znaleźć neutralny temat mowy dla Jerozolimy, gdy każde wypowiedziane tam słowo zostanie powtórzone zarówno w Judei, jak i w Samarii, w miarę możliwości i tu, i tam przekręcone i źle zinterpretowane? W zamyśleniu kreślił palcem linie po pulpicie. Przymierzał się do wielu tematów, ale żaden się nie nadawał. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. A może by wziąć za przykład jego stosunki z Prokulą? Po tym, jak się nawzajem obdarzyli zaufaniem, wszystko między nimi uległo zmianie. Gdyby tak jako hasła użył słowa "wzajemność"? Na wstępie mógłby wyrazić życzenie obopólnego zaufania pomiędzy nim a narodami, które zostały powierzone jego opiece. To, że jeden naród jest mały, a drugi wielki, wcale nie musi być przeszkodą we wzajemnej ufności. Czyż w życiu rodzinnym nie brak przykładów pełnej harmonii pomiędzy siłą a słabością, jeśli tylko okazują sobie szacunek i zrozumienie? Podobnie jak kobieta jest niezbędna dla trwania i dobrobytu rodu, tak każdy kraj jest nieodzowny dla imperium jako całości.

Na tej ziemi mało kto zna rzymską poezję, gdyż przeszkodę stanowi odmienny język i alfabet. Ludzie jednak na pewno przynajmniej słyszeli o

Wergiliuszu, jeśli nie jako o poecie, to w każdym razie jako o przyjacielu Augusta. Czy synowie Izraela wiedzą, że wielkie dzieło Wergilego, "Czwarta ekloga", zostało poczęte z prorocstw zawartych w starych żydowskich pismach? Że Wergiliuszowe przesłanie dla świata o pokoju i jego księciu, o którym marzą wszystkie narody, to nic innego jak wielka wizja Izraela?

Pełen łaskawości cesarz jest jednym z niewielu mężów, którzy łączą w sobie cechy wodza i myśliciela. W ciągu ośmiu lat spędzonych w akademii na Rodos lepiej niż ktokolwiek poznał duchowe prądy Wschodu, a akademicy wciąż stanowią jego najbliższe otoczenie. Uczony jego przykład zaczął promieniować z Kaprei na całe imperium. Niebawem zwoje i pióra trafią do rąk wszystkich i staną się narzędziem powszechnego użytku na równi z mieczem i lemieszem.

Za przykładem swego wysoko postawionego krewniaka, Tyberiusza Cezara, małżonka Poncjusza poświęca wiele czasu studiom i pracuje obecnie nad literaturą żydowską. Zaopatrzyła się już w wiele ksiąg, a jej i samego Poncjusza szczerym życzeniem jest możliwość czytania ich w oryginale. Podobnie jak oboje z radością oczekują poznania kraju i ludzi, tak też liczą, że Judejczycy ze swej strony rozwiną chęć zrozumienia kultury Rzymu. W ufności i wierze w owocną współpracę żywi więc Poncjusz w tak uroczystym dniu objęcia urzędu tę samą świetlaną, mesjańską nadzieję, której wyraz dał Wergiliusz - nadzieję na wielki, ogólnoswiatowy pokój. Ten pokój, który zagwarantować może jedynie Imperium Romanum.

Kilkakrotnie przeczytał szkic półgłosem. Na ogół podniosłe zwroty utykały mu w gardle niczym rybie ości, ale rozumiał, że jak długo

pozostanie w Judei, musi unikać zwięzłych wojskowych przemówień, do których przywykł w armii.

Na wszelki wypadek przedstawił mowę Prokuli.

- Tak ni stąd, ni zowąd nawiązujesz do mojej osoby - zauważyła zaskoczona.

- Owszem - przyznał. - I czynię to z rozmysłem. Przede wszystkim znajdujesz się poza tym, co ogólnie określa się sferą intryg. Dalej zaś, masz być moim znakiem rozpoznawczym, poświadczając, że stoję po stronie Tyberiusza, w razie gdyby ktoś tu się orientował co do roli Sejana... A że niektórzy uwierzą, iż jestem próżnym głupcem... - Wzruszył ramionami. - To może nawet lepiej.

Droga z Sebaste do Jerozolimy zajmowała zwykle dzień konnej jazdy, ale zważywszy na ciężki wóz Prokuli, musieli się liczyć z jednodniowym opóźnieniem. Z Samarii trasa wznosiła się przez pasmo Efraim aż do Judei i z każdą godziną krajobraz stawał się coraz bardziej złocisty i pustylny. Prokula czuła się przytłoczona. Nigdy nie lubiła gór, a te, bezlitośnie nagie i strome, budziły szczególny lęk. Kiedy zaś skalną półką wzdłuż pionowej ściany wjeżdżała z doliny na przełęcz, musiała aż zamknąć oczy i odwrócić głowę od groźnej, wabiącej czeluści urwiska. Później krajobraz zaczął się zmieniać, spłaszczając, pole widzenia się poszerzyło, a około południa drugiego dnia podróży na horyzoncie zamajaczyły mury i wieże Jerozolimy.

W ostrym świetle słońca niebo przybrało kolor mleka, powietrze drżało od upału. Mimo wczesnej pory roku pola były wypalone na brąz, a wokół orszaku unosiły się chmury pyłu. Parę stadiów przed miastem zajechali do

gospody, gdzie się obmyli, wypoczęli i nałożyli paradne stroje oraz wieńce laurowe.

Poncjusz wystąpił po cywilnemu - w todze i bez odznaczeń, natomiast Prokula, która z wozu przesiadła się do lektyki, aż lśniła od klejnotów. Wyglądało to tak, jakby się starała uzbroić w kosztowności, by pokryć zdenerwowanie wywołane nieprzyjaznym przyjęciem w Samarii. Poncjusz także zresztą nie krył, że odczuwa pewne napięcie. Jeśli spotkanie z Judejczykami przebiegnie podobnie do wizyty u Samarytan, czekają ich trudne lata.

W niewielkiej odległości od miasta przednia straż zaintonowała fanfarę. Odpowiedzieli jej z murów heroldowie i wnet z bram zaczął się wylewać odświętnie odziany, wymachujący zielonymi gałązkami tłum. Prokula pokraśniała z radości. Tu przynajmniej nie znienawidzono jej zawczasu, jeszcze zanim przybyła, toteż nie pożałuje ze swej strony gestów przyjaźni. Zdjęła z ramion szal, by nim powiewać, z uśmiechem na ustach pozdrawiając wszystkich napotkanych.

W bramie oczekiwali ich starsi gminy i uczeni w Piśmie. Wzniesionymi nad głowy dłońmi przyzywali pokój dla tego, który przybywa w imię cesarza, i witali namiestnikowską parę. Poncjusz zsiadł z konia i wśród gromkich okrzyków powitalnych całe grono weszło w obręb murów. Wszędzie kłębiło się mrowie ludzi, krzyczących, napierających ze wszystkich stron, tak że w wielu miejscach trudno się było przecisnąć. Minawszy mury, bramy, płataninę gęsto zabudowanych zaułków i przejść, dotarli wreszcie do jądra miasta - dawnego pałacu Machabeuszów. Tam oczekiwali pozostali członkowie Sanhedrynu, szacowni obywatele zebrani z całego kraju pod przewodnictwem najwyższego kapłana.

Poncjusz odkaszlnął dyskretnie. Nadeszła pora na wygłoszenie mowy.

- Najwyższy kapłanie... członkowie Rady... mężowie judejscy...

Wodził wzrokiem od człowieka do człowieka. Tu nie napotkał sfinksów, tu spojrzenia były otwarte, a twarze zebranych pozwalały odczytać reakcję na każde wypowiedziane słowo. Najpierw zdumienie - przypuszczalnie od Rzymianina o imieniu pobrzmiwającym szczękiem broni oczekiwali innego tematu. Potem rosnące zainteresowanie, a na koniec jawny aplauz, gdy wspomniał o ich starożytnej literaturze.

Bitwa była wygrana. Mrugnął porozumiewawczo do Prokuli. Pod wpływem ulgi twarz się jej rozpromieniła.

Świątynia była stamtąd zaledwie o rzut kamieniem. Przeskok od wijących się, mrocznych uliczek do rozległego imponującego placu następował tak nagle, że każdemu, kto tego wcześniej nie przeżył, zapierało dech w piersiach. Także Poncjusz zatrzymał się i bacznie rozejrzał.

Dziedziniec, mierzący dobre sześćset kroków długości i prawie czterysta szerokości, otaczał podwójny rząd kolumn z malachitu morskiej barwy.

Nic tu nie zakłócało kontemplacji niebosłonu i świętości. Ołtarz przeznaczony na ofiarę cesarską stał przed głównym wejściem do świątyni. Brama ta zwana była Koryncką od środkowej kolumny, odlanej z korynckiego brązu, stopu dużo cenniejszego od najczystszej złota. Do wnętrza przybytku mieli dostęp tylko wierni. Obcym zabraniały tam wchodzić tablice z napisami po grecku i łacinie, jednak zza otwartych drzwi dobiegały teraz tony harf i srebrnych trąb.

Ceremonii przewodniczył najwyższy kapłan, natomiast ofiarę składał Poncjusz. Unosząc nad płomieniem miseczkę z kadzidłem, odbiegł myślami ku temu, kogo owa ofiara dotyczyła.

Na mgnienie ujrzał przed sobą sylwetkę Tyberiusza tamtego ostatniego poranka na Kaprei, gdy z pokładu statku zegnał spojrzeniem Wille Jowisza.

Szczytem skały wiodła długa ścieżka, którą cesarz odbywał swoje codzienne spacerunki. Białą odzianą postać wędrowała odmierzoną krokiem tam i z powrotem, tam i z powrotem... jak wartownik. Czy podczas tych przechadzek kiedykolwiek się zastanawiał, co reprezentuje w świadomości milionów ludzi na całym świecie? Czy zdawał sobie sprawę, że od mglistej Germanii po pałac piaski Afryki jest symbolem bezpieczeństwa i pokoju? Czy czuł woń kadzideł unoszącą się z tysięcy ołtarzy na całej ziemi, czy słyszał modlitwy odmawiane w jego intencji? A może między nim a całym światem stawał jak cień Sejan i błogosławieństwa traciły swoją moc, a modły skuteczność?

Jak rok długi, każdego ranka i wieczora składano cesarzowi ofiary, tu w Jerozolimie i we wszystkich dużych miastach imperium. Przywoływano za jego pośrednictwem niezliczone, znane i nieznanne bóstwa, a on wzajemnie otaczał ich świątynie i wyznawców opieką i obronną siłą Rzymu.

W twierdzy Antonia, położonej tuż obok świątynnego dziedzińca i stanowiącej rzymską kwaterę główną w Jerozolimie, komendant był osobiście odpowiedzialny za to, by przed kamienną skrzynią, gdzie przechowywano ceremonialne szaty najwyższego kapłana, bezustannie płonął kaganek. Czyż to światełko w twierdzy i ofiarny płomień tutaj, przy ołtarzu, nie stanowiły znaku owej wzajemności, którą Poncjusz niedawno podkreślał w swojej mowie, a która jest podstawą wszelkiej współpracy? Poczuli nagły przypływ wzruszenia. Zniknęła rutyna i gesty pustego rytuału. Ofiara stała się żywym symbolem o tak potężnej treści, że

zamieniła się w żarliwą modlitwę: "Spraw, by ta misja się powiodła - w imię Cezara!"

Prokula nie mogła powstrzymać uśmiechu - czyżby Herod był czarownikiem wznoszącym zamki mocą dotknięcia różdżki? W Jerozolimie także mieszkali w jego pałacu, przewyższającym pod względem luksusu i przepychu wszystko, co dotychczas widziała. Nie brakowało niczego - od wiszących ogrodów, fontann i basenów kąpielowych po kolumny z porfiru i mieniące się tęczą kolorów mozaiki. Skąd miał czas i zasoby na wznoszenie takich cudów i skąd w tym ubogim kraju zdobywał budowniczych i artystów?

Poncjusz wyjaśnił, że po śmierci Kleopatry, podczas zastoju gospodarczego w Egipcie Herod stamtąd sprowadzał materiały i robotników. Szlak do Palestyny był z dawien dawna uczęszczaną trasą, a nowe rozległe urządzenia portowe wabiły liczne karawany, toteż opłaty - zamiast do Syrii i Egiptu - trafiały do skatupy judejskiego władcy. Królując przez trzydzieści lat, miał niemało okazji, by rozwinąć skrzydła.

Poza pałacem Heroda oddano w Jerozolimie do ich dyspozycji jeszcze jeden budynek, mianowicie twierdzę Antonia, gdzie kwaterował rzymski garnizon. Tam znajdowała się sala audiencyjna, archiwum i pracownia prokuratora, a także zwykłe pomieszczenia mieszkalne, gdzie mogli zatrzymać się na krótko, w razie gdyby nie zamierzali przebywać w mieście na stałe. Położenie Antonii umożliwiało niepowtarzalny wgląd na dziedziniec przed świątynią, dlatego twierdzę chętnie odwiedzali wszyscy, którzy pragnęli śledzić przebieg wielkich żydowskich uroczystości. Następnego dnia po inauguracji Poncjusz udał się do twierdzy, by

przywitać żołnierzy i przejrzeć sprawy nagromadzone od wyjazdu poprzednika. Przybył bez uprzedzenia i ku swojemu zaskoczeniu zastał zbrojne straże wprawdzie na posterunku, ale bez legionowych znaków. I to w głównej bramie!

Może wyruszono na manewry? Nie, wartownik zameldował, że komendant i wszyscy oficerowie znajdują się na miejscu.

Ach tak? Wobec tego należało się dowiedzieć, co to oznacza... Kohorta bez orłów?!

Żołnierz wyjaśnił, że żaden oddział w Dziesiątym Legionie nie używa w Judei swych znaków, kłóci się to bowiem z żydowską wiarą. Ich bóg nie uznaje wizerunków ani jakiegokolwiek innej formy portretowania.

Odpowiadał zwięźle i służbiście, toteż Poncjusz udał, że przyjmuje to wyjaśnienie, skinął głową i poszedł dalej. W rzeczywistości jednak niczego nie zrozumiał. Cesarzowi wzbrania się ukazywać symboli swego imperatora? Cesarzowi wzbrania się ukazywać oblicze w przynależnych mu lege artis włościach? Temu cesarzowi, którego ojciec był bogiem, i to bogiem o dużo liczniejszych ołtarzach i rzeszach wyznawców niż ów bóg Żydów! Cóż to za tyran, który nie toleruje żadnych wizerunków?

Nagle przyszło mu na myśl pewne podejrzenie. Czyżby to miało jakiś związek z Sejanem? Taki podstępny sposób podkopania autorytetu Tyberiusza w armii?

Poncjusz przywołał ostro pierwszego napotkanego oficera i zapytał, kiedy został wprowadzony zakaz wystawiania orłów.

Wedle wiedzy centuriona w Dziesiątym Legionie zawsze panowały takie zwyczaje. W każdym razie jak długo on służył na tym odcinku, to znaczy od ośmiu lat, orły przechowywano w Sebaste.

Poncjusz zmarszczył czoło.

- Nawet wtedy, gdy legion szedł na kwaterę zimową do Jerozolimy?

Porzucano je w twierdzy, pozostawiano z dala od oddziałów?

- Tak, nawet wówczas.

Poncjusz wezwał komendanta, który ze swej strony potwierdził, że takie postępowanie, zgodnie z umową zawartą między Augustem a Judejczykami, przewiduje regulamin.

Innymi słowy zarządzenie miało charakter stały i za całą aferą nie krył się Sejan - dobre i to. Chociaż fakt, że Dziesiąty Legion zrezygnował z orłów tylko dlatego, iż ci Żydzi nie znoszą obrazów, okazał się ciężko strawnym kąsem dla kogoś przywykłego do żołnierskiej kuchni. Właściwie świadczy to o braku szacunku i odsłania chwiejność samego założenia protestu.

Gdzież tu logika - składać cesarzowi ofiary i jednocześnie wzdragać się przed oglądaniem jego symboli?

Poncjusz uznał, że musi napisać do Tyberiusza i poznać cały kontekst sprawy. Niewykluczone, iż władca nie zna tutejszej sytuacji. Sterta papierów na stole może poczekać do następnej okazji. Trzeba wysłać list niezwłocznie - droga do Italii jest daleka, nawet przez kuriera poczta idzie miesiącami.

Zanim nadeszła odpowiedź, zdążyli już dawno wrócić do Cezarei.

Tyberiusz donosił, że decyzja o rezygnacji z wystawiania znaków legionowych na kwaterach jest częścią ceny, jaką August musiał zapłacić za ustanowienie namiestnictwa w Judei. W traktacie znajdowało się jeszcze kilka innych, mało szczęśliwych dla armii klauzul, między nimi zwolnienie Żydów od służby wojskowej, która także kłóciła się z ich przekonaniami religijnymi. Ten przywilej powodował jednak mniejsze

szkody niż nieobecność orłów, która stanowiła ujmę dla honoru legionu - Dziesiąty był z tej przyczyny przez wielu uznawany za mniej wartościowy. Musiał też znosić ciągłe szyderstwa i kpiny ze strony innych jednostek. Gdyby Poncjusz zdołał przywrócić orłom należne im miejsce bez wzbudzania nadmiernego oburzenia miejscowych, wyświadczyłby legionowi nieocenioną przysługę. Tyberiusz pozdrawiał i życzył powodzenia.

Poncjusz przeczytał list po raz wtóry. Nie dziwiło go, że August dla zysków politycznych odrzucił racje armii. Natomiast Tyberiusz jako wódz doskonale rozumiał tę uwłaczającą sytuację, nie z powodu próżności, lecz dlatego że myślał i czuł jak żołnierz.

Prowadzenie negocjacji z Judejczykami było bezcelowe. Odwołaliby się jedynie do traktatu. Wsparci o dwóch bogów - własnego Jahwe i rzymskiego Augusta - znajdowali się na pewnym gruncie. Jeśli miał cokolwiek osiągnąć, musiał postawić ich przed faktem dokonanym. Plan był prosty i opierał się na momencie zaskoczenia. Kiedy Dziesiąty Legion następnym razem uda się na zimowe leże, Poncjusz podąży wraz z nim do Jerozolimy. Po rozlokowaniu żołnierzy, pod osłoną nocy orły zostaną sprowadzone sztafetą z Sebaste i jeszcze przed świtem wystawione u bram twierdzy. Zanim słońce wzejdzie i mieszkańcy odkryją, co się wydarzyło, Poncjusz wyruszy do Cezarei, żeby na miejscu zabrakło osoby z odpowiednim autorytetem do prowadzenia rozmów, gdy znaki zostaną zauważone i podniosą się głosy protestu. Wobec wojska w gotowości bojowej władze miejskie będą zmuszone kierować się rozsądkiem, a po upływie dwóch, trzech dni na pewno przyzwyczają się do symboli cesarza.

Poncjusz nie wspomniał o swych zamierzeniach Prokuli. I tak nie znała się na sprawach armii, a miał niezachwiane przeczucie, że nie pochwaliby jego działań. Dopiero kiedy się wszystko powiedzie, opowie jej o całej akcji.

Wydarzenia potoczyły się zgodnie z ustaleniami. Orły dostarczono z Sebaste w ciemnościach nocy, a zaraz potem Poncjusz opuścił miasto. Następnego dnia dotarł konno do domu i po krótkim powitaniu, podniecony, zdał Prokuli relację z wyczynu. Zanim jeszcze skończył, przybrała nieobecny wyraz twarzy. Znał dobrze tę minę, więc kiedy się nie odezwała, spytał z irytacją w głosie, czy nie pojęła jego słów.

- Niestety tak - odparła zwięźle. Po czym podniosła się i wyszła.

Poncjusz stracił cierpliwość. Stara się oto ze wszystkich sił bronić interesów armii i przysłużyć cesarzowi, a powróciwszy w progi domu napotyka chłodny dystans i wzruszenie ramion. Tak ocenia się jego wysiłki - nawet żona bierze stronę przeciwnika. O nie! Poncjusz wyprasza to sobie! Prokula przekona się, że jej mąż nie zna litości! Jeśli zechce przywrócić pomiędzy nimi dobre stosunki, będzie musiała długo prosić. Zarzucił na ramię ręcznik i długimi krokami skierował się ku plaży. Kąpiel po galopie dobrze mu robi. Spłucze irytację i nagłe uczucie niesmaku. Następnego dnia spotkał się z Prokulą dopiero przy obiedzie. Skinęli sobie chłodno głowami i żadne nie kwapiło się rozpocząć rozmowy. Ona patrzyła przed siebie nieobecnym wzrokiem i z rzadka dziobnęła coś z talerza, on zaś całkowicie skoncentrował się na jedzeniu. Gryzł i żuł z zapałem godnym lepszej sprawy i nawet nie spojrzał w jej stronę.

Trzeciego dnia Prokula w dalszym ciągu nie wykazywała chęci pojednania. Poncjusz, urażony, próbował skracać sobie czas pisaniem, ale

nie opuszczało go niejasne wrażenie abominacji, które niszczyło ochotę do pracy.

W jaki sposób spędzała te godziny Prokula, nie wiedział, zresztą niewiele go to obchodziło. Wkrótce pewnie nadejdą wieści z Jerozolimy i dowie się wreszcie, jak tam wszystko przebiegło. Dużo by dał, aby zobaczyć wyraz twarzy pierwszych przechodniów, którzy zauważyli orły! Z pewnością na początku było sporo hałasu, ale z czasem chyba nastroje się uspokoiły.

Rozległo się głośnie stukanie i na progu ukazał się zdyszany wartownik.

- Meldunek ze Wschodniej Bramy... - Łapał ustami powietrze.

Via Maris czerni się od ludzi... Nie są uzbrojeni... Cała Jerozolima stoi pod murami i domaga się widzenia z prokuratorem. Wartownicy stawili gromadzie czoło przed bramą, ale potrzebują posiłków. Co robić dalej? Pobić ich, przepędzić precz czy też Poncjusz zechce ich widzieć?

Poncjusz wstał.

- A cóż to, na bogów, za pomysł? Nie, oczywiście, że z nimi porozmawiam... z murów... Niech warta ich wpuści na plac przed rezydencją.

Poncjusz poprawił toge, zebrał myśli i przeszedł do części budynku zwróconej ku placowi. Najpierw spojrział przez okno. Na Jowisza! Zaprawdę wyglądało, jakby przywędrowała tu cała Jerozolima! Każda prowadząca do pałacu ulica wypełniona była gęstym tłumem.

Jasne, wiedział, o co chodzi. Z zaciśniętymi ustami zbliżył się do balustrady.

Była na tyle wysoka, że nie wszyscy od razu go zauważyli. Odczekał, aż się uciszą, po czym gniewnym głosem zapytał, co to za zgromadzenie i kto przewodzi. Na dole, tuż pod ścianą, uczynił się ruch.

- Ja, najwyższy kapłan ludu Izraela...

W pierwszym rzędzie Poncjusz rozpoznał znajome rysy Annasza.

- W imieniu mego Boga i mego ludu proszę cię o rozwagę, namiestniku.

Wedle naszej wiary przedstawianie żywej istoty na obrazie równa się pohańbieniu Tego, który ją stworzył. Nasze przekonania zostały swego czasu uznane przez Augusta, którego ty nazywasz boskim, toteż w myśl umowy z nim prosimy o usunięcie wizerunków, które kazałeś wystawić w Jerozolimie, a tym samym o uwolnienie nas w imię Boga od tych obraźliwości.

- Podobnie jak ty, Annaszu - odparł Poncjusz - jestem rzecznikiem swego narodu, a także cesarza i Rzymu. I jak na całym świecie nasze legiony zwierają szyki pod cesarskim godłem, tak będą to czynić i tutaj, w tym kraju!

- Namiestniku! W imię Augusta błagam o sprawiedliwość!

- A ja, Judejczycy, odpowiadam w imieniu Tyberiusza Cezara: Nie!

To rzekłszy odwrócił się i zniknął w komnatach. Za jego plecami podniósł się szum, jakby o brzeg biły fale przyboju.

Co za upór! Przywędrować tutaj z czymś takim! Droga wybrzeżem zajmowała z Jerozolimy pełne dwa dni marszu. Ale z nim, Poncjuszem, tym sposobem donikąd nie dojdą! Pokazał, że się nie ugnie!

W podnieceniu przemierzał pokój wzdłuż i wszerz. Po chwili na zewnątrz się uciszyło, więc podszedł do okna, by sprawdzić, czy już sobie poszli - do domu mieli przecież spory kawał.

Co?!

Poncjusz otworzył oczy ze zdumienia. Na ciemne moce Hadesu! Cóż to miało oznaczać?! Wpatrywał się jak urzeczony w niezliczone rzesze nie

wykazujące najmniejszych chęci do opuszczenia placu. Wręcz przeciwnie - wyglądało na to, że rozkładają się obozem. Padali, gdzie kto stał, twarzą do ziemi, prosto na bruk. Jeden obok drugiego, rozciągnięty jak długi, wokół całej rezydencji.

Poncjusz zaklął głośno. W porządku! Jeśli ich bawi takie leżenie, to proszę bardzo, wolna droga! Jak poczują głód i pragnienie, wpadną na lepszy pomysł. On się w żadnym wypadku nie podda!

Ale chociaż głód i pragnienie już dawno zaczęły szarpać wnętrzności, nikt się nie ruszał. Słońce wschodziło i zachodziło, mijał jeden dzień, drugi i trzeci...

Pierwszą poranną czynnością Poncjusza po obudzeniu i ostatnią wieczorem, przed udaniem się na spoczynek, było sprawdzenie sytuacji na placu. Przybysze leżeli jak przymurowani. Gdy ktoś chciał wejść do budynku lub z niego wyjść, warta musiała siłą usuwać leżących na boki, przy czym stawiali opór, wieszali się na sobie nawzajem i wczepiali pazurami w bruk. Kiedy strażę traciły cierpliwość, nie traktowały ich zgoła z łagodnością. Czwartego dnia byli tak wyczerpani, że ledwo mogli się poruszać, a i tak gdy ich usunięto z drogi, ostatkiem sił podczołgiwali się na dawne miejsce.

Przez cały czas oblężenia Poncjusz nie opuszczał rezydencji. Czwartą dobę spędzał już w zamknięciu. Jeszcze kilka dni, a popadają jak muchy! To szaleństwo! Czysty obłąd!

Jeśli nie oprzytomnieją przez najbliższą noc, Poncjusz będzie zmuszony wypróbować, czy miecz ich nie nauczy rozsądku. Muszą odejść, choćby im miał przyłożyć nóż do gardła!

Noc nie przyniosła odmiany. Następnego ranka tłum leżał tak jak

poprzedniego wieczora.

A więc dobrze, zobaczymy!

Wysłał posłańca z wieścią, że jest skłonny spotkać się z mieszkańcami Jerozolimy w cyrku, położonym nieco powyżej portu. Jednocześnie rozkazał żołnierzom otoczyć arenę i czekać w gotowości do ataku na dany sygnał - trzy krótkie gwizdnięcia.

Rzadko widywało się podobnie wynędzniałych ludzi. Brudni, w łachmanach, ze smugami piasku i pyłu wokół ust, z potarganymi włosami i brodami, kiedy nadszedł Poncjusz, stali wychudli na szkielety, podtrzymując się wzajemnie, by nie upaść.

Krzesło kurulne dla prokuratora ustawiono na trybunach po dłuższej stronie owalnego toru, z tyłu zajęli miejsca adiutanci i gwardziści.

Poncjusz zrzucił płaszcz i pozostał w samym pancerzu, rozsiadł się wygodnie, założył nogę na nogę i skinął na Annasza.

- Mów! - rzucił rozkazująco.

- Zaklinam cię na żywego Boga! - zawołał drżącym głosem najwyższy kapłan. - Powiedz, jakiej dopuściliśmy się nieprawości, skoro zasłużyliśmy na taki los! Przez dwadzieścia lat dopełnialiśmy umowy z Rzymem i co dnia składamy ofiarę cesarzowi. Odpowiedz, namiestniku, jakąśmy zbrodnię popełnili?!

- Żadnej, Annaszu - odparł spokojnie Poncjusz. - Nie macie na sumieniu nieprawości. Ale podobnie jak ty służysz swemu Panu, tak ja służę memu. Nie wystawiłem wizerunków bóstw, najwyższy kapłanie, ani żadnych portretów, które by mogły kogokolwiek urazić. To są przepisowe proporce legionu, własne godło imperatora. - Podniósł głos. - Okażcie rozsądek, Judejczycy, zanim będzie za późno!

- Naszym rozsądkiem jest wola Boga, naszego Pana! - zawołali na to jak jeden mąż.

- Czy to wszystko? To wasze ostatnie słowo? - spytał.

- Tak! - potwierdzili jednym głosem.

Poncjusz gwizdnął trzykrotnie i w tej samej chwili pojawiły się cztery szeregi legionistów, otaczając arenę murem pancerzy.

- Dobyć mieczy! - padła komenda.

Zalśniła stal i już żołnierze z uniesionymi klingami gotowi byli do ataku.

Poncjusz wstał.

- Cesarz albo Jahwe! Wybierajcie, Judejczycy!

Słowa przetoczyły się nad placem.

Annasz spojrział w niebo.

- Wybór, którego od nas żądasz, namiestniku - rzekł - rozstrzygnął się na długo przedtem, nim obaj zaistnieliście, i cesarz, i ty. A nawet wcześniej nim powstał Rzym. Wówczas gdy Bóg, nasz Pan, poprowadził naszych ojców i uczynił nas swym ludem, zawarliśmy pakt po wieczne czasy, niewzruszony dotychczas przez całe stulecia. Możemy czcić twego cesarza, Poncjuszu Piłacie, ale słuchamy głosu Pana i jesteśmy Mu powolni. Dlatego to, co ty uważasz za śmierć, stanie się dla nas życiem. Z tymi słowy rozłożył ręce gestem błogosławieństwa, ukląkł przed Poncjuszem, odsłonił kark i nagiął szyję do ciosu. Na arenie wszyscy postąpili za jego przykładem - odwrócili się w stronę żołnierzy i opadłszy na kolana, podali głowy pod miecz.

I było, jakby czas stanął w miejscu, a wszystko, co żyje, wstrzymało dech. Nachylone do przodu postacie klęczały nieruchomo, a nad każdą z nich zakuty w stal posąg wznosił do ciosu miecz. Nastała taka cisza, że

Poncjusz usłyszał szum rosnących opodal palm. Rozejrzał się dookoła. Każdy chudy kark, każde zgarbione plecy, każde ugięte kolano wżerało mu się w pamięć. Powoli, krok za krokiem zszedł na dół.

- Miecze do pochew! - zakomenderował.

Położył rękę na ramieniu najwyższego kapłana.

- Zaiste, wielka jest twoja wiara, Annaszu - odezwał się poruszony. -

Wstań! Nigdy nie zapomnę tej chwili. Wracajcie do domów, Judejczycy!

Pokój z wami! Zanim dotrzecie do Jerozolimy, orły znikną.

Rozkazał nakarmić rzesze i odszedł. Za jego plecami zabrzmiał hymn

pochwalny. Po powrocie do pałacu wydał polecenie, by mu nie

przeszkadzano. Stał w otwartym oknie od strony morza i chłodził czoło

na wietrze. Potrzebował chwili namysłu.

Widział dotąd wiele przykładów odwagi. Męstwo i ofiarność były od zawsze domeną armii. Życie żołnierza obfitowało w ryzyko. Zmieniały się

tylko motywy - złoto bądź chwała, ideały lub żądza sławy, zależnie od okoliczności czy charakteru. Sam po wielekroć narażał życie i ochotnie

naraziłby je raz jeszcze - dla cesarza, Prokuli i wszystkiego co ukochał.

Czy jednak uczyniłby to dla kogoś nieznanego, kogo nigdy nie widział?

Czy oddałby życie dla boga? Czy zdołałby rzucić się w pył, głodować,

nadstawić głowę pod miecz - dla Jowisza? Czy wierzył w Jowisza? Czy w

ogóle wierzył w bogów?

Nie da się pewnie zaprzeczyć, że istnieją wokół nas jakieś zewnętrzne,

potężniejsze i wyższe moce. Cała ziemia roi się od dowodów na ich

występowanie, a we wszechświecie nie panuje chaos, lecz plan i porządek.

Natomiast nadawanie tym siłom postaci i imion, oglądanie ich - to już

dzieło ludzkie.

W dzieciństwie wśród drzew w parku widział tańczące fauny, wabiły go nimfy i nereidy, a kiedy dorastał, śnił o Aurorze zarumienionej po nocnych igraszkach. Potem w tej wierze pojawiły się rysy. Jak grecka waza rozpadła się, pozostawiła po sobie kupkę barwnych skorup. Kto przy zdrowych zmysłach mógł ujrzeć Jowisza jako łabędzia w akcie miłosnym z Leda?!

Zastępy bogów obdarzone zostały ludzkimi tłumionymi instynktami. Ich świątynie nasiąkły magią i krwawymi rytuałami. Kybele z nożem do kastrowania żądała od służących jej mężów ofiary z męskości. Mitra oczyszczał swoich wyznawców, kąpiąc ich we krwi... A w Efezie w świątyni Diany drogocenne dary ofiarne stanowiły liczne piersi, które poświęcały jej dziewice znad Halys, idąc za swym powołaniem na służbę bogini. Przeznaczenie Amazonek naznaczono stygmatem krwawiącej rany i kredowobiałych blizn. Któż nie zadrży na myśl o tym? Jakież małż o normalnych reakcjach zniosłby takie krwawe zdziwienie?

Nie, wiara w bogów to relik, barbarzyństwo, które powoli ustępuje. To, że Poncjusz ciągle jeszcze składa ofiary i odwiedza świątynie, należy przypisać szacunkowi dla prawa i porządku. Świat winien oddawać cześć tym, którzy nim rządzą. Przede wszystkim Imperium Romanum, następnie wszelkim tajemnym mocom, kierującym słońcem, księżycem, zmianą dnia w noc, przywołującym wiatr i deszcz i zgodnie z trwałym porządkiem w przyrodzie zasiewającym życie i zbierającym żniwo. Egzystencja zależna jest od uporządkowania, od doskonałego modelu wszechświata, na którym każdy człowiek ma obowiązek się wzorować.

Natomiast naród żydowski postępował śladem swego Jahwe, władcy absolutnego i boga zazdrosnego, który poza tym przypominał Jowisza, jak

on wszechobecny, wieczny i wszechmocny. Księgi poświęcone Jahwe opisywały równocześnie historię ludu Izraela.

Skoro jednak ta garstka plemion stanowiąca niewielki naród, ta piłka odbijana przez wielkie mocarstwa, potrafiła przez wieki stawiać czoło przeciwnościom, musiało się to brać z jakichś narodowych cech, z umiejętności przystosowania się, z woli przetrwania i szczególnej inteligencji. Aczkolwiek dzisiaj te tysiące pochyłonych głów świadczyły o czymś przeciwnym, nie o chęci przeżycia, lecz o pogardzie dla śmierci, nie o elastyczności, lecz o niezłomnej woli postawienia wszystkiego na jedną kartę, nie o rozumie, lecz o wierze. Wierze w tego jedyne, którego nazywali Bogiem.

Żaden z nich się nie zawahał wyruszyć, nikt nie zawrócił z drogi, nie umknął pod osłoną ciemności, a wobec groźby użycia broni nie cofnął się ani nie okazał strachu. Jacy inni bogowie mogliby się pochwalić takim wpływem na wyznawców?

Kimże więc jest ten żydowski Jahwe?

Duchem i tylko duchem... początkiem życia i stwórcą wszechrzeczy.

Człowiek też stanowi jego dzieło. Sam nie potrafi stwarzać, jedynie odradzać się ze swej istoty i odwzorowywać bogów na swe podobieństwo.

Dlatego jego wizerunki stają się szyderstwem z boskiej mocy twórczej.

Albowiem jedynie Bóg i Pan jest Stworzycielem. Lud Izraela o tym wie i woli raczej umrzeć, niż Go obrazić. Jak powiedział Annasz: Słuchamy posłania Pana i jesteśmy jego własnością... A gdy spojrział w niebo, zda się, że pobliskimi palmami poruszył lekki powiew.

Poncjusz odpowiedział na to rozkazem schowania mieczy. Ale czy były to jego własne słowa? A może zostały mu włożone w usta z woli kogoś

innego? Czy choć przez chwilę się zastanowił? Rozważył konsekwencje i wybrał świadomie porażkę? Czy też... usłuchał tej samej siły i woli co gnący karki na arenie?

Nie, nie myślał wówczas! Niczego nie ważył ani nie wybierał. Działał bez namysłu. W ogóle nie przyszło mu wtedy do głowy, że ponosi porażkę. Dopiero teraz... Bo nie ma co kryć, była to przegrana, uszczerbek dla autorytetu jego i Rzymu...

Co powiedzieć cesarzowi? Czy ma upiększyć tę historię? Przemilczeć, że działał ze zbytnim pośpiechem? Czy też powinien donieść o wszystkim, co się wydarzyło? Półprawdy łatwo stają się kłamstwem. Nie, skoro przegrał, musi umieć się do tego przyznać.

Zamknął okno i podszedł do pulpitu.

Formułował zaledwie wstęp, gdy skrzypnęły drzwi i pojawiła się w nich Prokula.

- Wydałem polecenie, by mi nie przeszkadzano - odezwał się nieprzyjaznym tonem.

Nie odpowiedziała, usiadła naprzeciw niego. Pisał dalej, lecz po chwili podniósł głowę.

- No? - rzucił krótko.

- Słyszałam o tym, co zaszło na arenie - przyznała cicho.

- No właśnie. Wieść o niepowodzeniu namiestnika rozchodzi się lotem błyskawicy - nawet nie próbował ukryć rozgoryczenia.

- O niepowodzeniu? - zdziwiła się. - O czym ty mówisz? W moich oczach odniosłeś zwycięstwo, Poncjuszu. Pokonałeś sam siebie!

- Celowo stawiasz całą sprawę na głowie. - Poncjusz umoczył ponownie pióro.

- Nie ja ją odwracam do góry nogami - odparła stanowczo. - Ty tak czynisz. Nikt nie ma prawa deptać przekonań innych. Żydzi są narodem wybranym przez Boga i muszą mieć swobodę postępowania zgodnie z wolą swojego Jahwe.

- Wybrane narody! - powtórzył za nią szyderczo. - Gdyby bogowie kiedykolwiek wybrali sobie jakiś naród, to zaprawdę bylibyśmy nim my, Rzymianie!

- Nie mówiłam o bogach, Poncjuszu - przypomniała z naciskiem. - Mówiłam o Bogu i nazwałam go imieniem Jahwe.

Pochyliła się nagle i impulsywnie przykryła dłonią rękę męża. Poncjusz pogładził ją, lecz nic nie odrzekł.

Po wyjściu Prokuli odłożył pióro i długo wpatrywał się w drzwi.

Dziwnie skąpo komentowano wypadki w cyrku. Ludzie wychodzili z założenia, że wystawiając orły, Poncjusz działał zgodnie z instrukcją, a to, że pozwolił Judejczykom zachować życie, przyjęli za postępowanie prawnie uzasadnione i sprawiedliwe. Jedynym, dla którego klęska namiestnika stanowiła łakomy kąsek, był komendant Sebaste, prawdopodobnie poplecznik Sejana. Podczas manewrów, zarządzonych, by go sprawdzić, rzeczywiście wpadł w pułapkę, używając metod pretorianów zamiast taktyki regularnego wojska. Poncjusz załatwił sprawę po cichu i zdołał uzyskać jego przeniesienie. Niemniej, choć komendant nie znał powodów, dla których musiał odejść, dobrze rozumiał, kto się za tym kryje, i skwapliwie podchwycił opowieść o porażce na arenie.

Tyberiusz powstrzymał się od krytyki. Próba warta była poniesionych kosztów, a żeby załatać nadszarpięty prestiż, zaproponował zdjęcie z urzędu Annasza, który dowodził manifestantami, i mianowanie nowego

najwyższego kapłana. Niech ludzie uświadomią sobie, kto w tym kraju ma władzę.

Rada Tyberiusza była życzliwa, lecz nie bardzo w smak Poncjuszowi, który widział odwagę Annasza i jego pogardę dla śmierci. Wypracował więc propozycję kompromisu. Jako zadośćuczynienie za usunięte orły legion miałyby używać dwóch złotych tablic z wypisanymi imionami cesarza, co pozwoliłoby nie drażnić Jahwe, a równocześnie zapewniłoby oddanie władcy należnej mu czci. Gdyby to rozwiązanie zostało przyjęte, Annasz mógłby pozostać na urzędzie arcykapłana.

Judejczycy wszakże uparli się: wizerunki czy złote tablice - na jedno wychodzi, Annasz zaś wolał ustąpić, niż podważyć którąkolwiek z zasad prawa.

Tak więc Poncjusz nie miał wyboru i musiał zastosować się do wskazówek Tyberiusza. Nie spieszył się jednak zbytnio z mianowaniem nowego najwyższego kapłana, uczynił to dopiero po zasięgnięciu rady Annasza i innych znamienitych mężów w mieście. Kandydatura Kajfasza, zięcia Annasza, została przyjęta z powszechnym zadowoleniem.

Dobre stosunki i wzajemne zaufanie były odbudowane.

Złożyli z Prokulą wizyty namiestnikowi Syrii oraz tetrarchom, którzy po kolei ich rewizytowali. Zadomowili się w kraju. Lato spędzali nad morzem w Cezarei, wiosnę i kilka jesiennych tygodni w Sebaste, a zimę w Jerozolimie. Jeśli robiło się zbyt chłodno, przenosili się na krótko do twierdzy Masada albo do Jerycha. Podróże do i z Jerozolimy stały się ich stałym zwyczajem.

Mijały prawie dwa lata od ich wyjazdu z Rzymu, gdy zmarła wdowa po Auguście, boska Liwia. Dobiegała już dziewięćdziesiątki i w swoim czasie

dysponowała potężną władzą, w ramach której przysporzyła swemu synowi, Tyberiuszowi, wielu trosk i sprowadziła nań liczne nieszczęścia. Gdy został cesarzem, odsunął ją od wpływów, toteż ostatnie lata życia spędziła w ciszy i odosobnieniu. Nienawidzili się wzajemnie, więc po jej śmierci syn nie próbował udawać żalu, odwrotnie, zapewnił jej takie traktowanie, na jakie jego zdaniem zasłużyła. Zabronił wszelkiego publicznego oddawania czci, anulował testament i przeciągał formalności pogrzebowe, póki zwłoki nie zaczęły się rozkładać. Ci, którzy znali Tyberiusza, podejrzewali, że chce, by trup matki czekał na spopielenie tak długo, jak długo ciała przestępców zazwyczaj leżały na Schodach Gemońskich, schodach pogardy.

Gdy Liwia Augusta w tak upokarzający sposób żegnała doczesność, mijało właśnie piętnaście lat od przyjęcia jej małżonka do grona bogów. Jubileusz augustiański świętowano uroczystymi ofiarami w całym cesarstwie, a w Palestynie odprawiono w cezarejskiej świątyni Cezara i Romy pełne przepychu modły pamięci. Wkrótce potem należało uczcić piętnastolecie objęcia władzy przez Tyberiusza i Poncjusz rozkazał przenieść obchody do kwatery głównej Dziesiątego Legionu w Sebaste. W wigilię złożenia przysięgi urządzono wojskową paradę. Do twierdzy przybyły oddziały z położonych bliżej garnizonów, a on z Prokulą wydali wielką ucztę.

Wśród gości był dowódca garnizonu z Jerycha, który poprosił Poncjusza o rozmowę w cztery oczy, albowiem ucztę wykorzystał jako pretekst do zameldowania o sprawie, która jego zdaniem kłóciła się z obowiązującymi umowami.

Herod Antypas, tetrarcha Galilei i Perei, uwięził bez przyczyny pewnego Judejczyka, samotnika przebywającego na pustyni, a żywiącego się

szarańczą i miodem dzikich pszczoł, który cieszył się sławą świętego męża i wielkiego proroka.

Przez jakiś czas przebywał nad Jordanem, niedaleko Morza Martwego, potem jednak przeniósł się na północ do Salimu i Enonu, gdyż oczyszczał przez chrzest, a tam występowało więcej wody. W pobliżu często przejeżdżał Herod Antypas, krążąc pomiędzy dwoma podległymi sobie krainami. Za każdym razem gdy spotykał proroka, zatrzymywał się i przysłuchiwał jego naukom. Pewnego dnia zaproponował mu, by przeniósł się za rzekę i przybył głosić słowo Pańskie także w jego królestwach. Pustelnik odmówił, jako że jego powołanie nie obejmowało pałaców i ludnych rynków. Był głosem wołającym na pustyni, który prostował ścieżki Pańskie.

Tetrarcha, nie przyzwyczajony do odmowy, poczuł się urażony. Wnet też prorok zniknął ze swej lepianki na prawym brzegu. Herod Antypas uprowadził go przemocą i uwięził w twierdzy Machejrus nad Arnonem w głębi Perei. Zwolennicy proroka niepokoiли się poważnie o jego życie, a ponieważ liczba ich w rejonie Jerycha była znaczna, cała sprawa dotarła do uszu dowódcy garnizonu. Uznał ją za na tyle istotną, by sporządzić raport i wezwać kilku z nich na przesłuchanie. Wyniki zabrał ze sobą do Sebaste.

Poncjusz pochwalił dowódcę. Uwzięnie stanowiło jawne pogwałcenie ustalonych przepisów prawnych. Herod Antypas mógł postępować ze swoimi poddanymi wedle własnego widzimisie, ale obcych powinien zostawić w spokoju. Jeśli miał jakieś porachunki z Judejczykiem bądź Samarytaninem, zwracał się do namiestnika Syrii, który kierował skargę dalej do Cezarei. Druga możliwość to bezpośrednia interwencja u

prokuratora Judei. Natomiast tetrarcha zapewne przypuszczał, że nikt się nie dowie o wypadkach na pustyni, i dlatego sobie pofolgował. Takiego postępowania Poncjusz nie mógł puścić płazem.

Przejrzał raport z przesłuchań świadków. Objasnienia były obszerne, szczegółowe i niewiele się przyczyniały do wyświetlenia samej sprawy, to znaczy sposobu porwania proroka. Nie winił za to dowódcy, z własnego doświadczenia wiedział, że rozumowanie miejscowych podąża innym tropem, niezależnie od stawianych pytań.

Pustelnik nosił imię Jan i pochodził z rodu kapłańskiego. Gdy przyszedł na świat, jego rodzice, Zachariasz i Elżbieta, byli w podeszłym wieku. Ba, dużo wcześniej porzucili wszelkie nadzieje na potomstwo. Lecz oto pewnego razu podczas uroczystej ofiary w jerozolimskiej świątyni objawił się Zachariaszowi anioł, zapowiadając, że Pan wysłuchał jego błagania i Elżbieta powije syna. Skutkiem tego kapłan ku rozpaczycy zgromadzonych zaniemówił.

Stało się według przepowiedni anioła. Elżbieta ukryła się aż do porodu w samotni w górach. Wybrała dla dziecka imię Jan, a Zachariasz, chociaż imię to nie należało do używanych w jego rodzie, zgodził się i w tej samej chwili odzyskał mowę.

Poncjusz pokręcił z niecierpliwością głową. Wprawdzie po dwóch latach pobytu zaczął się już przyzwyczajać do lokalnych wyrażań, jednak przy każdej nowej sprawie na powrót tęsknił za jasnymi sformułowaniami stosowanymi w Rzymie.

Tam także występowały anioły, ale powstrzymywały się od uczestnictwa w życiu codziennym, nosiły nazwę geniuszy i stanowiły część zamieszkującą wewnątrz człowieka, ducha, który odrywał się po śmierci od

ciała. Początkowo geniusze tak mocno kojarzyły mu się z żydowskimi wyobrażeniami aniołów, że stawiał pomiędzy nimi znak równości, póki pewnego dnia nie odkrył, że w tym kraju anioły nie tylko przebywają w niebie, ale także chodzą po ziemi.

Poza zastępami dobrych duchów w niebiosach, wysłannikami Pana i radosnymi chórami, żydowski Bóg władał również aniołami na ziemi, których zadanie polegało na przynoszeniu ulgi cierpiącym, rozdawaniu chleba głodnym i pocieszaniu strapionych. Uwolnieni od ziemskich dóbr przeznaczali swe zarobki na dobroczynność lub oddawali na wspólne cele. Owe anioły miłosierdzia należały do pewnej żydowskiej sekty, cieszącej się sławą wyjątkowej pobożności nawet poza granicami Palestyny. Jeden ze znajomych Poncjusza we flocie napisał o nich rozprawę, lecz prokurator przyjął rzecz dość sceptycznie, postanawiając przekonać się na własne oczy.

Członkowie wspólnoty nosili latem białe cienkie tuniki, a w zimie szorstkie wełniane płaszcze z kapturem i ten jednolity strój pozwalał ich rozpoznać na pierwszy rzut oka. Przy spotkaniu spuszczały wzrok i pokornie ustępowały z drogi. Mowa ich była łagodna, a słowa powściągliwe. Wykonywali proste zawody, głównie związane z uprawą roli, unikali zbiorowisk ludzkich i miejsc publicznych, a wszędzie gdzie występowała nędza, zwłaszcza na przedmieściach, świadczyli bez rozgłosu dobre uczynki.

Żyli w skrajnym ubóstwie. Ich stałym zajęciem duchowym były modlitwa, medytacja i studiowanie Pism. Poprzez ascezę ćwiczyli ciała w opanowaniu bólu. Nawet podczas tortur zachowywali łagodność i obdarzali swych katów wybaczącym uśmiechem. W ich szeregi trafiało

się po długim i trudnym okresie próbnym.

Do licznych zadań tej społeczności należało także szeroko zakrojone szkolnictwo. Większość byłych uczniów starała się o przyjęcie do wspólnoty i w ten sposób dopływ świeżych kandydatów nigdy nie malał, chociaż reguła nakazywała zachowanie bezżeństwa. Nie wszystkim też zezwalano na wstąpienie, bo liczba członków ograniczała się do wielkości porównywalnej z legionem. Lecz pozostający poza szeregami kontynuowali życie według wpojonych reguł i tym samym wspólnota zyskiwała zwolenników w całym kraju.

Nazywano ich esseńczykami. Obok faryzeuszy i saduceuszy stanowili trzecią wielką sektę żydowską. Różnili się od pozostałych w wielu kwestiach, szczególnie we wszystkim co dotyczyło czystości i ofiar. W Świątyni przyjęto jednak linię faryzejską, toteż esseńczycy mieli w Jerozolimie mniejsze wpływy niż gdzie indziej. Wedle ich mniemania Pan radował się bardziej z czynionego miłosierdzia niż z ofiar, co oczywiście nie było w smak kapłanom, toteż wykluczyli ich ze swego grona i zakazali wstępu na swój teren.

Poncjusz przeczytał raz jeszcze sprawozdanie z życia i działalności proroka znad Jordanu. Zainteresował go szczegół, pozornie bez znaczenia, o aniele w świątyni. Wiele wskazywało na to, że żona Zachariasza pochodziła ze środowiska esseńskiego. Niewykluczone, że wysyłając kogoś z krewnych do małżonka, by go powiadomić o swym stanie i o wycofaniu się ze światowego życia, wybrała esseńczyka. Nie dziwota, że Zachariasz się przeląkł, rozpoznając kuzyna żony na terenie dlań zakazanym, pozostającym w gestii kapłanów. Usłyszawszy nowinę, przypuszczalnie przyrzekł nie podnosić alarmu i trzymać język za zębami.

Ku wielkiemu zaskoczeniu sąsiadów dziecko otrzymało imię częste wśród esseńczyków, a zamiast przygotowywać chłopca do stanu kapłańskiego, dziedzicznego w rodzie, wysłano go esseńskim zwyczajem na wychowanie na pustkowiu.

Tam zstąpił na Jana, syna Zachariasza, duch i napełnił go głosem Pana. Królestwo niebieskie się zbliża... kto się nie nawróci, zostanie zwalony jak martwe drzewo i wrzucony do ognia...

Prorok cieszył się wielką popularnością i Herod Antypas poczuł się, jak wspomniano, głęboko rozczarowany, gdy nie dane mu go było zaliczyć do swojego dworu. Tetrarcha nie zwykł jednak bezcelowo się smucić i uciechami życia odpędzał troski. Jego wzrok padł na Herodiadę, żonę młodszego brata. Wbrew prawu uczynił ją swoją małżonką.

Moralizator znad Jordanu nie mógł puścić płazem takiego brutalnego złamania nakazów Pana, wobec którego wszyscy byli równi. Bezlitośnie napiętnował Heroda Antypasa i jego nielegalną żonę przed ludem. W świętym oburzeniu miotał oskarżenia pod adresem upadłej książęcej pary. Publiczne zniewagi przeważały szalę. Nie na próżno tetrarcha był synem swego ojca. Bez wielkich wstępów zamknął proroka w więzieniu.

Poncjusz z ręką na sercu musiał przyznać, że Jan odebrał zasłużoną zapłatę. Każdy zdrowy na umyśle mógł przewidzieć, że to się źle skończy. Gdyby miał choć ułamek tych zdolności, których się oczekuje od proroków, toby zrozumiał, że żaden władca nie będzie tolerował pouczeń w obecności poddanych. W tej sytuacji pozostanie na brzegu rzeki równało się kuszeniu losu, niemal zachęcało do uprowadzenia. Skoro jednak urząd prokuratora został powołany do ochrony prawnej mieszkańców Judei, a do tego Chrzciciel posiadał wielu zwolenników, z którymi należało się liczyć,

Poncjusz uznał, że powinien zareagować.

Zaraz też powiadomił listownie namiestnika Syrii o uwięzieniu w Perei judejskiego poddanego i spytał, czy zajmie się sprawą osobiście, czy też ma być ona załatwiona w Cezarei.

Władza w Syrii nie okazała zainteresowania, więc Poncjusz miał wolną rękę i mógł wysłać do tetrarchy delegację z żądaniem natychmiastowego uwolnienia Jana albo wniesienia sprawy sądowej przeciwko niemu w Cezarei.

Zanim jednak posłowie dotarli do celu podróży, los proroka został przesądzony. U przeprawy przez Jordan napotkali zawodzący żałościę tłum w pokutnych worach, z głowami posypanymi popiołem. Jan nie żył - został ścięty w twierdzy Machejrus.

Stało się to podczas uczty, gdy pasierbica tetrarchy, Salome, tańczyła dla gości. Po tańcu Antypas przyrzekł jej, że otrzyma wszystko, czego zażąda. Dziewczynka pobiegła po radę do matki. Powróciwszy w płasach do sali, wzięła ze stołu srebrną tacę i rzekła z uśmiechem:

- Chcę głowy proroka Jana na tej tacy.

Goście skwitowali te słowa głośnym rechotem, jeden Herod Antypas, zaskoczony, zachował powagę. Wiadomo, że nie miał prawa pozbawiać życia Judejczyka, i do tego proroka. Ale obietnica jest obietnicą. Przez cały czas pobytu Jana w więzieniu ani prokurator Judei, ani namiestnik Syrii się o niego nie upomnieli, więc i teraz pewnie tego nie uczynią, do Cezarei zaś i do Antiochii było daleko. Wezwał straż przyboczną i wydał odpowiednie rozkazy.

Po chwili srebrna taca powróciła, skrwawiona. Głos wołający na pustyni zamilkł. A Herodiada serdecznie ucałowała córkę. Salome to takie

posłuszne dziecko!

Nikt nie wiedział nic pewnego o ciele proroka. Sądono, że pogrzebali je uczniowie. Natomiast głowę zachowała Herodiada. Musiała się jej pozbyć, dopiero gdy córka przypomniała, że to jej własność, a ona nie życzy sobie przebywać pod jednym dachem z głową trupa. Zabrał ją jeden ze strażników, który kiedyś nad Jordanem otrzymał od proroka oczyszczający chrzest. Przekazał szczątki tłumowi żałobników nad rzeką, a stamtąd delegacja zawiozła je do Sebaste.

O ile Poncjusz się przedtem wstrzymywał z działaniem, o tyle teraz rozsadzała go energia. Cóż za barbarzyństwo! Długo by szukać bardziej przekonującego dowodu na okrucieństwo herodiańskiego rodu. Jeśli dawniej nie do końca rozumiał, dlaczego Judejczycy chcą się pozbyć tej dynastii, teraz zyskał pełną jasność. Należy sprawę przedstawić Tyberiuszowi, a on, Poncjusz, zadba, by nie szczędzić szczegółów.

Tyberiusz zawsze miał dobre stosunki z tetrarchami, ale będzie musiał zrewidować swoją postawę, przynajmniej wobec Heroda Antypasa.

Czyżby ścinanie głów awansowało ostatnio do rozrywek towarzyskich?

Jeśli nie, to Tyberiusz zyskał równie dobry powód do pozbawienia ćwierćksięcia jego dziedziny jak August wówczas, gdy ustanawiał zwierzchnictwo rzymskie nad Judeą. Kiedy Herod Antypas zostanie wygnany z Galilei i Perei, obie krainy naturalną kolejną rzeczą przejdą pod zarząd prokuratora. Dochody Poncjusza się podwoją, znacznie też wzrośnie jego respekt w Jerozolimie.

By się zabezpieczyć przed zniknięciem dowodu, Poncjusz kazał pochować głowę proroka w ogrodzie w twierdzy, zwyczajem esseńczyków, na południowo_wschodnim stoku. Wkrótce też Sebaste stała się celem

pielgrzymek tych, którzy zachowali w sercach słowa Jana i którym bliska była jego pamięć.

Reakcja Tyberiusza wcale jednak nie była zgodna z oczekiwaniami Poncjusza. Tetrarcha został oczywiście surowo napomniany, ale na tym też się skończyło. Wobec wyjątkowo niestabilnej ostatnimi czasy sytuacji w Rzymie cesarz starał się za wszelką cenę unikać niepotrzebnych konfliktów.

Po śmierci Liwii zdawało się, że nad miastem krąży jakiś zły duch. Samobójstwa, oskarżenia, wygnania były na porządku dziennym, nikt już nie czuł się bezpieczny, nie oszczędzono nawet rodziny cesarza. Wielu uważało, że nieszczęścia stanowią zemstę za makabryczny pogrzeb, jaki urządził matce Tyberiusz, natomiast inni przypisywali winę prefektowi pretorianów. Gdy zabrakło Liwii, Sejan zyskał swobodę i pospiesznie usuwał z drogi wszystkich swoich przeciwników. Zapanował prawdziwy terror, co doprowadziło w rezultacie do niepokojów i zamieszek. Lud, zmęczony bezprawiem i anarchią, nastawał na życie senatorów i konsulów, żądając powrotu Tyberiusza z Kaprei do Rzymu, gdzie było jego miejsce i gdzie powinien przywrócić pokój i porządek.

Lecz Tyberiusz ani myślał ruszyć się z wyspy. Póki nie odnajdzie mordercy syna, wzbraniał się postawić stopę w mieście. Ktoś przecież musiał znać zabójcę! Dopóki zaś ów nie zdradzi tajemnicy, niechże się lud wyrzyna do woli.

Poncjuszowi zrobiło się niedobrze. Co ma uczynić on, który zna imię mordercy? Rezultaty poszukiwań dowodów były tak niewiele znaczące, że nie uznał ich za warte przekazania Tyberiuszowi. Podczas wizyty w Syrii odnalazł mianowicie w archiwum legata stare sprawozdanie sądowe,

dotyczące pierwszego z mordów cesarskich. Ukrył dokument pod togą i wywiózł do domu. Tam przeczytał go słowo po słowie i rzeczywiście odkrył niezgodność w zeznaniach złożonych przez Sejana. Były to wprawdzie tylko dwa drobniaki, z których zapytany szef gwardii z pewnością potrafiłby się wykręcić, ale dla Tyberiusza, po klaudiuszowsku obeznanego z prawodawstwem, mogłyby się stać powodem pozytywnej reakcji - to znaczy, gdyby cesarz odkrył, że Sejan żongluje prawdą podczas przesłuchania pod przysięgą, pewnie zacząłby powątpiewać, czy prefekt pretorianów rzeczywiście jest tak szczery i uczciwy, za jakiego się podaje. Sprawozdania nikt nie nazwałby dowodem, toteż Poncjusz dotychczas wzdragał się przed wysłaniem dokumentu, lecz w obecnej sytuacji uznał, że dla spokoju własnego sumienia nie powinien go ukrywać. Pełen wątpliwości postanowił pchnąć kuriera na Kapreę.

Zamiast odpowiedzi posłaniec przywiózł okólnik do armii, podpisany przez Tyberiusza Imperatora.

Wkrótce Sejan ma świętować jubileusz dwudziestolecia swojej prefektury. Z tej okazji Tyberiusz zezwala na stawianie wedle woli pomników ku czci szefa gwardii i składanie mu hołdów w uznaniu wielce wartościowej pracy w służbie cesarstwa. Dla porządku jednak wysuwa ten sam warunek w odniesieniu do Sejana, co kiedyś w stosunku do siebie samego - chce wiedzieć, kto i gdzie wzniesie monument.

Poncjusz zmartwił. Co się stało cesarzowi? Czy naprawdę dowódca gwardii przybocznej ma zostać uczczony - i to w armii? Czyżby Tyberiusz w stosunku do Sejana był ślepy jak kret? W innych dziedzinach nie zbywało mu na bystrości...

Ani słowa o sprawozdaniu. Odłożył je na bok, bo nie zrozumiał? A może

zignorował? Poncjusz pocierał czoło, daremnie szukając jakiegoś wyjaśnienia. Jakby stał przed zamkniętymi drzwiami. Coś się za nimi działo, ale on nie wiedział co. Jeszcze raz przebiegł oczami okólnik i spostrzegł, że to zaledwie przyzwolenie, a nie rozkaz. Dobór słów nie wskazywał na przymus.

Hm... skoro tak, to już Poncjusz się postara, by w Dziesiątym Legionie nikogo nie skusiło uhonorowanie popiersiem zdrajcy. Gwałtownymi ruchami podarł pismo cesarza na drobne kawałki i wyrzucił do kosza, a skrawek z podpisem "Tyberiusz Imperator" spalił, po czym poszedł do Prokuli, którą zastał pochyloną nad listem od ojca.

- Czytaj! - odezwała się bezdźwięcznym głosem, podsuwając mu pismo. Stary Prokulus donosił, że pozbył się wszelkiej nadziei. Tyberiusz jest obecnie pod całkowitą władzą Sejana. Nie tylko stanął wspólnie z nim jako kandydat w wyborach konsulów. Przesłał także do Senatu informację, że chce nawiązać z prefektem rodzinny alians i nazwał go "swoim drogim szefem gwardii". Na razie pozostawało tajemnicą, kto z rodziny stanie się ofiarą tego związku, ale chyba żadna kobieta z domu julijskiego nie zniesie takiej hańby. On sam, Prokulus, nigdy nie sądził, że dożyje dnia, gdy przyjdzie mu się wstydzić więzów krwi łączących ród julijski z Klaudiuszami.

Ból Prokulusa był zarazem troską ich obojga. Jak to się skończy, skoro rządy sprawują fałsz i wiarołomstwo, a władca imperium oddaje cześć mordercy i zdrajcy? Jak spojrzą w oczy ludziom, reprezentując człowieka zdominowanego przez oszusta?

Prokula cicho płakała. Dla niej, tak prostolinijnej, tak związanej z rodem i kochającej ojca, te nowiny były nie do zniesienia. Jakże ją jednak miał

pocieszyć, sam nie widząc żadnego wyjścia? Cóż pomoże, że inni czują się równie bezsilni? To tylko pogarsza sytuację.

Wojsko przebywało na kwaterze zimowej w Jerozolimie, kiedy nadeszło zaproszenie dla Poncjusza od pełnomocnika cesarza w Syrii. Chodziło o sprawę tak poufną, że spotkanie powinno pozostać tajne, toteż proponował na rozmowy Ptolemaidę. Znakomity pomysł. W Jerozolimie Poncjusz zapowiedział, że wybiera się na krótko do Sebaste, ale zamiast się tam zatrzymać, pojechał dalej do Cezarei, gdzie w nocy wszedł na pokład galery i morską drogą dotarł na umówione miejsce.

Dostojnik już czekał. Rozmawiali chwilę o tym i o owym, wreszcie legat spytał, czy Poncjusz otrzymał okólnik dotyczący wznoszenia obelisków ku czci Sejana. Owszem, odparł ostrożnie prokurator Judei, pismo do niego dotarło.

Pełnomocnika doszły bowiem wieści, iż nikt w Dziesiątym Legionie nie skorzystał z cesarskiego przyzwolenia, czy wobec tego może przyjąć, że w przyszłości legion także nie wystawi popiersia prefektowi pretorianów?

Poncjusz stwierdził sucho, iż jako wojskowy nie widzi powodów do honorowania Sejana, a z gwardią nie miał nigdy nic wspólnego.

Urzędnik przysunął się bliżej i rzekł:

- Może tego nie wiesz, Poncjuszu, ale wkrótce okaże się, że tylko my jesteśmy wyjątkami w całej armii. Wszystkie inne legiony uczciły już prefekta monumentami.

- Wszystkie?! - spytał z niedowierzaniem zdumiony prokurator.

Legat potwierdził skinieniem i chociaż drzwi były zamknięte, ściszył głos, wyjaśniając, że był niedawno na Kaprei - wezwany przez Tyberiusza.

Sejan został przejrany. Cesarz od dawna już mu nie dowierzał chociaż nie dopuszczał myśli o tak bezprzykładnej zdradzie. Z czasem jednak dzięki papierom pozostawionym przez Liwię wyszły na jaw dowody. To Sejan krył się za zabójstwem syna Tyberiusza i wieloma spośród innych morderstw w rodzie cesarskim.

Teraz ma go za to spotkać kara. Niemniej z biegiem lat stał się zbyt potężny, by go pozbawić funkcji w zwykły sposób. Jego obalenie musi nastąpić podstępem. Wszelkie honory, którymi jest ostatnio obsypywany, to nic innego jak kamuflaż, mający dać mu poczucie bezpieczeństwa na czas potrzebny Tyberiuszowi do zorganizowania zamachu. Pomysł z pomnikami miał wskazać, skąd Sejan może oczekiwać wsparcia. Okazało się, że ze wszystkich legionów w imperium tylko wschodnie nie znalazły się w strefie jego wpływów. Mając na uwadze tak zastraszające odkrycie Tyberiusz nie wyklucza, iż będzie zmuszony opuścić Italię. Dlatego flota czuwa w pogotowiu, by w razie konieczności przewieźć cesarza i jego dwór na Wschód.

Jeśli do tego dojdzie, wybuchnie wojna domowa. Należy się wówczas liczyć z założeniem w Syrii głównej kwatery sił wiernych Tyberiuszowi. Dlatego legat sądzi, że powinni z Poncjuszem opracować jakiś plan. Oddziały, którymi dysponują, stanowią niewiele ponad jedną dziesiątą połączonych sił cesarstwa. By mieć nadzieję na podołanie zadaniu, należy w pierwszym rzędzie utrzymać pełną gotowość... uzupełnić zapasy żywności i broni, wyszkolić każdego żołnierza, naostrzyć każdy miecz... Na wszelki wypadek Poncjusz powinien być gotów do objęcia dowództwa na południowej flance, gdzie może zająć konieczność szybkiego opanowania Egiptu. Legat ze swej strony zajmie się Bosforem, by

zapewnić Tyberiuszowi kontrolę nad dostawami zboża do Rzymu. Gdyby się to udało, zwycięstwo mają pewne, nawet jeśli przyjdzie na nie poczekać.

Poza tym proponuje ustalenie tajnego systemu komunikacji. Ze względu na bezpieczeństwo najlepiej unikać następnych spotkań.

Doprawdy, złowieszczę nowiny! Mimo napawającej lękiem sytuacji Poncjusz ślepo ufał przywódczym zdolnościom Tyberiusza, a i sam był gotów do wszelkich ofiar. W drodze powrotnej myślał o tym, co ma do zrobienia, i rozważał, czy wtajemniczyć Prokulę w powierzony mu sekret. W końcu z powodu Sejana wycierpiała nie mniej od niego, toteż wprost palił się do powiadomienia żony, przekonany o jej lojalności i dyskrecji. Z drugiej strony się wahał. W tej sprawie - jako jeden z ostatnich stronników i zaufanych - oddał się do wyłącznej dyspozycji imperatora. Nie powinien w to mieszać postronnych, a więc choć przyjdzie mu to z trudem, musi Prokulę trzymać na uboczu.

Na pewno jednak - tak wrażliwa na wszystko, co dotyczy męża - zauważy, że coś się święci, i zacznie pytać. Poncjusz musi znaleźć jakiś pretekst, żeby jego nagle zainteresowanie wojskiem nie wzbudziło podejrzeń. Może zapowiedzieć, że system rekwizycji wymaga przebudowy? Wówczas poświęciłby się szkoleniu żołnierzy bez zwracania niczyjej uwagi. W pewnym sensie dobrze się składa, że ostatnio w pobliżu Arymatei doszło do zamieszek w związku z dostawami dla armii.

Prokula przyjęła to wytłumaczenie bez zastrzeżeń.

- Nie przejmuj się mną, Poncjuszu - oświadczyła - jakoś sobie zagospodaruję ten czas. Będę się mogła częściej uczyć hebrajskiego z Rachelą. Oprócz tego poproszę jakiegoś rabina, żeby przejrzał wszystkie

księgi, jakie otrzymałam.

Nieźły pomysł... Po mowie wprowadzącej w Jerozolimie zarzucono ich wprost wszelkiego rodzaju pismami. Nie znalazłby się chyba ani jeden zapisany skrawek papieru, którego by przed wprowadzeniem do sprzedaży nie zaoferowano, dla podniesienia ceny, namiestnikostwu. Prokula kupowała co popadnie, częściowo rzeczy wartościowe, na ogół jednak kierując się tym, że sprzedawca wyglądał na potrzebującego pieniędzy. Starczyłoby jej zajęcia na lata, gdyby zechciała zaprowadzić ład w tym chaosie.

Poncjusz żył w ciągłym napięciu i bezustannie podróżował. Legat Syrii informował go na bieżąco o rozwoju sytuacji, gdyż za sprawą wojskowego systemu sygnalizacyjnego podległe mu tereny znajdowały się w bezpośredniej łączności z Kapreą. W miarę jak zbliżał się moment obalenia Sejana, niepokój rósł. Legion był w stanie najwyższej gotowości bojowej. Poncjusz bez przerwy wypatrywał kuriera przybywającego z północy Via Maris albo statkiem.

Późną porą pewnego wieczoru usłyszał stukot końskich kopyt i czym prędzej pospieszył do atrium. Ktoś biegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie... Poncjusz bez słowa wyrwał mu z dłoni meldunek... Sejan nie żyje...

Nie żyje... martwy... Poncjusz nagle poczuł, że opada mu z ramion ciężki jak ołów pancerz, że znowu może bez przeszkód napęłnić powietrzem płuca. On, a z nim cały świat wreszcie odetchną swobodnie. Zdrajca i sprzedawczyk szczeł. Tyberiusz Cezar zwyciężcą.

A więc nie będzie walki i zdobywania Aleksandrii. Miesiącami przygotowywane plany na nic się nie zdadzą, już teraz wydają się

zbędnymi rojeniami. Poncjusz odczuł zrazu jakby leciutkie ukłucie rozczarowania, ale natychmiast ogarnął go wstyd: Cesarstwo uchronione przed wojną domową, a Tyberiusz ponownie dźrzy w rękę ster państwa, zapewniając porządek, bezpieczeństwo i rządy prawa. Takie wydarzenie trzeba uczcić - ofiarami i dziękczynnymi modłami, dodatkowymi racjami żywnościowymi dla wojska, radosnymi fanfarami i rozdawaniem chleba ludowi.

Już miał wołać adiutanta, by przekazał meldunek żołnierzom, gdy przypomniała mu się Prokula. Oczywiście! Ona pierwsza powinna się dowiedzieć - i uradować. Prokula, która chyba najbardziej ucierpiała i którą cały czas trzymał w nieświadomości. Pospieszył do jej pokojów, otworzył drzwi... i stanął jak wryty na progu. Prokula klęczała z opuszczoną głową i złożonymi rękami, obok Rachela. Zdumiony przenosił wzrok z jednej na drugą. Prokula wstała.

- Uczę się modlić - wyjaśniła zmieszana.

Rachela podniosła się także i znikła w drzwiach.

- Modlić? - powtórzył Poncjusz, nic nie rozumiejąc, i nagle przypomniał sobie, po co tu przyszedł. - Sejan nie żyje! - wyrzucił z siebie bez żadnych wstępów.

Prokula osunęła się na krzesło.

- Nie żyje? Sejan?

Poncjusz chciał powiedzieć jej wszystko, wyjaśnić, czym się ostatnio z takim zapalem zajmował. Ujął jej dłonie, ale Prokula je cofnęła i splotła mocno palce.

- Pan mnie wysłuchał! - szepnęła do siebie.

Przez chwilę robiła wrażenie wystraszonej, ale zaraz podniosła głowę, a

oczy jej zabłyśły, jakby rozświetlił je jakiś wewnętrzny płomień.

- Pan! - powtórzyła głośniejszym głosem i nim Poncjusz zdążył zareagować, już wybiegła, wołając pełną piersią Rachełę. Jej głos rozlegał się jak radosny hymn.

Stał na środku pokoju, gdzie przed chwilą klęczała. Wreszcie się otrząsnął i wyszedł. W atrium wydał rozkaz świętowania zwycięstwa we wszystkich oddziałach Dziesiątego Legionu.

W miarę jak wiadomość o obaleniu Sejana rozchodziła się po imperium, padały jego świeżo wzniesione popiersia. Ci, którzy wykazywali największy zapał przy ich stawianiu, krzyczeli i pomstowali najgłośniej podczas wywracania. Niewiele im to pomogło - Tyberiusz zadbał o zanotowanie nazwisk najbardziej aktywnych w honorowaniu prefekta pretorianów i każdy zwalony pomnik Sejana przygniatał także jego budowniczych.

Najgorzej wyszła na tym gwardia, gdzie przeżyli zaledwie nieliczni oficerowie, ale w armii także nastąpiły znaczące czystki. Wymieniono wszystkich dowódców legionów, z wyjątkiem tych z terenów wschodnich, którzy nie zawiedli zaufania. W Syrii i Palestynie wszystko zostało po staremu.

Listy od rodziny, z początku dość chaotyczne i pełne nieopanowanej radości, spowodowanej zaskakującym zamachem i zwycięstwem Tyberiusza, stopniowo zmieniały ton na bardziej utemperowany, a na koniec raczej przypominały rejestry ze świątyni Nenui niż zwykłą korespondencję.

Stary Prokulus w ogóle przestał pisać. Oboje się o niego lękali. Pewnego

dnia nadszedł list od brata Prokuli, który donosił, że po wielu latach niedomagań ojciec wraz z upadkiem Sejana odzyskał chęć do życia, ale obecnie na nowo ją stracił. Zemsta Tyberiusza na dowódcy gwardii była przerażająca. Starzec nie mógł znieść tego, co się działo w Rzymie. Lekarze stracili już wszelką nadzieję.

Innym razem przez Cezareę przejeżdżał pewien dawny przyjaciel Poncjusza, oficer, który miał objąć zwolnione stanowisko w Egipcie. Na czas załadunku statku prokurator zaprosił go do rezydencji. Wraz z Prokulą spodziewali się uzyskać wieści z domu.

Pierwszego wieczoru nie zaprosili gości, by mieć go wyłącznie dla siebie. Póki kręciła się służba, rozmawiali o błahostkach, a Poncjusz opowiadał o swych doświadczeniach w Palestynie. Między innymi wspomniał o proroku Janie i jego gwałtownej śmierci. To przeciwstawienie despotyzmu władcy i pobożności ludu było jego zdaniem typowe dla mentalności Wschodu.

Gość nie od razu zareagował, ale kiedy po posiłku wyszli na taras i zobaczył, że są sami, odezwał się ściszym głosem:

- Jeśli w tej części świata rzeczywiście tak się sprawy mają z pobożnością i despotyzmem, to chyba Tyberiusz zbyt długo tu przebywał... Jego zyskana na Rodos pobożność zamienia się ostatnio w despotyzm.

Poncjusz ostro spytał, co przez to rozumie.

- Właśnie to, co mówię - odparł oficer ze spokojem. - Żaden normalny człowiek nie zaakceptuje obecnej sytuacji w Rzymie. Pierwszy podpiszę się pod koniecznością stosowania kar, ale nie na sposób Tyberiusza. Nigdy jeszcze donosicielstwo nie kwitło do tego stopnia jak dzisiaj... Kto ma wrogów, nie jest pewien dnia ani godziny... a któż ich nie ma?

Spochmurniał.

- Na Schodach Gemońskich leżą stopy trupów, codziennie nowe... nie oszczędzają nawet dzieci. Na własne oczy widziałem najmłodszą córkę Sejana... była jeszcze dzieckiem i dziewczyną, lecz prawo zawsze można obejść... Kat, który miał ją udusić, otrzymał rozkaz, by ją najpierw zgwałcił... Czy nazwiesz to, prokuratorze, czynem godnym porządnego człowieka?

Poncjusz nie zdobył się na odpowiedź. Zbierało mu się na wymioty.

Prokula zerwała się z miejsca tak nagle, aż przewróciła krzesło.

- Kłamiesz! - krzyknęła. - Kłamiesz... Jesteś zdrajcą, tyle ci powiem! - W jej głosie brzmiała histeria. - Tyberiusz nikogo nie morduje... Tyberiusz jest sprawiedliwy... Ty kłamco, ty nędzniku!

Poncjusz przyskoczył, zasłonił jej usta dłonią.

- Milcz! - rozkazał.

Bez ceregieli wepchnął ją do domu, wołając jednocześnie Rachełę.

- Wybacz! - odezwał się po powrocie. - Chyba jednak to, czym nas uczęstowałeś, zbyt było niestrawne dla kobiety tak wrażliwej jak Prokula.

- To raczej ja muszę prosić o wybaczenie - odparł oficer. - W Rzymie tak wszystkich otumanił trupi odór, że nikt już nie ma ludzkich odruchów.

Rozmawiali jeszcze długo w noc i Poncjusz z ciężkim sercem udawał się na spoczynek. Ku jego zdumieniu drzwi do sypialni się uchylły i zajrzała Prokula.

- Muszę ci coś powiedzieć - rzekła. - I to natychmiast. Długo o tym myślałam, ale nie odważyłam się pytać, bo wiem, że odmówisz. Ale po dzisiejszym wieczorze nie mogę zaznać spokoju.

- Wydawało mi się, Prokulo, że my dwoje możemy rozmawiać na każdy

temat. - Gestem zaprosił ją do środka. - Skąd możesz znać moją odpowiedź, skoro jeszcze nie postawiłaś pytania?

Otworzyła drzwi szerzej, ale pozostała na progu, chwyciwszy się futryny, jakby potrzebowała wsparcia. Wydawało się, że nie wie, jak zacząć. Wtem zebrała się na odwagę.

- Chciałabym... móc wyznawać... Prawo Mojżeszowe. - Szeptwała tak cicho, że musiał się nachylić, by rozróżnić słowa.

Teraz się wyprostował. Prawo Mojżeszowe, powiedziała? Mojże... Czy to znaczy, że jego żona chce wyznawać religię żydowską?

Oczywiście, że nie może na to pozwolić! Cóż za pomysł! O czym ona, na Jowisza, myśli? Wykluczone! W każdym razie dopóki są w Palestynie...

Chociaż z góry wiedziała, jaka będzie odpowiedź, to jednak skuliła ramiona i bez słowa, z pochyloną głową odeszła cicho do swych komnat.

Poncjusz pojął, że potraktował ją zbyt opryskliwie, i pospieszył jej śladem.

Niechże go źle nie zrozumie, w gruncie rzeczy nie ma nic przeciwko wyznaniu Mojżeszowemu, ale to wszystko spadło nań tak

nieoczekiwanie... Wielu przechodzi na religię żydowską, lecz małżonka prokuratora... to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Ci, którzy reprezentują cesarza i Rzym, nie mogą wyznawać obcej wiary - byłaby to zdrada wobec pokładanego w nich zaufania i ponoszonej odpowiedzialności.

Prokula słuchała w milczeniu. Doskonale to rozumie i sama o tym myślała. Tyle że takie argumenty tracą znaczenie dla kogoś, kto sam siebie znienawidził.

Zmarszczył czoło. Nienawidzi siebie? O co jej właściwie chodzi? Kto jak kto, ale ona chyba nie ma do tego powodów?! Wszyscy, z którymi się styka, ją lubią. Ba, Poncjusz nie zna nikogo bardziej uwielbianego niż

Prokula. Żaden mąż nie mógłby sobie życzyć lepszej żony. Dlatego też z taką trudnością przychodzi mu jej czegokolwiek odmówić. W tym jednak wypadku musi być nieustępliwy. Na pociechę może jedynie obiecać, że jeśli wytrwa w swych zamiarach, to powrócą do tematu wówczas, gdy ich misja w Palestynie dobiegnie końca.

Niewiele spał tej nocy. Złe wieści z Rzymu mieszały się z myślami o Prokuli. Któż nie wolałby się skryć ze wstydu w mysiej dziurze na wspomnienie córki Sejana? Ale nienawiść do siebie? Mocne słowa... A wiara żydowska w charakterze deski ratunkowej to już ślepa panika.

Wszak nie prawodawstwo w Rzymie było chore i ucierpiało na skutek katastrofy, lecz ten, który wzniósł się ponad wszelkie prawa... Tyberiusz Cezar... To on szalał jak zraniony zwierz po doświadczeniu niezliczonych zdrad i oszustw. Jednak nawet jeśli cesarz na chwilę zapomniał, kim jest, innym nie wolno iść w jego ślady. Przejście na inną wiarę oznaczało zaprzeczenie wszystkich dotychczas wyznawanych wartości. Oznaczało zdradę Rzymu.

Chociaż Prokula na pewno nie zamierzała popełnić zdrady. Na nieszczęście ostatnio niewiele się nią zajmował. Za bardzo była skazana na siebie i towarzystwo Racheli.

Nagle przypomniało mu się, jak niespodziewanie zastał obie kobiety na kolanach i Prokula wyjaśniła, że uczy się modlić. Powinien był wówczas zareagować natychmiast. Tymczasem, uradowany wieścią o zwycięstwie, odsunął sprawę na dalszy plan, a potem nie miał ochoty do tego wracać. W pewnym sensie odniósł wrażenie, jakby je wtedy podglądał, mimo że przyszedłszy bez zapowiedzi, czuł się przynajmniej tak samo zaskoczony jak one. Wciąż jeszcze miał przed oczami wymykającą się z komnaty

Rachełę, jakby ją złapał na gorącym uczynku, jakby robiła coś niedozwolonego. A może wcale nie jest tak spolegliwa? Może wyzyskuje jego ufność?

Od kiedy przejęła prowadzenie gospodarstwa, stała się centralną postacią domu, szanowaną i przyjaźnie traktowaną przez wszystkich, a stosunek Prokuli do niej można by wręcz określić jako serdeczny. Czyżby więc wykorzystwała dobre serce swej pani, by skierować ją ku judaizmowi? To by zgoła nie świadczyło o wiernej służbie, raczej o nadużyciu pozycji. Jeśli Rachela tak postąpiła - odpowie za to. Jeśli zawiodła Poncjuszowe zaufanie, nie zostanie wyzwolona.

Następnego ranka podczas śniadania posłał po nią. Jak zwykle stanęła z pochyloną głową przy drzwiach. Mimo to więcej w niej było godności niż pokory. Nigdy nie zauważył, by coś ją wprowadziło w złość bądź wytrąciło z równowagi.

Zadawał pytania wprost i w ten sam sposób udzielała mu odpowiedzi - jasno i bez osłonek. Najpierw chciał wiedzieć, jak przebiega nauka hebrajskiego. W celu przyswojenia znaków pisma, odrzekła, korzystały z kopii objawień jednego z proroków. Prokula robiła szybkie postępy i wkrótce zaczęła ją interesować także treść. Rachela nie wszystko potrafiła wytłumaczyć, toteż jej pani postanowiła udać się do synagogi w porze, gdy objaśniano Pisma. Jednak wzbudziła takie poruszenie, że następnym razem wolała wezwać kogoś uczonego do domu.

Na pytanie, czy próbowała wpłynąć na swą panią, Rachela odparła, że nie było to jej zamiarem, niemniej starała się oczywiście jak najpełniej zaspokoić jej żądze wiedzy. Sama jednak czuła się niedostatecznie przygotowana, Prokula bowiem jest z natury religijna, a poza tym

niezwykle czytana. Dla nich obu ulgą stała się pomoc ze strony rabiego - nauczyciela.

Zapytana, czy namawiała Prokulę do przejścia na wyznanie Mojżeszowe, niemal ze zgrozą, zdecydowanie zaprzeczyła. Nigdy by jej to nie przyszło do głowy, a Prokula ani razu nie wspomniała o takim życzeniu.

Okazało się więc, iż wszelkie podejrzenia, które wykuły się nocą w głowie Poncjusza, były bezpodstawne. Skoro już jednak przeprowadzał rozmowę z Rachelą, postanowił przy okazji wymusić pewne ograniczenia w owym studiowaniu. Dlatego też zaproponował, jako że Prokula już umiała czytać i pisać po hebrajsku, by może skoncentrowały się w przyszłości na konwersacji i bardziej użytecznej lekturze.

Tu jednak Rachela zauważyła, że to nie ona określa, czym się zajmują. Wątpi też, czy Prokula się zgodzi na zmianę, jeżeli Poncjusz sam jej tego nie zaleci. Niewolnica nie może podejmować decyzji.

Zirytowała go, choć dobrze wiedział, że ma rację. Przecież podjęła się nauki, więc musi nią móc kierować, czyż nie? Wobec tego przypomina jej, że warunkiem wyzwolenia jest okazywanie mu lojalności pod każdym względem, nie tylko przy prowadzeniu gospodarstwa domowego.

Podczas całej rozmowy Rachela nie podniosła nań wzroku. Teraz jednak wyprostowała się i utkwiała w nim spojrzenie.

- W istocie żądacie ode mnie, panie, bym nie dzieliła się chlebem z kimś, kto o niego prosi, a wiem, że jest głodny - stwierdziła.

- Tak właśnie - odparł twardo. - Dokładnie o to mi chodzi. Skoro nie żywimy się oboje tym samym gatunkiem chleba, żuj swoje przaśne placki sama!

Zabrzmiało to jak chłaśnięcie bicza.

Nieważne, Prokula należy do niego i nie powinna się karmić żydowską strawą. I tak już pokosztowała jej za dużo jak na jego gust, a na pewno więcej, niżby jej wyszło na zdrowie.

Od dzisiaj z tym koniec.

Z Rzymu ciągle nadchodziły informacje o nowych czystkach. Po zlikwidowaniu Sejana, jego zdradzieckiego rodu, przyjaciół i popleczników przyszła kolej na wiarołomnych w rodzinie cesarza. Jedną z synów Tyberiusza była kochanką Sejana i otruła męża, spadkobiercą imperatora. Spotkała ją zasłużona kara, śmierć przez uduszenie, nikt też po niej nie płakał. Kiedy jednak aresztowano także drugą synową, a jej syna skazano na zagłodzenie, lud uznał, że Tyberiusz posuwa się za daleko. Nigdy się nie przejmował tym, co ludzie o nim mówią, natomiast teraz, podrażniony, nie tolerował żadnej krytyki. W odpowiedzi na petycję patres, członków senackiej Rady Starszych, o łagodne traktowanie i okazanie łaski przesłał do Senatu, wraz z rozkazem publicznego odczytania, szczegółowy opis męczarni głodzonego, z uwzględnieniem zjadania siennika przed zgonem. Po tej demonstracji wszyscy już odczuwali dreszcz grozy na dźwięk imienia Tyberiusza.

Zły to był czas dla ludzi wiernych cesarzowi. Wprawdzie nikt nie kwestionował prawa Tyberiusza do zemsty, ale nawet najbardziej lojalni sprzymierzeńcy z trudem mu wybacжали, że w swym szaleństwie stawia się ponad prawem i sądami, okazując lekceważenie senatorom, których dawniej nieodmiennie traktował z najwyższym szacunkiem.

Poncjusz trzymał się w owych dniach Cezarei i Sebaste, gdzie w otoczeniu rodaków oszczędzono mu wypytywania o sytuację w Rzymie. Kto nie znał

całej historii i zakresu zdrady Sejana, musiał ulec przekonaniu, że imperator wpadł w obłąd. W jaki zaś sposób Żydzi, a także inne nacje, mieli się zorientować, co poprzedziło obecny stan, skoro rozprawę z Sejanem potraktowano jak proces o zdradę stanu i nie opublikowano żadnych wyników śledztwa? Prokurator z najwyższą niechęcią myślał w tym roku o święcie Paschy i podróży do Jerozolimy.

Jak kazał obyczaj, wprowadzali się na czas takich wielkich uroczystości do twierdzy Antonia i kiedy przybywała procesja ze świątyni, Poncjusz sam przewodził ceremonii przekazania rytualnych szat arcykapłańskich. Działo się to na siedem dni od szabatu przed Świętem Przaśników, paradne stroje bowiem poddawane były przed użyciem oczyszczeniu. Dlatego też prokurator z małżonką zwykle zjeżdżali do miasta na ponad dwa tygodnie i przez ten czas, prowadzili dom otwarty. Wprawdzie Żydzi nie odwiedzali ich przed Paschą, by nie stykać się z - jak to między sobą określali - nieczystymi poganami, niemniej zamieszkali na stałe Rzymianie i inni obcokrajowcy chętnie gościli u namiestnikostwa, by usłyszeć nowinki i nacieszyć oczy widokami religijnych ceremonii przed świątynią z narożnej wieży twierdzy.

Uroczystości jerozolimskie były zawsze okresem wyczerpującym zarówno dla Poncjusza, jak i dla Prokuli, w dodatku tym razem prokurator czuł się już wcześniej zmęczony i nie w humorze. Na polepszenie nastroju pomagała na ogół konna przejażdżka, toteż w dniu poprzedzającym Paschę obudzono go rankiem, by zdążył jej zażyć przed pójściem do łaźni. Niebo za oknem było lekko zasnutę, tak że wszystko, na co spojrzął, wydawało się płaskie i pozbawione życia. Gorące i wilgotne, nieruchome powietrze przygniatało wręcz swoim ciężarem. Wystarczająco często

bywał w Jerozolimie, by rozpoznać ten typ pogody, charakterystyczny dla miasta i wywołujący depresję. Obcym radzono zwykle w takie dni, by nie wychodzili z domów. Wraz ze zmianą układu prądów powietrznych jednak przytłaczające ciśnienie i ponury nastrój zniknęły jak ręką odjął.

Przyniesiono mu do łoża śniadanie. Popijał gorący napar z ziół i łykał chleb tak świeży, że musiał dmuchać na odłamywane kawałki. Natrętna mucha bez ustanku próbowała się dostać do naczynia z miodem. Poncjusz zawołał cubiculariusa,

Familia urbana - ogół służby (w tym zwłaszcza niewolnicy) w miejskim gospodarstwie domowym (ten przypis i następne pochodzą od tłumaczki).

* by przyprowadził niewolnika do odganiania owadów, lecz zamiast niego w drzwiach stanął adiutant z meldunkiem o żydowskiej delegacji, która prosi o posłuchanie.

`pp

Spojrzał nań zdumiony. Żydowska delegacja? Dzisiaj? Po oczyszczeniu? Adiutant przytaknął. Właśnie. Toteż z powodu oczyszczenia delegacji oczekują przed tarasem zwanym przez nich Gabbatą. Na czele z Annaszem i Kajfaszem, w otoczeniu zwykłej asysty członków Rady i uczonych w Piśmie. Potrzebują sankcji na dopiero co wydany wyrok śmierci.

Tak... A więc nici z przejażdżki. Poncjusz odsunął tacę. Dobrze, przyjdzie, jak tylko będzie gotowy. Tymczasem niech przystosują do rozprawy komnatę przyległą do Gabbaty i ustawią krzesło kurulne na tarasie u szczytu schodów.

Kiedy nadszedł, wszystko było przygotowane. Straże i liktorowie ustawieni w ordynku, a na obu końcach długiego stołu pisarze sądowi w

pełnym skupieniu. Powitał ich skinieniem głowy i wyszedł na taras otoczony balustradą, z którego długie schody wiodły na plac przed świątynią, gdzie u ich podnóża zatrzymała się delegacja. Stanąwszy przy sędziowskim karle, pozdrowił zgromadzonych i spytał, z czym przybyli. Najbliżej stojący Kajfasz objaśnił, że sprawa dotyczy człowieka, który przez dłuższy czas sprowadzał lud na manowce, a teraz wreszcie został ujęty i postawiony przed sądem. Sanhedryn uznał go winnym najcięższych oszustw.

Oszust? Po cóż zwracają się z tą sprawą do niego, Poncjusza, miast osądzić ziomka podług własnych praw?

Człowiek ten, wedle słów Kajfasza, był groźniejszy niż najzuchwalszy przestępca, toteż Wysoka Rada skazała go na śmierć - wiadomo zaś, że dla takiego wyroku potrzebują sankcji rzymskiego prokuratora. Poncjusz rozkazał więc przyprowadzić oskarżonego na przesłuchanie do komnaty sędziowskiej i dostarczyć jego akta. Dowiedział się z nich, że imię tego człowieka brzmi Jezus i że jest on synem cieśli Józefa i jego żony Marii, urodzonym w Betlejem podczas panowania Heroda Wielkiego, w roku zarządzanego przez Augusta spisu ludności cesarstwa, gdy jego legatem w Syrii był Kwiryniusz.

Jezus, syn Józefa, odziedziczył zawód po ojcu, lecz po jakimś czasie porzucił warsztat i dość długo pędził nie budzący zainteresowania żywot na pustkowiu. Ostatnie lata przeżył głównie jako włóczęga, prowadząc - mimo braku wykształcenia - działalność kaznodziejską. Jego nauki odbiegały od oficjalnego nurtu, natomiast niewiedza nie przeszkadzała w bezczelnym sposobie atakować strażników wiary i uznanych autorytetów świątynnych. Heretycką argumentacją i oszukańczymi sztuczkami

przyciągał do siebie wszelkiego rodzaju nieświadomych, dających się łatwo zwieść ludzi. Owi zwolennicy planowali obwołać go królem. Istnieją też świadkowie, że przy wielu okazjach sam siebie określał tym mianem. Kiedy przed kilkoma dniami przybył do miasta na obchody Paschy, zebrało się wokół niego tylu gapiów i ciekawskich, że powstała prawdziwa demonstracja, która łatwo mogła się przerodzić w rozruchy. Władze miejskie uznały, iż nadszedł czas, by ostudzić podżegacza i zahamować jego działalność. Aby uniknąć zamieszek, aresztowano go z wieczora, a nocą przeprowadzono przesłuchanie. O wschodzie słońca Sanhedryn zebrał się na naradę i uznał jego winę za godną kary śmierci. Przywódcy ludu Izraela zwracają się tedy do namiestnika z prośbą o zgodę na ukrzyżowanie skazanego.

Poncjusz kilkakrotnie przebiegł wzrokiem tekst oskarżenia, by się upewnić, że niczego nie pominął. Nauczanie prowadzone przez podsądnego ani zarzuty wysuwane pod adresem kapłanów nie wchodziły w zakres zainteresowań rzymskiego zwierzchnictwa.

Jedyny punkt, znaczący dlań jako dla reprezentanta cesarza, dotyczył tytułu królewskiego.

Od śmierci Heroda coraz to pojawiali się w Palestynie pretendenci do tronu Dawida. Jeden z nich zaszedł tak daleko, że nim został obalony, przebywał na wezwanie Augusta w Rzymie. Na parę lat przed przyjazdem Poncjusza obwołało się królami kilku pasterzy, którzy zgromadzili wokół siebie Żydów niezadowolonych z rzymskich rządów. Rozbijali się gorzej od najgorszych rabusiów, toteż na koniec wprowadzono do akcji Dziesiąty Legion. Dopiero po długotrwałych i zaciętych walkach udało się przywrócić ład i porządek. Ku przestrodze ukrzyżowano wówczas dwa

tysiące buntowników... Paskudna sprawa. Nic dziwnego, że przywódcy odpowiedzialni za los narodu boją się powtórki i starają uniknąć nowych niepokojów lub ewentualnego powstania.

Wprowadzono oskarżonego. Światło wpadające przez drzwi obrysowywało sylwetkę, pozostawiając twarz w cieniu. Wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że siła tego człowieka nie bierze się z konstytucji fizycznej czy z przewagi mięśni. Średniego wzrostu i proporcjonalnej budowy, ze związanymi rękami wydawał się szczuplejszy niż w rzeczywistości. Dłonie wąskie, o czystych liniach przypominały raczej ręce wojującego słowem niż mieczem. Wyglądało na to, że nie jest rozbójnikiem i rabusiem jak jego poprzednicy w kolejce do tronu.

Poncjusz dał znak i liktorowie unieśli sędziowskie insygnia, topór zemsty i bicz kary. Sąd rozpoczął.

Właśnie miał zacząć przesłuchanie, gdy jeden z niewolników Prokuli przyniósł mu jej małą składaną tabliczkę do notowania - rozpoznał ją natychmiast i ogarnął go lęk. Co się stało? Otworzył co prędzej i przeczytał nagryzmołoną wielkimi chwiejnymi literami wiadomość:

"Nie miej nic do czynienia z tym Sprawiedliwym, bo dzisiaj we śnie wiele nacierpiałam się z Jego powodu."

Poncjusz wpatrywał się przez chwilę w przesłanie. Czyżby Prokula знаła oskarżonego? A może ktoś ją poprosił o wstawiennictwo? Nigdy nie miała zwyczaju mieszać się do takich spraw... Cierpienia we śnie to najwyraźniej wymyślony na poczekaniu pretekst świadczący o panice, w pośpiechu bowiem napisała "dzisiaj" zamiast "dzisiejszej nocy".

Ktoś musiał ją błagać o pomoc. Jednak bez przekonania o niewinności Jezusa w żadnym wypadku nie użyłaby sformułowania "tego

Sprawiedliwego". Te zdecydowane słowa dowodzą, że jest pewna swej oceny.

Poncjusz spojrział badawczo na więźnia i stwierdził, że określenie Prokuli bardziej pasuje do wyglądu mężczyzny niż oskarżenia najwyższego kapłana. Złożył tabliczkę i schował ją w zanadrze.

Niewolnicy tymczasem odsunęli z okien zasłony. Na twarzy Jezusa wyraźnie widać było siną opuchliznę, jakby go ktoś uderzył w usta. To psuło wrażenie... Rysy miał regularne, a cerę smagłą jak wszyscy spędzający dużo czasu na świeżym powietrzu. Sięgające ramion pukle, rozdzielone na środku przedziałkiem, opadały swobodnie po obu stronach wysokiego, gładkiego czoła. Ich kolor, jak u większości jasnowłosych Żydów, wpadał w rudawy. Jedno ucho miał także napuchnięte - innymi słowy, przesłuchanie u najwyższego kapłana nie obyło się bez przemocy. Ta informacja mogła się jeszcze przydać.

Poncjusz poprawił się na krześle i rozpoczął śledztwo.

- Czy jesteś królem Żydów? - Zgodnie ze swymi zasadami zmierzał prosto do celu.

Więzień, który postawiony przed stołem dotąd się nie poruszył ani nie zmienił nieobecnego wyrazu twarzy, teraz podniósł oczy - duże, rozświetlone niezwykłym blaskiem.

- Czy to mówisz od siebie, czy też inni powiedzieli ci o Mnie? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Głos miał głęboki, spokojny.

Poncjusz zaskoczony sięgnął ręką do pasa. Czyżby Jezus znał treść liściku Prokuli? A może nie został zapoznany z oskarżeniem i chce wiedzieć, czy pytanie się z nim wiąże?

- Czy ja jestem Żydem? - rzucił, lekko zirytowany. Odkąd to nastał zwyczaj, by podsądny przesłuchiwał sędziego?! - Naród twój i arcykapłani wydali mi Ciebie. Coś uczynił?

To nie pułapka - chciał uzyskać jednoznaczną informację, sam nie jest stroną w tej sprawie.

- Królestwo moje nie jest z tego świata. - Więzień nie tracił spokoju. - Gdyby królestwo moje było z tego świata, słudzy moi biliby się, abym nie został wydany Żydom.

Bezpośrednie pytanie Poncjusza zyskało klarowną odpowiedź. Natomiast następne, równie zresztą jednoznaczne: coś uczynił? - nie doczekało się wyjaśnienia. Mogło to oznaczać, że oskarżony rozumie, czego się chce dowiedzieć sędzia, ale przywykł do nieopowiadania się przed nikim. Jakby dla podkreślenia powtórzył raz jeszcze:

- Teraz zaś królestwo moje nie jest stąd.

Zabrzmiało to niemal jak prośba o rozmowę, lecz Poncjusz nie miał zamiaru dać się zbić z tropu.

- Więc jesteś królem? - próbował nawiązać do oskarżenia.

- Tak, jestem królem. - Głos Jezusa, wciąż stłumiony, pobrzmiwał bogactwem znaczeń, a wpatrzony weń Poncjusz odniósł wrażenie, że oto przeobraża się cały człowiek; nie zmieniając postawy, promieniuje nagle królewskim majestatem. - Ja się na to narodziłem i na to przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, słucha mojego głosu.

Pierwsze słowa to przyznanie się. I natychmiast wywrócił je na nice następnym stwierdzeniem, ucinając wszelką dyskusję. Kto wie, po co on się narodził i przyszedł na świat, po prostu nie da się przekonać. Jedno dla

Poncjusza było pewne - oskarżenie nie wytrzymało krytyki. Królestwo nie z tego świata nie stanowiło zagrożenia ani dla Rzymu, ani dla Jerozolimy.

Co więzień właściwie rozumie pod słowem prawda, pozostawało sprawą otwartą - Poncjusz usłyszał już dość.

- Cóż to jest prawda? - rzucił filozoficzne pytanie i wstał z krzesła.

Więzień milczał. Igraszki słowne i puste frazesy nie były jego domeną. On nie rozprawiał o prawdzie w ogóle, jego słowa dotyczyły konkretnej prawdy. Zamknął się w sobie i na nowo pogrążył w myślach.

Przesłuchanie skończone.

Poncjusz także przez chwilę rozważał... Podsądnego należało uniewinnić co do głównego punktu oskarżenia, w kwestii pretensji do tronu, a byłby to jedyny powód do wyroku skazującego na śmierć. Pozostałe punkty, jak nieposłuszeństwo wobec kapłanów i niezgodne z oficjalnym nauczaniem, nie wchodziły w zakres kompetencji cesarskiego prokuratora, podlegały jurysdykcji lokalnej. Jeśli ten człowiek wedle opinii zwierzchników był winny, należało mu przed wypuszczeniem na wolność udzielić przestrogi, by na przyszłość unikał zadrażnień z władzami.

Poncjusz wydał więc straży rozkaz odprowadzenia więźnia na dziedziniec i ukarania go chłostą, po czym wyszedł na taras, gdzie stało jego sędziowskie krzesło.

Podczas ogłaszania wyroku dawało się wyczuć rosnące napięcie. Prośba Sanhedrynu została odrzucona, Jezus syn Józefa nie zasłużył na karę śmierci, zamieniono ją na chłostę.

Uwolnienie od winy wzbudziło ogromne poruszenie na placu przed świątynią, gdzie tłum zdążył się już dwukrotnie powiększyć, uzupełniony

posiłkami spod kolumnad, z kramów i stajni. Krzycząc i tupiąc, ludzie protestowali... Oskarżony jest wilkiem w owczej skórze, kłamcą i prześmiewcą, nie płaci podatków i podburza przeciw prawu i kapłanom, to heretyk zatruwający cały kraj swoim kłamliwym nauczaniem! Nigdy, zaprawdę nigdy nic dobrego nie wyszło z Nazaretu!

Nazaret? Poncjusz nastawił uszu. Czyż ten człowiek nie pochodzi z Betlejem judzkiego? Wysłał niewolnika, by popytał wśród tłumu.

W istocie okazało się, że oskarżony urodził się w Betlejem, ale mieszkał w Nazarecie.

Poncjuszowi zrobiło się gorąco. Dlaczego nie został o tym od razu powiadomiony?! Władze miejskie wiedzą przecież aż za dobrze, iż do przeprowadzenia rozpraw wymaga pełnych i precyzyjnych danych. Jeśli ten człowiek jest Galilejczykiem, nie podlega sądownictwu rzymskiemu w Judei, lecz księciu Galilei i Perei, Herodowi Antypasowi, który zresztą zapewne także znajduje się w Jerozolimie w związku z uroczystościami. Natychmiast odeśle więźnia pod eskortą straży do tetrarchy i załączy list przewodni.

Od czasu konfliktu o Jana nie utrzymywali z Herodem żadnych stosunków. Teraz nadarzyła się znakomita okazja, by zapomnieć o dawnych nieporozumieniach, a jednocześnie jasno i wyraźnie zademonstrować prawidłowe postępowanie w przypadku ekstradycji więźniów między sąsiadującymi krajami. Zasłużona nauczka dla tetrarchy w rozliczeniu za Chrzciciela.

List napisany, więzień odesłany, na Gabbacie ucichło... Jeszcze tylko kilku krzykaczy u stóp schodów perorowało jeden przez drugiego, choć większość już się rozeszła. Poncjusz wrócił do sali, gdzie na stole

pozostało parę spraw do przejrzenia i rozsądzenia. Nie od razu się do nich zabrał. Im więcej myślał o Nazarejczyku, tym bardziej zagadkowa wydawała się jego sprawa. To szczególne wrażenie, jakie wywarł... W tym oskarżeniu kryje się coś podejrzanego...

Jezus został ujęty poprzedniego dnia późnym wieczorem. W obecności arcykapłanów, starszych i uczonych w Piśmie przesłuchiowano go całą noc. Z pierwszym pianem koguta zebrał się pełny Sanhedryn, a o wschodzie słońca wydano wyrok śmierci. Delegacja dotarła do twierdzy, ledwie Poncjusz zdążył otworzyć oczy. Po co ten pośpiech? I dlaczego, skoro w pałacu najwyższego kapłana znajduje się wykuty w skale karcer, dokąd można spuszczać więźniów przez otwór w podłodze i skąd nikogo nie sposób uwolnić, chyba że najpierw opanuje się zbrojnie pałac? Co przeszkadzało Kajfaszowi umieścić Nazarejczyka na okres uroczystości w areszcie właśnie tam? Zyskałoby się oddech na porządne sformułowanie aktu oskarżenia i regularną rozprawę sądową w twierdzy. Skąd ten nagły wyścig z czasem, jeśli człowiek ów od lat uprawiał swoją działalność i wielokrotnie odwiedzał Jerozolimę?

Nie mniej uderzające było to, że nie podano miejsca zamieszkania więźnia. Każdy Judejczyk mógł zauważyć, że Jezus pochodzi z Galilei, bo zdradzała to mowa. A jednak odstawiono go do rzymskiej Antonii zamiast do Heroda Antypasa. Nie ulega wątpliwości, że zrobiono to w pełni świadomie, któż bowiem lepiej zna lokalne instancje prawne, jeśli nie członkowie Sanhedrynu?

Znaczy to, że Rada celowo stara się ominąć Heroda Antypasa w funkcji sędziego. I znowu nasuwa się pytanie: z jakiej przyczyny? Antypas, władca Galilei, orientuje się oczywiście od dawna w działalności

Nazarejczyka. Może to właśnie jest powodem obawy - boją się, że znając sytuację, podejmie decyzję niezgodną z ich wolą i uwolni podejrzanego. Natomiast rzymski namiestnik nie zna miejscowych stosunków i przypuszczalnie nigdy przedtem nie słyszał imienia Jezusa. Toteż jeśli się pozwanego wyśle do Antonii, tak przygotowując oskarżenie, że prokurator jako Rzymianin będzie musiał zareagować, i w dodatku poprze się je ustalonymi z góry zeznaniami świadków, to istnieje nadzieja na zatwierdzenie wyroku śmierci i pozbycie się więźnia.

Innymi słowy - człowiek z Nazaretu ma tak wielki wpływ i jest tak poważnym zagrożeniem dla kapłanów i Jerozolimy, że tutejsze autorytety nie śpią po nocy i prowadząc brutalne przesłuchania już po spożyciu baranka, łamią pokój wielkiego święta pamięci, po czym odsyłają oskarżonego do niewłaściwej instancji, ponieważ odpowiedni dla sprawy sędzia mógłby go wypuścić na wolność! Ci zaś, którzy posługując się oszustwem, planują pozbawić życia niewinnego, nie są zgoła mordercami czy zbrojnymi, lecz mężami najwyższego zaufania narodu, zasiadającymi na tak zwanym Mojżeszowym tronie! W pełni świadomie i bez wahania depczą prawo, którego przestrzegania mają strzec. Co może usprawiedliwić takie postępowanie? Kimże więc jest w rzeczywistości ten Jezus, syn cieśli Józefa z Nazaretu, ów małomówny król z innego świata? Poncjusz przymyka oczy, opiera głowę na dłoniach i próbuje przywołać w pamięci jego obraz. Czuje na sobie przenikliwe spojrzenie jasnych, lśniących oczu. Widzi ostro rzeźbione rysy poważnej twarzy, tak łagodnej w wyrazie mimo szpecącej opuchlizny. Słyszy ciepły, żywy głos, cichy, a jednocześnie żarliwy - i proste, pozbawione wszelkiego patosu słowa. On naprawdę jest królem, lecz nie z tego świata. Tu znalazł się tylko, by

zaświadczyć o prawdzie. A tą prawdą jest chyba, że istnieje jeszcze inny świat - królestwo należące do niego. Ci, którzy to rozumieją, "są z prawdy" i wierzą w jego słowa...

Marzyciel i fantasta? Śni na jawie? Na Poncjuszu sprawił wrażenie mocno stąpającego po ziemi. A może wymyka się wszelkim wzorcom także dla swoich pobratymców - w kraju, gdzie nigdy się nie zapomina o sprawach tego świata?

Minęło już pięć lat, odkąd Poncjusz przybył do Palestyny, a mimo to nie potrafił się tu zadomowić. Pozostał obcym, poza nawiasem - choć dobrze poznał tutejsze stosunki, a nawet podjął trud nauczania się języka. Gdyby tego nie uczynił, wpadłby dziś prosto w pułapkę zastawioną przez Kajfasza i wydał wyrok na człowieka, który nie jest jego poddanym. Teraz niech się Nazarejczykiem kłopotczy tetrarcha. Poncjusz winien jest wdzięczność Parkom, że uniknął rozsądzania tej sprawy, biorąc pod uwagę szum, jaki powstał po decyzji o uwolnieniu od kary.

Ciężki jest los sędziego! W ogóle trudno jest być zastępcą cesarza.

Poncjusz niechętnie wyciągnął rękę po leżące na stole zwoje. Lepiej się z tym od razu uporać, odwlekanie nic nie da - ani delikwentom, ani jemu.

Okolice Jerozolimy od dłuższego czasu nękała banda rabusiów. Żołnierze z garnizonu polowali na nich zawzięcie i złapali na gorącym uczynku herszta, osławionego Barabasza, oraz jego dwóch kamratów. Komendant przesłuchał świadków, nie znalazł okoliczności łagodzących i wyrok zapadł: śmierć przez ukrzyżowanie dla całej trójki. W pewnym sensie rutynowa sprawa, wymagała jedynie sankcji prokuratora... Poncjusz miał tylko jedno zastrzeżenie - że z racji swojego urzędu mimo wszystko musi przeciąć nici trzech żywotów, nieodwołalnie zakończyć trzy istnienia.

Prawo jest jednak prawem, a obowiązek pozostaje obowiązkiem. Zacisnął wargi, chwycił za pióro i zaczął skrobać - jak zawsze w podobnej sytuacji palce odmawiały posłuszeństwa i trzeba je było zmusić siłą woli.

Ukrzyżowanie to śmierć w nieopisanych męczarniach. Trzy razy skreślił Poncjusz swoje imię wraz z tytułem i funkcją, zwinął ciasno arkusze, obwiązał i przyłożył pieczęć. Dla porządku w archwium oznaczył każdy zwój imieniem skazanego, a pod spodem postawił krzyż i inicjał swojego imienia - wydłużone P.

Właśnie szykował się do wyjścia, gdy wartownik zameldował przybycie na dziedziniec oddziału gwardii herodiańskiej. Proszą o audiencję. Książę Galilei_Perei odesłał więźnia.

Odesłał? Co to ma znaczyć?! No cóż, zaraz przyjdzie... nie, już schodzi... Poncjusz nie lubił obcych w murach twierdzy.

Z Gabbaty na dziedziniec wewnętrzny, rozległy czworokątny plac tuż za główną bramą, był spory kawałek drogi. Kiedy dotarł na najniższy poziom, usłyszał nawoływania i śmiech. Z krużganka rozciągał się widok na cały wyłożony kamiennymi płytami podwórzec. Zazwyczaj dobiegały stamtąd marszowe kroki, stukot podków i bębnienie. W murach potężnej twierdzy stale wrzało jak w ulu. W tej jednak chwili wszyscy zgromadzili się zwartym tłumem wokół gwardzistów Heroda Antypasa, którzy otoczyli więźnia.

Nazarejczyk nie ma już na sobie własnych szat. Ramiona okrywa mu błyszcząca czerwona materia, a głowę wieńczy korona z cierniowych gałązek z grubymi, ostrymi kolcami. W prawej, zwisającej bezwładnie ręce trzyma berło z żelaznego pręta i sprawia wrażenie, jakby pogrążył się w nieświadomości.

Jeden z gwardzistów kuksańcem próbuje go zmusić do podniesienia berła, a gdy nie widzi oczekiwanej reakcji, chwytając za zwieszoną rękę z prętem i z całej siły uderza w głowę ozdobioną kolczastą koroną. Ciernie wbijają się w skórę, spływają kropelki krwi. Inny pluje więźniowi w twarz.

Jeszcze inny, trzymający węzełek z ubraniami Jezusa, zarzuca mu na głowę rąbek purpurowej szaty, zasłaniając oczy, i teraz już wielu przy akompaniamencie okrzyków i salw śmiechu szturcha go i popycha żądając, by pochwalił się swymi zdolnościami jasnowidza i zgadł, który z nich go bije.

Poncjusz zmarszczył brwi. Na jego pojawienie się na dziedzińcu gapię pierzchli, a żołnierze spieszenie ustawili się w szyku. Dowódca wystąpił trzy kroki naprzód, oddał honory i zameldował dostarczenie okupu za przyjaźń od swojego pana, Heroda Antypasa, księcia Galilei_Perei. Z tymi słowami odwrócił się w stronę więźnia, padł przed nim na kolana i cały oddział zgodnym chórem zakrzyknął: Bądź pozdrowiony, o królu żydowski!

A więc to tak... Antypas urządził cyrk! Widocznie sądził, że to warte śmiechu. Jasne, w ten sposób uniknął pisania. Pióro nigdy nie stanowiło jego ulubionej broni. Przedstawienie było zresztą aż nadto czytelne. Bez zbędnych słów wydrwiono oskarżenie Judejczyków, a pozwanego uznano za nieszkodliwego wariata.

Jednym ruchem ręki Poncjusz położył kres widowisku. Przekazał dowódcy pozdrowienia dla tetrarchy wraz z zaproszeniem do Antonii po zakończeniu obchodów Paschy, gdy Żydzi powrócą do normalnych kontaktów z nie_Żydami, po czym wysłał gwardzistów w drogę powrotną. Pascha... Co przed chwilą powiedział? Obchody Paschy? Miał zwyczaj co

roku z okazji tego święta darowywać karę jednemu więźniowi. A gdyby tak zaproponował wypuszczenie Jezusa z Nazaretu? Nie musiałby się już kłopotać arcykapłanem. Jeśli jako alternatywę postawi Barabasa, wynik jest przesądzony.

Przed bramą twierdzy mrowił się tłum. Wszyscy towarzyszący gwardzistom w drodze od Antypasa do Antonii wyczekiwali w nadziei ujrzania, co się dzieje za murami.

Poncjusz nakazał heroldom obwieścić, że namiestnik cesarza pragnie wygłosić tradycyjne orędzie na święto Paschy, i wkrótce potem pojawił się na blankach ponad bramą, skąd był doskonale widziany i słyszany.

Rozpoczął od życzeń. Niech tegoroczne uroczystości upamiętniające historyczne wydarzenia przyniosą na równi z poprzednimi szczęście i błogosławieństwo Żydom w Jerozolimie i w całym imperium. By dać wyraz swojej sympatii dla ludów, które cesarz powierzył jego opiece, oraz dla uczczenia żydowskiej Paschy także w tym roku postanowił dać miastu prezent w postaci uwolnienia jednego więźnia. Ze szczególną przyjemnością komunikuje tedy, że Jezus z Nazaretu będzie wolny.

Ludzie na placu spoglądali po sobie pytającym wzrokiem. Jezus z Nazaretu? Galilejczyk? Woleliby kogoś innego, swojaka... Poprzednio mieli zawsze kilku do wyboru, nie mogą stracić tego prawa... starczy narzuconej opiekuńczości, nie zatka im ust byle Nazarejczykiem!

Przez tłum przebiegł pomruk niezadowolenia. Poncjusz czuł, że winien jest jakieś wyjaśnienie, więc przypomniał, iż zarówno on, jak i Herod Antypas przesłuchali oskarżonego i żaden z nich nie doszukał się potwierdzenia zarzutów.

Tych na dole nie obchodziła jednak kwestia winy bądź niewinności. Co tu

ma do powiedzenia Herod Antypas?! W Galilei może sobie wypuszczać więźniów na pęczki, ale tutaj jest Jerozolima! Żaden Nazarejczyk nikogo nie ziębi ni grzeje... Chcą innego, kogoś, kogo znają...

Czyżby nie wiedzieli, kogo Poncjusz ma na myśli? Rozkazał strażom przyprowadzić więźnia. Ludzie na pewno się zorientują, o kogo chodzi. Tłum w dole wciąż gęstniał, napierał ze wszystkich stron, od świątyni nadciągali kapłani i uczeni w Piśmie, co do jednego... Poncjusz nigdy dotąd nie widział tu takiego mrowia ludu. Faryzeusze, łatwo rozpoznawalni po obszytych frędzlami szatach, dwoili się i troili, kręcili od grupy do grupy, przekonywali, gestykulowali... Plac powoli zaczynał przypominać olbrzymi kipiący kocioł. Annasz z Kajfaszem torowali sobie drogę do pierwszego rzędu pod blankami, tuż u stóp Poncjusza. Na widok arcykapłanów ludzie zaczęli rozstępować się z szacunkiem.

Usłyszał za plecami kroki. To więzień. Blady, z zaschniętymi strużkami krwi na czole, obolały, brudny, lecz spokojny, cierpliwy.

Poncjusza ogarnęła litość i współczucie. Odprawił strażę i ruchem dłoni wezwał więźnia bliżej, by wszyscy go mogli ujrzeć na blankach.

- Oto ten człowiek! - zawołał przekonany, że nikt w imię miłosierdzia nie oprze się takiemu widokowi.

Tym na placu obce jednak było zmiłowanie nad czyimś cierpieniem. Dość mieli swoich trosk. Na co im jakiś umęczony Galilejczyk, gdy wokół w mieście tyle biedy i nieszczęścia. Nikogo on tu nie wzruszy.

Zabrać tego Nazarejczyka! Na krzyż z nim! Niech szeźnie! Nikt tu po nim nie będzie płakał!

Przez twarz więźnia przebiegł skurcz - cień niewypowiedzianego żalu.

Poncjusz wpatrywał się z niedowierzaniem w tłuszcę, postąpił kilka

kroków i zasłonił sobą więźnia. Zaprawdę otrzymają za chwilę wybór, którego się tak domagają.

- Jezus z Nazaretu albo Barabasz! - krzyknął rozzłoszczony.

- Barabasz! Uwolnij nam Barabasza! Barabasz!... - usłyszał w odpowiedzi. Okrzyki narastały, imię mordercy unosiło się jak wezbrane fale ku postaci odzianej w szatę koloru krwi.

Czyż oni wszyscy postradali rozum?! Poncjusz zacisnął zęby. Jak tylko się trochę uciszy, przemówi im do rozsądku... ale już w pierwszej próbie został kompletnie zagłuszony. Motłoch na placu nie dał sobą powodować. Milczący dotąd Kajfasz wystąpił naprzód i uniósł dłoń. Hałas przycichł.

- Człowiek, którego chcesz uwolnić, namiestniku, nazwał się Mesjaszem, synem żywego Boga, szydząc z naszego Pana. A to Prawo nakazuje karać śmiercią. Dlatego ja, najwyższy kapłan Kajfasz, w imieniu ludu Izraela i naszego Boga żądam dla Jezusa z Nazaretu śmierci przez ukrzyżowanie.

Poncjusz spoglądał na ludzką kipieli na placu. Więc to tak... Więc to tu jest jądro sprawy i przyczyna wrogości. To zabija litość i poczucie sprawiedliwości, obraca w popiół odruch serca i rozpala do białości nienawiść? Obraza Boga...

Cóż, skoro rzecz dotyczyła drwin z Boga, sytuacja stała się poważna. Nie tylko wyszydzanie Jahwe, lecz jakiegokolwiek bóstwa karane było śmiercią jako sprzeciwianie się niebu i porządkowi wszechrzeczy. W takim razie rozprawa przeciw Nazarejczykowi musi zostać w całości wznowiona.

Prokurator z pomroczną twarzą zszedł z murów. Rozkazał ponownie rozpocząć sąd na Gabbacie i zawiadomić o tym Kajfasza. W drodze przez zakamarki twierdzy rozmyślał nad kolejnym oskarżeniem.

Obraza bóstwa... Jeśli ktoś twierdzi, że jest władcą z innego świata, wolno mu chyba także utrzymywać, iż jest synem Boga i nazywać się Mesjaszem? Taka możliwość bezsprzecznie istnieje.

Z drugiej jednak strony, jeśli Kajfasz ma rację i oskarżenie nie jest fałszywe, to dlaczego nie użył tego zarzutu wcześniej, wpierw pomawiając Jezusa o co innego? Dlaczego zwlekał? Czyżby się bał? A może sam podejrzewa, że Nazarejczyk nie jest zwykłym synem cieśli? Może właśnie dlatego chce go usunąć z drogi?

Mesjasz, syn żywego Boga... Żywego, w odróżnieniu od martwych bogów innych nacji, na przykład rzymskiego ubóstwionego zmarłego Augusta.

Czyżby Kajfasz chciał rozdrażnić cesarskiego prokuratora, kładąc te słowa w usta oskarżonego? Czy ktoś taki jak ten Nazarejczyk może być szydercą i buntownikiem, skoro nieledwie przed chwilą znosił wyrozumiale i bez skargi drwiny i nienawiść?

Na Gabbacie wszyscy byli już na miejscach, a u stóp schodów czekali Annasz i Kajfasz z uczonymi w Piśmie. Za nimi kłębił się stale gęstniejący tłum. Na koniec dotarł tu także więzień. Prowadzony po niezliczonych schodach Antonii, utracił resztkę sił i wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć.

Poncjusz kazał mu podać imię ojca i matki, tudzież własne i datę jego nadania. Czy brzmi ono Mesjasz? Kim jest jego ojciec, czy cieślą?

Dlaczego podsądny nazywa siebie królem? Czy ma jakieś prawo do owego królestwa w innym świecie, o którym opowiada? I co w ogóle rozumie pod tą nazwą?

Stawiał pytania możliwie prosto i jednoznacznie, lecz więzień ani drgnął, zdawał się ich nie słuchać. Prokurator powtórzył więc raz jeszcze, dodając, że imię i pochodzenie są mu potrzebne do odrzucenia oskarżenia. Na

próżno. Nazarejczyk jakby skamieniał. Niemy i nieobecny duchem wpatrywał się przed siebie. Poncjusz badał wzrokiem nieruchomą twarz. Czy jest tak zboląły, że nie słyszy, czy też stracił rozum?

- Czy nie wiesz, że mam władzę uwolnić Ciebie i mam władzę Ciebie ukrzyżować? - spytał, żeby nim wstrząsnąć.

Ten człowiek musi pojąć, że chce mu za wszelką cenę pomóc... Więzień zbudził się z otępienia.

- Nie miałbyś żadnej władzy nade Mną, gdyby ci jej nie dano z góry - odpowiedział spokojnie, lecz zdecydowanie. - Dlatego większy grzech ma ten, który Mnie wydał tobie.

Poncjusz oniemiał. Większy grzech?! Oskarżony sędzi sędziego?! Czy on chce umrzeć? Wygląda na to, że rozumie każdą teńkie słowo i odmawia odpowiedzi... nie chce być uratowany...

Więzień zauważył zmieszanie Poncjusza i zmęczone, smutne oczy rozjaśniły się nagłym blaskiem. Prokurator zapomniał o wszystkim - nigdy dotąd nie napotkał takiego spojrzenia. Potężny, gorący i ożywczy strumień przeniknął rozum i zmysły, dotarł do samej duszy... Poncjusz nie wytrzymał tego wzroku, schylił głowę. Nie, ten człowiek nie jest buntownikiem ani szydercą, nie bezczęści świętości...

Nim się opamiętał, już był na tarasie.

- Nie znajduję winy w tym człowieku! - zawołał na cały plac, jakby wzywał ratunku.

Zauważył to Kajfasz i wziął się pod boki.

- Jeżeli go uwolnisz, nie jesteś przyjacielem Cezara. Każdy, kto się czyni królem, sprzeciwia się Cezarowi - odkrzyknął z groźbą w głosie.

Czyżby cały świat stanął na głowie? Poncjusz wsparł się o sędziowskie

krzesło. To się nie może dziać naprawdę, to tylko senny koszmar, z którego się zaraz obudzi! Ten nędzny Żyd odważa się grozić cesarzem jemu, owego cesarza zastępcy, namiestnikowi samego Rzymu, wybranemu i wskazanemu przez Tyberiusza! I to w momencie gdy w sali obok więzień sędzi swego prokuratora, a zebrany lud żąda uwolnienia mordercy i wznosi okrzyki na cześć Barabasza! Co za dzień przeklęty!

Poncjusz zerknął na niebo zaciągnięte szarozłotymi chmurami...! Wszystko się poplątało... W jaskrawym świetle zmrużył oczy, by dostrzec twarz Kajfasza.

Arcykapłan zapowiada więc odwołanie od wyroku, zaskarżenie go do cesarza. Cóż, ma do tego prawo, podobnie jak Rada. Wyśle najprzedniejszych obywateli Judei jako świadków oskarżenia, które w tym rozliczeniowym okresie powaliło już niejednego, oskarżenia o *crimen laesae maiestatis*, sprzeciwianie się imperatorowi.

Jak w tym kontekście wyglądają jego, Poncjusza, szanse? Skromniutki protokół z przesłuchania to wszystko, czym się może pochwalić, i nie będzie wiele więcej, póki więzień odmawia współpracy. Cóż waży odniesione wrażenie wsparte kulfonami żony na łupkowej tabliczce w chwili, gdy więzienia przepełnione są osobistościami, a na pulpicie Tyberiusza piętrzą się stosy ważnych spraw, bo nie jest w stanie ich wszystkich rozsądzić? Po co więc cesarz trzyma w Palestynie swego reprezentanta, skoro zawracają mu głowę losem jakiegoś nikomu nie znanego mieszkańca Nazaretu? I to takiego, o którym lokalne władze wiedzą, że jest niebezpieczny, i któremu mogą to udowodnić...

Nie, w przypadku apelacji nie ma w starciu z Sanhedrynem żadnych szans. Kajfasz zaś jest dość sprytny, by się w tym orientować. Trzeba szybko

zwijać żagle, jeśli chce zachować głowę na karku. Dlaczego ma ryzykować utratę zaufania cesarza tylko po to, by pomóc człowiekowi, który sam nie pragnie się ratować? Zwłaszcza że prawdopodobieństwo uratowania jest tu niewielkie.

Niepewnie rozejrzył się po placu. Dostrzegł Annasza, którego darzył głębokim respektem.

- Cóż więc mam uczynić z tym... królem żydowskim? - zapytał wycofując się ze swojej decyzji.

Chciał pokazać, że pojął, w którym punkcie Kajfasz zyskał przewagę.

- Poza Cezarem nie mamy króla! - odpowiedział Kajfasz, nie kryjąc tryumfu.

Za jego plecami wzniósł się chór tysięcy zwycięskich głosów:

- Ukrzyżuj go! Ukrzyżuj!

Ten człowiek jest jednak niewinny... W tym Poncjusz nie ustąpi. Wezwał niewolnika, by przyniósł misę z wodą, i na oczach zebranych umył ręce.

- Nie jestem winny krwi tego Sprawiedliwego - rzekł głośno i wyraźnie, wycierając dłonie.

Tłum na placu zaakceptował te słowa i wziął odpowiedzialność na siebie.

- Krew jego na nas i na dzieci nasze! - wołali ludzie. - Ukrzyżuj go!

Ukrzyżuj!

Poncjusz stał jeszcze chwilę bez ruchu, wreszcie usiadł na kurulnym krześle.

- Bierzcie go tedy... i czyńcie z nim, co wasze Prawo nakazuje.

Dał sankcję? Wola ludu się spełniła.

Pozostało jeszcze kilka formalności. Wyrok należało sporządzić w dwóch

egzemplarzach i podpisać. Podobnie nakaz uwolnienia Barabasa. Udzielił zgody, więc nie było powodów do odwlekania. Nazarejczyk miał zostać ukrzyżowany natychmiast, a razem z nim obaj złoczyńcy.

Komendant odebrał rozkaz wykonania wyroku. Ukrzyżować. Tak jest!

Poncjusz wręczył mu nakaz uwolnienia. Barabasz? A co z jego pomocnikami? Ich też wypuścić?

Prokurator pokręcił przecząco głową. Nie, obaj mają zawisnąć na krzyżu.

Komendant nie krył zdumienia. Herszt puszczony wolno, a jego podwładni ukarani?

- Obchodzimy żydowskie święto i z tej okazji stosujemy żydowski wymiar sprawiedliwości - wyjaśnił Poncjusz ironicznie.

Komendant pojął wreszcie - tak, tak, ci Żydzi... Powtórzył rozkazy, tymczasem Poncjusz wypisał na kawałku papirusu po łacinie, grecku i hebrajsku: Jezus z Nazaretu, król żydowski. Napis ma zostać umieszczony na krzyżu w widocznym miejscu - niech ludzie wiedzą, o co został oskarżony. Wprawdzie wykracza to poza ramy przyjętej praktyki, ale też Nazarejczyk nie jest zwykłym przestępcą.

Komendant twierdzi już wychodził, gdy Poncjuszowi przypomniało się błazeńskie przebranie skazanego. Niech dadzą mu własne odzienie... i jeszcze jedno, ten żydowski napój odurzający... niech wyślą wino z mirrą na miejsce kaźni, ale z zaznaczeniem, że to dla Nazarejczyka, nie dla tamtych dwóch.

Nic więcej już nie miał do zrobienia - nic więcej nie mógł uczynić.

Pożegnał skinieniem głowy obecnych i odszedł do komnat, które zajmowali z Prokulą. W korytarzu dobiegł go dźwięk dzwonu obiadowego z dziedzińca. Mijała siódma godzina tego straconego dnia. Ogarnęło go

obezwładniające poczucie klęski - Kajfasz potrafi usunąć w cień każdego. Niemal u progu dogonił go wartownik. Poncjusz odwrócił się zirytowany.

- Co znowu?

- Żydzi chcą zmiany napisu na krzyżu. Nie ma być: Jezus z Nazaretu, król żydowski, tylko że nazwał się królem żydowskim.

- Co napisałem, to napisałem - rzucił gniewnie. - Są przecież jakieś granice...

Obiad stygnie. Prokurator spieszy do sali jadalnej. Brakuje nakrycia dla Prokuli, która niedysponowana, pozostała dziś w swoich pokojach. Może to z powodu pogody? Już miał do niej pójść i spytać o samopoczucie, gdy przypomniała mu się tabliczka za pasem. Może Prokula jeszcze nie zna wyroku? Nie, lepiej poczekać do wieczora. Pewnie go właśnie rozciągają na krzyżu, układają nogi i ramiona, szykują gwoździe. Młotek leży w zasięgu ręki... Poncjusz miał przed oczami bladą, poprzecinaną błękitnymi żyłkami skórę po wewnętrznej stronie dłoni skazańca. Zanim go wyprowadzono, rozłożył je, jakby o coś prosił.

Prokurator odsunął gwałtownie talerz, omal nie przewrócił pucharu z winem. Cóż za niemądre skojarzenia! Myślałby kto, że nigdy przedtem nie podpisywał wyroku śmierci! Ten człowiek był zgubiony w chwili, gdy odmówił współpracy, mając przeciw sobie całe miasto. Nie do uratowania, skoro zachowywał się tak biernie...

Nie, chyba jednak nie jest głodny. Powinien raczej udać się na konną przejażdżkę, w czym mu przeszkadzono rankiem. Wysłał niewolnika do stajni i poszedł się przebrać.

Ksantypa grzebała kopytem i tuliła uszy, nieprzyzwyczajona do wycieczek o tej porze. W skwarze południa się odpoczywa. Poncjusz z miejsca

poznał, że klacz jest nie w humorze. Tak, są dzisiaj w takim samym nastroju, jak zresztą zawsze. Orszak czekał w gotowości, ale prokurator go odprawił, chciał jechać sam. Adiutant ostrożnie zakwestionował decyzję - czy to na pewno dobry pomysł, by namiestnik wyruszał na własną rękę, bez liktora lub pacholka, gdy teraz przy święcie kręci się po ulicach tyle podejrzanych indywiduów?

A co to przeszkadza? Jemu, który od dziś może zaliczać rozbójnika i mordercę Barabasz do grona swoich przyjaciół?

Wskoczył na siodło i z gorzkim uśmiechem na ustach wyjechał z twierdzy. Skierował się na północ ku Bramie Damasceńskiej, by jak najszybciej dotrzeć na otwartą przestrzeń. Za murami po obu stronach drogi czerniały gęsto rozstawione spiczaste namioty z kozich skór. Pomędzy nimi pasły się brudnoszare osiołki, gdzieniegdzie ze wzrokiem utkwionym przed siebie spoczywał w majestatycznym spokoju wielbłąd. Obozowisko biedoty. Ostatnio kiedy Poncjusz tędy przejeżdżał, widział wielkie stada jagniąt skubiące trawę w błogiej nieświadomości swego przeznaczenia. Dzisiaj nie widać ani jednego.

Przy północnym trakcie spotykało się przeważnie Galilejczyków. Zapewne Nazarejczyk niejeden raz się tu pojawiał. Może ci właśnie zamiejscowi mieszkańcy namiotów wyszli mu naprzeciw podczas tak zwanego wjazdu? Chociaż ów wjazd odbył się chyba gdzieś z drugiej strony miasta, przy Górze Oliwnej...

W porze poobiedniej sjesty droga była pusta, tylko czasami coś się poruszyło pod skórą na żerdziach, ale ci, którzy przyglądali się jeźdźcowi, przybyli z daleka, nie rozpoznali go... Może by tak zejść z konia i popytać, czy kto z nich nie słyszał o proroku z Nazaretu? Na

początek uda, że szuka w pobliżu jakiejś bocznej drogi, a potem nawiąże rozmowę... Gdyby się w czas zastanowił, mógł tu zebrać informacje i świadków potrzebnych na Gabbacie. A teraz za późno... Skazaniec wisi na krzyżu. Nie, nie warto się zatrzymywać, zwróci jedynie na siebie uwagę. Po chwili skręcił z głównej trasy prosto na zachód. Nieznana ścieżka wiała się między kamienistymi poletkami i zagonkami warzyw. Poncjusz kilkakrotnie przeskakiwał kamienne płoty, pilnując, by ominąć ziemię uprawną. Nie chciał niszczyć plonów krwawicy biedaków. Ubogim wieśniakom żyło się tu równie nielekką jak gdzie indziej... Cieśla? Podobno wokół Nazaretu rosną gęste dębowe lasy.

Może to mimo wszystko daje całkiem niezły dochód, choć na pewno nie bogactwo. Skromne warunki jak na króla...

Skąd u niego to poczucie pewności i autorytet? "Nie miałbyś żadnej władzy nade mną, gdyby ci jej nie dano z góry." Powiedział to naturalnie, bez odrobiny arogancji, po prostu uporządkował pojęcia. "Z góry", czyli od cesarza. Bo chyba jego miał na myśli? "Dlatego większy grzech ma ten, który mnie wydał." Tak to ujął? Większy? - zanim popełniono ów grzech, zanim Poncjusz podpisał sankcję, ba, nim w ogóle powziął decyzję!

Czyżby zajrzał w przyszłość i upewnił się, że umrze? Poddał się? Może odgadł myśli Kajfasza? Wiedział, że arcykapłan zamierza wnieść apelację, i przypomniał sędziemu o posłuszeństwie należnym temu, co pochodzi "z góry"?

Czy mógł wcześniej znać zakończenie sprawy, która wydawała się tak nieprzewidziana, zgoła przypadkowa? A może wcale taka nie była?

Poncjusz usiłował znaleźć wyjście z tej gęstwiny zagadek. Nie spostrzegł, że Ksantypa się zatrzymała, bije kopytami i parska. Dopiero gdy rzuciła

łbem, pryskając kłaczkami piany, oderwał się od rozmyślań i dostrzegł, że z klaczy leje się pot i cała drży. Drapieźniki? Tak blisko miasta? Rozejrzał się dookoła i próbował ruszyć z miejsca, ale Ksantypa stała jak przymurowana, nie reagowała, nawet gdy jej z całej siły wbijał w bok ostrogi. Piana spływała po munsztuku, a każdy mięsień napinał się jak cięciwa.

Pociemniało. Nieba nie kryły już zwały chmur, stało się po prostu całkiem czarne. Wtem rozległ się potężniejący pomruk z głębi ziemi, grunt zadrżał i w tym samym momencie oszalała ze strachu Ksantypa z pianą na pysku ruszyła przed siebie jak strzała. Poncjusz puścił cugle. Nikt by jej teraz nie okiełznał. Porwała go ze sobą, uczeponego siodła i przytulonego do grzbietu, by go nie zmiotły mijane w pędzie konary. Byle się utrzymać, to nie potrwa długo. Jeśli Ksantypa się potknie, koniec z nim.

W pełnym galopie klacz skrzyła na utwardzoną drogę. Kopyta biły o bruk. Jeździec powoli się wyprostował, lekko ściągnął wodze. W ułamku sekundy Ksantypa opadła z sił i przeszła w kłus. Poncjusz zaświstał uspokajająco i wreszcie odzyskał nad nią panowanie.

Powoli zaczęło się rozjaśniać. Zza pokrywy chmur wyłoniła się ogniście czerwona kula słońca. Poncjusz rozpoznał, gdzie jest. Trakt na Arymateę; zaraz będą w domu, już widać Bramę Efraimską.

Nie, tylko nie ta brama, dość na dzisiaj! Tak gwałtownie pociągnął za lewą wodzę, że klacz nieledwie stanęła dęba. Zmęczona, poddała się jednak i skrzyła. Droga wzdłuż muru obronnego była niewiele lepsza od wydeptanej ścieżki, ale nie szkodzi, byle dotrzeć do celu. Przy tamtej bramie zauważył pagórek. Nazywa się Golgota...

Na dziedzińcu pospieszono mu naprzeciw, pytając z troską, jak sobie

poradził podczas trzęsienia ziemi. Odpowiedział, że Ksantypa zafundowała mu niezłe przewietrzenie. Wszak wyjechał z twierdzy właśnie po to. Jak sytuacja tutaj i w mieście? Żadnych szkód? To dobrze, widocznie wstrząs był lekki.

Ledwie wszedł na górę, dostał wiadomość, że członek Wysokiej Rady, niejaki Józef z Arymatei, prosi o rozmowę.

Wizyta członka Sanhedrynu w dniu Przygotowania? To musi być coś ważnego. Może trzęsienie ziemi wcale nie było lekkie?

Poncjusz rozpoznał mężczyznę natychmiast, spotkali się kiedyś w Radzie. Pamiętał, że Józef jest spokojnym człowiekiem, który bez istotnego powodu nie zabiera głosu.

Po powitaniach zapytał gościa o skutki wstrząsów. Czy gdzieś doszło do znacznie większych szkód? Józef nie słyszał o zniszczeniach materialnych, natomiast w mieście panuje nerwowa atmosfera, bo w świątyni zasłona oddzielająca miejsce święte od najświętszego rozdarła się na dwoje, z góry na dół.

Poncjusz poprosił o szczegóły.

To było niedługo po obiedzie. Rada zebrała się znowu, bo Kajfasz chciał usunąć ciała ukrzyżowanych przed uroczystym szabatem. Zaproponował, by wysłać kolejną deputację do Antonii z prośbą o pozwolenie. Nie jest rzeczą Józefa krytykować, że Kajfasz zawczasu nie pomyślał o szabacie i tak się spieszył ze zgładzeniem Nazarejczyka. Stwierdza tylko fakt, iż wstrząs nastąpił w trakcie posiedzenia. Niezaprzeczalnie dało się zauważyć pewne zaniepokojenie, ale żadnej paniki - dopóki nie przybiegły zdyszane strażnicy świątynne, donosząc, że ktoś wdarł się do najświętszego miejsca i rozerwał zasłonę.

Wtedy dopiero zapanowało przerażenie, bo to przecież profanacja. Kiedy jednak Kajfasz przybył na miejsce, nie znalazł śladów niszczycielskiej działalności człowieka, a obecni w gmachu podczas trzęsienia ziemi przypisali nieszczęście podziemnym drganiom. Zgodzono się więc, że musi to być znak od Boga, i uczeni od razu zabrali się za studiowanie Pism, by rzecz odpowiednio wyłożyć. Podobnie, skoro najświętsze miejsce nie zostało naruszone, postanowiono kontynuować obchody Paschy, jak tylko naprawią zasłonę. Kajfasz wrócił uspokojony do Sanhedrynu i w dalszej części posiedzenia wyłoniono skład delegacji do namiestnika.

- Skład delegacji? - zdziwił się Poncjusz.

Więc Józef nie jest sam? Czy reszta czeka na zewnątrz?

Ależ nie, to nieporozumienie - Józef nie ma nic wspólnego z wysłannikami Kajfasza, którzy pewnie nadejdą wkrótce. Popadł w niełaskę arcykapłana, bo dziś w nocy opowiedział się po stronie Nazarejczyka i głosował przeciwko wyrokowi śmierci. Przyszedł do Poncjusza we własnej sprawie, która mu bardzo leży na sercu i której nie da się dłużej odwlekać.

Mówił to z takim wzruszeniem, że słowa więzły mu w gardle i tylko wzrokiem słał Rzymianinowi błaganie. Poncjusz zapewnił go pospiesznie, że zrobi wszystko co w jego mocy, żeby spełnić prośbę.

- Wiem, że masz dużo dobrej woli, namiestniku - w głosie Józefa słychać było wdzięczność - dlatego właśnie odważyłem się tu dzisiaj przyjść.

Chodzi mi o Mistrza z Nazaretu... Myśl, że nie spocznie w grobie, doprowadza mnie do rozpacz. Nie zaznam już nigdy spokoju, ni w dzień, ni w nocy, czy po tej, czy po tamtej stronie, jeśli ma zostać spalony w przeklętej dolinie Hinnom jak jakiś przestępca! On, Mistrz, który czynił

jedynie dobro!

A więc to jest ta "własna sprawa" Arymatejczyka? Zaiste, spalenie ciała dla Żyda jest gorsze od kary piekielnej, oznacza wieczne potępienie.

Poncjusz jednak wyjaśnił, że nie może wydać zwłok, póki się nie upewni, co Józef chce z nimi zrobić, czy złoży je w jakimś grobie i gdzie.

Usłyszał w odpowiedzi, że grób czeka gotowy. Jakiś czas temu Józef kupił ogród tuż za Bramą Efraimską i dał tam wykuć w skale grootę. Od razu pomyślał, że nieźle by było mieć grób w pobliżu traktu na Arymateę, jako że stamtąd pochodzi. A ponieważ nikt nie zna dnia ani godziny, na wszelki wypadek kazał nie zwlekając przygotować jedno miejsce. Pan jednak w swej łaskawości zachował dotąd przy życiu jego i wszystkich z rodu, toteż pieczara jest pusta. Tam pragnie za zgodą namiestnika złożyć ciało tego, który właśnie skonał. I widzi niemal palec Boży w tym, że grobowiec jest tak blisko Golgoty.

Tego, który właśnie skonał? Już? O tym Poncjusz także nie wiedział.

Starszy Rady pokrótce streścił, jako to spiesząc z posiedzenia do Antonii, by zdążyć przed deputacją od Kajfasza, napotkał jednego z uczniów Nazarejczyka, idącego prosto z Golgockiej skały, który mu powiedział, że Mistrz właśnie oddał ducha. Nikodem, który szedł z Józefem i który także głosował przeciwko ukrzyżowaniu, podążył na miejsce kaźni, a on - do namiestnika.

A więc męka się skończyła. Poncjusz westchnął. Cóż, w pewnym sensie to i dobrze, że tak szybko poszło. Wyśle zaraz jakiegoś oficera, żeby zebrał informacje. Jeśli Nazarejczyk nie żyje, mogą od razu zamknąć sprawę z pozostałymi skazańcami.

Z twierdzy na Golgotę było niedaleko. Poncjusz spytał więc Józefa, czy

nie zechce poczekać na powrót oficera. Tymczasem mógłby opowiedzieć coś więcej o zmarłym. Musiał mu być szczególnie bliski, skoro jako Żyd nie waha się wejść pod dach obcego w sam dzień Przygotowania.

- O tak! Nigdy nikogo nie umiłowalem tak jak jego - odrzekł Józef gorąco.

- Kiedy do nas przychodził, życie odradzało się na nowo. Cichł płacz dzieci, milkli młodzi, znikaly cierpienia starszych, a niezliczone troski dnia codziennego pierzchały w ką. Następowal pokój, czas uroczysty.

Wierzyliśmy, że jest Mesjaszem... ale teraz umarł i już go nie ma, skazany, ukrzyżowany jak najgorszy zbój.

Józefa znowu ogarnęło wzruszenie, ukrył twarz w dłoniach, a Poncjusz zapytał, jak to możliwe, żeby jedna i ta sama osoba budziła u niektórych tak wielką miłość, u innych zaś nieprzejednaną nienawiść. Dziś rano na Gabbacie powiało przecież lodowatym chłodem.

- Kto walczy ze Złem, zawsze budzi sprzeciw i gniew Szatana -

odpowiedział Józef, a Poncjusz dostrzegł w Arymatejczyku wewnętrzną siłę. - Ponieważ Mistrz był czystą miłością, ruszył nieustraszony do boju ze Złem na świecie, nie bacząc na własne bezpieczeństwo. Niedawno przepędził z dziedzińca przed świątynią bandę przekupniów i nikt wówczas nie ośmielił się protestować. Za to dzisiaj, gdy zjawił się tam spętany i bezbronny, pospólstwo wzięło odwet. Jak sepy się na niego rzucili, jak węże wypełzli ze swoich brudnych kramów, plując jadem i nienawiścią.

To prawda, że dziedziniec świątynny często przypominał bazar.

Handlowano tam nie tylko winem, zwierzętami ofiarnymi i darami, lecz także błyskotkami i innym śmieciem. Nigdzie indziej pieniądz tak szybko nie zmieniał właściciela jak właśnie tam: pokątnie nawet oferowano

kobiety. O ile tylko kasa świątyni otrzymywała swoją część zysku, straż na wiele rzeczy patrzyły przez palce. Jeśli Mistrz z Nazaretu chciał zrobić porządek w tym gnieździe os, opadł go cały rój. Niemniej nie wszyscy na Gabbacie należeli do kramarzy i świątynnego plebsu. W pierwszych rzędach stali członkowie Rady - starsi, kapłani i uczeni w Piśmie. Skąd u nich ta pełna nienawiści postawa? Józef był ostrożny. Nie chce nikogo dotknąć, lecz Poncjusz chyba zdaje sobie sprawę z tego, że wielu Judejczyków wzdycha do własnego władcy i Galilea wydaje im się oazą wolności. W dodatku Herod Antypas czyni wszystko, by zwabić ludzi na swoje tereny i do nowo wybudowanego miasta. Tyberiada stała się solą w oku władz Jerozolimy, więc kiedy do Judei dotarła wieść o wielkim proroku z dzielnicy tetrarchy, wzbudziła niepokój i zawiść.

Kajfasz nasłał na Mistrza szpiegów. Pod płaszczykiem prawowierności kryli swą zawiść i zastawiali pułapki, pytając o wykładnię Pisma i Prawa, on jednak rwał wszystkie wnyki i nikt nie potrafił się przeciwstawić sile jego wymowy. Kłębowskiem węży nazywał tych, którzy z pobożnymi minami czatowali nań w ukryciu, a zaprawdę różna to była mowa od czci, z którą się do nich zwracano w ojczystych stronach. Toteż rosła ich nienawiść na wyścigi z jego sławą. Dopiero jednak ostatnio, gdy się pojawił w mieście, sprawy przybrały groźny obrót. Podczas wjazdu, który przypominał raczej tryumf jakiegoś wodza, władze mogły się przekonać, jak go kochano tutaj, w żydowskim centrum świętości, w siedzibie Przybytku. Kajfasz zwołał więc starszych i całą Radę, by zdecydowali o przerwaniu działalności proroka. Chyba lepiej pozbawić życia tego jednego, niż gdyby cały naród znalazł się na manowcach, twierdził. Większość zebranych go poparła - nie dlatego że leżało im na sercu dobro

ludu, lecz że obawiali się sami stracić nad nim władzę.

Poncjusz spytał, jak go pojмали. Czy gdy składał ofiarę w świątyni, czy też zwabili go w zasadzkę gdzie indziej?

- To się stało poza miastem, nie w świątyni. Nazarejczyk nie składał nigdy ofiar... Przekupili jednego z uczniów, który go niecnie zdradził za trzydzieści srebrników, przeciętną cenę jednego niewolnika.

Józef kolejny raz pogrzyżył się w żalu. Poncjusz odczekał stosowną chwilę, zanim postawił następne pytanie.

- Jak to się mogło stać, że tak bystry człowiek nie przejrzał zdrajcy, należącego bądź co bądź do grona mu najbliższych?

- Nikt lepiej od Mistrza nie wiedział, kto go zdradzi - szepnął Józef ze smutkiem. - Nawet wskazał go innym uczniom. Ciągłe mówił o czekającym go cierpieniu i śmierci, aż kiedyś uczniowie zaprotestowali, a jeden z nich powiedział, że wcale się tak stać nie musi. I co Mistrz odpowiedział? - Józef spojrzał Poncjuszowi w oczy. - Idź precz, Szatanie, rzekł, zajmujesz się tylko tym, co należy do tego świata!

Tego świata? Rzymianin cofnął się nagle na krześle. "Królestwo moje nie jest z tego świata. Gdyby było z tego świata królestwo moje, słudzy moi by mnie obronili." Podniósł się gwałtownie, zaczął spacerować po sali, od czasu do czasu zerkając na Józefa... Nie z tego świata... Te słowa zdawały się dzwonić mu w uszach. Dwa razy dzisiaj słyszał to samo określenie - nie z tego świata.

Józef pochylony objął głowę rękami i kiwał się powoli w przód i w tył, jakby próbował ukołysać żal. Poncjusz dotknął delikatnie jego ramienia.

- Powiedz mi, proszę... przecież go znałeś... czy twój Mistrz był synem jakiegoś boga?

Arymatejczyk podniósł skurczoną z bólu twarz.

- Cóż ja mogę wiedzieć? - W jego głosie pobrzmiwało cierpienie. - Był światłem świata, które teraz zgasło. Otacza mnie ciemność, a któż ujrzy cokolwiek w czerni nocy? Wiem jedynie, że żaden człowiek nie miał tak świetlistej duszy i równie czystego serca.

Oficer wysłany na Golgotę powrócił. Józef z Arymatei miał rację, Nazarejczyk nie żyje. Dla pewności wbili mu w bok oszczep - nie poruszył się, a z rany wypłynęła krew i woda.

Poncjusz szykował pisemne zezwolenie, żeby nikt nie przeszkodził w zabraniu ciała. W tym czasie Józef rozmawiał z oficerem.

Strażnicy ponoć nigdy nie widzieli, by ktoś tak spokojnie szedł na śmierć krzyżową. Nawet gdy go mocowali do krzyża, nie walczył jak inni o życie, tylko ułożył się posłusznie i modlił za tych, którzy wbijali gwoździe w jego dłonie. Za tych, którzy go uśmiercali... Złękli się nie na żarty; normalnie żaden człowiek tak nie reaguje. A wiedzą, co mówią i w niejednej egzekucji już brali udział.

Poncjusz przerwał pisanie. Może wino uczyniło go tak powolnym? Oficer zaprzeczył. Nazarejczyk tylko spróbował i odmówił wypicia.

Umarł o dziewiątej godzinie dnia. Głowa opadła mu na piersi w momencie, gdy zadrżała ziemia, co dodatkowo zaniepokoiło strażników.

- To był święty człowiek - szepnął Józef, składając dłonie.

Oficer obrócił nań wzrok. Tych samych dziwnych słów użył jeden z oprawców.

Starszy z Arymatei padł w podzięcie na kolana, kiedy Poncjusz wręczył mu pozwolenie. Prokurator, zażenowany, spieszenie go podniósł i odprowadził aż do drzwi, mówiąc, że ceni sobie możliwość wyświadczenia tej

przysługi.

Wizyta poprawiła mu humor. Czuł ssanie w żołądku. Od śniadania nie miał nic w ustach. W jadalni tym razem także nie nakryto dla Prokuli, Poncjusz zaprosił więc do towarzystwa komendanta twierdzy i kilku oficerów.

W trakcie posiłku adiutant znowu zameldował deputację. Poncjusz obrócił się zniecierpliwiony - straszny tu dzisiaj ruch. Chciałby wreszcie zjeść w spokoju i nie biegać ciągle na dół. Jeśli to jakaś pilna sprawa, mogą ją przekazać ustnie, a lepiej niech się pofatygują innego dnia.

Adiutant wrócił niebawem z pozdrowieniem od Kajfasza. Znowu chodziło o ukrzyżowanego Nazarejczyka. Podobno jeszcze za życia oszust wielokrotnie twierdził, że na trzeci dzień po swojej śmierci zmartwychwstanie. Więc kiedy arcykapłan dowiedział się, że namiestnik pozwolił ciało pogrzebać, miast spalić, ogarnęła go obawa, że ktoś mógłby wykraść zwłoki i ogłosić, iż słowa proroka się spełniły. By zapobiec takiemu nadużyciu, Kajfasz prosi o zbrojne straże do pilnowania grobu na owe trzy dni.

Co za nieufność... Poncjusz westchnął. Coś takiego mógł wymyślić chyba tylko arcykapłan. Ale skoro się powiedziało Józefowi A, trzeba Kajfaszowi powiedzieć B - żeby go nikt nie nazwał stronnikiem.

- Wyślij od razu oddział straży - polecił adiutantowi - a oficerowi każ opieczetować grobowiec na Golgocie prokuratorowską pieczęcią. Potem spytaj tego natrętnego kapłana, czy go to zadowala i czy nam w końcu da spokój z tym nieszczęsnym Nazarejczykiem.

Następnego ranka Prokula także się nie pokazała i - co zastanawiające -

nie przesłała ani słowa. Może nie należało jednak przypisywać jej zachowania wyłącznie wpływowi pogody? Powietrze wprawdzie było równie nieruchome jak dnia poprzedniego, ale lepka duchota zelżała. Gdyby się czuła tylko niedysponowana, na pewno by poprosiła, żeby do niej zajrzał. Poncjusz zaczynał z wolna podejrzewać, że powodem jej nieobecności jest sprawa Nazarejczyka. Do tej chwili Prokula musiała się już dowiedzieć o mężowskiej decyzji i prawdopodobnie postanowiła urządzić małą demonstrację. Naturalnie nie przyszło jej do głowy, że on jako reprezentant cesarza nie może w publicznej sprawie uwzględniać prywatnych opinii swojej żony. Prokuli brakuje elastyczności w kwestii prawa i bezprawia, pomyślał.

Cóż, skoro nie ma ochoty się pojawić, to damy jej spokój. Wcześniej czy później przyjdzie, chociaż potrafi być nieugięta, zwłaszcza jeśli nabije sobie czymś głowę. Kiedy kąciki jej ust wyginają się w podkówkę, a oczy przybierają ów szczególny wyraz buntu, Poncjusz na ogół nie od razu się poddaje. Bywało już tak, choć niezbyt często.

Niedawno na przykład wymyśliła sobie, że wszyscy ludzie są równi. Twierdziła, iż zostali stworzeni na ten sam obraz i podobieństwo i wobec tego są braćmi. W związku z tym wszyscy niewolnicy powinni odzyskać wolność, nikt bowiem nie ma prawa zamykać swoich braci w poddaństwie. Chciała zacząć od własnych niewolnic.

Poncjusz zdecydowanie zaprotestował. Serdecznie dziękuje, nie życzy sobie byle kogo za brata - dość mu jednego Nigrina. W jego odczuciu ludzie bardzo się między sobą różnią i nie widzi żadnych podstaw do przyjęcia teorii o ich stworzeniu wedle jednego wzorca. Zawsze istniały dwa rodzaje, wolni i niewolni, i cały świat opierał się na tej różnicy.

Innymi słowy - nigdy by mu nie przyszło do głowy wyzwolić niewolnic Prokuli. I nie życzy sobie więcej dyskutować na ten temat.

Nie, skąd, nie dyskutowała, ale także się nie poddała i wróciła do sprawy przy najbliższej okazji. Nikt nie mógłby jej zarzucić uległości, a równocześnie Poncjusz nie potrafił się na nią naprawdę gniewać, bo w swym postępowaniu kierowała się zawsze sercem.

Tego dnia wszakże czuł się urażony niesprawiedliwym potraktowaniem. W świąteczny szabat, by obejrzeć ceremonię, ściągnęło do Antonii wielu cudzoziemców. Jednym z bardzo nielicznych obowiązków Prokuli było występowanie w takich sytuacjach u jego boku. I oto musi ich przyjmować sam. Czyż nie ma dość pracy i kłopotów, że go jeszcze zawodzi własna żona, pozostawiając na jego głowie cały ciężar reprezentacji? Czy Prokula nie sądzi, że on też się czasem chce zamknąć na cztery spusty w swojej sypialni? Tylko po prostu tak się nie robi. Jak się ma obowiązki, to się je wypełnia bez szemrania, a nawet z uprzejmą miną.

Poncjusz witał i rozmawiał, rozmawiał i witał, a w przerwach na zaczerpnięcie oddechu podchodził do okien. Dziedziniec świątyni szczelnie wypełniał odświętnie wystrojony tłum. Nawet pod samą Gabbatą czerniła się głowa przy głowie. Ludzie nie krzyczeli w zapamiętaniu jak dzień wcześniej, lecz przyoblekli twarze w uroczystą powagę.

W poprzednich latach to widowisko zawsze go ujmowało. Modły poruszały jakąś strunę w duszy. Dzisiaj jednak poczuł nagły niesmak i obrzydzenie. Nie dawała mu spokoju myśl o Kajfaszu, który w tej chwili z namaszczeniem przewodził świętym obrządkom, a dzień przedtem podstępem pozbawił życia niewinnego człowieka. Łatwo widać uwierzyć w pokutę i obmywać się z grzechu ofiarną krwią. Najwyraźniej wszyscy

bogowie na równi stają się dobrotliwie łaskawi, gdy tylko zwietrzą jej zapach. Pod tym względem Bóg Izraela nie różni się istotnie od innych. Ni stąd, ni zowąd Poncjusz spytał jednego z gości, który na tyle długo mieszkał w kraju, by poznać zarówno obyczaje, jak i religię, czy nigdy się nie zdarzyło, że Jahwe odrzucił ofiarę - a jeśli, to w jaki sposób dał to poznać.

Pytany wyraźnie się zmieszał. Zapewne takie przypadki miały miejsce, ale dawno temu; Jahwe złagodniał z czasem. Kilka stojących w pobliżu osób wybuchnęło śmiechem i Poncjusz pospieszył z wyjaśnieniem, że nie miał zamiaru drwić, spytał dlatego, że się nad tym właśnie zastanawiał.

W gruncie rzeczy ta myśl powinna towarzyszyć każdej ofierze. Jeśli ktoś przedtem sam w swoim sercu nie sprawdził, czy bogowie dadzą się przebłagać, to jego zdaniem ofiara równała się świętokradztwu. Rozważał przy tym zwłaszcza obecne wielkie święto, które miało wymazać popełnione w tym roku grzechy z sumień tak arcykapłana, jak i ludu.

W tym kierunku zapewne szły spekulacje Kajfasza w kwestii winy wobec Nazarejczyka...

Raptem Poncjusz przypomniał sobie, że człowiek z Nazaretu nigdy nie składał ofiar. Chętnie by się dowiedział czegoś więcej, ale nie było tu nikogo, kto by odpowiedział na jego pytania. Temat ukrzyżowanego najwyraźniej nie dawał mu spokoju, lecz w tym towarzystwie nie wypadało go poruszać. Może Prokula byłaby w stanie mu pomóc...

Ogarnęła go na nowo irytacja. Żeby przynajmniej przesłała wiadomość! Jak się skończy ten cały rejwach, wyjedzie daleko na polowanie - a Prokula niech sobie siedzi w samotności.

Tęsknił do swobody, do świeżego powietrza. Rzadko który dzień ciągnął

się tak jak ten.

wffr Nazajutrz obudził go stukot otwartej okiennicy i chłodny powiew.

Wiatr? Nie, to tylko pojedynczy podmuch. Poncjusz półprzytomny wyplątał się z pościeli, by zamknąć okno, i dopiero mocując się z haczykiem, całkowicie otrząsnął ze snu. Co za zmiana! Pogodne, bezchmurne niebo... Wciągał powietrze głęboko w płuca.

Sypialnia wychodziła na wschód. Nad Górą Oliwną świeża. W czystym, łagodnym świetle cienie rozpląwały się miękko. Na płaskich dachach uspiętego jeszcze miasta połyskiwała jak krople potu nocna rosa. Gdzieś w plątaninie zaułków ryknął osioł i cisza stała się jeszcze głębsza. Kroki nocnych straży na murach pod oknem odbijały się rytmicznym echem od wież twierdzy... Ostatnia warta - najdłuższa ze wszystkich godzin doby, gdy całym światem wstrząsa dreszcz napięcia o wynik walki światła z ciemnością. Ptak porusza skrzydłem, koń u żłobu przestępuje z nogi na nogę, pogrążeni we śnie obracają się na drugi bok - a czuwający otulają szczelniej płaszczem.

Poncjusz wzdrygnął się lekko i wsparty o parapet nastawił uszu. Gdzieś daleko zapiał kogut, rozległo się ujadanie psa i wycie szakala. Niebo na wschodzie jaśniało z każdą sekundą, płomyki jutrzeńki pełgały po grzbietach wzgórz, aż słońce ogarnęło promieniami całe niebo.

Dzień, nowy dzień, pierwszy dzień nowego tygodnia. Ze zmianą pogody zmęczenie jakby uleciało. Poncjusz przeciągnął się u okna. Zażądał śniadania. Tylko żadnych wizyt skoro świt! Ktokolwiek miałby coś do niego, może poczekać. Na początek godzinka fechtowania, a potem kąpiel - z zadowoleniem zatarł ręce.

W drodze na plac musztry natknął się w głównej klatce schodowej na

komendanta, który prosił o wybaczenie, że od rana przynosi niedobre nowiny. Chodzi znowu o tego Nazarejczyka... Jego zwłoki zniknęły, pieczara jest pusta. Strażnicy maszerujący na wartę napotkali żołnierzy, których mieli zmienić na posterunku przy grobie, biegnących co sił ku miastu. Wypytywani z trwogą w oczach opowiadali bez związku jeden przez drugiego, że nagle poczuli uderzenie i padli nieprzytomni na ziemię. Gdy odzyskali zmysły, pieczara grobowa była otwarta na całą szerokość, a trup zniknął. Z przerażenia uciekli.

Dowódca zawrócił ich z drogi. Rzeczywiście zastał grootę opustoszałą, a kamień zamykający wejście przewrócony. Przesłuchał ich formalnie; obaj zeznali to samo.

Pierwsza część nocy przebiegła normalnie. Chodzili w kółko po niewielkim sadzie i skracali sobie czas rozmową. Zastanawiali się, do czego komu potrzebne straże przy umarlaku. Kosztowności, o których słyszeli w Egipcie, przecież w grobie być nie mogło. Co prawda na arkuszu przybitym do krzyża napisano "król żydowski", ale nikt chyba tego nie brał poważnie.

Ostatnia godzina warty dłużyła się jak zwykle. Było im zimno, więc siedli obok siebie, żeby się ogrzać. Znaleźli dobre miejsce, pod drzewem, tuż przy wejściu do groty. Stamtąd mogli usłyszeć, gdyby ktoś nadchodził, i na czas stanąć na posterunku. Skoro po ciemku nie zjawił się żaden złodziej ani rozbójnik, to nad ranem na pewno już nikt nie przyjdzie.

Może bardziej zajmowali się wyglądaniami zmienników niż strzeżeniem grobu, kiedy się to wydarzyło. Jeden nazwał to uderzeniem, drugi hałasem, jakby pękała skała - równocześnie kamień w otworze się poluzował i przewrócił na bok. Strażnicy próbowali wstać, ale oślepił ich promień

światła jaśniejszy niż błyskawica i padli na ziemię.

Jeden sądził, że to błyskawica, ale nikt nie słyszał grzmotu, nieba zaś nie przysłaniała ani jedna chmurka. Drugi mniemał, że trzęsienie ziemi. Cóż, można sobie wyobrazić jakiś wstrząs, jak wtedy gdy rozerwała się zasłona w świątyni, lecz nikt dziś nie zauważył, by ziemia drżała... I jak połączyć blask z trzęsieniem ziemi?

Kłamali, bo chcieli uciec? Ale kto dezerteruje pod sam koniec wartowania? I ta trwoga w ich oczach... Żołnierze nie przeraziliby się byle czego.

Ogród został dokładnie przeszukany. Bruzda wyżłobiona przez upadający kamień odcinała się od podłoża jak blizna, natomiast dał się zauważyć brak śladów łopaty czy innego narzędzia, którym by można podważyć głaz. Poza tym - jakież złodziej ryzykowałby hałas przy odsuwaniu kamienia, gdy grób leży tuż przy drodze, a do tego pilnują go strażę? Zwłaszcza że głaz dużo ciszej chodzi w łożysku i nie trzeba go przewracać, by otworzyć pieczarę...

Kolejne odkrycie, tym razem wewnątrz groty, wywołało jeszcze większą niepewność. Mianowicie chusta i całun zostały starannie złożone. Kto traciłby czas na coś takiego, mając chwilę do wschodu słońca i za plecami strażników?

Oficer, który nie umiał doszukać się rozsądnego powiązania między tym, co widział, a opowiadaniem wartowników, zameldował o wszystkim komendantowi, a ponieważ komendant także nie znalazł wytłumaczenia tej zagadki, musiał złożyć raport wyżej. Nikt nie będzie bezkarnie łamał rzymskich pieczęci...

Zamyślony Poncjusz przyglądał się kilku kawałkom wosku, które

dowódca podniósł w ogrodzie. Sprawa Nazarejczyka znowu przybrała nieoczekiwany obrót. Tyle że... jeśli zwłoki zniknęły, to z miejsca można odrzucić wyjaśnienia straży o błyskawicy i trzęsieniu ziemi. Żeby pozbyć się ciała, nie potrzeba sił przyrody, lecz zupełnie innych. Albo to sprawka zwolenników Nazarejczyka, albo też ludzi Kajfasza. Wersja z arcykapłanem jest mało prawdopodobna, skoro sam prosił o wystawienie wart. Z drugiej strony, przy jego chytrości... A grób łatwo może się stać celem pielgrzymek. Jednak gdyby to Kajfasz stał za napadem, na pewno zaczęłyby owe trzy dni. Nie... nie da się zaprzeczyć, że podejrzania koncentrują się na grupie zwolenników człowieka z Nazaretu i że na nich w pierwszym rzędzie należy zwrócić uwagę. Tymczasem niech komendant ma oczy i uszy otwarte na wszystko, o czym się szepcze w kręgach świątynnych i w mieście.

Żeby Poncjusz choć przez chwilę przypuszczał, iż sprawy się tak potoczą, za żadne skarby nie kazałby opieczetować grobu. Gdyby nie to, mógłby teraz wzruszyć ramionami na wieść o całej aferze.

A Kajfaszowi i zwolennikom Nazarejczyka pozwolić obrzucać się nawzajem oskarżeniami o kradzież zwłok. W tym momencie jednak rzecz nabrała dla Rzymu najwyższego znaczenia.

Prokurator pożegnał komendanta i skierował się na dziedziniec. Zupełnie stracił humor. Zdawało się, że Nazarejczyk nie daje mu spokoju, że siłą się wciska do jego życia.

Tuż przy bramie głównej zauważył nagle Prokulę, owiniętą szczelnie welonem, a tuż za nią równie szczelnie osłoniętą Rachelę. Prokula szła szybko, nie rozglądając się na strony, przyzwyczajona, że jej ustępują z drogi.

Przystanął i wyciągniętym ramieniem zablokował jej przejście.

Wzdrygnęła się lekko.

- Witaj! Dawnośmy się nie widzieli - pozdrowił ją z ironią w głosie. -

Gdzieżeś to bywała tak wcześnie z samego rana?

- W mieście - odparła chłodno.

- To akurat nie ulega wątpliwości, że kto wchodzi główną bramą, był w mieście - kontynuował tym samym tonem. - Pytanie tylko, gdzie w mieście?

Prokula nie odpowiedziała, ruszyła dalej, ale Poncjusz jej nie odstępował. Najwyższy czas, żeby się wreszcie rozmówili. Miał dosyć jej humorów w ostatnich dniach. Dał znak Racheli, by ich zostawiła, a wszedłszy do komnaty, starannie zamknął drzwi.

- Myślałem, że nie będziemy nic przed sobą skrywać. - Zsunął jej welon z włosów, odsłaniając twarz. - Przestań sobie wyobrazać, że możesz mnie wodzić za nos. Doskonale wiem, gdzie obie z Rachelą chodziłyście: za mury, na wzgórze Golgota. Usłyszałaś, że grób Nazarejczyka opustoszał, i chciałaś to sprawdzić. Nazarejczyka wykradziono, ale sytuacja jest poważna nie przez to, co się z nim stało, lecz dlatego że złamano moją pieczęć. Sama rozumiesz, że jest to przestępstwo wobec Rzymu, więc pytam teraz jako cesarski prokurator: dlaczego interesujesz się Nazarejczykiem, Prokulo? Nie masz prawa milczeć, musisz wyznać całą prawdę.

Zarumieniła się i niemo wpatrywała w ziemię. Widać było, że walczy ze sobą.

- Pytaj więc - rzekła krótko po chwili.

Najpierw chciał wiedzieć, czy znała człowieka z Nazaretu osobiście.

Zdumiała go tabliczką przyslaną na Gabbatę. Nigdy o nim nie wspominała, ale przecież nie odważyłaby się wstawiać za nieznajomym? Czy znała Nazarejczyka? Musiała się zastanowić. Nie, nie w zwykłym znaczeniu tego słowa. Słyszała o nim, zarówno o jego wypowiedziach, jak i o cudownych uczynkach. Wielokrotnie też prosiła Rachelę o umożliwienie spotkania. Ale niewolnica nie śmiała wziąć jej ze sobą, bo lękała się, że jako niełojalna utraci szansę na wyzwolenie. Tymczasem marzenie Prokuli spełniło się - zupełnie nieoczekiwanie i bez pomocy Racheli.

- Dzisiaj mija dokładnie tydzień - powiedziała, licząc dni na palcach. - Wybierałam się właśnie na spacer na wieś w lektyce, ale jak tylko zbliżyliśmy się do bramy miejskiej, zrobił się straszny tłok. Nie mogliśmy się prawie ruszyć. Z ciekawości uchyliłam zasłony, żeby zobaczyć, co się stało. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Wydawało się, że cała bieda i nędza, ukryta w zaułkach tego miasta, nagle wyległa na ulice. Otaczali mnie ślepcy, chromi, chorzy, starcy, dziewczki, żebracy, opętani, wszyscy, których normalnie się nie widzi albo nie chce dostrzec. Obdarzeni wzrokiem wiedli ślepych, kto nie mógł iść, tego nieśli silniejsi, a wszyscy podążali za miasto, do doliny Cedronu. Zbliża się nasz król, wołali, zapominając o swych troskach, ranach i występkach. Zrywali kwiaty, łamali gałęzie, krzyczeli "Hosanna!"...

- Poleciałam niewolnikom, byśmy się usunęli w jedną z bocznych ulic, żeby nie tarasować drogi. Czekaając i przysłuchując się radosnym okrzykom, poczułam, że ogarnia mnie wstyd. Wydawało mi się, że moja czysta i cała suknia pali żywym ogniem, każdy błysk kamienia w klejnotach wbija się w serce jak igła. Spuściłam oczy, a wokół mnie falowała radość. Spójrzcie,

oto nadciąga nasz król! Dopiero kiedy tuż obok usłyszałam stukot kopyt osiołka, odważyłam się podnieść wzrok.

- Jego brązowy płaszcz obsypany był płatkami kwiatów, a cała postać promieniała łagodnością. W źrenicach lśniło szczęście i błogosławieństwo. Przy uliczce, w którą się skryłam z niewolnikami i pozłacaną lektyką, odwrócił głowę, spojrzął na mnie... dostrzegł mój wstyd i skinął lekko... Tym skinieniem podzielił się ze mną swoim szczęściem.

Prokula zamilkła. Twarz jej pałała, oddech się rwał, lecz nagle usta zaczęły drżeć.

- Rozumiesz mnie teraz, Poncjuszu? - W głosie brzmiał płacz. -

Rozumiesz, jaki ból mnie przeszył, gdy Rachela wpadła z wieścią, że go pojmano, związano, bito i męczono, ba, skazano na śmierć! że właśnie stoi przed tobą na Gabbacie! Chciałam biec, rzucić ci się do nóg, błagać, nawet poświęcić swe życie, ale Rachela mnie powstrzymała... Jest silniejsza... Powiedziała, żebym pomyślała o swej pozycji i o tobie, który jesteś moim mężem. Może miała rację, nie wiem. Jestem słaba, więc tylko napisałam wtedy wiadomość... żeby ratować mego Rabbuni.

A więc to był wjazd - oglądany z bocznej uliczki, nie zaś z wyżyn świątyni. Spójrzcie, oto nadchodzi nasz król! Król chorych, nędzarzy, nieszczęśliwych i załamanych. Przed oczami Poncjusza pojawiła się głowa w cierniowej koronie i pełne bólu spojrzenie. Słyszał własne słowa: Oto ten człowiek! Król cierpienia.

Tak, zrozumiał teraz powód wstawiennictwa Prokuli. Ale musiał wiedzieć więcej, wszystko; także to, skąd ma informację, co się wydarzyło rankiem. Czy od Racheli, czy też zna kogoś z rodziny zmarłego?

Prokula pokręciła przecząco głową. Nie stykała się z nikim z kręgów

bliskich Nazarejczykowi. To Rachela przybiegła do niej z wieścią. Była w mieście po zakupy na dzisiaj i na targu aż huczy od plotek.

Podobno matka zmarłego i kilka innych kobiet poszło do grobu, żeby namaścić zwłoki, ale kiedy przybyły na miejsce, zastały pieczarę pustą. Jedna z nich pozostała, żeby wypytać przechodzących, co się stało z ciałem, reszta pospieszyła do uczniów. Dwóch z nich od razu wyruszyło na trakt do Arymatei. Ta kobieta zaś, która czekała popłakując przy grobie, zobaczyła wśród drzew przechadzającego się mężczyznę. Myślała, że to ogrodnik, i spytała, co się stało ze zmarłym, kto go zabrał. Wtedy się do niej odwrócił i powiedział: Mario! I to był sam Ukrzyżowany!

Kobieta pobiegła do miasta. Z radości nie chciała wierzyć własnym oczom. Odszukała gromadkę uczniów i opowiedziała im o cudownej nowinie.

Czy oni jej uwierzyli? Nie byli pewni, czy mogą. Co prawda sami oglądali, jak ich Mistrz wskrzesza zmarłych, ale widzieli też, jak umierał. Kiedy dwaj uczniowie wrócili z Golgoty, potwierdzili, że grób jest pusty, Mistrza nigdzie nie ma.

Gdzie się wobec tego podział? Wiadomość, którą przesłał przez Marię, że się zjedą w Galilei, brzmiała tak znajomo, jak w czasach gdy razem wędrowali. Wtedy także często odchodził od nich na własne szlaki, wyznaczając miejsce spotkania.

Poncjusz nie przerywał Prokuli, słuchał. Nie miał serca niszczyć tej pajęczyny nadziei i marzeń utkanej przez zboląłą garstkę kobiet przy pustym grobie.

Kiedy zamilkła, wziął ją za rękę.

- Śmierć jest śmiercią - odezwał się łagodnie. - I nawet Orfeusz swoją

miłością nie zdołał wyrwać Eurydyki z jej szponów.

- Tak, myślałam o nim - powiedziała - ale chociaż muzyka Orfeusza sięgnęła niebios, jego miłość była jednak ograniczona, po ludzku ograniczona do jednej jedynej Eurydyki.

- Nie rozumiem.

- Mój Rabbuni kochał wszystkich, naprawdę wszystkich. Nim się ugiął pod ciężarem krzyża, odwrócił się do tych, którzy mu towarzyszyli, i prosił, aby nie płakali nad nim, tylko nad sobą i swymi dziećmi... On był samą miłością, jej istotą i objawieniem, dlatego miał siłę przejść tę drogę do ostatecznego końca, a nawet wzruszyć kamień grobowy i stać się życiem w śmierci.

Poncjusz przyglądał się smukłym palcom Prokuli. Przypominały delikatne łydki sitowia. Pierścienie wciąż jeszcze były zwrócone kamieniami na dół, aż do małego palca. Podniósł jej rękę i ostrożnie przekręcił je z powrotem, jeden po drugim.

- Mówiłaś, że się ich wstydzisz - przytulił dłoń do swojego policzka. - Nie masz się czego wstydzić, ukochana. Zostaw innych w spokoju, niech żyją wedle swojego przeznaczenia. Tyś się urodziła, by chodzić w czystych sukniach, by cię noszono w lektyce. Gdyby to leżało w mojej mocy, dostałabyś szczerozłotą.

Komendant nie zdołał wyjaśnić tajemnicy otwartego grobu. Ciało Nazarejczyka się nie odnalazło.

Opinie w mieście były podzielone.

Kręgi zbliżone do Kajfasza wysuwały oskarżenia pod adresem uczniów, twierdząc, że przekupili nocne straże. Tymczasem towarzysze

Nazarejczyka utrzymywali, że z równym powodzeniem mogli go uprowadzić wrogowie. Niektórzy mniemali, że Nazarejczyk w ogóle nie umarł, podczas gdy inni zapewniali, że umarł, żyje wszakże nadal, jak to sam przepowiedział. Czy człowiek, który przywracał innym zmarłych do życia, nie miałby siły przeciwstawić się własnej śmierci? Kto nie wierzy w jego cudowną moc, powinien się przespacerować do Betanii na Górze Oliwnej. Żył tam niejaki Łazarz, który umarł i spędził cztery dni w grobie, zanim Nazarejczyk go wskrzesił. Betania stała się z tego powodu celem tłumnych pielgrzymek i wielu po poznaniu owego Łazarza uznało zmartwychwstanie Nazarejczyka. Tak wielu, że jego bliscy zaczęli się obawiać Kajfasza i perspektywy, że Łazarz skończy tak samo jak jego Mistrz.

Komendant wybrał się osobiście do Betanii i musiał przyznać, że tego cudu nie da się podważyć. Wydarzył się w biały dzień, w obecności obcych ludzi, toteż mogli go potwierdzić nie tylko sam Łazarz i jego siostry, lecz cała społeczność. Jak jeden mąż zapewniali, że Łazarza złożono do grobu równie martwego, jak obecnie jest żywy.

- A co mamy sądzić o takich fenomenach prywatnie, komendancie? - spytał Poncjusz żartobliwie.

Sam nie wiedział, co o tym myśleć.

- Gdybyś mnie o to spytał dziesięć lat temu, Poncjuszu, w głos bym się roześmiał - odparł komendant. - Ale dzisiaj, uczciwie mówiąc, nie wiem. Jestem tu już tyle czasu, a im dłużej przebywam w tym kraju, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że Żydzi znacznie się od nas różnią. Że patrzą na świat zupełnie inaczej. Odkrywszy to, inaczej spojrzałem na tego typu sprawy. Nie wzruszam już ramionami, ale i nie wierzę. I jeśli nawet

rozumem nie przyjmuję wszystkiego, co słyszę, to nie jestem także w stanie tego odrzucić.

- A więc jesteśmy na najlepszej drodze do zostania Żydami... - Poncjusz utrzymywał ten sam lekki ton. - Innymi słowy, poddajemy się ludowi wybranemu...

Ironizował, ale nie do końca. Wrażenie, jakie zostawił po sobie Nazarejczyk, było silniejsze, niż Poncjusz miał ochotę przyznać. Gdyby nie ta nieszczęsna pieczęć, mógłby zapomnieć o całej historii.

- Żadnych wieści z Golgoty? - spytał.

Komendant potrząsnął głową. Nic, ani śladu, jedynie plotki. Uczniowie, którzy najpierw powątpiewali w zmartwychwstanie Mistrza, zaczęli zmieniać zdanie. Najstarszy powiada, że także widział go żywego i z nim rozmawiał. Dwóch innych spotkało go podobno na trakcie do Emaus.

Utrzymują, że jedli z nim wieczerzę.

Poncjusz spojrział przelotnie na komendanta. Zjedli wieczerzę? Wieczerzę z umarłym? Żarty sobie stroi?

To już szczyt wszystkiego! Można sobie od biedy wyobrazić jakieś duchowe odrodzenie, w końcu tak niewiele wiadomo o duchu. Ale uparcie twierdzić, że się spożywało posiłek z człowiekiem, o którym wszyscy wiedzą, że nie żyje - to już przesadna ufność w ludzką łatwowierność.

Starczy tego dobrego!

Poncjusz uderzył ręką w stół.

- Zamykamy śledztwo, komendancie, i umarzamy sprawę. Proszę napisać w raporcie: pieczęć złamana przez nieznanego sprawcę. Mamy inne, ważniejsze problemy na głowie niż wysłuchiwanie historyjek dobrych dla dzieci i głupców.

Nareszcie skończył z Nazarejczykiem. Ta myśl przyniosła mu ulgę. Cała sprawa od początku do końca była wysoce nieprzyjemna.

Pewnego popołudnia złożył Poncjuszowi wizytę tetrarcha Galilei_Perei. Był to mężczyzna przystojny, z niebezpiecznym ognikiem w oczach, zwłaszcza kiedy się śmiał. A śmiał się często.

Jego szaty dorównywały przepychem wspaniałej posturze. Ciasno przepasany chiton z purpurowego jedwabiu, haftowany na obrzeżach złotą nicią, sprawił, że namiestnik poczuł się w swojej codziennej todze niezwykle surowy i bezbarwny. Powitał jednak gościa uprzejmie i Antypas odpowiedział mu równie dwornie, dodając, że ma nadzieję, iż wszystkie nieporozumienia zostały odłożone ad acta, albowiem nikt szczerzej od niego nie żałuje zajścia z Janem. Nieoczekiwanie znalazł się wówczas w sytuacji przymusowej i nie widział innego wyjścia.

- Nie myślałem jednak, że ta sprawa dotrze do twoich uszu - roześmiał się niefrasobliwie. Najwyraźniej nie zbywało mu na bezczelności.

W gruncie rzeczy miał dla Jana wiele sympatii. Lubił ludzi wygłaszających otwarcie swoje opinie, a do takich właśnie należał ów Chrzyciel, w przeciwieństwie do pobożnisiów w tym mieście, którzy na ustach mieli prawo, a w sercach mord. Kajfasz, kiedy się z nim rozmawiało, był słodki jak miód, ale starczyło odwrócić się plecami, już rozsiewał plotki i pluł zawiścią.

Tu w Jerozolimie krytyka nie miała końca, cokolwiek by tetrarcha zrobił czy powiedział. Ludzie szeptali, że Tyberiadę zamieszkują powsinogi i podejrzane indywidua, ponieważ pozwolił na osiedlanie się wszystkim chętnym. Ale czy tylko włóczykije mogą nie tańczyć, jak zagra Kajfasz?

Pogańska Galilea - to określenie Judejczycy uwielbiali ciskać mu w twarz. Usłyszawszy o proroku z Nazaretu, pytali jadowicie, czy stamtąd w ogóle może pochodzić coś dobrego. Jedyłą i największą zbrodnią Nazarejczyka było w rzeczywistości to, że rodzice kazali mu dorastać w Galilei. Co jednak nie znaczy, że ten człowiek wypowiadał się przeciwko Jerozolimie i Judei. Polityka nie interesowała go zupełnie, natomiast podobnie jak Jan nie obawiał się wskazywać palcem przywar i krętactw w środowisku świątynnym - chciwości kapłanów i hipokryzji uczonych w Piśmie. Toteż Antypas sądził, że dobrze by się z Nazarejczykiem zgadzali. Próbował się z nim skontaktować, niestety bez powodzenia. Oto prorok przebywał sobie w najlepsze w Galilei i książę już miał nadzieję na spotkanie, gdy nagle objawiał się po drugiej stronie Jeziora Tyberiadzkiego na ziemiach Filipa. Nazarejczyk musiał znać jakiś sposób na znikanie - niektórzy twierdzą nawet, że potrafił chodzić po wodzie. Antypas chętnie przyzna, że miał powód do unikania go, zważywszy, co spotkało Jana. Gdyby Poncjusz nie odesłał wówczas więźnia, prawdopodobnie książę nigdy by go nie ujrzał.

Antypas z napięciem i nadzieją oczekiwał przyprowadzenia Nazarejczyka przed swoje oblicze. Latami słuchał o jego cudach, o głuchych, którzy odzyskiwali słuch, ślepcach, którzy przeglądali na oczy, paralitykach, którym wracała władza w nogach, a nawet o umarłych, którzy wstawali z grobów. Wiedział wprawdzie także, że prorok z Nazaretu zarzucał ludziom, iż mu nie wierzą, póki nie zobaczą znaków i cudów - ale w istocie dlaczego by niby mieli wierzyć? Znak to znak, więc powiedział Nazarejczykowi, że może od razu sobie pójść wolno, jeśli mu tylko pokaże coś z tego, co potrafi. Ale ten człowiek zachował się jak ślepy i głuchy,

nawet nie raczył odpowiedzieć.

Jeszcze nigdy Antypas nie czuł się tak zawiedziony. Wyobrażał sobie, że Nazarejczyk przypomina Jana, w końcu byli spokrewnieni, równi wiekiem i obaj prorokowali... Ba, w pewnym sensie widział w nim wcielenie Chrzciciela albo jego spadkobiercę, a okazało się, że chyba nigdy dwóch ludzi tak się między sobą nie różniło. Jan - płomienny fanatyk, a Nazarejczyk - cicha łagodność. Od początku do końca nie odezwał się ani słowem.

Wreszcie skończyła się cierpliwość tetrarchy. Nie żądał przecież za wiele od człowieka o takiej sławie - tylko jednego znaku. W dodatku był jego władcą. I gdyby nie to, że nie chciał się znowu dostać na języki, byłby się z nim prędko rozprawił. Po zastanowieniu jednak wymyślił, że odeśle go do Antonii. Nie sądził zresztą, że namiestnik skaże go na śmierć.

Poncjusz wyjaśnił, że jego zdaniem ten człowiek nie był winny tego, o co go oskarżano, lecz Kajfasz się uparł, a sam skazany uznał sprawę za beznadziejną i porzucił wszelką myśl o obronie.

Księżę wzruszył ramionami. Cóż, możliwe... Podobnie jak i to, że jego uczniowie wykradli zwłoki, mówiąc, że zmartwychwstał...

Poncjusz rozgniewał się. Doprawdy nie wiedział, że Antypas jest tubą arcykapłana. Nie istnieje żaden dowód świadczący o tym, co się właściwie stało. Jeśli rzeczywiście wszystko się odbyło według jego słów, czyli straże spały, to skąd wiadomo, kto naprawdę tego dokonał?

Antypas musiał przyznać, że przeoczył ten szczegół, ale w zamian za to niech mu będzie wolno spytać: Kto, na wszystkich proroków świata, mógłby mieć interes w robieniu z siebie złodziei na korzyść zmarłego, jeśli nie jego zwolennicy? On w każdym razie nie wierzy w historyjkę o

zmarłychwstaniu. Na to potrzeba mu dowodów bardziej godnych zaufania. Świadczenia jakiejś ladaczniczki, której się wydawało, że o świecie coś lub kogoś widzi, nikt chyba nie potraktuje poważnie.

Poncjusz nie rozumiał. Jakiej ladaczniczki?

- No właśnie, ladaczniczki. Ta Maria, która twierdzi, że widziała żywego Nazarejczyka, to po prostu dziewczyna lekkich obyczajów, urodzona i wyrosła w Magdali niedaleko Tyberiady. Nie, Antypas nie ma nic przeciwko prostytutkom, ale na świadków się nie nadają, do tego trzeba uczciwych obywateli.

A więc to tak... Trudniła się nierządem. Poncjusz poczuł rozczarowanie. Więc taki był ten Nazarejczyk? Jak mógł się tak haniebnie co do niego pomylić? Ladaczniczka... Prokula to przed nim zataiła, jeśli w ogóle wiedziała. Spyta ją, jak tylko pożegna tetrarchę.

Znalazł ją w bibliotece.

- Słyszę, że ta Maria z Magdali, o której opowiadałaś, jest nierządnicą - odezwał się nie bez odrobiny zarzutu w głosie.

- Była - poprawiła go, odkładając księgę.

- Jest czy była, to chyba bez znaczenia... Kobiety lekkich obyczajów nie można traktować jako wiarygodnego świadka.

- Każdy, kto uzyskał przebaczenie, jest bez grzechu - odparła spokojnie. - Mój Rabbuni przebaczył jej i odtąd towarzyszyła jego matce, żyjąc jak inne kobiety.

- A jakąż to władzę miał twój Rabbuni, by przebaczać? - spytał, wracając myślami do Kajfasza i rytuału odpuszczania win. - Cokolwiek człowiek uczynił dobrego lub złego, tego inni nie mogą wymazać. Antypas opowiedział mi o tej Marii. Uważa ją za mało przydatną na świadka. Ja

także.

- Nie sądziłam, że ćwierćksiążę jest odpowiednim człowiekiem, by ustanawiać kryteria prawa i bezprawia - odparowała.

Poncjusz zagryzł wargi.

- Antypas przeprosił i wyraził żal z powodu swojego zachowania - rzekł. - Znowu jesteśmy na przyjacielskiej stopie, więc lepiej od razu zacznij się przyzwyczajać do myśli o spotkaniach z tetrarchą. Zaprosił nas mianowicie do Galilei i ja to zaproszenie przyjąłem.

Oczekiwał protestów, był nawet gotów w razie konieczności zrobić scenę. Zamiast tego Prokula splotła ręce i delikatnie się zarumieniła.

- Do Galilei? - zawołała. - To znaczy, że pojedziemy do Galilei?

Naprawdę? Powiedz, że to prawda!

Jej oczy lśniły radością oczekiwania.

Poncjusz skinął głową. Tak, postanowił wracać do Cezarei dla odmiany przez Tyberiadę, ale nigdy by nie przypuszczał, że sprawi tym żonie taką przyjemność.

Chociaż stolica Galilei była położona w głębi lądu, pod wieloma względami przypominała Cezareę Nadmorską. Oba miasta w równym stopniu lśniły nowością i bielą ścian, obu też brakowało owej aury głębokiej tajemniczości, która cechowała Jerozolimę.

Przyczyna, dla której tetrarcha wybrał na swoją główną kwaterę właśnie to miejsce, leżała w występujących tu leczniczych gorących źródłach. Wokół nich kazał wznieść wspaniałe termy, mające w jego zamyśle z czasem uczynić z Tyberiady Baję *

cubicularius - niewolnik przeznaczony do osobistych posług pana.

Wschodu. Największe wrażenie robił jednak najbliższy jego sercu cyrk - tor wyścigów konnych i przyległe doń stajnie. Poncjusz musiał przyznać, że rzadko widuje się tak dobrze utrzymaną bieżnię i równie wspaniałe wierzchowce. Stadniny znajdowały się w Perei, toteż Antypas zaproponował, by udali się tam zapolować i wypróbować konie. Na wschód od Morza Martwego roilo się od zwierzyny. Kobiety mogłyby zamieszkać w Machejrusie, gdzie niezbywałyoby im na wygodach.

`pp

Baje (Baiae) - kąpielisko w Kampanii słynne z ciepłych leczniczych źródeł mineralnych.

Poncjusz zgodził się natychmiast, ale Prokula wolała pozostać w Tyberiadzie. Wyjaśniła, że po złocistych górach Judei prawdziwie rozkoszuje się łagodnym krajobrazem Galilei. Myśl, iż niechętnie pozostałaby sama z Herodiadą w twierdzy, gdzie ścięto Chrzciciela, zatrzymała dla siebie. Kto wie, czy taca nie jest w dalszym ciągu używana...

Antypas czuł się zawiedziony, oczarowały go bowiem wielkie szare oczy Prokuli, niemniej jako greczny gospodarz zapewnił, że z przyjemnością dogodzi swemu gościowi. Wielbłądy, łodzie, lektyki są do jej dyspozycji, a Herodiada i Salome obiecały zająć się rozrywkami.

Droga do Perei wiodła na południe doliną Jordanu. Książę, cały czas jak zwykle ożywiony i rozmowny, gdy zbliżyli się do brodu, pogrążył się w zamyśleniu i przestał zabawiać gościa dykteryjkami.

Poncjusz sam nie miał nic przeciwko milczeniu i nie zagłębiał się w powody, dla których Antypas przybrał tak nieobecny wyraz twarzy.

Dopiero kiedy mieli zjechać na brzeg i tetrarcha się zatrzymał, zastanowiła go niezwykła u gospodarza powaga.

- Tutaj nawoływał do nawrócenia - rzekł Antypas ochryłym nagle głosem. - A tam udzielał im oczyszczającego chrztu. Wciąż prześladuje mnie widok jego zwalistej postaci w płaszczu z szorstkiej wełny. Od kiedy jego głos zamilkł w tym miejscu, brzmi w mojej duszy.

Poncjusz nie wiedział, co odpowiedzieć, w ciszy tedy dojechali do rzeki.

Tam, zeskoczywszy z koni, stanęli na promie.

- Nigdy przedtem z nikim nie mówiłem o Janie - rzucił Antypas, kiedy dobijali do brzegu - ale ty wiesz, co czuję.

Nie do końca go zrozumiał, lecz odparł, że nie ma w zwyczaju rozpowiadać na prawo i lewo czyichś sekretów.

Zgodnie z obietnicą Antypasa na zwierzynie nie zbywało, głównie na szakalach i pustynnych lwach. Poncjusz jednak nie miał szczęścia i ani razu nie zbliżył się nawet do zdobyczy. Natomiast tetrarcha położył wiele sztuk.

Ostatniego dnia przed powrotem Poncjusz odbił od grupy. Trafił w jakąś boczną dolinkę z korytem wyschniętej rzeki i wielkimi skalnymi blokami po bokach, pomiędzy którymi rosły kępki długiej żółtej trawy - teren ubogi, acz lubiany przez lwy. Jechał więc czujnie.

Nagle koń uniósł łeb, skulił uszy i rozdał chrapy. Poncjusz wyteżył wzrok wypatrując, czy gdzieś w trawie nie rusza się coś podejrzanego, i po chwili trochę dalej w prawo, za kilkoma płaskimi skałkami dostrzegł żółtobrazową kępkę, która przypominała czubek grzywy. Zmrużył oczy - nie, nie pomylił się. Poszukał spojrzeniem bardziej wyrównanej powierzchni, gdyby mu przyszło zeskoczyć z grzbietu rumaka. Miejsce

było chyba najgorsze z możliwych. Lwia głowa ledwo prześwitywała zza skał. Poza tym stał niżej i przyjdzie mu walczyć pod górę.

Koń niecierpliwie przestąpił z nogi na nogę. Poncjusz lewą ręką mocno ściągnął cugle, żeby nie podniósł łba i nie zwietrzył zwierzyny. Czekał.

Lew się nie spieszył - jak to z lwami bywa.

Już! Na mgnienie oka grzywa znikła, gdy szykował się do skoku. I oto sadził teraz wyciągnięty jak struna. Oszczep poszybował w górę z cichym jękiem i lew wydał ryk bólu. W połowie skoku stracił nagle elastyczność i z głuchym łoskotem zwałił się bez czucia na ziemię tuż pod nogi

Poncjuszowego wierzchowca. Koń stanął dęba, ale dał się szybko opanować i cofnął odrobinę. Dobrze ułożone zwierzę, nie to co Ksantypa.

Poncjusz zeskoczył na ziemię, zarzucił wodze na jakiś kamień i począł się krok po kroku zbliżać do zdobyczy z dłonią na rękojeści miecza. Lew spoczywał bezwładnie, z łapą wspartą o drzewce oszczepu. Ostrze wbiło się w okolice serca.

Był to potężny okaz o lśniącym włosie, utuczony na pasterzach i wielbłądach; jego płowa sierść zlewała się w jedno z piaskiem i trawą, jakby stanowił część krajobrazu. Ziemia, spękana i wyschnięta na popiół, nie przyjmowała krwi, która tworzyła niewielką kałużę. Kilka włosków na pysku drżało jeszcze lekko. Kiedy Poncjusz przewrócił lwa na grzbiet, by wyciągnąć oszczep, z gardła wydobył się charkot. Ostrze, zaopatrzone w zadry, stawiało opór. O wypustki owinęły się parujące krwią resztki trzewi. Poncjusz wciągnął w płuca duszący zapach. Lubił ten ostry odór dzikiego zwierza. Nagle naszała go ochota, by dotknąć stopą olbrzyma, poczuć pod podeszwą tę dziwną gładź, gdy fałdy skóry ślizgają się po żebrach, a sierść łaskocze łydki.

Musiał dać znać pozostałym, ale jego róg myśliwski miał ze sobą niewolnik, toteż zwinął dłoń w trąbkę i sam odtrąbił sygnał zbiórki. Potem usiadł koło lwa, który już się widać wykrwawił, bo ciemna kałuża nie rosła. Zamyślony zanurzył czubki palców w posoce. Mitra, bóg legionów, chrzcił krwią - Jan wodą.

Dlaczego właściwie Antypas rozmawiał z nim o Janie, skoro nie wtajemniczał nikogo innego? Czy to możliwe, żeby obie śmierci - Chrzciciela i Nazarejczyka - wywołały w nim poczucie wspólnoty? Jeśli tak, to trafił pod zły adres. Krew Nazarejczyka wziął na siebie Kajfasz. On, Poncjusz, umył od tego ręce. Na oczach wszystkich.

Wyrwał kępkę zeschłej trawy i długo, starannie wycierał palce. Gdzie też podziewa się reszta? Niechby już nadjechali! Cisnął trawę precz i pogalopował im naprzeciw.

Wszyscy głośno wyrażali radość z upolowanej sztuki. Antypas posunął się aż do stwierdzenia, że nawet jego ojciec nie mógłby się poszczycić celniejszym rzutem. Większa pochwała nigdy nie padła z jego ust.

Do Galilei wracali inną drogą, a przez Jordan przeprawili się dopiero nad Jeziorem Tyberiadzkim. Wyglądało na to, że tym razem Antypas unika śladów Chrzciciela, nie wspomniał też o nim ani słowem.

U przeprawy dowiedzieli się, że poprzedniego dnia przejeżdżał tędy szwagier tetrarchy, Agrypa, w drodze z Galilei do dziedziny Filipa, Trachonitis. Antypas bardzo się tą wiadomością przejął. Agrypa był rozpustnikiem i utracjuszem, który wieczyście przysparzał mu kłopotów. Jako syna jednego z jego braci wychowywała go w Rzymie szwagierka Tyberiusza. Parantele uderzyły snadź chłopakowi do głowy, bo po powrocie bardzo zadzierał nosa, nie mając zresztą denara w kieszeni. Jakiś

czas żerował na siostrze i Antypasie, ale wprędce znużeni pokazali mu drzwi. Od tego czasu krążył po okolicy i pożyczzał pieniądze, od kogo się dało. Kiedy wierzyciele naciskali zbyt mocno, uciekał pod skrzydła siostry. Herodiada miała do niego słabość i podtykała mu zawsze to to, to owo. Teraz pewnie łajdak znowu zawitał do niej - jak zwykle, ledwo tetrarcha wystawił nos za próg. Ale tym razem Antypas nie przepuści, wypomni Herodiadzie wszystko.

Przez resztę drogi straszył miną ponurą jak chmura gradowa, Poncjusz zaś radował się rychłym powrotem do domu. Zaledwie przyjechali, pospieszył do Prokuli - miło ją było znowu zobaczyć.

Spędziła kilka spokojnych dni. Odkąd pojawił się Agrypa, którego zresztą znała z Rzymu, Herodiada tak się zajęła bratem, że ją pozostawiła samej sobie. Wykorzystała okazję, by się rozejrzeć po otoczeniu. Dla scharakteryzowania Galilei nie znalazła lepszego określenia niż czarująca. Nigdzie indziej nie widziała tylu polnych kwiatów. Teraz wiosną całe jezioro pokryło się grubą warstwą pyłku. Wzdłuż brzegów tworzyły się prawdziwe kozuchy, na głębinie zaś w złotych drobinkach ze storczyków i rumianków igrały promienie słoneczne. I nic, tylko ćwierkotanie ptaków, odgłos fal łagodnie uderzających o brzeg oraz lekki szum wiatru w koronach drzew i giętkich gałęziach - prawdziwie boski zakątek na pustyni. W dali jak fatamorgana na bezchmurnym niebie wznosił się okryty śniegiem szczyt, a tu pomiędzy zielonymi wzgórzami, polami, łąkami i zagajnikami lśniło błękitne jezioro.

Poncjusz spytał, dokąd jeździła. Okazało się, że przedsięwzięła dwie wycieczki - jedną do Nazaretu, a następnie wzdłuż brzegów jeziora do Kafarnaum i dalej na północ, aż na drugą stronę rzeki do Betsaidy. No i do

Magdali, dodała, posyłając mu ukradkowe spojrzenie.

Tak... czy spotkała tam może jakieś kobiety lekkich obyczajów, czy też wszystkie poznajdowały już sobie inne zajęcia? Poncjusz udawał, że żartuje, ale w istocie nie podobała mu się ta ludzka zbieranina, którą żona się tak przejmowała. Poczul nagłe ukłucie niechęci.

Zamiast się jednak odgryźć, Prokula stwierdziła spokojnie, że nie wdawała się w rozmowy z kimkolwiek ani w Magdali, ani gdzieś indziej.

Podróżowała otoczona eskortą gwardii Heroda, wsparta na poduszkach i kobiercach pod parasolem na grzbiecie wielbłąda, więc nikt nie poważył się do niej zbliżyć. Wszyscy z największą czcią usuwali się na boki. W sumie było jej przykro, bo lubiła wdawać się w pogawędkę z ludźmi, a ci Galilejczycy wydawali się prości i dobrzy. Zatęskniła za Rzymem. Smutno jej, bo czuje się bez przerwy obca, nieustannie wzbudza podejrzliwość. Jednak pewnego dnia nieoczekiwanie zyskała pociechę w najgorszej tęsknocie. Stało się coś dziwnego i cudownego.

Kiedy wybrała się do Kafarnaum i razem z orszakiem dotarli prawie na miejsce, na brzegu jeziora zauważyli grupkę ludzi. Znajdował się tam jedynie pomost do cumowania łodzi, nic więcej. Gwardziści podejrzewali, że ktoś utonął, skoro wszyscy stoją w takiej ciszy. Zatrzymali się, by zasięgnąć języka, ale nikt nie potrzebował pomocy - ludzie zebrali się po prostu w grupkę wokół wypalonego ogniska, a obok na klęczkach jakaś kobieta starannie chowała do węzełka porozrzucane resztki ryb.

Prokula zeszła z wielbłąda. Chciała zażyć ruchu, oprócz tego ją także zaciekawiło to zbiegowisko. Podążyła nad wodę, ale na jej widok wszyscy się rozpiechli i zgromadzili kawałek dalej, coś poszeptując.

Zrobiło się jej przykro - nie miała zamiaru ich straszyć. Poczula takie

zniechęcenie i rozżalenie, że gdyby nie orszak, od razu by się rozplakała. Odmówiła Racheli namawiającej, by jechać dalej. Jest zmęczona, rzekła, i chciałaby odpocząć, posmucić się w samotności.

Myślami wróciła do swojego Rabbuni. Widziała suszące się sieci, wyciągniętą na ląd łódź, czerpak i wiosła. Słuchała szumu wiatru, który On uciszał, fal, po których kroczył... Tu, pod tym niebem, nad tym jeziorem był Jego dom - może ci, którzy stoją tam na stronie, znali Go i widywali? Zauważyła, że się jej ukradkiem przyglądają, pomachała im i powoli, ostrożnie, z wyciągniętą ręką zaczęła podchodzić bliżej. Kiedy jednak była tuż_tuż, przestraszyli się i odbiegli.

Przez chwilę patrzyła za nimi z żalem, a potem wróciła do czarnego, wypalonego ogniska. Czuła się podobnie opuszczona. Czy nigdy nie uda się jej zbliżyć do tych, którzy znali Mistrza?

Miała wrażenie, że się znajduje w bezgranicznej pustce, a samotność ciąży na sercu niczym kamień. Zadrzała jak z zimna w środku słonecznego dnia, owinęła się ciaśniej szalem i wyciągnęła ręce w stronę ognia, jakby się chciała ogrzać wspomnieniem po niegdysiejszych płomieniach...

Prokula przerwała relację i zacisnęła powieki, by przywołać raz jeszcze ten obraz.

- Nie wiedziałam wtedy - podjęła ledwo dosłyszalnie - że mój Rabbuni rozpalił to ognisko. Czułam jedynie, że robi mi się ciepło, a z popiołów promieniuje życiodajny spokój. Kiedy zaś zdziwiona położyłam dłonie na wypalonych resztkach, ogarnęła mnie radość... Całe zło ustąpiło; samotność, smutek i pustka zamieniły się w rozradowanie; ziemia, niebo, woda w jeziorze, każde drzewo, każdy kamień, nawet najmniejsze ziarenko piasku lśniło rozjaśnione weselem. We wszystkim, co mnie

otaczało, był On; stał tuż obok; widziałam Jego łagodne rysy odbite w falach jeziora, słyszałam Jego oddech w tchnieniach wiatru. Pojęłam, że On żyje - i jest samym życiem.

- Jak długo tak siedziałam? Błogostan nie zna miary i nie liczy czasu. Po prostu trwa - jak wieczność. Na koniec przyszła po mnie Rachela, przekonana, że się zdrzemnęłam. Spytałam, czy widziała kogoś w pobliżu, ale nie, stwierdziła, że obserwowała mnie cały czas i byłam sama. Jednak nie byłam sama... i nigdy, nigdy już nie będę... Mój Rabbuni żyje i ja o tym wiem - do głębi serca. Nie muszę już dłużej szukać, nie potrzebuję nikogo, ani jego uczniów, ani świadectwa Marii z Magdali, bo wiem, że mój Rabbuni jest Mesjaszem i że mnie zna.

W miarę jak Prokula opowiadała, Poncjuszowi coraz bardziej ścisnęło się serce.

Co się z nią dzieje? Jak długo jeszcze będzie się bezwładnie dawała unosić falom marzeń? Któregoś dnia wyrzucą ją na brzeg i na dobre ugrzęźnie w maniach i dziwactwach.

- Ależ Prokulo! Jak ci w ogóle mogło przyjść do głowy, że to twój Rabbuni rozniecił ognisko? - w głosie pobrzmiwało zniecierpliwienie, ale i nie skrywana troska.

- Cierpliwości! - Poklepała go uspokajająco po kolanie. - Nie dam przecież rady opowiedzieć wszystkiego naraz! Właśnie miałam zacząć. Jak wspomniałam, przyszła po mnie Rachela i ruszyliśmy do Kafarnaum. Chciałam tam odwiedzić synagogę, zbudowaną przez pewnego Rzymianina w podzięce Nazarejczykowi za uzdrowienie syna, a także może spotkać się z tym ojcem. Tymczasem Rachela wyszła do miasta позаłatwiać własne sprawy. Nasz Rabbuni bowiem przebywał jakiś czas w

Kafarnaum i wielu spośród jego uczniów wróciło tam, gdy odszedł. Jeden z nich był rybakiem; Rachela знаła go jeszcze z Jerozolimy i wiedziała, że mieszka razem z teściową w połowie drogi między synagogą a jeziorem. Kiedy zbliżyła się do chaty, uliczkę zatarasował taki tłum, że prawie nie mogła się przedostać, ale nikt nie chciał jej odpowiedzieć na pytanie, co się stało. Dopiero domownicy wyjaśnili całe zajście.

- Tej nocy mianowicie rybak jak zwykle wyruszył na połów wraz z kilkoma innymi uczniami. Wracali o świcie na wiosłach. Choć trudzili się całutką noc, nie złowili dosłownie nic. Ogarnęło ich zniechęcenie - widać ostatnimi czasy szczęście opuściło ich zupełnie. W chwili gdy podpływali do pomostu, na nadbrzeżnym piasku zauważyli postać mężczyzny.

Zdziwionym, kto by to mógł być o tej wczesnej porze, wydała się jakby znajoma. Wpatrzeni w nią, zbliżali się bez słowa, ledwie śmiejąc oddychać. Kiedy byli już dość blisko, rozpoznali Jego - ich Mistrza.

Czekał na nich przy roznieconym ognisku, jak częstokroć czynił, gdy odrętwiali i utrudzeni przybijali po nocnym połowie do brzegu.

Prokula zamilkła.

Poncjusz nie wiedział, śmiać się czy płakać. Jego żona zachowywała się jak dziecko. Nie odróżniała bajki od rzeczywistości, mieszając do codziennych wydarzeń elementy niezwykłych przygód. Gdyby ktokolwiek usłyszał, że się grzała przy wygasłym ognisku albo że umarła pieką ryby na ogniu, sądono by, iż postradała rozum - i słusznie. A jeśli do tego w Judei dowiedziano by się, że nazywa straconego Nazarejczyka Mesjaszem, mogłoby się jej przytrafić wszystko - łącznie z ukamienowaniem.

I co z nią zrobić?

Reprimendy oczywiście nie zdadzą się na nic. Jest nadwrażliwa; po prostu

źle znosi występujące w judaizmie napięcie pomiędzy tym i tamtym światem. Trzeba spróbować odizolować ją od żydowskich wpływów, jak najdłużej zatrzymać w Cezarei. Tam wszystko jest bezpieczne i mocno trzyma się ziemi, jak w domu. Podczas następnych uroczystości w Jerozolimie muszą się obejść bez nich. Obowiązki reprezentacyjne może przejąć komendant Antonii. To człowiek sumienny, któremu z powodzeniem można przekazać dowództwo, zwłaszcza że obecnie zapanował spokój.

Wszystko poszło dobrze, Pięćdziesiątnica, Święto Tygodni, przebiegła bez zakłóceń i z raportu komendanta wynikało, że na linii Antonia - Świątynia nie doszło w ogóle do żadnych tarć. Natomiast niepokojąco rozwijały się stosunki między Kajfaszem a zwolennikami Nazarejczyka.

Większość ludzi oczekiwała, że wieści o zmartwychwstaniu Nazarejczyka umrą w miarę upływu czasu śmiercią naturalną i wkrótce będzie można o całej sprawie zapomnieć. Tak się jednak nie stało. Plotki o tym, że Ukrzyżowany żyje, utrzymywały się nadal, a nawet narastały. Ponoć przez dłuższy czas pojawiał się na terenach Galilei, a na dziesięć dni przed Pięćdziesiątnicą widziano go na Górze Oliwnej koło Jerozolimy. Miał tam ostatecznie pożegnać się z uczniami i wstąpić do nieba.

Komendant przyjął, że jest to rodzaj znanej z Rzymu apoteozy, a wstąpienie do nieba potraktował jako znak, że zwolennicy Nazarejczyka uznali, iż nadszedł czas zakończenia ziemskiej aktywności zmarłego.

Poprzez taki koniec sława Nazarejczyka jako proroka zostałaaby odbudowana po poniżającej śmierci stosowanej wobec przestępców i krok po kroku można by się spodziewać pojednania ze Świątynią.

Te przypuszczenia okazały się jednak równie błędne jak wszystkie

pozostałe dotyczące Mistrza z Nazaretu. Podczas Pięćdziesiątnicy w zwolennikach Nazarejczyka nastąpiła tak głęboka zmiana, że lepiej pasowałoby tu słowo "przeistoczenie". Bezradna początkowo i zalękniona grupka, niezdolna ruszyć palcem w obronie swego Nauczyciela, a potem przycupnięta ze strachu w kryjówkach, wystąpiła nagle w świetle jasnego dnia i zaczęła bez obawy rozgłaszać, co się wydarzyło w czasie Paschy. Ich miejsce pobytu w Jerozolimie stanowiła gospoda na Syjonie, w pobliżu grobu króla Dawida. Mistrz miał zwyczaj tam się zatrzymywać, a oni kontynuowali tę tradycję. Na wszelki wypadek zawsze zamykali dokładnie drzwi i zasuwali rygle z lęku przed Judejczykami - ot, zatrwożona i godna politowania gromadka.

Ale o poranku w Pięćdziesiątnicę nastąpił wielki przełom. Z cichej zazwyczaj gospody rozległy się dźwięki tak oszałamiająco radosnego hymnu, że wszyscy z sąsiedztwa stłoczyli się przed wejściem, by sprawdzić, co się dzieje. Drzwi i okna zastali szeroko otwarte, a w środku, w paradnej izbie ujrzeli uczniów, jaśniejących niebiańską radością i sławiących Pana. Wypełniły się słowa Pisma - ten, który umarł, zmartwychwstał i jak napisano, był synem jedynym Boga - Mesjaszem. Wyśpiewywali swą nowinę wszystkim zgromadzonym, zapalając pochodnie radości i wieszcząc szczęście niepoahamowane, niepojęte. Buchnęło płomieniem jak ognisko, gdy szczapa zajmuje się od szczapy, aż serca wszystkich rozgorzały tą samą błogością i cały tłum przyłączył się do pieśni, wyznając wiarę w Niego, którego ugiął krzyż, lecz śmierć nie mogła spętać.

Wieść o tym dotarła wnet do Kajfasza i uczonych w Piśmie; ci z pogardą wzruszyli ramionami - nie traktuje się poważnie pijaczków, którzy plotą,

co im ślina na język przyniesie. Lecz nie minęło parę godzin, a pojawiła się kolejna plotka. Podobno na terenie świątyni miał miejsce cud.

Zdezorientowani spojrzeli po sobie i posłali po świadków.

Świątynię otaczał ze wszech stron potężny mur, od strony dziedzińca ukryty za rzędami kolumn, lecz ku dolinie i miastu opadający niczym gigantyczna skała. Na wewnętrzny dziedziniec wiodło siedem bram, a w każdej z nich żebraniną zarabiali na życie chorzy i chromi. W bramie zwanej przez lud Piękną przez czterdzieści lat leżał pewien paralytyk, którego co rano wnoszono na stałe miejsce, a o zachodzie słońca zabierano do domu. Znało go całe miasto.

W Pięćdziesiątnicę po niskich stopniach z Pięknej Bramy na podwórzec kobiet wkroczyło trzech mężczyzn. Byli trochę spóźnieni, a tłum zebrał się taki, że musieli się przeciskać siłą. Stanęli tuż przy wejściu do świątyni, lecz niedługo potem jeden zaczął przeć dalej w głąb, ku świętemu miejscu, niepokojąc ludzi, którzy posyłali mu gniewne spojrzenia. Ci jednak, którym mignęła twarz natręta, natychmiast zapominali o irytacji, taką jaśniała obłądną radością. Ze zdumieniem obracali głowy - coś w tym człowieku było znajomego, przypominał jako żywo paralytyka z bramy, tego z bezwładnymi nogami. Rysy twarzy były te same, podobnie włosy i broda - lustrowali go dokładnie i... Patrzcie! Zaprawdę, jego chiton z jednej strony wytarł się od leżenia!

Porzucili swoje zajęcia, by śledzić z niedowierzaniem każdy jego ruch. Kiedy dotarł do ołtarza, upadł na kolana i wywróciwszy kieszenie, wysypał u stóp kapłana stosik ofiarowanych mu groszaków, z łkaniem zanosząc dziękczynną modlitwę.

Nie do wiary, to naprawdę był ten żebrak, paralytyk z bramy, który od

dzieciństwa utrzymywał się z datków!

Z hali, z krużganków, z synagogi i chederu, z wież i kramów, z zagrody dla zwierząt ofiarnych, ba, z całego placu przed świątynią i z uliczek miasta biegli teraz tłumnie ludzie. Wciskali się w każdy zakątek, by widzieć i słyszeć, dopytywać się, wznosić okrzyki i wziąć udział w ogólnej radości. Za jaką przyczyną stał się taki cud?

Uzdrowiony wskazał palcem dwóch mężczyzn, którzy mu towarzyszyli.

Nie wiedział nawet, jakie noszą imiona. Gdy nadeszli, jak zwykle wyciągnął rękę po jałmużnę, ale ci dwaj nie mieli nic, ani asa. Kto inny na ich miejscu poszedłby jak gdyby nigdy nic swoją drogą - większość czyniła to nawet mając pieniądze. Ale ci dwaj przystanęli, ogarnięci współczuciem. Starszy chwycił go za wyciągniętą po jałmużnę rękę i nim się obejrzał, podnieśli go na nogi. Gdy chwilę potem przestali go trzymać - stał! On, który nigdy nie mógł się podnieść o własnych siłach, stał teraz i chodził!

Całe zainteresowanie w okamgnieniu skierowało się na dwóch milczących mężczyzn nieopodal. Kim byli? Skąd przyszli? Jakież moce pozwoliły im uwolnić człowieka od wrodzonego kalectwa?

Panował nieopisany zgiełk, toteż starszy utorował sobie przez tłum drogę do kolumnady po drugiej stronie placu. Gdy znalazł się na podwyższeniu, uniósł dłoń na znak, że odpowie pytającym. Przemawiał nie jak prosty człowiek, jękając się i gubiąc wątek, lecz z żarem i siłą, w dodatku po hebrajsku, w języku Świątyni i Pism - znanym i zrozumiałym dla wszystkich Żydów, niezależnie od miejsca osiedlenia.

Nie własną mocą uzdrowił owego człowieka, lecz mocą Tego, którego imię przewyższa wszystkie, mocą ukrzyżowanego i umarłego, który

powstał z martwych i którego Pan podniósł z grobu - uzdrowił w imię Jezusa Nazarejczyka...

Straż świątynna stała już przy wyjściu i zaprowadziła całą trójkę do Kajfasza, który na własne oczy chciał obejrzeć żebraka i zbadać, czy to nie oszustwo. A chociaż badał długo i wnikliwie, musiał z najwyższą niechęcią przyznać, że istotnie jest to ten sam kaleka, który przez całe lata leżał w Pięknej Bramie, a teraz odzyskał pełnię władzy w nogach.

Przesłuchano osobno każdego z trzech mężczyzn i każdy z nich potwierdził, że uzdrowienie dokonało się w imię Ukrzyżowanego - żywego, zmartwychwstałego Jezusa z Nazaretu.

Kajfasz odmówił uznania tego wyjaśnienia i zabronił im na zawsze wymieniać imienia galilejskiego przestępcy. Gdy zaś odrzucili to żądanie, zostali uwięzieni w lochach pod dziedzińcem pałacu Kajfasza.

W nocy jednak Kajfasz zmienił zdanie. W obliczu zbyt wielu świadków i zbyt licznie zgromadzonych na uroczystościach Galilejczyków postanowił wypuścić więźniów. Zostali porządnie nastraszeni i następnego poranka wyszli na wolność z przestroga, że mają milczeć.

Nie milczeli jednak ani oni, ani inni, a w ciągu tego jednego dnia Pięćdziesiątnicy Nazarejczyk zyskał pięć tysięcy nowych wyznawców. Komendant Antonii ręczył głową, że jeśliby cud nie był prawdziwy, Kajfasz nigdy by tych trzech nie zwolnił.

Teraz nikt w Świątyni nie śmiał kręcić nosem na stronników Nazarejczyka czy nazywać ich opojami. Gdyby ci ludzie nie byli tak pokojowo nastawieni, już dawno rozpętałyby się walka.

W tym roku zamiast do Jerozolimy ruszyli na zimę do twierdzy Masada.

Klimat był tam o tej porze korzystniejszy, a i kontakty Prokuli musiały się siłą rzeczy ograniczyć do rodaków, cała bowiem załoga, poza niewolnikami, składała się z Rzymian, a położenie izolowało warownię od otoczenia.

Masada była umocnioną skałą na skraju Pustyni Judejskiej od strony niziny otaczającej Morze Martwe. Wierchołek miała ścięty i równy jak stół, zbocza natomiast niedostępne, niemal pionowe. Nad północną ścianą, przyklejony do szczytu niby jaskółcze gniazdo, wznosił się zamek, zbudowany jak większość twierdz w tym kraju przez Heroda Wielkiego. Prokula wyraziła się kiedyś, że ma tu wrażenie przebywania na wysepce rzuconej na ocean pustyni. Poncjuszowi jednak zamek przypominał willę Tyberiusza na północno_zachodnim cyplu Kaprei, i to tak bardzo, że zaczął się zastanawiać, czy cesarz nie wzorował się na Masadzie. W pewnym sensie nic nie stało temu na przeszkodzie, zwłaszcza że Tyberiusz we wczesnej młodości spędził wiele lat na wschodnich terenach cesarstwa i był przyjacielem zarówno Heroda Wielkiego, jak i jego synów. Zresztą nie wstyd brać przykład z budowniczego o takim rozmachu i takiej fantazji jak Herod.

Podczas pobytu w Masadzie odwiedził ich Antypas w towarzystwie licznego orszaku. Perea, jedno z jego księstw, znajdowała się po drugiej stronie Morza Martwego i choć droga naokoło była uciążliwa, dała się pokonać konno. Tetrarcha wyznał, że niejedno mu ciąży na sercu, a gdy Poncjusz zaproponował dłuższą gościnę, z chęcią przystał na kilkudniowy pobyt.

Jak zwykle sypał żartami, jednak tym razem w jego głosie zabrakło szczerości. W dodatku na czole przybyła mu zmarszczka. Poncjusz i

Prokula wiedzieli, że ostatnimi czasy pochował brata, Filipa, tetrarchę Iturei i Trachonitis, i w tym upatrywali przyczyny. Lecz kiedy Poncjusz wyraził współczucie, gość odparł, iż on nie ma powodów do żałoby - przyjaźń z bratem skończyła się wiele lat temu.

Namiestnik nie mógł się w tym momencie powstrzymać od porównania swoich stosunków z Nigrinem. Nigdy nie należały do szczególnie serdecznych, ale też z całą pewnością czułby się poruszony, gdyby brat zakończył życie. Nie ukrywał więc, że odpowiedź Antypasa go zaskoczyła.

Wobec tego tetrarcha uznał, że jest winien wyjaśnienie. Filip mianowicie nigdy nie darował bratu odebrania mu Herodiady. Nie dlatego że dręczyła go miłość - Filip był miernym kochankiem, nie udało mu się nawet spłodzić syna, ale właśnie z tego powodu ze szczególną drażliwością podchodził do instytucji małżeństwa. Na myśl o Herodiadzie odzywała się urażona próżność. Antypas wielokrotnie próbował doprowadzić do pojednania, lecz Filip twardo odrzucał wysiłki i nie dał się skłonić do wręczenia żonie listu rozwodowego.

Porwanie Herodiady było ewidentnym złamaniem prawa, nie na tyle jednak poważnym, by nie dało się naprawić hojną ofiarą dla Świątyni. Gorzej, że Herodiada bez listu rozwodowego nie mogła wstąpić w następny związek małżeński, a więc poślubienie Antypasa w rzeczywistości nie miało mocy prawnej i póki żył Filip, w świetle przepisów była nałożnicą jego brata.

W związku z tym Antypas nie widział powodu do płaczu, gdy wreszcie Filip pożegnał się z tym światem. Przeciwnie - po tylu latach złej sławy szczerze i z całego serca się cieszył, że on i Herodiada nareszcie stali się

według prawa parą małżeńską.

Jedynym cieniem na tej radości kładła się decyzja Filipa, ustanawiająca spadkobiercą Agrypę. Wszak Poncjusz go pamięta? Tego łajdaka, wiecznie zadłużonego, który za plecami Antypasa nachodził w Tyberiadzie siostrę z prośbami o pożyczkę. Wtedy po łowach na lwy Antypas się zbuntował. Obibok wyłudził wówczas od Herodiady większą sumę i tetrarcha wymógł na żonie obietnicę, że już nigdy nie wpuści go za próg.

Tyle że Agrypa zdobywał pieniądze gdzie indziej, choć coraz mniej liczni byli skłonni udzielać mu kredytu. Antypas miał nadzieję, że wielkość długu go wkrótce powali, ale skoro powstały widoki na dziedziczenie po Filipie, nie zabrakło również możliwości dalszych pożyczek. Dlatego też postanowił zaskarżyć jego prawa do spadku.

Jak Poncjusz z pewnością wie, w sytuacji gdy mężczyzna umiera bezdzietnie, a posiada nieżonatego brata, Prawo Mojżeszowe nakazuje temu ostatniemu poślubić wdowę i spłodzić z nią potomstwo zmarłemu. Gdy spojrzeć na sprawę realistycznie, to zdaniem Antypasa, właśnie tak postąpili z Herodiadą, aczkolwiek jest skłonny przyznać, iż w pewnym sensie przestawili kolejność wydarzeń.

- Nie brakuje ci zaiste boskiego daru bezczelności - przerwał mu Poncjusz zadowolony, że Prokula nie słyszy tej rozmowy. Antypas wzruszył ramionami.

- Biorę od życia, co mi daje - odparował - a gdybym tak nie czynił, złym byłbym władcą. Ten problem dziedziczenia jest wielce interesujący i nie wątpię, że uczeni jerozolimscy będą z nim mieli twarde orzechy do zgryzienia. Mnie osobiście ciekawi, jak ty, Rzymianin, oceniasz tę sprawę. Najwyższą bowiem instancją podejmującą decyzję jest cesarz. Chyba jako

brat jestem w twych oczach bardziej uprawnionym spadkobiercą księstwa Filipa niż spowinowacony z nim tylko Agrypa?

Niestety, Poncjusz musiał w tym względzie rozczarować swego gościa.

Wedle rzymskiego pojmowania prawa wiążący jest testament i nie da się go po prostu obalić. Poza tym Tyberiusz uchodzi za człowieka sumiennego, więc jeśli się zorientuje w sytuacji, bardziej prawdopodobne wydaje się, że Antypas utraci swe ziemie, niż że uzyska nowe.

- Ba, gdybym to ja miał rozsądzić sprawę, wcale nie jestem pewien, czy akurat Agrypę uznałbym za awanturnika - zakończył wzburzony, lecz mimo wszystko wybuchnął śmiechem.

Przynajmniej wyłożył kawę na ławę. Antypas także się roześmiał.

Niemniej jeśli Poncjusz podjąłby się tego procesu, powinien poznać motywy obu stron, nie tylko jednej. Dlatego Antypas zada mu pytanie: Jak Poncjusz myśli, na co Agrypa potrzebuje tych pieniędzy pożyczanych bezustannie na prawo i lewo? Jednocześnie chce uprzedzić, że szwagier nie jest, jak to się określa, zwykłym utracjuszem. Nigdy nie czyni czegoś bez wyrachowania, a jeśli żyje na wysokiej stopie, to dlatego, że ma w tym jakiś cel.

Poncjusz uniósł brwi. Skąd ma wiedzieć, na co idą pieniądze, skoro nie zna człowieka?

Oczywiście, to prawda. I w tym rzecz. Poncjusz nie zetknął się z Agrypą, natomiast Antypas - owszem. W końcu to jego kuzyn i szwagier, poza tym znają się od kołyski. Ten łobuz jest nie tylko bystry i inteligentny, lecz na skutek dorastania w Rzymie także świetnie wyszkolony w najprzeróżniejszych intrygach. W porównaniu z nim Antypas wydaje się naiwny jak dziecko. W dodatku to urodzony gracz. Jak wysoko gra, widać

po tym, ile stawia - suma długów przekroczyła już dwa miliony sesterców. Dwa miliony? Poncjusz spojrział z niedowierzaniem na gościa. Nie, to niemożliwe. Na cóż mu takie pieniądze w Palestynie? To chyba przesada. Z tego, co ludzie mówią, można zawsze spokojnie połowę ująć.

Antypas potrząsnął głową ze zniecierpliwieniem. To nie jest ludzkie gadanie. Jego informacje pochodzą od Herodiady, a do tego wie, na co idą te sumy. Agrypa kupuje sobie za nie przyjaźń. Bo Agrypa, jak się okazuje, ma plany na przyszłość. Niedawno był w Syrii, gdzie nie liczył się z groszem, chcąc zaimponować nowemu legatowi. A jak myśli Poncjusz, gdzie znajduje się w tej chwili? Proszę bardzo, w Samarii. I to nie przypadkiem czy przejazdem - pojawił się jak wyczarowany, gdy tylko się dowiedział, że armia i prokurator przenieśli się na zimową kwaterę. Może tam teraz bez przeszkód sypać złotem i pięknymi obietnicami.

Ale przecież Samaria to było jego, Poncjuszowe, terytorium! Co Agrypa miał nadzieję tam osiągnąć? Tetrarcha wydawał się namiestnikowi dzisiaj mało wiarygodny.

Niemniej Antypas nie dał się zrazić - nikt nie wie lepiej od niego, do kogo należy Samaria. Dlatego Agrypa potrzebuje tak wielkich sum. Im większe ryzyko, tym więcej kosztuje przyjaźń.

Poncjusz przysunął się całkiem blisko.

- Do czego zmierzasz? - spytał ostrym tonem.

- Do tego, że masz przynajmniej tyle samo powodów co ja, by się obawiać Agrypy. - Antypas spojrział mu prosto w oczy. - Żebyś zrozumiał powagę sytuacji, spróbuję ci wytłumaczyć moje położenie. Nie sądź, że przyjechałem tu dla zabawy. Zastanawiałem się przedtem długo. To, że cię lubię i chętnie widziałbym w tobie przyjaciela, nie ma nic do rzeczy. Jako

władca nie mogę się kierować osobistymi względami przy podejmowaniu politycznych decyzji.

- Moją pierwszą myślą - ciągnął - było szukać wsparcia u legata w Syrii, zgodnie z tradycją z czasów Augusta, ale kiedy odkryłem, że obaj z Agrypą są starymi druhami z Rzymu, musiałem przekreślić ten plan. Mógłbym oczywiście zachować bierność, ale przy tak dobrych stosunkach Agrypy w Rzymie nie odważyłbym się zostawić mu swobody działania. Dlatego pozostaje mi jedno, mianowicie biorąc przykład z ojca, na dobre i złe trzymać się cesarza... innymi słowy, ciebie.

Szczerze słowa - szczerze i niepokojące.

Czyżby Agrypa rzeczywiście obstawiał tak wysoko? Wychowywał się razem z Klaudiuszem i Germanikiem, więc pewnie będzie popierał syna Germanika, Kaligulę, który po obaleniu Sejana został spadkobiercą Tyberiusza Cezara. Mając jego poparcie, Agrypa stawał się niebezpiecznym przeciwnikiem. I jeśli obecnie próbuje zdobyć zwolenników w Samarii, na pewno zamierza rozegrać dla siebie niesnaski między Żydami i Samarytanami...

Może jednak lepiej posłać do komendanta Sebaste z poleceniem, by śledził działania Agrypy w sąsiedztwie? Ostrożności nigdy dość. Niepokój tetrarchy udzielił się Poncjuszowi.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem Antypasa siedzieli w wielkim perystylu na półpiętrze. W środku znajdował się ogród z basenem, rząd kolumn zaznaczał brzeg przepaści. Odurzająco pachniały ciężkie kiście kwiatów - nieledwie jak w oazie zawieszanej pomiędzy niebem a ziemią. Prokula wycofała się już do swych komnat. Poncjusz zdjął togę i rozluźnił tunikę pod szyją. Po upalnym dniu chłodny powiew wieczoru działał na

obnażoną skórę jak balsam. Antypas, który po zachodzie słońca zaczął marznąć, zamienił lekki płaszcz na wełnianą pelerynę z kapturem. Księżyc szykował się do wzejścia i jego miękkie światło powoli docierało do spowitej w nocne cienie ziemi. Pod nimi rozciągała się pustynia, osłonięta lekkim welonem barwy indygo, a Morze Martwe odcinało się od piasku pasemkiem płynnego srebra. Po między nim i zboczem gór wił się szlak karawan, niby pojedyncze kreski na bladej równinie pustyni. U stóp skały, w jej cieniu, lśniły płomienie ogniska jak żar na dnie przepaści. Od czasu do czasu wiatr zawiewał na górę cierpką woń dymu razem z urywkami rozmowy. Większość słów jednak ginęła po drodze. Po jakimś czasie głosy ucichły, zastąpione cienkim tonem fujarki. Melodia wznosiła się i opadała monotonnym, powolnym rytmem, jakby nucila ją sama pustynia. Wreszcie fujarka umilkła i tylko osamotniony dźwięk kropeł spadających do basenu potęgował ciszę. Jak dobrze było tak siedzieć, chłonąc spokój nocy!

Nagle gdzieś w głębi zamku trzasnęły drzwi. Poncjusz poprawił się na ławce. Antypas wstał, podszedł do kolumnady i zapatrzył się w ognisko.

- Mój ojciec był Idumejczykiem - odezwał się z nagła.

Czyżby Antypas myślał właśnie o ojcu, który niegdyś zbudował tę warownię? Poncjusza ogarnęło nieprzyjemne poczucie znajdowania się w cudzej dziedzinie.

- Ci na dole także są z Idumei. - Antypas skinął głową w kierunku ogniska.

- Rozpoznaję po melodii.

A więc to nie zamek przypominał mu ojca. Poncjusz odetchnął z ulgą.

- Twój ojciec był wielkim władcą - odezwał się, byle coś powiedzieć. - Im bardziej poznaję ten kraj, tym lepiej rozumiem, jak wielką mocą

dysponował.

- Był Idumejczykiem - powtórzył Antypas, jakby nie słyszał słów Poncjusza i mówił do siebie. - Nigdy nie stał się Żydem. Przynależał do pustyni. Życie było dla niego oazą rozkoszy. Prawa Mojżeszowego dochowywał, tylko póki mu to odpowiadało. Dlatego też zmarł nagle, złożony niemocą i cierpieniem. Powalony ciosem Pana, jak to się mówi. Antypas przechylił się przez balustradę, wzrokiem śledząc drogę wiodącą grzbietem gór w dolinę. Prowadziła z Jerozolimy i Betlejem ku Morzu Martwemu, omijając łukiem masadzką skałę. Na południe od jeziora łączyła się z uczęszczanym szlakiem karawan na wschód do Babilonu.

- Ta droga wiedzie prosto do wspomnień z dzieciństwa, których nie mogę się pozbyć - ciągnął. - Trzech mężów ze Wschodu uciekało tędy przed ojcem.

Wrócił na swoją ławę, położył dłonie na karku i spojrzał w gwiazdy.

- Spójrz! To Jowisz, gwiazda władców - wskazał palcem - a tam nasza własna, żydowska, gwiazda Dawida.

Poncjusz skinął głową. Jeszcze nigdy tetrarcha nie przeskakiwał tak z tematu na temat jak dziś wieczór.

- Miałem wtedy chyba dwanaście, trzynaście lat. - Antypas po chwili podjął przerwany wątek. - Pamiętam dobrze, że przygotowywałem się do bar micwy w synagodze i wkrótce po raz pierwszy powinienem był dostąpić zaszczytu czytania Tory. Mieszkaliśmy wówczas w pałacu w Jerozolimie. Pewnego dnia właśnie wychodziłem, gdy w bramie pojawiła się karawana. Przewodnik spytał, czy tu mieszka król tej ziemi, więc potwierdziłem i pobiegłem do ojca, by go uprzedzić, że przybyli goście ze Wschodu. Pospieszył do sali tronowej, gdzie w biegu nakładał koronę i

purpurowy płaszcz, a tymczasem rodzina gorączkowo ustawiała się wokół niego. Zaledwie zdążyliśmy się przygotować, wprowadzono przybyszy. Było ich trzech, orszak pozostał na zewnątrz. Ubrani we wspaniałe szaty, z trefionymi włosami i brodami, przed tronem zatrzymali się i kilkakrotnie skłonili do ziemi, a potem, wzniosłszy ręce ku górze, zaintonowali hymn. Kiedy skończyli, ojciec spytał, czemu zawdzięcza zaszczyt goszczenia ich i w jakiej sprawie przybyli.

Odrzekli, że pochodzą z krainy pomiędzy dwiema rzekami, z dalekiego Babilonu, i poszukują mądrości w gwiazdach. Z pozycji gwiazd wynika, że należy oczekiwać cudu, a wśród starożytnych przepowiedni wyrytych na tabliczkach odkryli, jakiej natury jest ów spodziewany cud. Boski promień, jaśniejszy od słonecznego światła, ma przeciąć ziemskie ciemności. Prosty lud i królowie przybędą z daleka, by się ukorzyć przed nieziemskim blaskiem, niosąc w darze złoto i kadzidło i głosząc chwałę Pana... Znaki na tabliczkach wskazywały drogę do ludu Izraela, który wiele wieków przedtem zamieszkiwał nad rzekami Babilonu i tęsknił do własnego kraju. Oni trzej spotkali się, by omówić, co im wypada czynić wobec tak niecodziennej zapowiedzi, i postanowili, że sprzedadzą wszystkie swoje dobra i wyruszą do Jerozolimy na powitanie cudu. Byli jednak jeszcze w drodze, gdy nadszedł czas spełnienia... Pewnej nocy tuż przed świtem ujrzeli zjawisko - gwiazda władców nieba połączyła się z gwiazdą ludu Izraela w chwili wschodu słońca. Narodził się Król, Namiestnik Niebios. Pospieszyli więc do siedziby królewskiej, by złożyć hołd nowo narodzonemu dziecięciu, wznosząc dziękczynny hymn i składając ofiarne dary.

Ojciec nie odzywał się, póki mówili, tylko po wielekroć gładził w

zamyśleniu brodę. Kiedy skończyli, powiedział, że tak wielką nowinę powinien świętować cały naród, nikt jednak w kraju nie słyszał o tym wydarzeniu. W jego domu od dawna nie narodziło się żadne dziecko - niemniej ma siedmiu synów, może więc proroctwo jest cokolwiek spóźnione i dotyczy któregoś z młodszych?

Astrologowie zdecydowanie zaprzeczyli. Ich wiedza jest dokładna.

Dziecię narodziło się pod znakiem Ryb, znakiem zodiakalnym narodu dwunastu plemion - ściśle biorąc przed dwunastoma dobami.

W porządku, ojciec w żadnym razie nie podaje w wątpliwość ich kompetencji, ale proponuje poradzić się uczonych w Piśmie. Oni na pewno potrafią powiedzieć, gdzie miałby się narodzić Mesjasz, o ile właśnie jego nadejście przewidują mężowie ze Wschodu.

W kręgach świątynnych zrobiło się poruszenie. Mesjasz? Mędrcy z Babilonu? Kapłani i uczeni pospieszyli do pałacu... Nie, Jerozolima nie była tym miejscem, gdzie Mesjasz miał przyjść na świat. Chodzi o Betlejem. Prorok Micheasz nazwał właśnie Betlejem królem miast judzkich...

Betlejem, gdzie to jest? Mędrcy chcieli ruszyć natychmiast. Ojciec się tam z nimi nie wybrał. Wypytał jedynie, kiedy gwiazdny cud pojawił się po raz pierwszy. Prosił także, by dali znać, gdy znajdą dziecko, aby wszyscy mu mogli złożyć hołd.

Zaledwie znaleźli się za drzwiami sali tronowej, zrzucił maskę. Z pomroczyła, ściągniętą twarzą wpatrywał się ponuro w ziemię.

Wszyscy w pałacu stąpali odtąd na palcach, nikt nie odważył się wspomnieć Babilończyków w oczekiwaniu na wielką nowinę.

Jak wspomniałem, ojciec miał siedmiu synów, ale zaledwie jeden z nich

był moim prawdziwym bratem, reszta to przyrodni. Pierworodny, prawie dwukrotnie starszy ode mnie, stale kłócił się z dwoma następnymi, którzy wychowali się w Rzymie. Ta trójka rywalizowała w wyścigu do łask ojca, żywiąc nadzieję na dziedziczenie tronu, podczas gdy my, młodsi, nie oczekiwaliśmy pod tym względem niczego. Na myśl o Mesjaszu odczuwaliśmy nawet pewnego rodzaju satysfakcję, bo jeśli on zostałby królem, to marzenia braci by się nie spełniły.

Napięcie rosło. Z każdym dniem oczekiwano na wieści z Betlejem. Ale czas mijał, a posłaniec się nie pojawiał. Obcy zdążyli chyba przepatrzeć każdy zakątek tego Betlejem. Ojciec wybuchał gniewem jak rozjuszony byk na najlżejszy odgłos kroków. Na koniec posłał do miejsciny, do zajazdu z pytaniem, co porabiają trzej Babilończycy. Zamiast nich stawili się przed jego obliczem drżący ze strachu gospodarz.

Goście z Babilonu przenocowali tylko u niego i następnego dnia ruszyli w drogę powrotną do swojej ojczyzny. Zapewne już dawno dotarli do domu...

Ojciec zgrzytnął zębami. Diabelski pomiot! Zażądał pełnego sprawozdania, relacji z każdego kroku całej trójki w Betlejem.

Błady i przerażony gospodarz rozpoczął opowiadanie... Karawana z Babilończykami przybyła po południu. W związku ze spisem ludności panowała ciasnota, ale obcy zapłacili dobrze i dostali osobną izbę. Z powodzeniem obyliby się bez niej, noc bowiem spędzili na dachu, wypatrując gwiazd. Ledwo gospodarz wstał o świcie i wyszedł na podwórze, żeby obudzić parobków, usłyszał krzyki z góry. Obróciwszy się, dojrzał trzech obcych na krawędzi dachu z twarzami uniesionymi w niebo, wpatrujących się we wschodnią stronę. Popatrzył w tym samym kierunku -

tam, po drugiej stronie podwórza miał stajnię dla przybywających karawan, przestronną, mieszczącą zarówno zwierzęta, jak i paszę. Wiadomo, konie i wielbłądy w drodze potrzebują tyle samo starania co podróżujący ludzie. Kiedy spoglądał na stajnię, akurat wschodziło słońce, a nad jego tarczą bladła z minuty na minutę wielka gwiazda, by w końcu wtopić się w pierwsze promienie. Zaraz potem Babilończycy pojawili się na podwórzu. Gospodarz powitał ich grzecznie i pozdrowił, ale ani go widzieli, ani słuchali, nie wspominając już o odpowiedzi. Wpatrywali się jedynie z zapamiętaniem w stajnię, jakby tam zobaczyli ducha. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wyszedł stamtąd mężczyzna, a zza jego pleców dobiegł płacz niemowlęcia.

Ci obcy musieli bardzo lubić dzieci, bo weszli razem z tym człowiekiem do stajni i długo rozmawiali z nim i jego żoną. Małemu zostawili bogate dary, a kilka godzin później spakowali się i odjechali. Gospodarz dowiedział się, że ruszyli na Masadę i dalej na południe doliną Jordanu... Ojciec zapytał niecierpliwie o rodzinę ze stajni - czy służyli w gospodzie, czy też byli przyjezdni?

Przyjezdni. Przybyli jakieś czternaście dni przed mędrcami, mężczyzna i kobieta w zaawansowanej ciąży. Właściwie zabrakło dla nich miejsca, ale ponieważ dziecko mogło się urodzić w każdej chwili, pozwolił im nocować w stajni. Przypuszczalnie chcieli wykorzystać spis, żeby się zarejestrować jako małżeństwo jeszcze przed porodem, ale doznali rozczarowania, bo bóle zaczęły się tuż po przyjeździe i o wschodzie słońca dziecko przyszło na świat...

Ojciec w napięciu wypytywał: Który to był dzień? Kiedy dokładnie nastąpił poród? Aż zachrypnął z podniecenia.

Gospodarz, zmieszany, zaczął głośno liczyć. Chyba się przedtem pomylił. To nie było na czternaście dni przed mędrcami, ale dwanaście... Tak, dwanaście dni i nocy.

Nozdrza ojca rozděły się, jakby wietrzył zdobycz. Czy ta rodzina dalej mieszka w stajni?

Nie, odjechali tego samego dnia co Babilończycy. Mężczyzna miał w mieście krewnych i może znalazł jakieś pomieszczenie, skoro już mógł za nie zapłacić. Gdyby gospodarz wiedział, że ktoś o nich zapyta, zdobyłby informację, gdzie się podziali.

Ojciec wymacał trzos i cisnął mu monetę, potem położył dłoń na sztylcie, a szczęki chodziły mu z gniewu, gdy tupał nogą w ziemię, wołając strażę.

- Marsz do Betlejem! - rozkazał, gdy się pojawiły. - Pozabijać mi wszystkich chłopców poniżej... - Zastanowił się i w tej samej chwili dostrzegł mnie. - Jak myślisz, Antypasie? - spytał. - Chyba dla pewności lepiej pozbyć się wszystkich poniżej drugiego roku życia, skoro minęło ponad dwanaście miesięcy od pierwszej przepowiedni gwiazd? Nie będzie królował nad ludem Izraela, kto nie pochodzi z mego domu. Przysięgam na Boga żywego!

Ojciec wyrzekł te słowa z podniesioną dumnie głową. Stałem jak skamieniały.

Antypas przerwał, jakby się wzdragał mówić dalej. Dźwięk kropeł spadających do basenu zabrzmiał tak wyraźnie, że Poncjusz podszedł, by mocniej dokręcić kran. Tetrarcha wciągnął głęboko powietrze.

- Od małego matka starała się wyryć w moim sercu zasady Prawa Pańskiego - podjął cichym głosem. - Była pobożną kobietą; na imię miała Maltace i pochodziła z Samarii. Na długo przedtem, nim zacząłem

przygotowywać się do bar micwy, zaszczepiła mi wiedzę o Panu. Znałem Jego Prawo i polegałem na Jego obietnicy, nadziei na przyjście Mesjasza. Teraz się urzeczywistniła, wierzyłem bowiem niezachwianie w słowa mędrców, jak wszyscy zresztą, także ojciec. Dlatego przecież kazał pozabijać dzieci i zgładzić Pomazańca ludu Izraela... dlatego skierował miecz przeciw Panu.

Jak sparaliżowany oczekiwałem, że niebo natychmiast ześle ogień i siarękę, że ziemia się rozstąpi, a my znikniemy w otchłani wiecznych mąk.

Przerażenie spętało mi nogi. Gdy z pałacowego dziedzińca zabrzmiał sygnał wymarszu, odbił się w moich uszach echem trąb wzywających na Sąd Ostateczny. Oszalały ze strachu rzuciłem się do drzwi i pogałem do matki.

Przytuliła mnie do piersi, objęła ramionami, dała poczucie bezpieczeństwa. Język mi się plątał, lecz w końcu wydusiłem wśród łkań, co zamierza ojciec.

- Niech gniew i zemsta Pana spadną na jego głowę - wyszeptała pobladła. Podniosłem przestraszony głowę. Po raz pierwszy ujrzałem matkę taką, jaka była w rzeczywistości, przywykłą do bólu. W delikatnych zmarszczkach kryły się troska i żal, a życie pełne cierpienia znalazło wyraz w modlitewnej prośbie: Niech gniew i zemsta Pana spadną... I tak się stało.

Ostrze, które ojciec skierował przeciw małemu Mesjaszowi, ugodziło jego własnych synów. Tego samego roku doszła go wieść, że moi dwaj bracia przebywający w Rzymie są zamieszani w morderstwo w rodzinie cesarza. By oczyścić się w oczach imperatora, kazał ich obu pozbawić życia. Zbyt późno dowiedział się, że podejrzenie nie miało podstaw, a wtedy

wtrącił do więzienia mojego najstarszego brata, ponieważ jakoby jemu należało przypisać autorstwo owych fałszywych oskarżeń. Udusił go własnymi rękami.

Kiedy wkrótce potem sam umierał, ciało miał całe w ropiejących wrzodach, a duszę zatruwał mu jad. Zszedł do grobu znienawidzony i pełen nienawiści... tak jak powiedziałem: dotknięty zemstą Pana.

W ten sposób doszło do tego, że moi pozostali bracia i ja staliśmy się dziedzicami tronu. Całą rodziną zjechaliśmy do Rzymu i w świątyni Apollina August rozdał nam spadek. Kraj został podzielony na cztery części. Najstarszy syn mojej matki wdał się w ojca, to jego właśnie skazano na wygnanie za okrucieństwo. Ja byłem najmłodszy i najbardziej z nią związany, toteż zamieszkała ze mną.

Ojciec miał dwanaście żon, więc była zaledwie jedną z wielu. Mimo młodego wieku rozumiałem, co musiała przejść, a że wychowano mnie jak Żyda, sam pojąłem tylko jedną żonę, córkę władcy Petry, jednego z moich najsilniejszych sojuszników. Dobrze nam było razem. Kontynuowałem pracę ojca, budowałem miasta, drogi i akwedukty, na moich ziemiach zapanował dostatek. Staralem się także przyciągać na swój dwór co znacniejszych ludzi i odczułem gorycz, że Jan nie chce u mnie gościć. Częściowo powodem była próżność, ale także przekonanie, że go potrzebuję.

Życie płynęło mi spokojnie jak wody Jordanu. Przyszłość zdawała się zabezpieczona i wszystko szło dobrze, dopóki... pewnego dnia nie spotkałem tej, która stała się mym przeznaczeniem - Herodiady.

Była córką jednego z uśmierconych braci i wychowywała się w Rzymie. Po powrocie do domu wydano ją za Filipa, najbardziej pokojowo

usposobionego spośród synów mojego ojca i w ogóle dobrotliwego człowieka. Przez całe życie starał się iść ludziom na rękę. Jednak Herodiada potrzebowała czegoś więcej niż ustępstw. Kiedy pewnego dnia przyjechałem do nich z wizytą, zwrócił moją uwagę wyraz niezgłębionej tęsknoty w jej oczach. Spuściła je natychmiast, jakby chciała oddzielić się ode mnie zasłoną - ale było za późno.

Na stole zastawionym do kolacji stała taca z owocami. Wybrała sobie jabłko, wytarła ręką do błysku i zatopiła w nim zęby. Piękna i pełna gracji. Śledziłem każdy jej ruch, a gdy dłonie zamknęły się wokół owocu, wydawało się, że to mnie dotyka, że to wokół mnie zamykają się te czułe, ruchliwe palce. Zrobiło mi się gorąco, krew zawrzała i spojrzałem jej prosto w oczy. Na jej twarzy pojawił się z wolna rumieniec.

Straciłem panowanie nad sobą.

- Chodź! - rzekłem cicho i wstałem.

Posłuchała. Zeszliśmy po schodach na dwór. Skrzyknąłem swoich ludzi i zanim Filip pojawił, co się dzieje, popędziłem z Herodiadą w ramionach na końskim grzbiecie w noc.

Antypas zamilkł i zapatrzył się przed siebie.

- Cóż, resztę znasz - podjął po chwili. - Cały świat sprzysiągł się przeciwko mnie. Nie pomogło, że odesłałem odepchniętą żonę do domu z listem rozwodowym i większym majątkiem, niż ze sobą przywiozła. Zacięła się w sobie i podjudzała do walki. Jej ojciec zjednoczył się z moimi wrogami i wystawił przeciwko mnie liczne wojska. Tych, którzy jeszcze stali po mojej stronie, zebrałem w Perei. Niemałe sumy musiałem przyobiecać za pomoc. Wiedziałem też, że niektórzy nie wierzą, iż dotrzymam obietnicy.

Ostatniego dnia wspólnej narady wyprawiłem wielką ucztę. Poprosiłem Salome, żeby dla nas zatańczyła. Jest giętka jak trzcina. Nastrój wśród obecnych zdecydowanie się poprawił. Z wdzięczności obiecałem jej nagrodę. Powiedziałem, że dostanie wszystko, czego zechce. Żeby zaś pokazać, iż dotrzymuję słowa, chciałem jej oddać wszystkie swoje klejnoty. Ale jak wiesz, Herodiada wykorzystała tę szansę, a pożądała czegoś więcej niż klejnotów. Krwią Chrzciciela chciała zaspokoić swe pragnienie zemsty.

Szatan doprowadził mnie podstępem na skraj przepaści. Gdybym się cofnął, poniósłbym klęskę. Już niemal słyszałem drwiny i szyderstwa moich wrogów. Goście wstrzymali dech - nadeszła chwila próby, musiałem udowodnić, co warte jest moje słowo. Chwyciłem za puchar, by w nim znaleźć siłę, lecz gdy go podniosłem do ust, w winie odbiła się moja twarz. Oczy, w które się wpatrywałem, nie należały do mnie. To były oczy ojca. Przeszedł mnie dreszcz zgrozy i wychyliłem kielich jednym haustem. Nie pomogło. Wezwałem ochryple strażę i usłyszałem własne polecenia wypowiedane głosem ojca. Potrzebowałem więcej wina. Kazałem sobie nalać do pełna, zamknąłem oczy i wypilem do dna. Czyżby się ze mnie śmieli? Cisnąłem szkłem o ścianę i wydałem rozkaz. Ugiąłem się przed Szatanem, ukrytym w żądaniu mojej własnej kobiety.

Niech Pan pomści - modliła się moja matka.

Niech Pan odpuści - to słowa mojej modlitwy.

Któż umknie przed gniewem Pana?

Pojadę w góry, widzę Go w ciężarze zwisających skał. Pociągnę na pustynię, szepcze do mnie każdym ziarnkiem piasku. Jego głos zagłusza burzę, grozi mi grzmotem, przeszywa błyskawicą. Pan towarzyszy mi za

dnia mym własnym cieniem, a w nocy czai się wszędzie w ciemnościach.
Jak król Dawid nie znam spokoju na mej własnej ziemi...

Głos Antypasa zamierał. Poncjusz musiał przystawić rękę do ucha, by usłyszeć pojedyncze, bezdźwięczne słowa.

- Zbyt surowo osądzasz swój udział, Antypasie - przerwał wreszcie. - Było was dwoje. Niech Herodiada także weźmie na siebie swoją część. Jej wina jest większa.

Tetrarcha zaśmiał się pogardliwie.

- Mówisz jak Rzymianin - odparł. - Twoim bogiem jest prawo. Gdybyś znalazł mojego, wiedziałbyś, że przed Panem, Bogiem Izraela, każdy odpowiada za siebie. Nikogo nie rozgrzeszą winy innych.

Poderwał się z ławy miękko jak pantera.

- Dużo ci dzisiaj naopowiadałem, Poncjuszu Piłacie, bardzo dużo. Ale tu na pustyni człowiek uczy się rozpoznawać, skąd wieje wiatr i czyj to wiatr, a ja, powiadam ci, wietrzę niebezpieczeństwo. Czyha na nas obu. Dlatego przemówiłem. Żebyś wiedział, kim jestem.

Następnego dnia przygotował się do odjazdu. Nim się rozstali, Poncjusz uścisnął mu dłoń.

- Czy istnieje niebezpieczeństwo, czy go nie ma, możesz na mnie polegać - przyrzekł. - Cóż może się zdarzyć, kiedy obaj postawimy na Tyberiusza?

- Twoja misja w tym kraju niedługo się kończy - odparł Antypas ponuro - Tyberiusz zaś jest starcem. Nie będzie żył wiecznie. I co wtedy? -

Wzdrygnął się jak od zimnego podmuchu. - Czuję przez skórę, że zbliża się nieszczęście.

Wskoczył na siodło, spiął konia ostrogą i ruszył stępą do bramy.

Wieczorem Poncjusz z Prokulą usiadł w perystylu. Nie odzywał się, z

myśli nie schodził mu tetrarcha.

- Czemu jesteś taki zadumany? - przerwała ciszę Prokula.

Wymruczał jakieś usprawiedliwienie o tym, że wczoraj się późno położył. Nie pociągnęła tematu, więc sam go podjął, tłumacząc, że podczas wizyty Antypasa wiele rozmyślał o Żydach i chyba zaczął pojmować, dlaczego się tak różnią od innych nacji.

- Antypas nie jest Żydem - sprostowała.

- W tym nie orientujesz się tak dobrze jak ja. Właśnie od niego nauczyłem się o Żydach więcej niż od wszystkich kapłanów razem wziętych. -

Zamilkł na chwilę. - Dla nas Stwórca jest jedynie punktem wyjścia. Jak tylko staniemy na własnych nogach, zapominamy o naszym pochodzeniu.

Natomiast Żyd nigdy nie traci Go z oczu. On jest dla niego Panem wszechobecnym, żywym Bogiem, nieprzerwanie wiecznym

Stworzycielem. Przez całe swe życie Żyd czuje się jego dziełem. I ta świadomość zależności między Mistrzem i jego stworzeniem czyni z Izraela naród wybrany.

Prokula nagle się zarumieniła. Zawisła wzrokiem na jego wargach, łowiąc każde słowo.

- I...? - ponagliła, gdy ponownie przerwał.

- Parmenides! - rzekł z namysłem. - Tak, on chyba najbardziej zbliżył się do judaizmu.

Wyraźnie rozczarowana, przez chwilę układała fałdy sukni, po czym wstała i podeszła w stronę schodów.

- Już idziesz? - spytał zdumiony.

Wróciła. Dłonią dotknęła jego czoła.

- Czy ty zawsze musisz analizować? - Nie czekając na odpowiedź

pochyliła się, pocałowała go i odeszła.

Odprowadził ją wzrokiem. Czyżby powiedział coś nie tak? Może chodziło o Parmenidesa? Dawniej bezustannie zajmowała się wielkimi myślicielami, więc nawet jeśli obecnie bardziej ją interesował judaizm, nie powinna reagować takim zniecierpliwieniem na drobne porównanie...

Cóż, martwiła go ta jego Prokula. Izolacja w Masadzie nic nie dała.

Stanowczo powinni mieć dzieci. To by ją przywiązało do codzienności i rzeczywistego świata.

Często o tym rozmawiali. Dzieci stanowiły przedmiot ich wspólnych tęsknot i Prokula obiecała mu po powrocie pielgrzymkę do sanktuarium Hery_Junony w Paestum, znała bowiem wiele kobiet, którym to pomogło. Istniały także inne podobne świątynie. Egipska Izyda cieszyła się na przykład sławą na całym świecie, a i w Azji nie brakowało znanych świętych miejsc. W drodze powrotnej mogliby spróbować szczęścia. Szkody nie przyniesie, a jeżeliby pomogło...

W drodze powrotnej... Powrót... Twoja misja w tym kraju niedługo się kończy, powiedział nie bez racji Antypas. Jego czas w Palestynie powoli mijał.

Powrót... Powtarzał to słowo w myślach i nagle ujrzał w wyobraźni budzącą się do życia letnim świtem Kampanię. Soczystą zieleń krajobrazu, lekkie chmury gnane morską bryzą, miękkie światło wschodzącego słońca, ziemię spowitą porannymi mgłami, jak welon oddzielającymi ją od nieba...

Pustynia nie zna litości. Tu promienie słońca palą i piętnują, a ziemia rozciąga się bezbronna i naga pod rozplómiennym nieboskłonem. Tu człowiek nie znajdzie osłony, żaden cień mu nie da odpoczynku. Tu jest tylko albo_ albo, życie przeciw śmierci, dobro przeciw złu. Nawet woda

kryje w sobie dwoistość, życiodajna w Jordanie, niesie śmiertelnoścą gorycz Morza Martwego.

Poncjusz zatęsknił za domem. Poczł, że nostalgia ścisła mu gardło. Do domu! Wyjechać stąd, byle dalej od tego napięcia, tej wojny nerwów między niebem a ziemią.

Co roku z nadejściem upałów wybuchala w Jerozolimie zaraza. Rzymianie obwiniali za to wodę. Wprawdzie w starych dzielnicach, zamieszkałych przez Judejczyków, istniały dobre i obfite ujęcia - akwedukt i podziemna żyła szerokości rzeki - lecz w części północnej, gdzie osiedliła się ludność napływowa oraz oddziały sił okupacyjnych, sytuację trudno było nazwać zadowalającą. Główne źródło wody dla tamtejszych rejonów stanowiła sadzawka Betesda, w sumie wystarczająca, bo nigdy nie wysychała. Wokół niej jednak, jak zresztą wszędzie, gdzie dla ochrony przed słońcem budowano krużganki, układano chorych, a ci zażywali kąpieli. Oczywiście tej wody nie używano do picia, ale któż mógł zagwarantować, że jakieś dziecko czy ktoś nieodpowiedzialny nie skosztuje łyka, gdy poczuje pragnienie? Kiedy więc nadchodziły upały, wszelkiego rodzaju przypadłości żołądkowe szerzyły się jak plaga szarańczy.

By podkreślić, jak ważna jest budowa wodociągu dla północnych dzielnic, Poncjusz osobiście wziął udział w jego wytyczeniu. Dodatkowo zaoferował władzom użycie przy pracach budowlanych wojska. Trudno o bardziej fachową i tańszą siłę roboczą. Przynależał również transport materiału. Miasto miało jedynie pokryć wydatki.

Judejczycy przyjęli propozycję chłodno. Nowy akwedukt przy niewspółmiernie dużych obciążeniach podatkowych nałożonych na

Jerozolimę stanie się luksusem, na który po prostu nie ma pieniędzy. Nigdy przedtem nie było skarg na wodę, a miasto przecież nie powstało wczoraj. Praojcowie czerpali ją z tych samych źródeł i nie chorowali. Poncjusz strzelił niecierpliwie palcami. Jeśli w charakterze odwodów wyciągano z grobu praojców, znaczy, że walka będzie ostra. Odparł więc krótko, że nawet jeśli życie w Jerozolimie od czasów praojców i króla Dawida nie poszło naprzód, to w żadnym razie nie dotyczy to innych miejsc na ziemi. Ludzie cywilizowani uznają dobrą wodę za podstawowy warunek odpowiedniego bytu, więc jeżeli roboty nie rozpoczną się natychmiast, przekaże sprawę cesarzowi.

Niech Poncjusz robi, jak uważa - oni wody nie potrzebują. Natomiast jeśli zdaniem Rzymian cywilizacja polega na budowaniu akweduktów, jest to wyłącznie ich opinia, za którą nikt tutaj nie zamierza płacić.

Namiestnik ledwo zdołał się opanować. W sprawozdaniu dla Tyberiusza jednak nie owijał niczego w bawełnę i wyrębał prosto z mostu, co sądzi o tym wiecznym utrudnianiu, z którym mu tu przychodzi walczyć. Miał nadzieję na wsparcie ze strony cesarza i liczył, że na jego polecenie zaniechają oporu.

Odpowiedź Tyberiusza położyła kres jego nadziejom. Imperator tłumaczył, że niechętnie angażuje swój autorytet w lokalne niesnaski, i prosił, by Poncjusz znalazł jakieś inne rozwiązanie problemu. Dopiero po wykorzystaniu wszelkich możliwości zajmie stanowisko w tej sprawie. Tymczasem absorbuje go inne pytanie i prosi Poncjusza o jak najszybszą interwencję. W związku z tym przesyła do przejrzenia kilka dokumentów. Prokurator wygładził pismo i wetknął pod brązowy przycisk na stole. Dlaczego władca nie chce pojąć, że nigdy by mu się nie naprzykrzał,

gdyby istniała jakakolwiek nadzieja na "inne rozwiązanie problemu"? Rada jednogłośnie odmówiła przyznania dotacji, a starsi z Sanhedrynu odrzucili propozycje wsparcia choćby jednym srebrnikiem. Ze śladowym więc zaledwie entuzjazmem zagłębił się w sprawę, która tak leżała cesarzowi na sercu.

Chodziło o pewną Rzymiankę imieniem Fulwia, skoligaconą - wedle informacji zaprzyjaźnionej z nią od dzieciństwa i równej wiekiem Prokuli - poprzez Appiuszy Pulcherów z rodem Tyberiusza i bardzo znaną w stolicy.

Fulwia od długiego czasu interesowała się wyznaniem Mojżeszowym i często odwiedzała żydowską społeczność w Rzymie, co się zakończyło przejściem na judaizm. Chcąc wyrazić wdzięczność i oddanie, zapragnęła przesłać znaczne dary dla Świątyni w Jerozolimie w postaci purpurowej materii, złota, kadzidła i mirry.

Dwaj rabini, którzy przygotowali ją do konwersji, objaśniając Pismo i Prawo, wyruszyli, jak jej sami powiedzieli, na święto Paschy do Jerozolimy i podjęli się dostarczyć przesyłkę do rąk własnych arcykapłana. Czas jednak mijał, a po darach ślad zaginął, więc kiedy upłynął rok bez słowa podziękowania ze Świątyni, mąż tej kobiety powziął pewne podejrzenie i zwrócił się do cesarza. Tyberiusz zaś kieruje tę sprawę dalej do Poncjusza.

Jeśli mąż owej Fulwii miał rację, podejrzewając oszustwo, stawiało to społeczność żydowską w Rzymie w bardzo mało chwalebnej sytuacji. Ba, w tak mało chwalebnej, iż być może, dałoby się ją wykorzystać do zmiękczenia Kajfasza w kwestii wodociągu.

Zły humor Poncjusza zaczął się ulatniać. Wcale niewykluczone, że

Tyberiusza wiodła ta sama myśl i dlatego życzył sobie rozpatrzenia tej sprawy w pierwszej kolejności.

Natychmiast wezwał do siebie Kajfasza. Stosunki między namiestnikiem i arcykapłanem uległy zmianie. Nigdy nie były specjalnie ciepłe ani nie wykroczyły poza sferę oficjalną, ale darzyli się wzajemnym respektem. Kajfasz należał do ludzi sprawnych i energicznych. Jednak po wydarzeniach na Gabbacie Poncjusz już mu nie dowierzał, miał się na baczności i przy każdym spotkaniu spodziewał się podstępu. W dodatku od arcykapłana aż biła irytująca pewność siebie.

Kilkakrotnie miał ochotę usunąć go z urzędu. Od czasów ustanowienia w Judei prowincji cesarskiej żaden z jego poprzedników nie utrzymał się na stanowisku tak długo. Wcześniejsi prokuratorzy częstokroć wymieniali arcykapłanów co roku. Poncjusz jednak niechętnie widział perspektywę załamania stabilnego kursu utrzymywanego od początku swojej misji i wolał uniknąć niepotrzebnej demonstracji siły.

W Kajfaszu była jakaś pożądlivość, niemal drapieżność, a jego czarne oczy kryły chytre błyski. W chwilach podniecenia gestykułował zapamiętale, aż iskry szły od klejnotów osadzonych w licznych pierścieniach. Długie paznokcie przypominały szpony. Gdy czytał teraz dokumentację sprawy Fulwii, kaptur zsunął mu się z głowy i Poncjusz zauważył cienką sępią szyję.

Arcykapłan przysiągł na wszystkie świętości, iż nie otrzymał wymienionych w liście darów, i dodał, że jego zdaniem ten problem dużo łatwiej przyszłoby rozwiązać w Rzymie niż tutaj.

W cichości ducha Poncjusz musiał przyznać mu rację, ale postanowił wykorzystać okazję i utrudnić Kajfaszowi życie. Spytał zatem, jak ma

rozumieć tę wypowiedź - czyżby odmawiał pomocy cesarzowi w wyjaśnieniu tej zagadki?

Arcykapłan oburzył się, że jego słowa mogły zostać zrozumiane tak opacznie, i rozplątał w zapewnieniach o lojalności i oddaniu wobec wielkiego władcy Rzymu. Poncjusz jednak przerwał tę tyradę krótkim stwierdzeniem, że jego gość jako przywódca duchowy społeczności żydowskiej jest najbardziej kompetentną osobą do ustalenia, co się stało z ofiarą świątynną Rzymianki Fulwii. Na tym uważa sprawę za zakończoną, ale przy okazji chciałby przedyskutować inny palący problem, mianowicie nowego wodociągu. Skoro władze lokalne twierdzą, że nie mają pieniędzy na przedsięwzięcie społecznie użyteczne, to chyba właściwe by było, gdyby wydatki pokryła kasa Świątyni?

Kajfasz zamachał rękami i wzniósł ze zgrozą oczy ku niebu. Kasa Świątyni? Wykluczone, wykluczone! Świątynny skarb przeznaczony jest na użytek sanktuarium - nawet sama taka myśl stanowiła bluźnierstwo. Zatrząśł się z oburzenia na tak świętokradczą propozycję.

Poncjusz spojrział nań chłodno.

Cóż, jeśli kapłani nie chcą wyłożyć tej sumy, niech Kajfasz wpłynie na miejscowe władze, by zdobyły pieniądze w inny sposób. Tutaj, podobnie jak w pozostałych prowincjach cesarstwa, takie wydatki one powinny ponosić - jak to rozwiążą, pozostaje sprawą Jerozolimy; jego to nie obchodzi. Najwyższy kapłan więcej niżli raz demonstrował, jak wielkimi dysponuje wpływami w mieście, i właśnie nadarza się okazja, by pokazać całą głębię lojalności wobec Rzymu. Dalszą dyskusję Poncjusz uznaje za bezcelową.

Wstał - i Kajfasz musiał uczynić to samo.

Wyszło na jaw, że małżonek Fulwii miał rację, przypuszczając oszustwo. Dwaj rabini, którzy obiecali przekazać dary, w ogóle nie wyruszyli do Jerozolimy, sprzedali kosztowności na miejscu i przywłaszczyli sobie pieniądze. To, iż obaj cieszyli się dużym szacunkiem i pełnili wysokie funkcje w synagodze, nie czyniło przestępstwa wcale lżejszym. Poszukiwano ich wszędzie w skupiskach Żydów i Kajfasz obiecywał nie spocząć, póki nie zostaną ujęci.

Mimo jednak tego skandalu nie ustąpił w kwestii wodociągu. Z mało przekonującą skromnością twierdził, że jego wpływy ograniczają się do Świątyni i w pozostałych sprawach nie ma do powiedzenia więcej niż przeciętny członek Sanhedrynu. A w Radzie każdy głosuje wedle swego uznania, nie biorąc pod uwagę opinii innych.

Innymi słowy Poncjusz nie ruszył z miejsca z planami akweduktu. Pozostało mu więc tylko zaapelować do mieszkańców miasta o dobrowolne datki. Wzdragał się przed takim wyjściem, łatwo bowiem mogło doprowadzić do rozruchów, skoro jednak nałożono nań obowiązek wykorzystania wszystkich ścieżek, nim Tyberiusz użyje mocy swojego autorytetu, musiał spróbować i tego. Wysłał na miasto heroldów z wezwaniem do wszystkich Jerozolimczyków, by się stawili na placu Heroda.

Tego rodzaju zgromadzenia rzadko dawały dobre rezultaty, zwłaszcza jeśli władze - jak w tym przypadku - prowadziły przedtem podburzającą agitację. Emocje mogły łatwo wziąć górę. Dlatego Poncjusz ze swej strony także podjął pewne przygotowania. Żołnierze otrzymali rozkaz wmieszania się w tłum w cywilnych ubraniach i natychmiastowego reagowania, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli. Żeby jednak nie

doszło do rozlewu krwi, nie wolno im było mieć broni, tylko dyscypliny. Od pierwszej chwili atmosfera była naładowana. Gdy wyjaśniał, dlaczego potrzebny jest nowy akwedukt i jak obliczono jego koszty, przerywano mu ciągle gwizdami i wołaniami, a gdy stwierdził, że chodzi o dobro miasta, odpowiadały mu salwy śmiechu. Kontynuował niezrażony, lecz ledwie wspomniał o możliwości sięgnięcia do świątynnej kiesy, awantura rozpętała się na serio. Jego słowa utonęły w powodzi wyzwisk i przekleństw, a w kierunku mówcy poleciały kamienie.

Tego już żołnierze nie zdzierżyli i rzucili się w tłum, waląc na oślep dyscyplinami. Atak nastąpił tak nieoczekiwanie, że ludzie w panice rzucili się do ucieczki. Cisnęli się w boczne uliczki, w tłoku wielu poupadało i zostało zdeptanych. Mimo jednak tego nieszczęścia Kajfasz i władze miejskie nie chcieli się ugąć. W dalszym ciągu odmawiali współfinansowania planu doprowadzenia wody.

Tym razem jednak Tyberiusz zareagował na raport Poncjusza błyskawicznie i pozytywnie. Poleciał mu wyrazić w imieniu cesarza Wysokiej Radzie i starszym Jerozolimy niezadowolenie.

Tyberiusz przypomniał o umowie z Augustem i Rzymem. Odmowa dotrzymania warunków traktatu i odrzucenie realizacji tak podstawowych wymogów higieny jak dostęp do przyzwoitej wody pitnej dla mieszkańców miasta i jego obrońców powoduje, że należy się liczyć z represjami. Jedna z nich została już wprowadzona w życie.

Zgodnie z układem Żydzi byli zwolnieni od służby wojskowej. Ten przywilej obejmował oczywiście jedynie Żydów przewidzianych w tekście traktatu. To znaczy nie dotyczył osiedlonych poza granicami Palestyny.

Dotychczas cesarz w swej łasce rozciągał to postanowienie na wszystkich,

skoro jednak Jerozolima nie wypełnia swoich zobowiązań, to koniec także z dobrą wolą imperatora i od tej pory każdy Żyd zostanie wpisany na listy rekrutacyjne do sił zbrojnych cesarstwa.

Pierwszy pobór został właśnie zakończony i cztery tysiące członków społeczności żydowskiej w Rzymie znajdowało się w drodze na Sardinie w celu odbycia tam służby wojskowej. I wysyłane będą nowe kontyngenty, jeśli Sanhedryn nie spełni natychmiast żądań prokuratora.

Zgroza ogarnęła Jerozolimę - tym bardziej że zaczęły napływać pierwsze przerażające informacje z Rzymu. Z miejsca wyjechała na Kaprę delegacja z protestem, ale odmówiono jej audiencji. Cesarz przekazał pozdrowienie i przypomniał, że rozwiązanie problemu służby wojskowej nie zależy od niego, lecz od władz Jerozolimy. Społeczności żydowskie z całego świata błagały teraz miasto o wsparcie.

Wobec takiego nacisku ani Kajfasz, ani starsi nie odważyli się dłużej opierać. Suma potrzebna na budowę wodociągu została odliczona i dostarczona do Antonii. Poncjusz pokwitował jej odbiór, lecz odrzucił prośbę Rady o audiencję. Nie szkodzi, jeśli zakosztują gniewu cesarza i poczują, że prokurator ma w nim oparcie.

W Rzymie natomiast ludzie nigdy się nie zorientowali, dlaczego wywieziono z miasta cały legion Żydów. Tyberiusz jak zwykle nie udzielił żadnego wyjaśnienia, a władze Jerozolimy nie były zainteresowane publicznym ujawnianiem własnej winy. Poncjusz także nie widział powodu, by rozgłaszać, że na podległym mu terytorium doszło do konfliktu.

Dlatego ludzie fantazjowali w najlepsze. Większość mniemała, że przymusowy pobór stanowił zemstę za oszustwo, którego ofiarą padła

Fulwia i o którym się tyle szeptało w mieście. Wprawdzie kara nie wydawała się współmierna do występku, lecz to zapisano na rachunek Tyberiusza i plotek o wzrastającym okrucieństwie starego władcy.

Po uruchomieniu finansów budowa ruszyła jak z płatka i nim kohorty następny raz opuściły zimową kwaterę w Jerozolimie, akwedukt był gotowy. Ze względu na wojsko Poncjusz chciał uczcić zakończenie robót paradą, dla załagodzenia zaś wszelkich niesnasek planował rozdać biedocie miejskiej zboże i oliwę, a tym samym zachęcić ludzi, by się cieszyli z uzyskania dobrej wody.

Właśnie odbywał ostatnią inspekcję budowli przed puszczeniem wody, gdy dopadł go kurier z pilnym posłaniem od komendanta Sebaste.

Dowódca meldował o podejrzanych zgromadzeniach w Samarii. Zbrojni mężczyźni z całej krainy zbierali się ukradkiem w górach Efraim w okolicy szczytów Ebal i Garizim. Co noc przybywali nowi. Nie udało mu się jeszcze odkryć celu tych zbiórek, niemniej szpiedzy pilnowali rozwoju wypadków, a on sam prosił o dyrektywy.

Poncjusz ruszył spiesznie do Antonii, gdzie zwołał naradę sztabu. W jego kancelarii na dłuższej ze ścian wisiała tablica z zaznaczonym kredą rozmieszczeniem legionu. W zimie kwaterę główną stanowiła Jerozolima. Przez resztę roku jej rolę odgrywała Sebaste. Poza tym w okolicy znajdowało się z pół tuzina obozów, lecz w chwili obecnej większość wojska ściągnęła do miasta w związku z paradą. Zaraz po niej oddziały miały wyruszyć do letnich siedzib. Trasa przemarszu prowadziła jak zwykle przez pasmo gór efraimskich i wyżynne tereny Samarii do Sebaste i Cezarei.

Miejsce, gdzie zgromadzili się Samarytanie, leżało na ostatnim etapie

drogi przed twierdzą. Oddziały docierały tam o zmierzchu, zmęczone długim marszem, z niecierpliwością wyglądając koszar. Ukształtowanie doliny pod górą Garizim idealnie nadawało się na zasadzkę. Stosunkowo mały oddział zdolny tu był rozgromić przeważające siły wroga. Plan robił wrażenie równie wyrafinowanego co odważnego. Nikt poza Agrypą nie mógł być jego autorem; pożyczone pieniądze z pewnością poszły na zastawienie owej pułapki. Gdyby Antypas nie ostrzegł Poncjusza, nie spostrzeżono by, co się święci i cały legion poszedłby pod nóż jak stado baranów.

Serce Poncjusza zawrzało żądzą zemsty. Niech to szatańskie księżątko samo posmakuje klęski, którą przygotowało dla niego...

Zamiast puścić całe wojsko stałą trasą przez Efraim, pośle tamtędy tylko niewielki oddział. Główne siły przedostaną się do Sebaste na skrót i stamtąd szybkim marszem osiągną zbocza Garizim, by spaść buntownikom na plecy. Przy jego znajomości szlaków wiodących z Jerozolimy ku wybrzeżu ten projekt nie miał prawa się nie udać. A wtedy pierwszym, który zawisnie na krzyżu, będzie Agrypa - i nie pomogą odwoływania się do potężnych sojuszników. Pozostaną po nim jedynie drwiny i szyderstwa.

Ażeby nikt nie odkrył zamiarów Poncjusza, defilada musiała się odbyć zgodnie z planem. Niełatwo udawać, że wszystko w porządku, gdy myśli zaprzatają podstęp i śmierć, lecz wreszcie przedstawienie się skończyło i prokurator mógł zostawić za sobą Bramę Damasceńską.

Dwudziestoletnie doświadczenie w sztuce wojennej dało mu zawodową pewność, oczekiwana potyczka podniecała, a świadomość dobrego przygotowania poprawiała humor.

Zwycięstwo było całkowite. Nim Samarytanie ruszyli do ataku, zostali napadnięci od tyłu oraz z flanki i pokonani.

Wydawało się, że legionisci wyrastają spod ziemi. Wszędzie roiło się od Rzymian z mieczami i toporami. Wrzask przerażenia i jęk rozpaczony wypełniły dolinę. Jak bezwolne stado stłoczyli się Samarytanie wokół świętych ołtarzy na szczycie Garizim. Noc, która miała być im przyjazna, stała się wrogiem - w smolistych ciemnościach nikt nie zważał na świętość miejsca. Zabijano wszystko, cokolwiek się ruszało.

Następnego dnia policzono zabitych i powiązano jeńców. Poncjusz z gniewnym obliczem jechał przez obóz. Tego, którego przede wszystkim poszukiwano, głównego winowajcy masakry, Agrypy, nie było ani pomiędzy trupami, ani wśród pojmanych. Uciekł! Niezaspokojona żądza zemsty burzyła krew Poncjusza, w ustach czuł smak żółci.

Łupy orężne były znikome. Poza kilkoma mieczami z damasceńskiej stali cała reszta nadawała się jedynie na przetopienie.

Jeńców przesłuchano z rezultatem podobnie mizernym. Wszyscy recytowali tę samą wyuczoną lekcję: żaden z nich za żadne skarby nie planował napadu. Zebrali się na Garizimie jak jeden mąż z powodów religijnych. Pewien człowiek natchniony przez Pana w proroczym śnie ujrzał, gdzie znajdują się święte kadzie Mojżesza. Ukryto je na górze Garizim i ów wybrany miał ich nocą poprowadzić w to miejsce, gdzie zostały zakopane.

- Dlaczego nocą?

- Tak Pan nakazał wybranemu.

- Czemu tylko zbrojni, czemu nie także kobiety, dzieci i starcy! I po co broń, gdy cel wyprawy był pokojowy?

- Oreż miał służyć do walki z zastępami duchów ciemności i do obrony przed zawiścią Żydów po znalezieniu skarbu.

- A gdzie ten jasnowidz?

Poncjusz chciał zobaczyć i wypytać tak zwanego wybrańca Pana.

Przyprowadzono mu jakiegoś pomyleńca, powykręcane go pokraccie, któremu z kącików ust sączyła się strużka śliny, gdy palcem wskazywał na niebo i bełkotał coś o Garizim w powodzi nieartykułowanych dźwięków, mogących znaczyć cokolwiek - także Mojżesza i jego święte kadzie.

Puszczono nieszczęśnika wolno. Broniła go własna bezbronność.

Natomiast wyposażonym w rozum przyjdzie zapłacić za przedwczesną arogancję. Srodze się omylili, sądząc, że z Rzymu można bezkarnie drwić.

Na próżno zasłaniają się teraz pustą gadaniną o objawieniach. To była zasadzka - bunt!

Prokurator podzielił jeńców na dwie grupy. Najważniejszym mężom z każdej wioski kazał ustawić się po swojej prawicy. Na wioski nałożył trybut, którego wysokość określała liczba mężczyzn wysłanych na Garizim. Wobec stojących po lewej stronie zwykłych wieśniaków, równie nieświadomych jak stada, które wypasali, postanowił dać pierwszeństwo łasce przed prawem. W zamian za złożenie przysięgi na wierność Tyberiuszowi Cezarowi mogli zachować życie. Kto jednak odmówi wiernopoddańczego przyrzeczenia lub je złamie, powędruje prostą drogą na krzyż. Inaczej z tymi po prawej stronie. Oni doskonale wiedzieli, co niesie ze sobą bunt wobec Rzymu, a tym samym nie mieli usprawiedliwienia. Wykorzystali swoje pozycje przywódcze w wioskach do poprowadzenia prostaczków na manowce, przeto na resztę życia odbierze się im prawo do ponoszenia odpowiedzialności. Zostaną wysłani

do Rzymu i sprzedani w niewolę. Istniała jednak i dla nich droga ratunku. Kto poda informację o miejscu pobytu Agrypy, będzie mógł wrócić wolno do domu.

Mimo tak kuszącej obietnicy nikt nie był w stanie określić, dokąd udał się zbieg. Agrypa nieodwołalnie zniknął.

Pierwszy natrafił na jego ślad Herod Antypas. Odkrył, że szwagier przebywa w Ptolemaidzie w południowej Syrii, tuż koło terytorium podległego Poncjuszowi, ochraniany przez przyjaciela, legata.

Prokurator zazgrzytał zębami. Złoczyńca nie umknął daleko, bo chciał okazać mu lekceważenie jako reprezentantowi cesarza. Odpokutuje jednak za tę bezczelność - wciąż przecież wisi na nim dług wielkości dwóch milionów. Człowieka tak zadłużonego nikt nie uratuje przed rozliczeniem, nawet cesarski pełnomocnik. Gdy wierzyciele zażądają zwrotu, albo będzie musiał go wydać, albo spłaci należności, a trudno uwierzyć, by przyjaźń między nimi była aż tak cenna. Poncjusz zaś wydusi powody buntu w Samarii, jak tylko dostanie łajdaka w swoje ręce.

Od jednego z podwładnych prokuratora, komendanta garnizonu w Jamnii, Agrypa wyciągnął przed paroma laty trzysta tysięcy sesterców. Mimo pisemnej umowy mijały kolejne terminy, a dłużnik nie zwracał ani rat, ani odsetek. Komendant coraz bardziej się niepokoił - dla niego była to ogromna suma pieniędzy - toteż gdy Poncjusz poradził mu, by oddał sprawę do sądu, natychmiast to uczynił.

W tej sytuacji Poncjusz mógł zażądać od legata Syrii wydania dłużnika i w odpowiedzi otrzymał bardzo poprawne pismo, że Agrypa zostanie z miejsca pociągnięty do odpowiedzialności. Jednak w kilka dni później nadszedł nowy list. Legat wyrażał ubolewanie, lecz ptaszek wyfrunął -

opuścił kraj nie zostawiając adresu. Razem z Agrypą grali z nim w ciuciubabkę, to pewne. Nie zdziwiłby się, gdyby dostojnik sam maczał palce w wydarzeniach na Garizim.

Zacisnął pięści w bezsilnym gniewie. Co mu pozostawało? Z Ptolemaidą odpływały statki do wszystkich portów świata. Tropienie Agrypy równało się w tej sytuacji szukaniu igły w stogu siana. Niemniej Poncjusz nie zazna chwili spokoju, póki zbieg nie zawiśnie na krzyżu.

Znowu przyszedł mu z pomocą Antypas. Agrypa przebywał w Egipcie, pusząc się testamentem Filipa i opowiadając, że wpadł tam przejazdem do Rzymu po uznaniu przez Tyberiusza jego praw do spadku. Pozwoliło mu to uzyskać nowe pożyczki, którymi spłacił z nawiązką cały ogromny dług w Palestynie. Nikt tam już nie mógł mu nic zarzucić i Poncjusz stracił swoją szansę.

Oczywiście napisał do rzymskiego wielkorządcy Egiptu, zwracając uwagę na bałagan w finansach Agrypy, ale nie miał prawa żądać, aby go wydano. Pozostawała jedynie nadzieja, że znajdzie ważki dowód jego zdradzieckiej działalności w Samarii. Wówczas można by oskarżyć go przed cesarzem i oddać pod sąd w Rzymie.

Tetrarcha obiecał pomóc.

Nie opuszczała go świadomość, że został przechytrzony i pobity. Gryzł się w skrytej irytacji.

Przytłaczająca cisza, która zapadała, gdziekolwiek się pojawił w Samarii, także nie przyczyniała się do poprawy nastroju. Na wieść o zbliżaniu się jego orszaku wszyscy chowali się w domach lub innych kryjówkach, więc zwykle przejeżdżał pustymi ulicami. A wystarczył tylko widok góry Garizim, by popsuć humor. Jakby zmasakrowane zwłoki na dobre

rozgościły się w umyśle, żeby mu zatruć życie. Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby on im nie poderzwał gardeł, oni uczyniliby to jemu i jego legionowi, ale ta myśl wcale nie niosła pociechy...

Niewiele lepiej było w Jerozolimie. Nie usłyszał słów podziękowania za dobrą wodę. Odwrotnie, niezadowolenie trwało, a ludzie plotkowali, jak gdyby to on odebrał życie zdeptanym na śmierć na placu Heroda, on, który zrobił, co mógł, żeby uniknąć rozlewu krwi. Ba, wyczuwał nawet, że go podejrzewają, iż podebrał pieniądze ze świątynnej kasy, ponieważ jeden jedyny raz przygroził Kajfaszowi...

Nic dziwnego, że odbierał to jako niesprawiedliwość. Na wspomnienie minionych dziesięciu lat ogarniała go gorycz. Swoją mowę wprowadycyjną oparł na motywie zrozumienia i zaufania. Zaufanie trwało, póki dał się im wykorzystywać. Co się zaś tyczy zrozumienia - był i pozostał dla nich obcym, czy to w Judei, czy w Samarii. Mogli się nazywać dowolnie - faryzeuszami, saduceuszami czy esseńczykami, lecz w głębi swych serc wszyscy co do jednego należeli do zelotów. *

Do panowania potrzeba grubej skóry, o wiele grubszej niż ta, w którą go wyposażyła natura. Za jego rządów wzniesiono w tym kraju dużo mniej krzyży niż za czasów jego poprzedników, ale czy ktokolwiek poświęcił temu choć myśl, czy ktoś mu za to podziękował?

Chciał już wrócić do domu, chciał tak bardzo, że odczuwał ból, ilekroć spojrzał w stronę morza. Na jesieni minie pełne dziesięć lat od chwili mianowania.

Czy powinien poprosić o zwolnienie tej jesieni, czy czekać do rocznicy odpłynięcia z Rzymu tuż po rozpoczęciu nowego roku? Spytał o zdanie Prokulę.

Zamiast odpowiedzieć, zdziwiła się, skąd ten pośpiech, by ruszyć punktualnie co do dnia.

Nie, Poncjusz nie miał innych powodów poza zmęczeniem i potrzebą zmiany. Prokula powinna zresztą pamiętać, że wszystko wymaga czasu - miną miesiące, nim Tyberiusz wyznaczy następcę. Sami też muszą się przygotować, przecież z biegiem lat ich dom się rozrósł i wielu spośród służby trzeba będzie zapewnić nową pracę. W pierwszym rzędzie chodzi o Rachelę. Tak wiernie dla nich pracowała, że uznał za swój obowiązek zadbać o dobrą posadę dla niej, gdy wkrótce uzyska wolność.

Prokula spojrzała nań zdumiona. Rachela nie wróci z nimi do Italii? Rozmawiały często o powrocie i Rachela nigdy ani słowem nie zdradziła, że po wyzwoleniu chce tu pozostać.

Teraz przyszła kolej na Poncjusza, by zademonstrować zdziwioną minę: Ach tak? To dopiero szczęśliwy traf, że się dowiedział, co knują za jego plecami.

Jeżeli Rachela chce wracać do Italii, przypuszczalnie zamyśla pracować dla nich dalej i związać się z ich domem jako wyzwolenica. Poncjusz jednak wcale nie był pewien, czy mu się takie rozwiązanie podoba.

Oczywiście, pracowita i zdolna z niej niewolnica, zawsze twierdził, że to prawdziwy skarb, niemniej przy wszystkich jej niezaprzeczalnych przymiotach nie bardzo miał ochotę ją zatrzymać. Reprezentowała właśnie to, od czego pragnął uciec. Tęsknił za domem, za swoimi, za posiadaniem Prokuli wyłącznie dla siebie, bez konieczności dzielenia się nią z innymi. Dziesięć lat z judaizmem to stanowczo dość.

Chciał kompletnego zerwania, przekreślenia grubą kreską wszystkiego, co by przypominało Prawo Mojżeszowe i Pismo. Chciał zapomnieć o

wieczności, śmierci i "nie tych" światach. Wystarczył mu w zupełności ten jeden, w którym działał.

Rachela powinna zostać, na dłuższą metę najlepiej jej będzie tutaj, wśród swoich, chociaż pożegnanie z pewnością nie przyjdzie łatwo. Najgorzej zniesie je Prokula. Podróż ją jednak oderwie od smutku, a powrót do domu napelni nadzieją. A jeśli Poncjusz zadba, by na serio pomyślała o odwiedzeniu po drodze sanktuariów macierzyństwa, wkrótce może jej głowę zaprzątną inne problemy. Na pewno uda mu się jej pomóc w uciszaniu żalu za Rachelą.

Jego także zresztą czekało bezlitosne pożegnanie - z Ksantypą. Dziesięć lat to długi okres końskiego żywota i Ksantypa nie była już młodą klaczką. Nawet jeśli zniosłaby trudy rejsu, to i tak ciężko by go przeżyła. A na ładzie cierpiałyby jej ambicja, gdyby inne konie, nie ona, wiodły prym w orszaku. Pewnego dnia zaś ciężar pana okazałby się nie do udźwignięcia. Nie miała wiele ponad osiemnaście lat, ale oszczędzi jej poniżenia starości. Nikt nie złamie jej dumy. Już Poncjusz postara się o to, choćby to było równie bolesne jak wbicie noża we własne gardło.

Korespondencja z członkami rodów z biegiem lat osłabła, kontakty się rozluźniły. Po śmierci ojca Prokula rzadko dostawała wieści od swoich - matka nigdy nie należała do fanatyków pióra, a Prokulus nieczęsto za nie chwycił. Wprawdzie Nigrin, brat Poncjusza, zalewał ich potokiem dobrych rad i pouczeń, ponieważ jednak nie otrzymywał odpowiedzi, jego braterska troska z czasem ochłodziła. Ostatnio ograniczał się tylko do szczególnie ważnych okoliczności. I tak przysłał im pompatyczną epistołę, gdy został pretorem, a po awansie na propretora w Afryce wystosował równie uroczyste w tonie pismo.

Poncjusz skwitował to uśmiechem. Czy Nigrin nie pojmuję, że robi z siebie błazna? Zastanawiające jednak, że wszędzie dobrze mu szło. Jeszcze nie wrócił z Afryki, gdy zaczął się przygotowywać do wyboru na konsula. Wysunął swą kandydaturę łącznie ze szwagrem. Prokulus zarządzał w owym czasie jedną z cesarskich prowincji i był dobrze notowany u Tyberiusza. Natomiast Nigrin mógł liczyć na wsparcie Senatu. Doprawdy, wyglądało na to, że zwyciężą.

Poncjusz roześmiał się głośno. Nigrin konsulem? I pomyśleć tylko - Nigrin! Podczas następnej wizyty na Kaprei Tyberiusz przyjmie brata na stojąco. Istotnie, dobrze inwestował - w galerii przodków rodu niewielu było konsulów. Obraz Nigrina jako jednej z wiodących postaci w cesarstwie był tak absurdalny, że Poncjusz zawołał Prokulę.

Przybiegła także z listem w ręku i wielkimi nowinami. Jej brat proponował, by wracali możliwie najprędzej. Mając za plecami dwóch konsulów Poncjusz mógł liczyć na stanowisko pretora, a przy jego długiej zamorskiej służbie okres propretorski z pewnością zostanie skrócony i za parę lat droga do funkcji konsula stanie przed nim otworem.

W pierwszej chwili zachnął się na tę propozycję, lecz im dłużej o niej myślał, tym rozsądniejszy wydawał mu się plan. Szwagier nie był fantastą. Poncjusz miał doń więcej zaufania niż do Nigrina. Nagle zląkł się, że okazja przejdzie mu koło nosa, a taka trafia się tylko raz w życiu. Tu, w Palestynie, żyli przecież jak na wygnaniu. Musi więc na serio pomyśleć o liście do Tyberiusza z prośbą o dymisję. Nie będzie czekał do nowego roku.

Napisał szczerze; nie ukrywał, że chce wykorzystać okres konsulatu brata i szwagra. Tyberiusz na pewno widział w życiu zbyt wiele ambicji, by się

nie domyślić, o co chodzi. Dlatego prosi z całym szacunkiem o uwolnienie z funkcji prokuratora, by mógł się zająć dalszą karierą. Dodał też, że jego działalność w Palestynie zaowocowała rozległym doświadczeniem, dotyczącym tak sukcesów, jak i porażek - a zwłaszcza tych ostatnich - toteż ma nadzieję na wykorzystanie tej wiedzy w przyszłej służbie dla cesarza i Rzymu.

Odpowiedź Tyberiusza była pozytywna. Poncjusz dobrze wywiązał się z trudnego zadania. Tarć nie dało się uniknąć, a te, które wystąpiły, są niczym w porównaniu z chaosem, jaki panował za rządów wielu jego poprzedników. Na następcę wyznaczył już Marcellusa, który wyruszy w nowym roku, jak tylko pozwoli na to pogoda. Cesarz prosi przeto Poncjusza, ażeby wstrzymał się z wyjazdem z Palestyny do końca lutego, co maksymalnie skróci okres interregnum. Z powrotem do Rzymu nie ma się co spieszyć, niemniej kiedy dotrą do Italii, Tyberiusz oczekuje wizyty obojga na Kaprei. Pismo zamykało specjalne pozdrowienie dla Prokuli i życzenia szczęśliwej podróży.

Łaskawy list. Poncjusz westchnął. Jeśli Tyberiusz jest zadowolony, to jego wysiłki jednak nie poszły na marne. Zastanawiał się: włożyć pismo do kieszeni i zachować dla siebie czy zostawić w archiwum? Nie, lepiej zostawić. Jego następców może zainteresować, jak kształtowały się stosunki między nim a cesarzem. Odkładając list na miejsce, przebiegł wzrokiem po starannie oznaczonych półkach z równiutkimi rzędami zwojów w glinianych scriniis, ustawionych jak żołnierze na paradzie. Owszem, tu panował porządek. Nie tak to wyglądało zaraz po jego przyjeździe.

Następnym krokiem była rozmowa z Rachelą. Wzdragał się przed tym, bo

chyba trudno jej będzie odmówić, jeśli naprawdę zechce z nimi wracać do Italii. Niemniej list wyzwolenczy powinien mówić sam za siebie - opatrzony pieczęcią czekał gotowy, gdy Poncjusz ją wezwał.

Jak zwykle stanęła tuż przy drzwiach. Dopiero na skinienie zbliżyła się i mógł jej wręczyć zwinięty pergamin. Spojrzała pytająco i złamała lak. Jak tylko pojęła, co to za pismo, zbladła i zachwiała się na nogach, a nim ją zdołał podtrzymać, osunęła się na podłogę. Początkowo myślał, że zemdląca, ale potem zauważył wstrząsane dreszczem plecy. Czyżby płakała?

Rozejrzał się bezradnie za pomocą. Czy to naprawdę ta zrównoważona i spokojna Rachela? Przemawiał do niej kojącymi słowami, prosił, by wstała - niestety, na próżno. Wreszcie podniósł ją przemocą i posadził na krześle. Zażenowana usiłowała powstrzymać szloch i wytrzeć oczy, lecz drżała dalej, a bladość nie ustępowała z policzków, aż ogarnął go lęk.

- Ja... ja... miałam dwanaście... - wyjąkała.

Pogłaskał ją uspokajająco, ale znowu zalała się łzami.

- Cicho... cicho - rzekł. - Opanuj się, bo będę musiał zawołać Prokulę.

Podziałało, przestała szlochać. Podeszedł do okna i wyjrzał na dwór, żeby jej dać czas na dojście do siebie.

Obdarzył wolnością licznych niewolników, ale nigdy dotąd nie spotkał się z tak niepohamowaną reakcją. Widać znosiła niewolę ciężiej od innych. I co oznaczało, że miała dwanaście? Dwanaście lat, kiedy straciła wolność? Poncjusz wiedział, że nie urodziła się w niewoli... Prokula opowiadała kiedyś, że ojciec Racheli odebrał sobie życie na oczach rodziny, zanim zostali wystawieni na targ. Nie dowiedziała się nigdy, co się stało z matką i rodzeństwem, sprzedano ich i rozproszono na cztery wiatry.

Rachela spłotła dłonie, aż pobieleły kostki. Jej usta poruszały się powoli i bezdźwięcznie. Poncjusz musi chyba poczekać z rozmową na temat przyszłości do innego dnia, na razie tylko załatwi sprawę wyzwolenia.

Przysunął krzesło w pobliże Racheli i usiadł. Poderwała się natychmiast.

- Usiądź, Rachelo - powiedział z uśmiechem - i pozwól mi być pierwszym, który potraktuje cię jako wolną.

Usiłowała odwzajemnić uśmiech, lecz zdobyła się tylko na nieporadny grymas. Potem przycupnęła, wyprostowana jak struna, na brzeżku krzesła.

- Nie będę cię długo zatrzymywał - obiecał - najpierw jednak musimy porozmawiać o interesach. Ten list nie jest podarunkiem, Rachelo.

Zasłużyłaś nań po wielekroć, a ja winienem ci dać dużo więcej niż tylko wolność. Proszę... Oto twoje wynagrodzenie.

Położył jej na kolanach sakiewkę, zawierającą trzy razy tyle srebrników, ile lat zawiadywała gospodarstwem w Poncjuszowym domu.

Przez chwilę wydawało się, że ma opory przed przyjęciem zapłaty, ale w końcu usłyszał ciche podziękowanie.

- Nie będę ci dawał rad, czy masz sobie kupić kawałek ziemi, otworzyć sklep, czy pójść na dalszą służbę. Od tej chwili sama decydujesz o swojej przyszłości. Zakładam jednak, że zechcesz z nami zostać, dopóki stąd nie odpłyniemy. Chętnie polecę cię mojemu następcy. Nazywa się Marcellus, *

Zeloci - stronnictwo polityczne, patrioci żydowscy, odmawiali płacenia podatków Rzymowi, aktami przemocy starali się wymusić suwerenność, organizowali krwawo tłumione zbrojne powstania.

a to gwarantuje, że jest dobrym człowiekiem i znajdziesz u niego pewną

pracę. Ale to już, jak mówiłem, twoja decyzja. Daj znać, kiedy ją podejmiesz.

Jeszcze raz poklepał ją po ramieniu i odszedł.

Z jego strony pożegnanie zostało dobrze przygotowane.

Już następnego dnia zastukała do drzwi. Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że przyszła do siebie, znowu jest opanowana i spokojna. *

Marcellus - Poncjusz nawiązuje tu żartobliwie do rodu Prokuli (Claudii Marcelli).

- Twoja dobroć, panie, jest większa, niż zasługuję. Wczoraj nie podziękowałam ci, jak powinnam - przyklękła i ucałowała Poncjuszową rękę.

Wskazał jej krzesło i spytał, czy zastanawiała się nad przyszłością.

Owszem, chciałyby dalej dla nich pracować i razem z nimi stąd odpłynąć. Na szczęście Poncjusz był na to przygotowany i odparł, że takiej ofiary nie może ani nawet nie powinien przyjąć. W odpowiedzi Rachela zapewniła, że to żadną miarą nie jest ofiara, przeciwnie, jej szczere i z serca płynące życzenie. A wobec jego szczodrości chętnie podejmie się służby bez wynagrodzenia, jeśli tylko wolno jej będzie z nimi pozostać.

A więc zaczęły się trudności. Poncjusz odparł, że w kwestii zapłaty chyba się porozumieją, nie o nią przecież chodzi, lecz o to, że nadszedł czas się rozstać. Oni wracają do swoich i nigdy się tu nie pojawiają, ona natomiast właśnie tutaj jest u siebie. Niech nie zapomina, że jako wolna może kształtować swoje życie wedle uznania, nie musi już tańczyć, jak on czy

ktokolwiek inny jej zagra.

Rachela spuściła wzrok.

- Byłam zbyt mała, gdy pozbawiono mnie woli - rzekła równym głosem. -
Dlatego dziś chciałabym móc kierować się twoją, panie, jak się do tego przyzwyczaiłam.

Poncjusz spojrział na nią z powagą.

- Moją zaś wolą jest, żebyśmy poszli każde swoją drogą - odparł. -
Odległość między Rzymem i Jerozolimą nie pozwala, byśmy jedną nogą stali tu, a drugą tam. Dla obu stron korzystniej będzie się rozdzielić. Zostaniesz wśród swoich, a Prokula i ja wrócimy do domu. Co nie oznacza, że nie odczujemy braku ciebie, i ona, i ja...

Jak umiał, próbował złagodzić wymowę tych słów.

- Zostać wśród swoich... - powtórzyła i podniosła głowę. - Swoich? Nie mam nikogo, kogo bym mogła tak nazwać, nikogo poza tobą, panie, i Prokulą. Ona jedna dała mi do zrozumienia, że jestem warta coś więcej niż moja praca, że nawet niewolnik ma duszę i serce... Błagam, pozwól mi zostać i towarzyszyć wam wszędzie... błagam... jeśli nie przez wzgląd na ciebie, panie, to na nią i na mnie. - Zamknęła oczy, usta jej drżały. - Będzie mnie potrzebowała - szepnęła. - Ja to wiem.

- Dlaczego tak myślisz? - spytał, choć zdawał sobie sprawę, że Rachela ma rację, że Prokula ucierpi najbardziej. O tym jednak nie miał ochoty rozmyślać.

- Ponieważ ona i ja naśladujemy tego samego mistrza, którego zowią Mesjaszem - stwierdziła cicho, patrząc mu prosto w oczy.

- Mówisz o proroku z Nazaretu? - Nie czekając na odpowiedź, zaczął się przechadzać po komnacie.

Skinęła bez słowa i pochyliła głowę.

Kosmyk włosów opadł jej luźno na czoło. Przetykany srebrnymi nitkami, prawie biały. Kiedyś pewnie był czarny, połyskliwy - samotny lok w obramowaniu miękkich kędziorów wokół okrągłej dziecięcej twarzyczki. Miała dwanaście lat... i nastąpił koniec... dzieciństwa, radości, miłości, wolności... Koniec.

Trzy uderzenia młotka licytatora rozbiły życie w puch. Trzy twarde jak stal uderzenia i wszystko, co się liczy, zamieniło się w zdatność. W pożytek, jaki dawała jej praca, jaki świat mógł z niej wydusić.

Poncjusz zatrzymał się.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego nazywasz Nazarejczyka Mesjaszem? - spytał nieoczekiwanie.

- Bo niebo namaściło go bólem - odparła. - Namaściło go do cierpienia z nami i przez nas. Jego troska i opieka obejmuje wszystkich. Ciebie, panie, i mnie, kobiety i mężczyzn, wolnych i niewolników. Rzymian i Żydów, wysoko urodzonych i plebejuszy. On jednoczy się z bólem całego świata. Cierpienie? Ból? Troska i opieka? Poncjusz wpatrywał się zamyślony w przygarbione plecy Racheli. Życie starło miękką krągłość z jej zapadniętych teraz policzków, rzuciło sine cienie pod oczy, pomarszczyło twarz i oprószyło siwizną włosy. Czy miałyby serce wykuć w tych zmęczonych rysach nowe ślady bólu i zerwać serdeczną więź między nią i Prokulą, tę więź, którą zadzierzgnęła przebita gwoździem dłoń?

Podjął wędrówkę po komnacie.

- Nie wyruszymy wcześniej niż z początkiem nowego roku - odezwał się po chwili. - Wiele się może do tego czasu wydarzyć, ale jeśli w dalszym ciągu nie zmienisz zamiaru towarzyszenia nam, nie będę się sprzeciwiał.

Pamiętaj jednak, że jadąc z nami, czynisz to na własne ryzyko. Jesteś wolna i ponosisz za siebie pełną odpowiedzialność.

Po odejściu Racheli Poncjusz poczuł się zmęczony. Ostatnio odnosił wrażenie, że jego życie składa się wyłącznie z kapitulacji i jedyne, co może zrobić, to zachowywać pozory.

Ustalili z Prokulą, że wyślą ruchomości i służbę domową wraz z Rachelą prosto do Rzymu, sami zaś wrócą okreśną drogą przez Aleksandrię. Nie mógł się pozbyć myśli o Agrypie i chciał odwiedzić wielkorządcę Egiptu. Nie wspomniał o tym w liście do Tyberiusza, gdy prosił o pozwolenie na wyjazd do prowincji. W uzasadnieniu podał potrzebę odpoczynku i zainteresowanie historią Palestyny, które zrodziło ciekawość dla kraju nad Nilem. Pozwolenie otrzymał bez przeszkód i oto zbliżał się moment pożegnania.

Ostatni raz pojawili się w Jerozolimie. Rozstanie z Kajfaszem i Wysoką Radą okazało się dużo serdeczniejsze, niż oczekiwali. W swej mowie najwyższy kapłan podkreślił, że od czasów podziału Palestyny Judea nie przeżyła podobnie spokojnego okresu.

- Uważam to za twoją zasługę, prokuratorze - zakończył - i za to dziękujemy wszyscy, życząc tobie oraz twojej małżonce szczęśliwej podróży.

Więcej było takich radosnych zaskoczeń. W ciągu ostatnich pracowitych tygodni wielokrotnie nagle przerywano mu zajęcia niespodziewanymi wizytami. Między innymi pojawił się Józef z Arymatei, już nie jako członek Sanhedrynu. I on, i jego znajomy, Nikodem, zostali wyrzuceni za sprawą stosunku do Nazarejczyka. Zabroniono im nawet wstępu do synagog. Mimo jednak wrogiej postawy faryzeuszy i kapłanów liczba

zwolenników Jezusa z Nazaretu cały czas rosła. Im bardziej byli zwalczani, tym liczniejsze stawało się ich grono.

Podobne informacje napływały z innych źródeł. Podczas uczty pożegnalnej, wydanej przez dowództwo legionu, opowiadano, że wkrótce nie znajdzie się w tym kraju ani jednego miejsca, gdzie by nie widniał symbol krzyża, znak rozpoznawczy używany przez jego stronników.

Nazarejczyk zdobył wyznawców nawet w szeregach legionistów. W samej Cezarei jeden z centurionów przeszedł na religię Mojżeszową i dał się ochrzcić wraz z całym domem w imię Jezusa z Nazaretu.

Jeśli sytuacja rozwinie się w tym kierunku dalej, trzeba będzie z rzymskiego punktu widzenia wkrótce zająć polityczne stanowisko w stosunku do nowej sekty. Z jednej strony zwolennicy Nazarejczyka objawiali przyjaźniejsze nastawienie wobec nie_Żydów niż ortodoksyjne kręgi w Jerozolimie. Z drugiej wszakże nie byłoby chyba zbyt przemyślane okazywać tej grupie za dużą pobłażliwość, a tym samym ryzykować drażnienie Świątyni i władz w Jerozolimie.

Poncjusz dziękował w duchu losowi, że może ten problem zostawić swemu następcy.

Ostatni złożył wizytę Antypas, tym razem pogodny i w dobrym humorze. Jego wysiłki wreszcie zostały nagrodzone i zebrał niepodważalne dowody udziału Agrypy w aferze Garizim. Można teraz łajdaka oskarżyć o crimen laesae maiestatis i skazać za zdradę. Pytanie tylko, jak się najzgrabniej wziąć do rzeczy.

Dawno już Poncjusz nie słyszał tak dobrej nowiny. On jednak zakończył swą misję w Palestynie, a skoro Antypas zgromadził dowody, jemu też powinna przypaść w udziale chwała obalenia Agrypy. Bez jego ostrzeżenia

Poncjusz wszedłby prosto w paszczę lwa, Antypasowi więc należy się pełny tryumf i cała nagroda. Szczerze natomiast radzi jechać do Rzymu i osobiście przedłożyć sprawę cesarzowi. Wspomni o tym Tyberiuszowi, by go przygotować na pojawienie się tetrarchy.

Antypas z serca podziękował, lecz że taka podróż kosztuje, nie sądził, by mógł wyruszyć przed nadejściem lata. Mimo wszystko pocieszające, że na pożegnanie mówią sobie: "Do widzenia!"

Stali z Prokulą w atrium. Ich bagaże znajdowały się już na statku, a orszak czekał w pogotowiu. Jak tylko wyjdą za bramę, zacznie się pakowanie mebli i tak dobiegnie końca dziesięcioletni okres w ich życiu. Gdyby byli sami, zamknąłby Prokulę w ramionach i podziękował jej za ten czas.

Wokół jednak kręciło się mnóstwo ludzi, więc poczekają z tym do wejścia na pokład.

- Gotowa? - spytał tylko.

Skinęła głową i poprawiła szal. Wziął ją pod rękę i poprowadził ku drzwiom.

- Dziękuję - szepnęła, przestępując próg.

Przycisnął jej ramię do boku i oboje przeniknęło ciepło.

Szli pieszo. Ksantypy już nie było. Na zboczu na południe od miasta wznosił się świeżo usypany wzgórek z posadzonym cyprysem. Poncjusz wydał polecenie podlewania go w porze suchej i żywił nadzieję, że za jego następcy nie zostanie ono odłożone do lamusa.

Smutna to była wędrówka. Chociaż często tęsknił do wyjazdu, w chwili pożegnania czuł na sercu ciężar. Prokula wydawała się mniej od niego poruszona. W miarę upływu lat nieraz zaskakiwała go swoją odpornością. Legioniści obstawili ulice szpalerem. W porcie zmieniła ich gwardia

przyboczna prokuratora. Żołnierze stali w równych odstępach do samej galery. Znał każdego z nich osobiście i przechodząc pozdrawiał skinieniem głowy. Przy trapie pełnił wartę centurion z obnażonym mieczem. Był to Korneliusz, o którym wspomiano podczas uczyty, ponieważ dał się ochrzcić w imię Nazarejczyka.

U szczytu trapu się odwrócili. Prokula zamachała szalem. Poncjusz uniósł ramię w geście pozdrowienia. Muzykanci legionowi odtrąbili pożegnalną fanfarę, kapitan dał znak do rozpoczęcia manewrów, trap został wciągnięty i oddano cumy. Niewielki żagiel na dziobie załopotał przez chwilę niepewnie, jakby z wahaniem, potem wydał się nagle i statek nabral prędkości.

Stali teraz razem na rufie. Jej ślad znaczył się na falach jak szlak karawan. Wciągnięto główny żagiel i miasto stopniowo malało w oddali. Prokula próbowała utrzymać wzrok na dachu domu, w którym mieszkała tak długo. Poncjusz skierował spojrzenie na mały wzgórek. Powoli wszakże i pagórek, i dach, a także kopuły i wieże zlały się w jedno, rozplynęły w niewyraźne cienie i zamieniły w połyskującą plamkę.

- Dzięki, miła! - powiedział i otoczył ją ramieniem. - Chodź, pójdziemy na dziób. Nie warto oglądać się za siebie.

- Boisz się?

Usłyszał jej krótki urywany oddech. Starał się dojrzeć wyraz twarzy, lecz osłoniła głowę szalem tak szczelnie, że prześwitywał zaledwie zarys brody. Zamiast odpowiedzi przytuliła się mocniej do jego ramienia.

- Spytamy się tylko i zaraz możemy wracać - uspokajał.

Nie odezwała się. Korytarz był długi i o wiele węższy, niż się wydawało

na pierwszy rzut oka. Gigantyczne posągi i potężne kolumny skracały perspektywę. Dopiero gdy zmierzili odległość własnymi krokami, wyszła na jaw iluzja i prawdziwe wymiary.

Stąpienie odbijało się głuchym echem od ścian, a półmrok zwiększał wrażenie przygniatającego ucisku, jakby egipskie świątynie miały za zadanie swoją kamienną masą wgnieść człowieka w pył. Od trzech długich tygodni podróżowali z jednego sanktuarium do drugiego, poświęconego to bykom, to kotom, węzom czy pawianom - wszelkiego rodzaju prasiłom zaklętym w postaciach zwierząt, zdolnych napęlić lękiem każdego. Gdzie indziej w świecie kolumny wznosiły się ku niebu i światłu, tutaj opadały pod własnym ciężarem, przypominając nosorożce na brzegu rzeki.

Egipskie dziedzińce świątynne, porównane z rozległym, otwartym placem przed świątynią w Jerozolimie, przykrytym sklepieniem niebios, robiły wrażenie więziennych cel.

Przejście od ubogiej Judei do bogactwa kraju nad Nilem nastąpiło bez przygotowania. Aleksandria, rozłożona na zielonych kobiercach w ramionach delty Nilu, była jak rozpustna hetera, u której stóp dawny kochanek, Neptun, gromadzi wszelkie skarby morza. U wejścia do portu zaś, jak kusząca lampa w domu uciech, lśniła latarnia morska - jeden z siedmiu cudów świata.

Wysłannik wielkorządcy przyjął prokuratorowską parę na nabrzeżu i poprowadził do rezydencji dla gości. Rozpływał się w uprzejmościach, domyślali się więc, że Tyberiusz uprzedził o ich przyjeździe. Gospodarz zaproponował przejażdżkę statkiem po Nilu, co dawało okazję, by w wygodny sposób zwiedzić Górny Egipt. Łódź była szczytem luksusu, a Poncjusz i Prokula czuli się jak faraonowie, spoczywając dla osłony przed

promieniami słońca pod rozpiętym żaglowym płótnem, podczas gdy niewolnicy przy burtach wielkimi wachlarzami wytwarzali sztuczny wiatr. Prefekt Egiptu, człowiek obyty w świecie, małomówny i pogodny, miał wielorakie zainteresowania i skłonność do akademickich rozważań. Od pierwszej chwili wzbudzał szacunek, rzadko bowiem spotykało się wiedzę i doświadczenie połączone ze sobą w tak szczęśliwych proporcjach. Orientował się nawet, i to zupełnie dobrze, w kwestii żydowskiej. Podczas studiów na Rodos zapoznał się ze specyfiką judaizmu, a potem kontaktował z żydowskimi uczonymi, gdziekolwiek nadarzyła się okazja. W Aleksandrii zaprzyjaźnił się z filozofem Filonem. Z racji pełnionego urzędu miał wiele do czynienia z tą nacją, tak przecież licznie reprezentowaną w Egipcie. Toteż wiedział niemało i na długo zanim otrzymał list Poncjusza, zdawał sobie sprawę z tego, jakim człowiekiem jest Agrypa. Niemniej, jak słusznie zauważył, każdy miał prawo uzyskać pożyczkę, więc nie znalazł powodu do aresztowania. Mógł interweniować dopiero gdy nie zostały dopełnione warunki otrzymania kredytu, wtedy jednak Agrypa przebywał już za siedmioma górami, w drodze do Rzymu. Rychło zaś potem przysłano pełne pokrycie egipskiej pożyczki, więc nie można go było ścigać.

Tym razem zaopatrzyła go w środki Antonia, dawna przybrana matka, dama niezwykle zamożna ze względu na główną rolę odegraną podczas ujawnienia spisku Sejana, co Tyberiusz nagrodził spadkiem po Liwii. Uzyskała także dla swego byłego podopiecznego wstęp na Kapreę i cesarz przydzielił Agrypie miejsce na dworze Gemellusa Cezara, młodszego z dwóch swoich spadkobierców. Szwagier Antypasa udał wielkie zadowolenie tym wyróżnieniem, niemniej w cichości ducha wołał

Kaligulę i czym prędzej wkręcił się w otoczenie starszego z cesarów, którego znał z czasów dorastania w domu Antonii. Teraz stali się nierozłączni.

Wielkorządca wiedział też, że wobec swojej dobrodziejki Agrypa zastosował ten sam chwyt co w Egipcie, mianowicie pokazał testament Filipa jako gwarancję pożyczki, bezczelnie twierdząc, iż przybył do Italii w celu omówienia sprawy z imperatorem i jest tylko kwestią czasu, kiedy zostanie tetrarchą. Antonia nie mogła się domyślić, że kłamie i niczego bardziej się nie lęka niż chwili, kiedy Tyberiusz dowie się o testamencie. Gdyby bowiem podniósł swoje prawo do spadku, cesarz dla uwiarygodnienia pretendenta nieodwołalnie przenicowałby jego przeszłość, a na takie ryzyko Agrypa wolał sobie nie pozwalać. Testament Filipa miał być asem w rękawie, gdy cesarzem obwołają Kaligulę. Przez jakiś czas wszystko układało się dla niego znakomicie, ponieważ Antonia, starsza pani, miała słabość do młodych mężczyzn i przyjęła jego usprawiedliwienia, gdy miał zapłacić raty i odsetki w pierwszym terminie, zaatakował ją swym wdziękiem. Kiedy jednak sytuacja powtórzyła się w drugim terminie, zaczęła coś podejrzewać. Wprawdzie nie narzekała na biedę, niemniej dwa miliony sesterców za odrobinę kurtuazji wydało się jej nieco zawyżoną sumą. W dodatku nikt jakoś dziwnie nie zająknął się o tym dziedzictwie, a przecież spadki to ulubiony temat rozmów na Forum. Na wszelkie próby wybadania Agrypa odpowiadał z rozbajającym uśmiechem, że korespondencja z Palestyną trwa długo, a Tyberiusz w tej sprawie jak i w wielu innych działa powoli, nie dziwota zresztą, jest w końcu bardzo wiekowy. Antonia udała, że zdobywa się na cierpliwość, ale postanowiła odwiedzić cesarza i spytać go

o ten testament.

Wybuchł wielki skandal. Tyberiusz wydał nakaz aresztowania, lecz z tego czy innego powodu został źle zrozumiany i Agrypa pozostał na wolności. Pewnego dnia jednakowoż podczas wyścigów rydwanów cesarz dostrzegł w rzędzie widzów jego czerwony chiton i ku przerażeniu wszystkich zebranych kazał go jak złoczyńcę zakuć w kajdany. Siedzi więc teraz zamknięty na siedem spustów i oczekuje na proces. Jeśli nikt nie spłaci jego długu - a prawdopodobnie nikt nie ma na to ochoty - spędzi resztę swych dni przykuty do galery.

Poncjusz odetchnął. Nareszcie zacisnęła się sieć wokół tego gładkiego jak wąż oszusta. Szlachetnego Agrypę czeka chyba jednak znacznie gwałtowniejszy koniec niż niewolnicze pęta. Ma na sumieniu o wiele więcej niż pieniądze. Dla niego przeznaczony jest krzyż i gwoździe. Opowiedział prefektowi o jego udziale w buncie przeciwko Rzymowi i zamieszkach w Samarii.

Była to ważna nowina, toteż dostojnik zainteresował się, czemu nie został o tym powiadomiony, gdy jeszcze mógł aresztować Agrypę w Egipcie. W odpowiedzi usłyszał, że chytry lis zatarł ślady tak sprawnie, iż dopiero niedawno udało się zebrać komplet dowodów. Powiązania odkrył tetrarcha Galilei_Perei i on ma wnieść oskarżenie o zdradę stanu. Książę sam zerka w kierunku spadku po Filipie, a ponieważ zawsze zachowywał się lojalnie wobec cesarza i Rzymu, należy dać mu teraz szansę. Nowy legat Syrii natomiast wypadnie bardzo niekorzystnie w świetle tej afery. Poncjusz nie chce nań donosić, nie zamyśla jednak ukrywać, że ów urzędnik cesarski wspomagał buntownika i szkodził jemu jako prokuratorowi.

Wielkorzędca przyznał mu poniekąd rację, niemniej odradzał wyciągnięcie

tych kontaktów na światło dzienne. Niewiele to pomoże imperium. Poza tym Witeliusz cieszy się sławą niebezpiecznego człowieka. A jak wiadomo, zawsze więcej pożytku z przyjaciół niż z wrogów.

Poncjusz zgodził się oczywiście, ale czy to w porządku, gdy jeden Rzymianin rzuca kłody pod nogi drugiemu i gdy niektórzy wysłannicy Tyberiusza prowadzą własną politykę, zamiast realizować zamysły cesarza? Niemniej przyrzekł zastanowić się nad tą sprawą, wdzięczny, że może przedyskutować swoje problemy z doświadczonym mężem.

Chciał omówić jeszcze inny problem, ale wzdragał się go poruszyć.

Chodziło o owo sanktuarium macierzyństwa, które mieli odwiedzić wspólnie z Prokulą. Podczas podróży Nilem mijali jedną świątynię za drugą, lecz nie wiedzieli, jaką te miejsca cieszą się sławą, toteż raz za razem odkładali wizytę. Oboje się niepokoiли. Tak łatwo było wpaść w szpony szarlatanów. Równocześnie wydawało się Poncjuszowi, że nie powinien rozmawiać o takich rzeczach z gospodarzem. Wielkorządca nie miał żony ani dzieci, a jego nieco staromodna dworność w stosunku do Prokuli jeszcze utrudniała sprawę.

Po zasięgnięciu wielu opinii ustalili, że poczekają na powrót do Aleksandrii, gdzie znajdowała się wielka świątynia Izydy. Macierz Izis otaczała sława autorytetu w kwestiach kobiecych na całym świecie.

Widać jednak Prokula obawiała się mimo wszystko i w drodze zachowywała milczenie. Poncjusz próbował ją na miarę swych możliwości podtrzymać na duchu, ale pomagało to chyba tylko jemu, bo gdy zbliżali się do świętego miejsca, stopniowo zwalniała, aż wreszcie musiał ją ciągnąć niemal siłą. Na dziedzińcu spytał strażnika, gdzie mogą spotkać najwyższą kapłankę. Egipcjanin spojrzał, jakby w życiu nie widział na

oczy Rzymian, i wskazał palcem drzwi w rogu. Stały otworem.

W korytarzu nie było żywego ducha i panował mrok, spotęgowany przez rzędy kamiennych kolosów po obu stronach. Światło dzienne u wylotu nie pozwalało oczom przywyknąć do ciemności. Poncjusz odniósł niejasne wrażenie, że są obserwowani, podczas gdy sami nic nie widzieli. Prokula oddychała coraz szybciej.

- Może się zatrzymamy na odpoczynek - rzekł. - Przecież to gorsze od wspinaczki.

Prokula potrząsnęła głową i szła dalej. Wrażenie zamknięcia w pułapce narastało - żałował, że nie ma ze sobą sztyletu.

Wreszcie korytarz bez końca wyprowadził ich na mały podwórzec otoczony potężnymi, pochyłymi kamiennymi blokami, z drzwiami w każdej ścianie. Po kątach wałały się śmieci, pachniało uryną i pleśnią. Zatrzymali się, rozglądając niepewnie wokoło, gdy nagle za ich plecami zabrzmiał głos. W otworze, z którego przed chwilą wyszli, stał mężczyzna o gładko wygolonej głowie, w luźnej, niegdyś białej tunice. Widocznie był kapłanem - po wysokim głosie poznali, że to kastrat - lecz że używał swojego języka, nie zrozumieli ani słowa.

Poncjusz przerwał mu po grecku, wyjaśniając, że przyszli spotkać się z najwyższą kapłanką, więc niech im wskaże drogę. Egipcjanin potrząsnął głową i łamaną greką odparł, że jej wysokość jest zajęta... odpoczywa...

- Zajęta odpoczynkiem? Co za bzdura! - Poncjusz nie był przyzwyczajony do wymówek, toteż polecił, by kapłan przekazał, iż przybywa od prefekta i nie ma wiele czasu. Nie mógł znieść tego człowieka i jego przenikliwego wzroku.

Tytuł prefekta zadziałał jak grom z jasnego nieba. Kapłan przez moment

stał jak zaczarowany i wpatrywał się w nich z otwartymi ustami, po czym zniknął bez słowa w jednym z przejść.

Prokula cały czas się nie odzywała, otulona szczelnie zawojem. Teraz obiema rękami uwiesiła się jego ramienia.

- Chodźmy stąd - błagała. - Chodź, tu nas śledzą złe oczy!

Gniew Poncjusza obrócił się nagle przeciwko żonie. Skoro doszli tak daleko, muszą wykazać przynajmniej tyle dobrego wychowania, by zaczekać na tak zwaną jej wysokość...

Zamiast słuchać męża, zaczęła się rozglądać dzikim wzrokiem jak zwierzę po klatce.

- Chcę stąd wyjść! - krzyknęła histerycznie. - Wyjść! Natychmiast!

Nim się obejrzał, pobięła długim korytarzem, którym tutaj dotarli. Nie miał wyboru, musiał pospieszyć jej śladem, ale dogonił ją dopiero u wyjścia na główny dziedziniec.

- Opanuj się, kobieto! - zawołał wściekły, chwytając żonę za ramię. - Chcesz wywołać publiczny skandal?

Dyszała ciężko i jednym szarpnięciem uwolniła się od niego.

- Umrę, jeśli mi tam każesz pójść jeszcze raz - zaszlochała tak głośno, że ludzie zaczęli się im przyglądać.

Chcąc uniknąć widowiska, musiał się poddać. Stłumił gniew i ujął ją znowu mocno pod ramię. Przed świątynią zawołał lektykę i usiadłszy w niej, zaciągnął zasłony.

Po drodze Prokula oparła głowę na jego piersi i zaniósła się płaczem, ale tym razem jej ten kruczek nie pomoże. Poncjusz rozgniewał się nie na żarty. Co, na Jowisza, pomyślą w tej świątyni?! Mogłaby okazać trochę dobrych manier!

Zresztą cały dzień zapowiadał się niefortunnie. Gdy płacił niewolnikom, zażądali podwójnej ceny, więc zirytowany cisnął mieszek wartownikowi przy bramie z poleceniem, by się tym zajął - wracają od Izydy.

Prokula otwarcie teraz okazywała lęk. Wlekła się za nim niechętnie po schodach. Dotarła do komnat dopiero, gdy zdążył już umyć ręce i właśnie je wycierał. Błada, podchodząc do fontanny chwiała się na nogach i tam osunęła się z nagłą na ziemię. Podbiegł do niej wystraszony i stwierdził, że zemdląca. Natychmiast posłano po medyka, który przywróciwszy jej przytomność spytał, jak często się to zdarza. Poncjusz wyjaśnił, że to pierwszy raz, lecz żona jest szczególnie nieodporna na wrażenia i przypuszczalnie w ostatnim czasie zbyt wiele miała silnych przeżyć. Wobec tego lekarz zaordynował absolutny spokój.

Poncjusz był zatroskany i nie w humorze, gdy udawał się na ucztę. Nie miał zamiaru do tego stopnia wystraszyć Prokuli. To w końcu ona pierwsza wpadła na pomysł, żeby odwiedzić sanktuarium macierzyństwa. Czasami zupełnie nic się nie układa!

Prefekt już czekał, toteż Poncjusz przeprosił za spóźnienie i usprawiedliwił nieobecność Prokuli niedyspozycją. Ponieważ nie doczekał się odpowiedzi, powtórzył swoje słowa jeszcze raz: przed południem byli w mieście, a po powrocie żona zemdląca. Zamiast jednak wyrazić współczucie, wielkorządca przyjrzał mu się chłodnym wzrokiem, przyznając, iż słyszał o ich wizycie w świątyni Izydy.

Dziwne. Czyżby wartownik przy bramie, opłacający zań lektykę, zaraportował, dokąd się udawali? Ich gospodarz zazwyczaj był chodzącą grzecznością, a teraz... Lekko niepewnym głosem Poncjusz potwierdził informację, wyjaśniając, że Prokula od dawna zamierzała odwiedzić Izydę,

lecz w ostatniej chwili odeszła ją odwaga i wrócili do domu, nie załatwiwszy sprawy.

- Muszę też wyznać, że zrobiłem użytek z twego imienia - dodał. - Jakiś kapłan usiłował utrudnić nam dostęp, lecz kiedy wspomniałem, że przychodzę od ciebie, od razu spokorniał.

Zamiast się roześmiać, dostojnik poczerwieniał ze złości.

- Jesteś świetnym aktorem, Poncjuszu - rzekł kąśliwie - ale bądź łaskaw i oszczędź mi tej komedii!

- Jakiej komedii? - Poncjusz zmarszczył brwi i także zagotował się w sobie. Co się temu człowiekowi dzisiaj stało?

Wielkorządca uniósł się na łokciu i postawił talerz na stole.

- Nie będziesz mi chyba wmawiał, Poncjuszu, że nie wiesz, iż Izyda jest tabu? - zawołał oburzony.

- Izyda? Tabu? - powtórzył Poncjusz zdumiony.

Skądże mógł, przybywając z Palestyny, wiedzieć cokolwiek o Izis? Nikt tam o niej nie mówił. A i tutaj nie usłyszał ani słowa na temat zakazu. Jej świątynia stała otworem... Jeśli to tabu, do obowiązków miejscowych władz należało chyba poinformować go natychmiast po przybyciu?!

Dostojnik spojrzał nań z niedowierzaniem.

- Twierdzisz, że nigdy nie słyszałeś o Paulinie? - nie krył zdumienia.

Owszem, tak właśnie jest. Nie ma najmniejszego pojęcia o Paulinie ani o tym, co insynuuje gospodarz. Zna jedynie sławę Izis w sprawach kobiecych.

Prefekt podniósł się na łożu ze zdumienia.

- W takim razie doprawdy muszę cię prosić o wybaczenie - rzekł.

Od skandalu z Pauliną minęły już z górą trzy lata i żaden Rzymianin

darzący szacunkiem cesarza nie przestąpił od tego czasu progów świątyni Izydy. Skoro jednak Poncjusz nie zna sprawy, a wkrótce udaje się do Rzymu, najlepiej, jeśli zapozna się z tą historią, całkiem zresztą pikantną. Gospodarz popił wina, podsunął sobie pod kark poduszkę i ułożył się wygodnie.

Cóż, Paulina była znana w mieście. Piękna, z wysokiego rodu - wielu traciło przez nią sen w nocy, choć dobrze wyszła za mąż i miała nieposzlakowaną opinię. Jeden z tych, którym nie dawała spać, młody bogacz, krążył wokół niej jak ćma koło lampy i wielokrotnie groził, że skoczy z jej powodu do Tybru. Cokolwiek wszakże mówił lub czynił, nie odnosiło rezultatu. Paulina pozostała nieugięta. Nawet wtedy, gdy złożył u jej stóp majątek, wzgardziła darem zakochanego serca.

Żadna jednak odmowa nie mogła złamać uporu zalotnika. Zaczął warować w bramie i jak wierny pies podążał jej śladem, gdzie tylko obróciła kroki. Wędrowki te zaprowadziły go kiedyś do sanktuarium Izydy, Paulina bowiem była niewiastą głęboko pobożną i gorliwą wyznawczynią tej bogini. Godzinami wysiadywał na schodach świątyni, wyczekując na ukochaną. Pewnego dnia wpadł na pomysł. Czemuż by i on jak wielu innych nie miał zanieść przed oblicze Izis swej serdecznej troski, wyznać swych pragnień i poprosić Łaskawej Pani o pomoc?

Jak pomyślał, tak zrobił. Gdy odprowadził bogdanę do domu, wrócił do Izydy i został dobrze przyjęty. Zwierzył się ze swego wielkiego kłopotu i okazał skłonny do poniesienia ofiary dla pani swego serca. Suma nie była tak wysoka, jak się obawiał.

Specjalnie dla Poncjusza, który niewiele wiedział o Izydzie, wielkorządca dodał, że chociaż wrota świątyni zamykano o zmierzchu, to przed jej

ołtarzami trwała służba. Wybrańcy spośród wiernych czuwali na zmianę na straży w nocy, co było poczytywane za szczególne wyróżnienie. Wkrótce powołanie na nocną wartę odebrała także Paulina. Macierz Izis potrzebowała jej czuwania w sanktuarium. W podniosłym nastroju, szczerze osłonięta welonem, udała się na Pole Marsowe. Wielkie świątynne wrota zatrzasnęły się za nią, rygle w zamkach opadły, Paulina zaś w przezroczystej tunice zabrała się z nabożeństwem do dzieła. Zmieniła kaganki, uzupełniła oliwę w lampach i kadzidło w ofiarnej misie. Niebieski dym wzniósł się lekko nad ołtarzem i otulił jak welonem wszystko, na cokolwiek spojrzała. Kolumny pokrył złoty blask i damie zdało się, że do wtóru radosnej melodii harf na lekkiej jak puch poduszce unosi się w niebo. Ujrzała jakąś postać, która szepcząc czułe słowa miłości obnażyła jej piersi i delikatniej od letniej bryzy gładziła skórę...

Jego imię brzmiało Anubis, bóg. Przybywał do Izydy, by jej podarować zaspokojenie i boską radość. Paulina drżała w niebiańskiej rozkoszy gorących pieszczot. Stała się cała Izydą, wieczną kobiecością, dawczynią bez granic. W tej chwili świat narodził się na nowo, a ona żyła we własnym śnie, wybrana spośród wszystkich kobiet - wcielona Izis.

Niewielki zgrzyt w tym błogostanie odczuła nazajutrz, gdy powróciwszy rankiem do domu, w bramie nie zastała swego wielbiciela. Oczywiście nie miało to żadnego znaczenia, niemniej trochę jej go brakowało, ot, tak odrobinę. Czyżby uczucie nagle osłabło? A może zachorował - z tęsknoty za nią?

Maleńkie ukłucie żalu przeszło jej czułe serce - o, jakże była Nielitościwa. Następnym razem gdy go spotka, podaruje mu łaskawy uśmiech - wszak wie, co to znaczy kochać.

Spotkali się na uczcie. Witając się, spojrzała mu prosto w oczy, a on - bezczelnie do niej mrugnął!

- Niemożliwe, to ty, Paulino? - odezwał się zupełnie bez szacunku. -
Czekam cię dziś wieczorem - dodał trochę ciszej.

Oburzona rzuciła głową i odwróciła się doń plecami z dumną miną obrażonej cnoty.

- Zapomniałaś już o ubiegłej nocy? - szepnął prosto do ucha. - Jestem gotów do następnej. Będziemy się sobą rozkoszować do rana, słodka Izis. Przyjdź, twój Anubis czeka!

Paulina zbladła, a młodzieniec roześmiał się i odszedł swobodnym krokiem. Jak wiadomo jednak, była to kobieta godna szacunku, więc zamiast dać się zwabić Anubisowi, wyznała wszystko mężowi. On zaś zbladł podobnie jak ona i pospieszył do cesarza.

Cała historia zakończyła się tym, że świątynia Izydy w Rzymie musiała zamknąć podwoje, a posąg bogini przy akompaniamencie drwin i wyzwisk wrzucono do Tybru. Żaden Rzymianin, który chciał się przypodobać cesarzowi, nie pojawiał się przed jej ołtarzami - stała się tabu.

Prefekt uśmiechnął się tajemniczo.

- Oto masz w wielkim skrócie przyczynę zakazu - podsumował i spojrzał z ukosa na swego gościa.

Poncjusz udawał, że jest zajęty jedzeniem.

- A co się stało z rzekomym Anubisem? - spytał po chwili.

- Cóż, śmiał się w dalszym ciągu i rozповідаł o swojej przygodzie po całym mieście... Zaoszczędził mianowicie trzysta tysięcy sesterców, które wcześniej zaproponował Paulinie. Uzyskał wszystko, co miała do zaoferowania, za jedną trzecią tej sumy. Sto tysięcy wyniosła zapłata dla

Izis. Oczywiście całe miasto śmiało się razem z nim.

- Przed chwilą prosiłeś, żebym ci nie odgrywał komedii. Pozwól więc teraz, że użyję tych samych słów. - Poncjusz odłożył ze złością łyżkę.

- Nie podoba ci się moja historia? - spytał widocznie rozbawiony wielkorządca. - Wszyscy inni za nią przepadają. W całym imperium podają ją sobie z ust do ust.

- Nie wątpię - odparł porywczo Poncjusz, przekonany, że gospodarz robi z niego błazna. - Plebs wszystko przełknie, byle tylko było dość pieprzne. Wybacz zatem, że mnie to tak łatwo nie przechodzi przez gardło. Jeśli to prawda, że ów Anubis uniknął kary za swoje oszukaństwa i jeszcze do tego ważył się drwić z Pauliny i jej męża, musiałeś zataić przede mną coś bardzo istotnego. Jego miłość wydaje się jednakowo fałszywa jak ów podstęp... W cnotę Pauliny też chyba należałoby powątpiewać. Kobiecie godnej szacunku nie ofiaruje się pieniędzy. Również pan małżonek nie wzbudza zaufania, inaczej dawno by zareagował na natrętnego zalotnika. Widocznie sam ma co nieco do ukrycia. Może wiedzą o jakiejś tajemnicy, której nie chcą zdradzić, a może wcale nie chodzi o cnotę Pauliny, gdy oferta dotyczy tak wysokiej sumy. Co z kolei może być powodem, że stale podkreślasz jej przyzwoitość. Na koniec wreszcie, gdy nie skutkują namowy i przekupstwo, jej prześladowca chwyta się chytrej sztuczki i kupuje sobie pomoc Izis. Paulina zostaje napojona środkiem odurzającym i w miłosnym uniesieniu mówi bez udziału świadomości, wtedy jemu udaje się wydobyć z niej tajemnicę. Staje się bezczelny, zrzuca maskę, a śmiertelnie przerażona kobieta biegnie z tym do męża. Ten z nie mniejszym lękiem spieszy do cesarza. Świątynia na Polu Marsowym zostaje zamknięta za uprawianie nierządu, co jest odpowiednią karą. Lecz

to, że Tyberiusz wrzuca do rzeki samą Izydę, nadaje sprawie zupełnie inny wymiar, niż gdyby chodziło wyłącznie o cnotę Rzymianki. W przypadku zemsty karę musiałby ponieść Anubis, a przecież chodził wolny i drwił... O co natomiast naprawdę szło, tego oczywiście nie wiem.

Wielkorządca pokiwał głową z uznaniem.

- Bystry jesteś, Poncjuszu - stwierdził. - Chodź ze mną do ogrodu, to usłyszysz dalszy ciąg historii.

Zeszli między drzewa, znaleźli wygodną ławkę i po upewnieniu się, że nikogo nie ma w pobliżu, usiedli.

- Kiedy wrócisz do domu i wylądujesz w Puteoli - zaczął wielkorządca - przyjrzyj się popiersiu, które tam niedawno ustawiono. Przedstawia Tyberiusza jako imperatora. Bardzo dobra robota. Zwłaszcza postument jest dziełem sztuki, a tak mistrzowsko go wykonano, że ma się większą ochotę patrzeć na niego niż na głowę cesarza. I o to zresztą chodzi.

- W środku płyty wznosi się sterta broni na pamiątkę zwycięstwa nad Sejanem. Okalają ją cztery postacie ze zdradzieckiego własnego rodu Tyberiusza, które upadek prefekta gwardii pociągnął za sobą. Jedna z nich jest wychudzona prawie na szkielet. To syn Agrypiny, zagłodzony na śmierć. Precyzyjna robota kowalska, widać nawet zarost na jego brodzie. Siedzi na tarczy, a pod nią baran wyciąga rogaty łeb zastanawiająco daleko w stronę zwiniętego węża, to znaczy węża gotowego do jadowitego ukąszenia. Baran jest, jak wiadomo, symbolem Amona. Rozwiązanie zagadki nie nastęrcza trudności. Popiersie mówi wszystkim, którzy chcą to zobaczyć, o jądzie Amona, innymi słowy o truciźnie, która pochodzi stąd, z Egiptu.

- Truczina z Egiptu? Przeciw komu? - przerwał gwałtownie Poncjusz.

- Przeciw spadkobiercy imperium, synowi Tyberiusza - odrzekł prefekt z powagą. - To właśnie mord popełniony na nim obalił Sejana, chociaż wyjaśnienie pojawiło się dopiero wiele lat później. Popiersie z Puteoli jest symbolem, że Tyberiusz Imperator pomścił śmierć syna.

- Mimo wszystko nie rozumiem tej zagadki - zaproponował Poncjusz. - Dlaczego wzniesiono je akurat w Puteoli?

- Po osiedleniu się Tyberiusza na Kaprei centrum władania imperium nie znajduje się już na Forum. Wszyscy żądni władzy i wpływów przenieśli się nad Zatokę Neapolitańską, gdzie jak grzyby po deszczu wyrastają wspaniałe wille. Tu odbywa się teraz polityczne przeciąganie liny w cesarstwie. Agrypina z synami mieszkała na północnym wybrzeżu zatoki. Ich twierdzą było Puteoli. Nigdzie też nienawiść do Tyberiusza po ich śmierci nie narosła silniej niż właśnie tam... Na popiersiu ramię imperatora zdobią insygnia władzy. Uczepiony ich demon oblizuje się pożądliwie, zezując na postument ze skazanymi na śmierć. Szatan władzy kusi, a kto mu ulegnie, otrzyma zasłużoną karę.

- Dalej błędzę w ciemnościach. Mimo najszczerzych chęci nie jestem w stanie odkryć związku między popiersiem w Puteoli i przygodą Pauliny.

- Cierpliwości, Poncjuszu. Zapominasz o najważniejszym, o narzędziu zbrodni, o truciźnie, której użyto, by zgładzić Tyberiuszowego syna. Na postumencie w Puteoli widać wyraźnie, że pochodzi ona z Egiptu. Więc posąg Izydy ląduje w Tybrze, gdyż bogini uczestniczyła w spisku przeciw synowi Tyberiusza i za jej pośrednictwem zdobyto zbrodniczy jad.

Pobożna Paulina, z takim zapałem odwiedzająca świątynię Izydy, w ten czy inny sposób musiała się domyślić związków. Przerazona, że oto stała się posiadaczką tak niebezpiecznej tajemnicy, zwierza się mężowi.

Obowiązek nakazywałyby mu natychmiast zawiadomić o wszystkim Tyberiusza, lecz Agrypina jest ciotką Pauliny, więc postanawiają oboje trzymać język za zębami, żeby ich nie wmieszano w intrygę.

Tymczasem rzekomy Anubis, który na zlecenie Tyberiusza pracuje nad rozwiązaniem zagadki morderstwa, zaczyna podejrzewać, iż Paulina i jej małżonek chowają w zanadrzu jakąś ważną informację. Nie śmie zaczepić męża, lecz ma nadzieję złamać Paulinę. Najpierw odgrywa rolę zakochanego i śledzi ją na każdym kroku. Kiedy zawodzą próby zbliżenia, usiłuje ją przekupić, a gdy i to spełza na niczym, chwyta się podstępów i jak na ironię pomaga mu w tym Izis, przygotowując tym samym własny upadek. Paulina nieświadomie zdradza tajemnicę, lecz ponieważ nie pojmuje, co się jej przydarzyło. Jeśli więc oboje z mężem chcą uratować życie i nie znaleźć się w gronie współwinnych, muszą wyznać wszystko Tyberiuszowi.

Świątynia na Polu Marsowym zostaje zamknięta, Izyda kończy w rzece, ale spisek o egipskich korzeniach skierowany przeciwko domowi panującemu to zbyt poważna sprawa, by wieść o nim dotarła do uszu postronnych. Niepewność jest zaraźliwa, toteż jeśli pokój w imperium ma trwać, należy zataić knowania i buntownicze tendencje. Przygoda Pauliny doskonale nadaje się jako przykrywka do rozliczenia z Izydą. Oboje z mężem zostają wystawieni na pośmiewisko, co stanowi sprawiedliwą karę za to, że nie spełnili od razu swego obowiązku i nie powiadomili o wszystkim Tyberiusza.

Przysłuchując się wywodom wielkorządcy, Poncjusz wrócił myślą do sprawy, z którą zetknął się osobiście, do okradzenia Fulwii. W jej przypadku zastosowano tę samą taktykę. Oszustwo, którego padła ofiarą,

zrećnie wykorzystano do ukrycia krnąbrności Jerozolimy.

Owe skandale, wstrząsające od czasu do czasu Rzymem, nie były zgoła strzępkami piany na marszczonej bryzą spokojnej toni. Przypominały raczej szumowiny zbierające się na powierzchni kipieli. Kto przebywał w prowincjach wystarczająco długo, by poznać ukryte przed ludzkim okiem, a kłębiące się w cesarstwie wiry i nurty, ten nauczył się z czasem oceniać właściwe znaczenie tych wydarzeń.

Poncjusz zadrzał na myśl, co by się z nimi, zamkniętymi w świątyni, odciętymi od świata i zdanymi na łaskę i niełaskę pozbawionej skrupułów Izis stało, gdyby Prokula nie wybiegła. Mając w niej zakładniczkę, sługusy Izydy zmusiłyby go do wszystkiego. W jej obronie skłonny byłby się zgodzić na zdradę, skrytobójstwo, truciznę... Pociemniało mu w oczach, gdy wyobraził sobie Prokulę w brudnych szponach kapłana Izis.

Wielkorządca nie przyszedłby im z pomocą, przeciwnie, zadenuncjowałby ich Tyberiuszowi.

Kiedy wszedł do sypialni żony, leżała jeszcze, ale nie spała. Usiadł na łożu i wziął ją za rękę. Przeprasza, rzekł, nie miał zamiaru obejść się z nią tak szorstko. Niech nie myśli, że chciał jej sprawić ból - nikogo na świecie bardziej nie kocha. Po prostu nie pojął jej reakcji. Teraz już wie, w jakim niebezpieczeństwie się znajdowali i że postąpiła słusznie. Czy to instynkt ją ostrzegł czy może wystraszyło ją coś, czego on nie usłyszał albo nie dostrzegł?

Nie, Prokula nie wie, dlaczego nagle ogarnął ją taki lęk. Kiedy zbliżali się do świątyni, serce zaczęło jej bić tak mocno, aż dudniło w uszach, a w ciemnym korytarzu wydawało się, że kamienie ożyły. Słyszała jakies stękanie, mamrotanie niczym w gorączce, westchnienia rozkoszy,

przyspieszony oddech pożądania, jęki porodowych bóli i krzyk śmiertelnego strachu - odgłosy tych wszystkich sytuacji, w których za sprawą kobiecych trosk i kłopotów Isis zyskiwała swą mroczną moc. A kiedy z cienia za drzwiami jak duch wychynął kapłan, jego wygolona głowa zdała się jej podstępny łbem żmii, otoczony murami dziedzińczyk zaś dołem pełnym węży. Odbiegły ją wszystkie myśli, opuścił rozsądek - musiała się stamtąd wydostać...

Oddech Prokuli przyspieszył, jakby ją znowu dusił strach. Poncjusz otoczył żonę ramionami i kołysał jak dziecko, póki się nie uspokoiła. Przyglądał się jej twarzy - zamkniętym oczom i długim rzęsom rzucającym cienie na blade policzki. Sinawe powieki przybierały ciemniejszy odcień bliżej nasady nosa. Pojedynczy włoszek w brwiach wywijał się na przekór pozostałym na zewnątrz. Musiał go jej wrywać, ale w trzy, cztery tygodnie wyrastał na nowo. Znał każdy szczegół jej rysów. Oboje nauczyli się brzmienia swych głosów, wyrazu twarzy, ruchów... a jednak jakże niewiele wiedział o tym, co się dzieje za tym gładkim czołem. Czy śni teraz o czymś czy tylko odpoczywa? Jakby w odpowiedzi otworzyła nagle oczy i spojrzała prosto w jego źrenice.

- Jutro jest szabat - szepnęła. - Muszę iść do synagogi.

- Pójdę z tobą.

Uśmiechnęła się i zapadła w sen.

Poncjusz nigdy przedtem nie był w synagodze - to dobre dla wierzących. Prokula widocznie jednak przyzwyczaiła się do tych wizyt. Z początku starał się nadążać za czytaniem, ale nie dość rozumiał język i zrezygnował. Ona natomiast słuchała z zapalem. Na tyle studiowania Pism będzie je wkrótce znała na pamięć. A więc jeszcze nie skończyła z

żydowską religią. Sam wyjazd z Jerozolimy najwyraźniej nie wystarczył. Przyglądał się ukradkiem słuchaczom. Siedzieli bez ruchu, wpatrzeni w lektora czytającego jednostajnym głosem. Żeby mu się nie dłużył czas, wrócił myślami do Jerozolimy. Było tam ponad trzysta synagog. Nie wiedział, ile ich jest w Aleksandrii, ale z pewnością nie ma. Każdą synagogę w dowolnym miejscu w świecie budowano w ten sposób, że oblicza słuchaczy zwracały się ku Jerozolimie. Wszędzie, gdzie znajdowali się Żydzi, jerozolimskie świątynie stanowiły centrum ich duchowego życia.

- I jak ci się podobało? - spytała Prokula w drodze powrotnej, nie ukrywając napięcia.

Poncjusz nie był całkiem pewien swoich odczuć. Wprawdzie cenił sobie prostotę, lecz w jakimś sensie brakowało mu atmosfery. Dla uzyskania wymaganej nabożności trzeba by swego rodzaju mistyki i zadziałości na uczucia. Może powodu należy szukać w tym, że niedostatecznie znał język - zresztą trudno mu przychodziło pojąć, po co komu synagoga, skoro Pismo można czytać w domu.

Prokula wyjaśniła, że w synagodze za każdym razem stają się inni, nowi, i że jeszcze nigdy nie rozumiała króla Dawida tak dobrze jak dziś: "Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego".

Owszem, Poncjusz pamiętał, że Dawid to dobry poeta, ale poezja to jedno, a co innego uznawać losy dawno zmarłego króla za swoje i przyjmować jego słowa jako skierowane do siebie.

Prokula odparła, że właśnie wiarą w Pismo nazywa się otwarcie na słowa Pana.

- Chyba króla Dawida - poprawił ją.

Już miała odpowiedzieć, lecz zmieniła zdanie i tylko wzięła go pod rękę.
- Dzięki, że ze mną poszedłeś. - Wyglądała na zadowoloną. Nie ma mu za co dziękować. Jeśli chce, Poncjusz może jej towarzyszyć co szabat, o ile nie będzie miał nic lepszego do roboty.

Kilkakrotnie wspomnieli z Prokulą o tym, że pora się żegnać, lecz prefekt zawsze prosił, by jeszcze zostali, szykował bowiem uroczystą ucztę na ich cześć. Kiedy Tyberiusz go powiadomił, że najbliżsi krewni konsulów wybierają się do Egiptu, natychmiast zaczął rozsyłać zaproszenia. Wielu gości przybędzie z tak daleka, że droga zajmie im kilka tygodni. Należy do nich król Juba z Afryki Północnej, wielki znawca sztuki grecko_egipskiej i posiadacz wyszukanej kolekcji. Jego matka, księżniczka egipska, była córką Antoniusza i Kleopatry, dlatego często odwiedzał Aleksandrię.

Wśród zaproszonych znajdują się też najznacześniejszy kolekcjoner pereł na Wschodzie i dwaj nubijscy książęta oraz magnat korzenny z Pontu, który bawi tu akurat z doroczną wizytą. Resztę stanowią znakomitości z Górnego i Dolnego Egiptu, co ważniejsi mieszkańcy Aleksandrii, akademicy ze sławnej tutejszej uczelni, opiekun najbardziej znanej wyroczni w Egipcie, a dalej szlachetni Rzymianie, Grecy, Żydzi i Syryjczycy - krótko mówiąc, ludzie, z którymi zastępca cesarza miewa do czynienia w tej stronie świata. Goście zjeżdżają się już powoli i rozmieszczani są w licznych pałacach Ptolemeuszy.

W rezydencji prefekta trwały gorączkowe przygotowania. Łodzie na ogrodowych kanałach zaopatrzone w nowe, mieniające się kolorami jedwabne żagle. W całym domu pełno było dekoratorów i niewolnic splatających girlandy, inni specjaliści ustawiali małe fontanny z uperfumowaną wodą, a wodotrysk na tarasie po uruchomieniu pieniał się

kaskadami złotego wina. Nad rejonami kuchennymi unosiła się drażniąca zmysły woń egzotycznych przypraw.

Ubierający się na ucztę Poncjusz czuł podniecenie. W Cezarei wszystko odbywało się na mniejszą skalę, skromniej, prościej. Tu, w Egipcie, fale Nilu wypłukiwały i odsłaniały tysiącletnie skarby... Przyszło mu nagle na myśl, że jeśli zgodnie z przepowiednią Nigrina i szwagra zostanie konsulem, wszystkie drogi staną przed nim otworem. Niewykluczone nawet, że mógłby objąć stanowisko po wielkorządcy - perspektywa rysowała się w każdym razie zachęcająco.

Gości poproszono o przybycie tuż przed zachodem słońca, tak aby się witać jeszcze w świetle dnia. Na ucztę przewidziano około sześciu godzin, a około północy towarzystwo miało się udać łodziami do Kanabos - dzielnicy hazardu i mało wyszukanej rozrywki, by po powrocie do rezydencji bawić się dalej w ogrodach aż do wschodu słońca.

W oczekiwaniu na pierwszych gości prefekt powiedział Poncjuszowi, że sam siebie wyznaczył do roli kawalera Prokuli podczas przyjęcia.

- Bardzo niewielu spośród zaproszonych przywykło do naturalnej u nas obecności kobiet w towarzystwie - wyjaśnił. - Zwłaszcza mojego przyjaciela kolekcjonera podejrzewam o niezdrowe apetyty, także na widok innych pereł niż te zamknięte w muszlach. Jak widzisz, staram się dbać o powierzone mi skarby, szczególnie gdy mają rekomendację Tyberiusza Cezara.

Poncjusz uśmiechnął się pod nosem. Obowiązek nieodstępowania boku Prokuli chyba zbyt ciężko nie ciążył ich drogiemu gospodarzowi. Właściwa mu dworność zamieniła się niemal w intensywne zaloty. Inna sprawa, że Prokula wyglądała tego wieczoru zachwycająco.

Potraw było w bród, nastrój znakomity, gdyby jednak kto pytał Poncjusza o zdanie, to nie gustował w takim jedzeniu. Obżarstwo go mierziło, a w dodatku wolałby nie wiedzieć, czy to, czym napycha żołądek, to smażone w głębokim tłuszczu języczki skowronków czy też mus z żabich oczu. Cóż z tego, skoro przy wnoszeniu tac z ptasimi językami aktor deklamował podniosłą odę do skowronków, a danie z żab serwowano przy akompaniamencie wybuchów śmiechu gości, rozbawionych cyrkowymi sztuczkami krążących w podskokach między stołami i kumkających rozpaczliwie błaznów w zielonych kostiumach.

Po wycieczce do Kanabos Poncjusz odnalazł Prokulę na tarasie, otoczoną wianuszkami ożywionych adoratorów, natomiast jej honorowa eskorta, wielkorządca, zapadł się jak kamień w wodę.

- Jesteś sama?! - Nie krył zaskoczenia.

- Tego bym nie powiedziała - roześmiała się - jeśli jednak masz na myśli naszego uprzejmego gospodarza, to zniknął zaraz po powrocie z przejażdżki.

W tym momencie pojawił się szukający go od dłuższej chwili niewolnik z zaproszeniem na rozmowę do namiestnika. Prawdopodobnie chodziło o kolejną, przygotowaną na dzisiejszą uroczystość niespodziankę. Widząc dostojnika z tabliczką w ręku, miał właśnie zażartować, czy to spis atrakcji na tę noc, gdy wzrok jego padł na wyraz twarzy wielkorządcy.

- Stało się coś złego? - spytał przestraszony.

Prefekt podał mu tabliczkę bez słowa. Była to wojskowa depesza. Z tych, jakie rozsyłają służby sygnalizacyjne. Poncjusz zaczął czytać, lecz nagle litery zatańczyły mu przed oczami.

"Tyberiusz Imperator nie żyje."

Depeszę podpisano: Gajusz Kaligula Imperator i wysłano z Misenum przed dwoma dniami, to jest szesnastego marca.

Stał jak skamieniały. Tyberiusz nie żyje? Imperator, władca Rzymu, Cezar i August nie żyje... Ten, który mawiał: Będę żył tak długo, jak długo kraj będzie mnie potrzebował. W listopadzie skończyłby dziewięćdziesiąt pięć lat. Nazwał siebie pierwszym niewolnikiem państwa. Teraz śmierć uwolniła go z tej służby. Dobiegło końca życie wypełnione nieprzerwanym pasmem pracy i obowiązków. Ta depesza to list wyzwoleńczy Tyberiusza. Poncjusz odłożył tabliczkę i stanął na baczność.

- Cześć jego pamięci! - rzekł cicho.

Wielkorządca poszukał wzrokiem siedzenia i opadł na nie bez sił.

- Straciłem najlepszego przyjaciela - szepnął wzruszony. - Przez ponad czterdzieści lat stałem u boku Tyberiusza. Nie było odeń wierniejszego druha. Nienawidził zdrady. A teraz koniec. Nowy rozdział. Ja zaś jestem starym człowiekiem. Za starym, aby zaczynać od początku.

Przerwał i potarł czoło.

- Idź do gości, Poncjuszu, i zastąp mnie - poprosił - ale nic nie mów. Przyjdę, jak tylko będę mógł. Na wszelki wypadek wydam najpierw rozkazy i postawię wojsko w stan pogotowia.

Cały pałac tętnił szumem rozmów i kaskadami śmiechu. Poncjusz zatrzymał się przy balustradzie tarasu, spojrzął na ogrody i kanał. W pobliskim nimfeum śpiew mieszał się z muzyką harf, tańczono, odgrywano pantomimy. Setki oliwnych lampek migotały w gałęziach drzew i krzewów. Girlandy kwiatów wiły się wokół pni i pomiędzy nimi, odurzająco pachniały róże i orchidee. Wszędzie perliła się radość i zabawa, jak w oazie złotego snu otoczonej ciemnościami nocy.

Gdzieś indziej w tych samych ciemnościach posuwał się naprzód orszak czarno odzianych postaci, oświetlając pochodniami nosze przykryte purpurową materią. Pod tą purpurą spoczywał Tyberiusz w laurowym wieńcu na głowie. Wreszcie wracał do domu, do Rzymu - świętować powitanie z miastem na stosie na Polu Marsowym.

- Coś taki zamyślony?

Poncjusz drgnął. Prokula z rumieńcem na policzkach zaniósł się śmiechem.

- A ty rozbawiona - odparł i podał jej ramię.

Pojawił się gospodarz uczyty. Krążył wśród tłumów, jak zawsze uprzedzająco grzeczny i łaskawy. Nikt by nie poznał, że marzy o pozbyciu się gości. Słońce zawędrowało już dobry kawałek ponad horyzont, nim ostatni opieszalcy opuścili rezydencję i wielkorządca mógł spokojnie naradzić się z Poncjuszem.

Im dłużej myślał o depeszy, tym bardziej się martwił. Podpisał ją Kaligula - sam. Czy wedle prawa nie powinien się na niej znaleźć także podpis Gemellusa? Jakim sposobem Kaligula mógł się już tytułować imperatorem, skoro tylko Senat miał uprawnienia do nadania mu takich prerogatyw?

Nad tym się Poncjusz nie zastanawiał. Może nie wszystko odbyło się jak należy? Kiedy zmarł August, równocześnie zgasł młodszy z cesarów, Postumus. Został zamordowany. Poncjusz go znał, był jego najlepszym przyjacielem w młodości.

W takiej sytuacji ciężko przebywać z daleka od domu. Najwyższy czas opuścić Egipt. Jeśli popłyną pierwszym odchodzącym statkiem, zdąży może na zaprzysiężenie. Chciałby się w tym momencie znaleźć u boku

brata i szwagra.

Ma nadzieję, że prefekt nie poczyta mu tego za niewdzięczność, lecz uważa za swój obowiązek jak najszybszy powrót do Rzymu. Gdy się tylko zorientuje w przebiegu wydarzeń, prześle szczegółowe sprawozdanie na temat sytuacji politycznej.

Wielkorządca podziękował z góry, żałował skrócenia wizyty, ale zgadzał się z Poncjuszem, że muszą wracać. Gdyby mógł, sam by z nimi popłynął. Żeby nie tracili czasu na szukanie statku, odda im do dyspozycji swoją najszybszą galerę. Jeśli natychmiast wyda odpowiednie rozkazy, za kilka godzin będzie gotowa do podniesienia kotwicy.

Wyruszyli tuż przed południem.

Nabrzeże w Puteoli tętniło życiem. Robotnicy portowi i marynarze wpadali na siebie w biegu, wozy z towarami dudniły po bruku, pakunki lądowały twardo na ziemi, a tragarze wydzierali sobie pazurami zdobycz. Kobiety narzucały się uwodzicielskim, roześmianym spojrzeniem. Z okolicznych okien wychylały się spomiędzy doniczek i kletek z ptakami ciekawskie głowy. Bielizna igrała bezwstydnie na wietrze, rozwieszona do suszenia między domami. Wszędzie unosił się zapach wodorostów, rozgrzanej smoły i skorupiaków.

Prokula odchyliła głowę, pozwalając, by łagodna letnia bryza pieściła jej twarz, i napawała się tym zapachem, gwarem, powietrzem i światłem.

- Posłuchaj tylko! - zawołała z zachwytem. - Posłuchaj tych głosów! Na całym świecie nie ma takiego drugiego miejsca.

Jej radość była zaraźliwa. Jak dobrze, naprawdę dobrze być znowu w domu! Poncjusz, szczęśliwy, pieścił stopami rzymskie kamienie. Jakiś

człowiek z czerwonym kwiatem spojrział na nich z uśmiechem.

- Długo was nie było?

- Dziesięć lat, cztery miesiące i dwa dni - wyrecytowała Prokula.

- Co to znaczy prawdziwa tęsknota! - Roześmiał się głośno. - Na czas zresztą wracacie. Szesnastego marca skończyła się zima. W kraju nastąpiła teraz wiosna.

Skinął wymownie w kierunku Kaprei i Misenum, a potem poszukał bystrym wzrokiem oczu Prokuli.

- Drobną podarunek na powitanie, piękna Wenus - szepnął, rzucił kwiat do jej stóp, zamarkował dłonią ukłon i oddalił się. Poncjusz podniósł różę z ziemi i umocował pod fibulą na ramieniu żony. Śmiejąc się, ruszyli do miasta.

Podróż mieli wyjątkowo męczącą. Dwa tygodnie spędzili unieruchomieni przez pogodę u wybrzeży Afryki, a między Scyllą i Charybdą wiatr i prądy były tak silne, że musieli zawinąć do Regium i tam czekać na poprawę warunków. Ledwie jednak zeszli na ląd w Puteoli, Fortuna spojrzała na nich łaskawym okiem. W zajeździe znaleźli miejsce bez trudu, chociaż było tłoczno. Dla krewnych konsulów pokój stał zawsze do dyspozycji. Podobnie poszczęściło im się przy wynajmowaniu pojazdów. Najpierw spotkała ich odmowa. Po śmierci Tyberiusza cały świat pędzi na wypródki złożyć hołd nowym władcom, konie i woźnice padają ze zmęczenia, a chętni tygodniami oczekują zapisani na liście. Niemniej z chwilą gdy Poncjusz wyjawiał, kim jest, wozy i wierzchowce następnego dnia mogły ruszyć w drogę.

Kampania przypominała koronkę utkaną z wypielegnowanych winnic i stylowo strzyżonych drzew. Raz za razem Prokula przyzywała Poncjusza

do wozu, by mu powiedzieć, że już zapomniała, jakie w ojczyźnie panuje bogactwo urodzaju i jak tu w ogóle jest pięknie. Odpowiadał jej na to pytaniem, czy pamięta, żeby wszędzie tak roiło się od chętnych do śmiechu i zadowolonych ludzi, czy też wszystko się od ich ostatniego pobytu zmieniło? Może to i racja, co mówili w Puteoli, że powiał nowy, odświeżający wiatr, od kiedy dopuszczono do władzy młode siły?

Natychmiast po zejściu na ląd pchnęli posłańca do Nigrina, żeby rodziny zdążyły się przygotować na ich przyjęcie. Liczyli, że łącznie z transportem całego bagażu droga zajmie im dwa dni, a trzeciego koło południa dotrą na miejsce. Dojechali raptem do Nemi, gdy przed nimi zabrzmiała fanfara, a promienie słońca zaślniły w wypolerowanych hełmach liktorów. Poncjusz ściągnął cugle i przyjrzał się uważnie. Na poboczu postawiono bogatą lektykę, z której wydostała się, rozglądając naokoło, rosła, pełna godności postać... To chyba nie może być Nigrin? Ależ tak, to on! Poncjusz zawiadomił okrzykiem jadącą z tyłu Prokulę, wbił pięty w boki konia i pogalopował naprzód.

Nigrin - doprawdy, stary, flegmatyczny Nigrin wyjechał im na spotkanie... Chyba ruszył o świtaniu, że dojechał tak daleko. W dodatku zwilgotniały mu oczy, gdy ścisnął brata. Poncjusz wzruszył się tak bardzo, że głos mu się zmienił.

Brat utracił już swoją smolistą grzywę, a ostatnie loki zaczesywał starannie do góry, by przyćmić blask imponującej łysiny. Zrobił się ciężki i otyły, ale korpulentna sylwetka dodawała mu powagi i dobrze pasowała do pełnego godności obejścia - wszyscy od razu widzieli, że mają do czynienia z jedną z podpór cesarstwa.

Uprzedził, że pozostali członkowie rodu oczekują u bram miasta razem z

rodziną Prokuli, by uczcić ich powrót ofiarą złożoną na ołtarzu Fortuny Redux. Potem zjedzą rodzinny obiad u Nigrina, a na koniec czeka ich wielkie przyjęcie.

- Całe miasto przyjdzie was uhonorować - dodał z dumą. - Po tak długiej nieobecności musicie odnowić kontakty.

Prokulę martwiło, czy zdąży się przygotować do uczyty w tak krótkim czasie. Poncjusz pocieszył ją - przecież Rachelą czeka na nich i z pewnością uda się jej wszystkiemu podołać. Dla niego ta okazja zjawiała się jak na zamówienie - dziś wieczór nastawi porządnie uszu, by jutro z rana wysłać list do wielkorządcy Egiptu. Dobrze wie, jak dłuży się czas w oczekiwaniu wiadomości.

Zgodnie z obietnicą Nigrina - zjawilo się całe miasto. Przyjęcie u jednego z konsulów zawsze gromadziło tłumy, a poza tym ludzie ciekawi byli nowo przybyłych. Przewidywano w nich przyszłego pretora z małżonką i w takim razie należało odświeżyć znajomość. Pretor miał zawsze swoje wpływy w mieście, a szeptano też po kątach, iż żona Poncjusza spokrewniona jest z cezarami - jej rodowe imię brzmi Klaudia.

Nigrin cieszył się na tę ucztę. Uwielbiał grać rolę gospodarza, otaczać się mrowiem ludzi, okazywać hojność. Jego gwiazda stała obecnie w zenicie, toteż roztałcał w krąg blask dobroćliwości. Szczególnie przypadł mu do gustu świeżo przybyły brat. Lata spędzone na Wschodzie dobrze zrobiły Poncjuszowi. Nie stawiał się już tak bardzo jak za dawnych czasów, nie gryzł wyciągniętej z pomocą dłoni. Prokula także stała się bardziej przystępna. Widocznie wszystko się między nimi ułożyło. Tak, Nigrin musiał sam przyznać, że ma szczęśliwą rękę. To małżeństwo jest przecież jego dziełem. Zaprawdę, nie wstyd być zadowolonym, skoro są po temu

tak oczywiste powody.

Goście napływali nieprzerwanym strumieniem i tłoczyli się w salach jak nie przymierzając amfory w ładowni. W tym rozgwarze nie było co liczyć na poważną rozmowę, niemniej Poncjusz postanowił dotrzymać zamiaru napisania listu następnego ranka. Wszelkie obawy dotyczące zmian u steru władzy okazały się bezpodstawne, nie widział więc potrzeby przedłużać niepewności prefekta bardziej niż to konieczne.

Gemellus Cezar żył i miał się dobrze, a ludzie nie mogli się nachwalić rządów jego i Kaliguli. Podnoszono zwłaszcza zasługi Kaliguli w serdecznych staraniach o obalenie muru nieprzyjaźni pomiędzy stronnikami Tyberiusza a tymi, którzy wspierali Agrypinę i jej synów.

Wyraźny dowód na to, jak żywa jest wciąż ta wrogość, uzyskano zaraz po śmierci Tyberiusza. Tej samej nocy, gdy skołał, w Puteoli obalono jego popiersie - to, które Poncjusz, zdaniem wielkorządcy, powinien był obejrzeć. Głowa rozpadła się na kawałki, ale postument pozostał nienaruszony i Kaligula wydał rozkaz sporządzenia kopii oraz ustawienia popiersia na dawnym miejscu.

Nowy cesarz podkreślał swój pietyzm w stosunku do poprzednika, proponując apoteozę i nadanie rangi bóstwa, a równocześnie wyciągał pojednawczo rękę do miasta Puteoli, stronnictwa Agrypiny, sprowadzając prochy jej i synów oraz zarządzając uroczysty pochówek. Ba, udało mu się nawet zażegnać polityczny spór pomiędzy Tyberiuszową partią zwolenników pokoju i rzecznikami wojny jeszcze z czasów Germanika. Lojalnie kontynuował pokojową linię Tyberiusza w Germanii, natomiast ustąpił wojownikom i zaakceptował plany ekspansji w Brytanii.

Tak więc wszyscy byli zadowoleni i jeśli Poncjusz miałby w ogóle

jakiegokolwiek zastrzeżenia, to dotyczyłyby one pozycji Gemellusa.

Energiczne działania Kaliguli nie zostawiały wiele miejsca dla drugiego cesarza. Ludzie jednak twierdzą, że to kwestia czasu. Jak tylko Gemellus dorośnie na tyle, by zostać konsulem, na pewno będzie miał okazję rozwinąć skrzydła...

Poza tym zarówno on, Poncjusz, jak i Prokula mają nadzieję, że w Egipcie wszystko w porządku i że prefekt wkrótce zjedzie do Rzymu, a wtedy będą się mogli odwdziaczyć za gościnność, której zaznali w Aleksandrii. Pozdrawia w imieniu Prokuli i jeszcze raz serdecznie dziękuje.

Po wyekspediowaniu pisma Poncjusz udał się do term na Polu Marsowym, by się spotkać z dawnymi znajomymi z armii. Pierwszym, na którego się natknął, był jednak szwagier. Poprzedniego dnia zamienili ledwie parę słów, toteż postanowili teraz wspólnie spędzić czas w łaźni.

Z biegiem lat Prokulus stawał się coraz bardziej podobny do ojca, tak samo miłkiwy i chłodny. Jego zdaniem przyszłość wcale nie rysowała się różowo. On się mianowicie nie dał zwieść sztuczkom Kaliguli...

Jeszcze by tego brakowało, żeby Kaligula pożałował Tyberiuszowi godnego pogrzebu, zwłaszcza że dzięki niemu uzyskał władzę. Gdyby mu nie sprawił apoteozy, okazałby się skończonym głupcem, a czego jak czego, ale inteligencji mu nie brakowało. Inteligencji i sprytu. Jak to ujęła Prokula: miał serce o podwójnym dnie.

Poza tym dobrze się prezentował na białym koniu na ulicach miasta - dawno wyglądana odmiana po zgorzkniałym samotniku z Kaprei, który od czternastu lat nie pokazywał się w Rzymie. Miał w dodatku lekką rękę do dawania, nie szczędził prezentów, a że przejął pełną kasę, było z czego czerpać. Na domiar wszystkiego nastały tak zwane dobre czasy,

spowodowane planami inwazji i gwałtownym zbrojeniem. Ponieważ zaś lud na ogół nie myśli dalej brzucha, zachwyty dla Kaliguli wydawał się zupełnie naturalny. Prokulus jednak i ci, co dobrze znali nowego cesarza, miarkowali swoją radość i martwili się poważnie o przyszłość. I o Gemellusa.

Prokulus na własne uszy słyszał, że Tyberiusz przestrzegał Kaligulę przed zamordowaniem Gemellusa. Gdyby cesarz nie miał tak rozwiniętego szacunku dla prawa i reguł, nigdy by go nie dopuścił do władzy. Ale właśnie dlatego, że musiał tak twardo postąpić z dwoma innymi synami Agrypiny, czuł się zobowiązany oddać Kaliguli to, co mu się prawnie należało - mimo że czynił to z bólem serca.

Rozumie się, że miał nadzieję żyć, póki Gemellus nie dojrzeje do wieku odpowiedniego do objęcia godności cesarza. Mając poparcie armii, byłby bezpieczny. Ale ułożyło się inaczej. Tyberiusz umarł o kilka miesięcy za wcześnie i to Kaliguli dostały się insygnia cesarskiej władzy, a Prokulus nie wątpił, że potomek Agrypiny nie odda ich dobrowolnie.

Kaligula dążył szybko do wytyczonego celu. Większość tych, którzy byli bliscy Tyberiuszowi, została już usunięta, a sympatycy Gemellusa w ogóle nie doszli do łask. Ba, tak się spieszył z politycznym przeorientowaniem, że nawet nie odczekał, aż ostygną zwłoki poprzednika. Jeszcze w noc śmierci Tyberiusza wyciągnął jakiegoś człowieka z więzienia za długi i zrobił go królem Palestyny. W rezultacie ściągęli do Rzymu rozpustnicy i poszukiwacze szczęścia ze wszystkich stron w nadziei, że im się tak samo powiedzie...

Poncjusz podskoczył jak na rozżarzonych węglach.

Więzienie za długi... król Palestyny? Chyba nie mówi o Agrypie? Agrypa,

syn Arystobula - na wolności i królem?

W rzeczy samej. Wszystko się zgadza. Całe miasto przeżyło szok.

Zaledwie w kilka godzin po tym, jak Tyberiusz wyzionął ducha, Agrypa został wypuszczony z lochów i obdarowany łańcuchem ze szczerego złota, a na dokładkę królewskim tytułem. Przyzwoici Rzymianie po prostu nie posiadali się z oburzenia. Jak sięgnąć pamięcią, nikt nie dopuścił się takiej profanacji. Dlatego Kaligula co prędzej kazał zesztukować rozbite popiersie Tyberiusza. Gdyby nie strach, nigdy by się na to nie zdobył. Poncjuszowi para wydała się nagle zbyt gorąca. Uchylił drzwi. Po takiej wiadomości potrzebował świeżego powietrza.

Agrypa królem... nie do uwierzenia! Tu, w Rzymie, królewska korona może nie ważyła tak wiele, lecz dla podbitego narodu stanowiła symbol niepodległości. Teraz każdy Żyd z odrobiną tęsknoty za wolnością w sercu na pewno przyłączy się do Agrypy.

Nie, to przekraczało ludzkie pojęcie! Kaligula chyba sam nie wiedział, co robi. Takie posunięcie odsłaniało jedynie, jak był niedoświadczony i kompletnie niezorientowany w stosunkach na Wschodzie. Gdy tylko pozna prawdę i odkryje prawdziwe oblicze Agrypy, sam uzna, że koronowanie tej głowy urąga wszelkim zasadom prawa i sprawiedliwości.

Prokulus natomiast wcale nie był pewien, czy Kaligula rzeczywiście postępował w dobrej wierze. Niewielu wykazywało taką bystrość w mętnych interesach jak on. Ci więc, którzy sądzą, że o niczym nie wie, popełniali gruby błąd.

Zawsze jednak można wystawić na próbę uczciwość nowego cesarza i zwrócić jego uwagę na przeszłość Agrypy. Kaligula zresztą wielokrotnie pytał o Poncjusza. Prokulus odniósł wrażenie, że niecierpliwie oczekuje na

to spotkanie, dlatego radziłby szwagrowi jak najszybciej poprosić o audiencję.

Z takim zamiarem Poncjusz nosił się od początku, ale potrzebował teraz trochę czasu, by dopisać do raportów kilka dodatkowych uwag, skoro już nie Tyberiusz będzie ich odbiorcą. Poradzi się też Nigrina.

Brat ocenił, że w raportach nie trzeba nic zmieniać - któż zresztą zada sobie trud brnięcia przez stare sprawozdania? Nie uważał też za wskazane, by brat wspominał o Agrypie. W cesarstwie krążyło mnóstwo takich naciągaczy, po co przyczepiać się akurat do niego? Uczestnictwo w buncie stanowiło niewątpliwie poważne obciążenie, niemniej nie warto się grzebać w jego sprawkach, skoro nikt tutaj o nich nie słyszał. Natomiast prośba o audiencję jest niezmiernie ważna - Kaligula lubi, gdy mu się okazuje respekt.

Cóż, w takim razie Poncjusz dostarczy sprawozdania razem z podaniem o posłuchanie, a jeśli Kaligula zechce je przestudiować, będzie mógł wypytać byłego prokuratora o szczegóły. Związał tedy wszystkie w jeden zwój i udał się na Palatyn.

Na wzgórzu zaszły wielkie zmiany. Stoki zapełniły się nowymi budynkami, a zbocze od strony Forum przypominało tygiel. Przed pałacem Tyberiusza, w którym mieszkał teraz Gemellus, kazał Kaligula wznieść nowy. Górował nad Forum wsparty na niebosiężnych łukach oporowych, spychając siedzibę Gemellusa w cień. Jeszcze nie wszystko jednak było gotowe i tymczasem nowy cesarz używał pomieszczeń urzędowych po Tyberiuszu.

Oczekujący Poncjusz obserwował warty i sztabowców. Pierwsze wrażenie było niezwykle korzystne. Mimo uderzająco młodej wiekiem obsady nie

brakowało porządku i precyzji. Przypomniawszy sobie Wille Jowiszową Tyberiusza, gdzie stary, zeszywniały totumfacki Musico zachowywał się jak najważniejszy niemal człowiek w cesarstwie. Obu ich już nie ma i niedługo nikt o nich nie będzie pamiętał. Tymczasem Poncjusz sam posunął się w latach i w oczach tych młodzieńców zapewne uchodzi za starca. Czas przesypywał mu się między palcami jak piasek w klepsydrze. W te raporty zwinął dziesięć lat swojego życia - całe dziesięcioletnie doświadczenie. Nie przyszło darmo, jak każdemu. Zapłacił za nie wysoką cenę. Pewności siebie, sił...

Z zamyślenia obudziło go przybycie adiutanta z informacją, że audiencja zostanie mu udzielona. Poncjusz spytał o termin i ku swemu przerażeniu usłyszał, że Kaligula przyjmie go w tej chwili. Nie był ani odpowiednio ubrany, ani przygotowany do takiego spotkania właśnie dzisiaj. Adiutant rzucił ostro, że imperator czekał wystarczająco długo na byłego prokuratora, i wyciągnął rękę po raporty. Poncjusz zastrzegł, że chce je wręczyć sam.

- Zwykliście stawać przed cesarzem obładowani pakunkami? - Adiutant omiół go pogardliwym spojrzeniem.

Poncjusz poczerwieniał i bez słowa oddał mu sprawozdania.

Przed drzwiami stali wartownicy z obnażonymi mieczami. Adiutant obrócił się tuż przed wejściem z przestrogą: imperator życzy sobie zwięzłości.

Zrobiło mu się gorąco. Szczeniak jeden!... Ze świecą szukać takiej arogancji. Przełknął ślinę, skwitował uwagę krótkim: tak jest! - i drzwi się otworzyły.

Kaligula siedział w wielkim krześle, przeglądając jakieś papiery. Skinął

głową, nie podnosząc wzroku. Poncjusz postąpił regulaminowe trzy kroki do przodu i uniósł wyprostowane ramię w geście powitania. Adiutant zamknął drzwi. Cesarz nieprzerwanie przewracał dokumenty. Poncjusz czekał na baczność, aż nań spojrzy, by mógł opuścić ramię. Ale Kaligula dalej szeleścił papierami. Co to za nowy zwyczaj? Albo się ma czas na przyjmowanie wizyt, albo nie - w takim razie odkłada się dopuszczenie interesanta przed oblicze na bardziej stosowny moment. Za Tyberiusza trzeba było często miesiącami wyczekiwać na audiencję, ale gdy człowiek już ją uzyskał, przyjmowano go przyzwoicie. Czy Kaligula naprawdę czegoś szukał, czy też wystawiał na próbę wytrzymałość swoich gości? Jeśli Poncjusz dłużej postoi w tej pozycji, zdrętwieje mu ramię i pięknie się zbłąźni na początek. Minuty wlokły się w ślimaczym tempie. Nareszcie! Kaligula znalazł widać w końcu to, czego szukał, bo wygładził jakiś zwój, a resztę odsunął na bok.

- Późno się zjawiasz, Poncjuszu Piłacie. Wszak wyruszyłeś z Palestyny w początkach lutego - odezwał się surowym głosem i podniósł oczy.

Poncjusz mógł opuścić ramię. Poczul ból w łopatce, ale nie zmienił wyprostowanej postawy, odpowiadając, iż za wiedzą i pozwoleniem Tyberiusza Cezara pojechał do Egiptu.

- Nie troszcząc się o to, co się działo tutaj? - przerwał mu Kaligula.

- Kiedy nadeszła depesza o śmierci Tyberiusza, znajdowałem się w Aleksandrii. W kilka godzin później podnieśliśmy kotwicę. Na dwa tygodnie zatrzymała nas pogoda u wybrzeży Afryki, a potem jeszcze na tydzień w Regium.

- Z Regium, jak wszystkim wiadomo, wiedzie do Rzymu droga lądowa.

- Wracalem z żoną i dużym bagażem, poza tym nie wiedziałem, że się

mnie tu oczekuje.

Kaligula zanotował coś.

- Opieszałość w służbie - stwierdził.

Poncjusz stał jak wykuty w kamieniu.

- A więc - ciągnął cesarz - jaki był cel twojej podróży do Egiptu?

- Po dziesięciu latach służby potrzebowałem odpoczynku. Azję znałem z dawnych czasów, Egipt stanowił odmianę.

Na twarzy Kaliguli pojawił się grymas zniecierpliwienia.

- Inne powody? - rzucił krótko. To był rozkaz.

- Musiałem wyjaśnić pewien problem z okresu mojej służby -

odpowiedział Poncjusz. Cóż, lepiej mieć to już za sobą. - Mianowicie chodziło o to, z jakich środków, uzyskanych w Egipcie, został dość nagle pokryty bardzo duży dług zaciągnięty w Palestynie. Mam na myśli dług Agrypy, syna Arystobula.

- Z powodzeniem możesz używać jego tytułu i nazywać go królem -

zwrócił mu ironicznie uwagę Kaligula. - A więc pociągnąłeś do Egiptu śladem króla Agrypy. Chciałeś go pewnie poznać osobiście, czyż nie? Bo przecież po spłaceniu długu nie powodowała tobą służbowa odpowiedzialność? - głos Kaliguli stał się niebezpiecznie miękki.

Poncjusz musiał nateńczyć całą siłę woli, żeby nie stracić panowania nad sobą.

- Miałem powody sądzić, że król Agrypa użył pożyczonych pieniędzy do wzniesienia buntu w Samarii parę lat temu. Interesowało mnie więc, w jakich kręgach w Egipcie znalazł oparcie.

- Innymi słowy, prześladowałeś króla Agrypę. - Oczy Kaliguli zmieniły kolor z szarego na zielony. - I czyniłeś to pod fałszywym pozorem. W

twoich listach do mojego poprzednika widzę, że ani razu nie wymieniasz imienia Agrypy, natomiast rozwodzisz się o wakacjach i żydowskiej historii. Krótko mówiąc, próbowałeś oszukać starego władcę. Zapamiętaj sobie, że ja nie dam się wodzić za nos! Chcę wiedzieć, jakie masz powody, by podnosić wobec króla Agrypy takie oskarżenia.

- Powody moich podejrzeń znajdują się w raportach, które oddałem przed wejściem adiutantowi, a dowody są w posiadaniu tetrarchy Galilei_Perei.

- Coś takiego! Więc tetrarcha Galilei_Perei jest twoim sojusznikiem? -

Kaligula uniósł brwi. - Ta informacja wiele wyjaśnia. Książę Antypas, który sam ma apetyt na spadek po Filipie... No tak, teraz wiem, dlaczego nastajesz na życie króla Agrypy.

W Poncjuszu wszystko się zagotowało.

- Herod Antypas nie jest tylko moim przyjacielem. Przede wszystkim był przyjacielem Tyberiusza Cezara. - Ledwo się powstrzymał, by nie krzyknąć. - Antypas zawsze dochowywał wierności Rzymowi i wyjątkowej lojalności wobec cesarza. Proszę przeczytać moje sprawozdania i porównać je z listami do Tyberiusza. Tam znajdują się motywy wszystkich moich działań w okresie sprawowania władzy prokuratorzkiej. Jeśli cokolwiek będzie niejasne, służę całą moją wiedzą o stosunkach w Palestynie.

Kaligula machnął niecierpliwie ręką.

- Za późno się z tym wybrałeś. Dawno wyrobiłem sobie zdanie i podjąłem decyzję. Skończyły się wakacje, prokuratorze, nie jesteśmy już na Kaprei.

- Przysunął się do stołu. - Oczekuję, że zachowasz dla siebie insynuacje wysuwane pod adresem króla Agrypy. Jeszcze się spotkamy.

Skinął krótko głową i posłuchanie zostało zakończone.

Poncjusz nie pamiętał potem, jak się wydostał z pałacu. Na zewnątrz stał chwilę, jakby nie wiedział, dokąd się zwrócić. Czuł się zbity z tropu, otumaniony jak po ciosie w twarz, potrzebował czasu, by oprzytomnieć. A więc "wakacje się skończyły". Jakby te dziesięć lat w Palestynie było wypoczynkiem. Jeśli rzeczywiście zapanowały tu takie obyczaje, przyjdzie mu jak prefektowi Egiptu wycofać się ze służby publicznej. Nie miał przecież specjalnie sztywnego karku ani nadzwyczajnych wymagań, niemniej przyzwyczał się do uczciwego traktowania. Nawet faworyzując Agrypę, Kaligula nie powinien pomiatać prokuratorem swego poprzednika niby stajennym chłopcem.

Niedobrze się stało, że podczas posłuchania padło imię Antypasa... Żeby tylko tetrarchy nie spotkały z tej przyczyny jakiejś nieprzyjemności. Wystarczy mu zadawnionych problemów z Agrypą z jednej strony i syryjskim Witeliuszem z drugiej. Nie potrzebuje na dodatek samego cesarza.

Wszystko to spadło na niego bez uprzedzenia, jak grom z jasnego nieba. "Oczekuję, że zachowasz dla siebie insynuacje wysuwane pod adresem króla Agrypy". Wyraźny rozkaz, bez dwóch zdań. I tak nie miał jako żywo zamiaru wspominać komukolwiek ani o Agrypie, ani o buncie. Niemniej musiał wypytać brata i szwagra, o co w tym właściwie chodzi. Czy owo nieokrzesanie i arogancja są sposobem na przydanie sobie wartości wobec starszego wiekiem i doświadczeniem? A może Kaligula uważa, że mu wszystko wolno, skoro ma władzę w kraju?

Chociaż nie, nie będzie zawracał głowy Nigrinowi - nie tą sprawą. Brat się tylko rozczaruje. Porozmawia raczej z Prokulusem, który zna Kaligulę i może znajdzie wyjaśnienie...

Nie zauważył, kiedy się znalazł na bulwarze nad Tybrem. Hałas i ruch kazały mu unieść wzrok - ach, więc doszedł aż tutaj? Chyba najwyższy czas wracać do domu. Zamknie się dzisiaj u siebie, żeby Prokula nic nie zauważyła i nie zaczęła się martwić. Powie jej wszystko kiedy indziej, jak już się pozbiera.

Czekała na niego w atrium. I Nigrin, i Prokulus zajrzeli tutaj dzisiaj i pytali o niego. Wybierają się do Neapolu i Bajów na spotkanie z cesarzem. Chodzi podobno o jakieś ćwiczenia floty za tydzień. A Prokula się właśnie zastanawia, czy ma z nimi pojechać i odwiedzić matkę w Stabiach. Nawet biedaczka nie wie, że wrócili.

A prawda! Nigrin wspominał coś o manewrach, ale Poncjusz nie przypuszczał, by Prokulus także się tam wybierał. Co tak nagle? Prokula wzruszyła ramionami - tu wszystko się odbywało nagle, dużo szybciej, niż się do tego przyzwyczaili.

Zrzucił płaszcz. Cóż, wakacje się skończyły! Kiedy brat i szwagier wyjadą i na dokładkę zabiorą Prokulę, zostanie całkiem sam.

Prokula wyjaśniła, że matka nie czuje się zdrowa. Brat nic wczoraj nie mówił, bo nie chciał psuć powitalnego nastroju, lecz dzisiaj przyznał, że staruszka od dawna niedomaga i zapewne już nie wróci do Rzymu.

Dlatego chciał wziąć ją ze sobą do Stabiów, pod jedną eskortą. Rachela mogłaby zostać i zająć się domem.

Tak, oczywiście, musi jechać, Poncjusz da sobie przez ten czas radę. Bardzo się tylko niekorzystnie składa, że i z Prokulusem nie porozmawia spokojnie przed wyjazdem...

Następnego ranka, kiedy szwagier przyszedł po Prokulę, zaledwie zdążył mu nadmienić o posłuchaniu u Kaliguli. Prokulusa wcale to nie zdziwiło.

Nigdy nie wiadomo, czego się można po nim spodziewać. Niemniej spotka się z cesarzem w Bajach, spróbuje wybadać, w czym rzecz - oczywiście jeśli nadarzy się sposobność.

Po ich wyjeździe Poncjusz poszedł do biblioteki. Nieraz się zdarzało, że nie widywał Prokuli cały dzień, zwłaszcza kiedy miał dużo pracy, lecz świadomość obecności żony w pobliżu sprawiała, iż nie brakowało mu jej tak bardzo. Teraz, gdy wyjechała z domu na dłużej, wydało mu się nagle, że w każdym pomieszczeniu jest o jedną ścianę za mało.

Znalazł dość zajęcia przy ustawianiu zwojów na półkach, ale nie potrafił się skoncentrować na pracy. Przygniatało go nieprzyjemne wspomnienie audiencji - uświadamiał sobie stopniowo szczegóły, które umknęły jego uwadze, gdy stał wyprostowany na baczność.

Kiedy Kaligula obrócił się do stołu, czy po jego twarzy przesunął się cień uśmiechu czy było to tylko nerwowe drgnienie, skurcz mięśni? Przez cały czas omijał go wzrokiem. Miał w sobie jakąś niepewność, ustepliwość, jakiś rys wokół wąskich warg, który się Poncjuszowi nie podobał, a który przypominał Germanika. Arogancję odziedziczył po matce. Co się zaś tyczy chytrności i posługiwania się podstępami, otrzymał pokaźniejszy spadek niż inni, mając w żyłach krew zarówno Liwii, jak i Oktawiana Augusta.

Niewielu ludzi wyrastało w środowisku podobnie obciążonym występkiem. Jego ojca otruto, matka się zagłodziła, jeden z braci popełnił samobójstwo, drugiego skazano na śmierć głodową, ciotka została uduszona, a trzech wujów skrytobójczo zamordowano. I gdyby Tyberiusz nie ulitował się nad chłopakiem i nie wywiózł go z Rzymu na Kapreę, on także nie uszedłby z życiem. Zaledwie włożył pierwszą togę, gdy w

jednym z urzędów śledczych w mieście znaleziono przygotowane nań fałszywe oskarżenie o obrazę majestatu.

Nic dziwnego, że zachowywał się nerwowo, niepewnie i podejrzliwie. Zresztą niech sobie będzie, jaki chce, spekulacje na jego temat nie są warte zachodu. A z audiencjami koniec. Zamiast tu wysiadywać jak kwoka, lepiej się przespaceruje - ale nie na Forum, dość się już nasłuchał o świeżym wiosennym wietrze nad cesarstwem. Przejdzie się do cyrku, może wybierze sobie jakiegoś konia...

To była miła wycieczka. Czas mijał szybko, większość dnia spędził w okolicach stajni. Na koniec zapomniał o Kaliguli i owej nieszczęsnej audiencji.

Po powrocie do domu zastał na stoliku w westybulu list. Rachela powiedziała, że przyniesiono go zaraz po jego wyjściu. Przyjrzał się pieczęci, zanim ją złamał. Senacka - co to może znaczyć?

Wezwanie na posiedzenie w świątyni Marsa Ultora. Coś takiego! Już w najbliższy czwartek... mało czasu. Świątynia Mściciela - co to za sprawa? Nagle zadrżał. Nie, to niemożliwe - chyba go oczy mylą. Przetarł je wierzchem dłoni. Wezwanie na rozprawę... Rozprawę?! Jego, Poncjusza Piłata, wzywają na rozprawę jako podejrzanego o okrucieństwa wobec Samarytan i oskarżonego o spowodowanie masakry u podnóża góry Garizim?

Nie, ktoś sobie z niego stroi żarty. To nie może być prawda! Podszedł do światła i sprawdził podpisy. Obracał papirus w rękę... Pieczęć i sygnatury nie pozostawiały wątpliwości.

Rozejrzał się za krzesłem. Siadł i czytał raz, drugi, trzeci, próbując znaleźć w tym jakiś sens. Podejrzany o okrucieństwa wobec Samarytan - przez

kogo?! Przez Agrypę? Nie, Agrypa nie mógł nikomu wytoczyć procesu przed Senatem, mógł jedynie skarżyć do cesarza...

Poncjuszowi litery zatańczyły przed oczami, słowa zlały się w jedno.

Niczego już nie rozumiał. Niczego! Potrzebował spokoju, żeby te piekielne kreski się zatrzymały. Położył list na kolanach i przycisnął dłonie do czoła.

Pomogło. Wzrok się wyostrzył i już wiedział, kto go pozywa - Witeliusz, legat Syrii. No oczywiście, że on, ukryty sprzymierzeniec Agrypy!

Przypuszczalnie doszły ich wieści, iż tetrarcha wybiera się do Rzymu.

Domyślali się też powodów tej podróży. Chodziło teraz o to, żeby uprzedzić Antypasa i unieszkodliwić najniebezpieczniejszego dla nich świadka. Ani jednak Agrypa, ani Witeliusz nie odważyliby się na taki krok, gdyby nie mieli błogosławieństwa Kaliguli.

Już pojął nieoczekiwany rozkaz, żeby nie rozpowszechniać insynuacji na temat Agrypy, i słowa, że się jeszcze spotkają... Kaligula miał na myśli to wezwanie, a rozkaz był przestrogą, by przygotowując swą obronę nie mieszał do sprawy władcy Palestyny. Założono mu knebel - bo cóż to za obrona przed zarzutami Witeliusza, jeśli nie wolno mu wyjawiać przyczyn wydarzeń pod Garizim? Nie dysponował nawet żadnym dokumentem, bo sprawozdania znajdowały się u cesarza. A dwaj ludzie, którzy by go mogli obronić i których słowo miało swoją wagę, także zostali usunięci - pojechali na spotkanie w Bajach...

Potrzebował adwokata. Któż jednak podejmie się prowadzenia sprawy bez dokumentów? Samo wtajemniczenie niezorientowanego w tak skomplikowaną sytuację, jaka ma miejsce w Palestynie, zajęłoby zbyt dużo czasu. Czwartek - to już za dwa dni. Dwa dni na znalezienie obrońcy.

Najgorsze, że Poncjusz nie znał tu teraz żadnego prawnika. Ostatni raz był na Forum ponad dziesięć lat temu.

Gdyby choć Nigrin został w domu, Nigrin, który znał wszystkich w mieście. A tak przyjdzie mu bronić się samemu, i to jeszcze nie mieszając w sprawę Agrypy.

Jeśli użyje argumentów czysto militarnych, może politycznych uda mu się uniknąć. Senatorowie, którzy go mają sądzić, co do jednego posiadają wykształcenie wojskowe, a większość z nich to byli wodzowie. Senat zawsze żywo interesował się armią. Spróbuje dać obraz rozkładu garnizonów, naszkicuje marszruty i teren w pobliżu Garizim, powie o tajnym zgromadzeniu Samarytan, a wtedy wszyscy uświadomią sobie niebezpieczeństwo zasadzki i zrozumieją, że odpowiedzialny dowódca nie narazi się na takie ryzyko bez zastosowania środków zaradczych.

W kwestii zaś okrucieństwa przedstawi suche liczby - mianowicie ile osób skazano za jego poprzedników, a ile pod jego rządami. Patres będą mogli sami porównać i wyrobić sobie opinię. Znał te liczby na pamięć, chociaż nie miał przy sobie dowodu na ich prawdziwość. Jeśli mu nie uwierzą na słowo, niech posłają do archiwum w Cezarei.

Zacisnął zęby. Chyba się uda. Musi się udać. Ale czasu było mało, a forma liczyła się prawie tak samo jak treść. Sześciuset najtęższych mówców i najwnikliwszych słuchaczy imperium będzie jego publicznością.

Raptem podziękował losowi, że nie ma tu Prokuli. Z całą pewnością nie zniosłaby tego napięcia.

Ledwo zmieścił się w czasie. Byłoby lepiej, gdyby przejrzał jeszcze parę razy wstęp i zakończenie, ale trudno. Musi już iść. W jego sytuacji nie może sobie pozwolić na spóźnienie.

Rachela stała w atrium. Przez kilka ostatnich dni przyglądała mu się z troską, lecz nie miał siły odzywać się ani do niej, ani do innych. Nie patrzyła na Poncjusza, gdy szedł do drzwi. W progu zatrzymał się nagle i obrócił.

- Uważasz, że jestem okrutny? - spytał.

Wyglądała na wstrząśniętą.

- Ty, panie, okrutny?! - zawołała. - Tyś dobry, wierz mi, lepszy, niż myślisz.

- Cóż, Senat twierdzi inaczej.

Spróbował się zaśmiać, ale głos mu odmówił posłuszeństwa i z gardła wydobył się tylko ostry, chropawy dźwięk.

Zdanie sługi, takiej jak Rachela, naturalnie nie miało znaczenia, lecz jej słowa dobrze mu zrobiły. Oskarżenie zraniło go głębiej, niż był skłonny przyznać. Okrucieństwo należało do tych cech charakteru, którymi zawsze najbardziej pogardzał.

Szedł prędko, dopiero na Forum Augusta zwolnił kroku. Zabawny przypadek, że patres wyznaczili dzisiejszą rozprawę w świątyni Marsa Ultora. Tutaj właśnie składał pożegnalną ofiarę przed wyjazdem na Wschód, tak więc wrócił do punktu wyjścia. Po dziesięciu latach służby publicznie oskarżony.

Niewielkie grupki senatorów konferowały po obu stronach pod kolumnadami. Oglądali się za nim, gdy szedł przez dziedziniec. Powoli wspiał się na imponujące schody. U ich szczytu stanął, by zaczerpnąć powietrza - i podnieść wysoko głowę.

Po wejściu ze słońca drogę mu zagroziła ściana ciemności. Większość senatorów już się zebrała i gdy tylko oczy przywykły do mroku, rozejrzał

się, gdzie by mógł usiąść. Wolałby nie wystawiać się na spojrzenia w pierwszym rzędzie, ale też nie miał ochoty na ostatni. Chować się przed nikim nie musiał. Trochę w bok od tego miejsca, gdzie stał, było wolne. Rozstawił swój stołek i przywitał najbliższymi siedzącymi. Spojrzeli nań niepewnie, nachylili się ku sobie coś szepcząc, a potem zaczęli odsuwać. Pozostał sam.

Znał ten manewr, więc czuł się w pewnym sensie przygotowany. Tyle że wiedzieć z góry, co się stanie, to jedna sprawa. Inna zaś, gdy spodziewane nastąpi. Podejrzany, izolowany siedzi na cenzurowanym, oglądany jak małpa, słucha komentarzy... a czas się wlecze, minuty zdają się trwać lata...

Na koniec jednak podwoje się z trzaskiem zamknęły i uwaga z osoby Poncjusza przeniosła się na przewodniczącego. Trzy uderzenia - posiedzenie otwarte. Wstęp rutynowy. Patres zebrali się dziś, by podjąć decyzję w sprawie oskarżenia, które Witeliusz, legat Syrii, wniósł przeciwko Poncjuszowi Piłatowi, byłemu prokuratorowi Judei_Samarii, a które za chwilę przedstawi kwestor.

Zanim odczyta oskarżenie, niech mu będzie wolno wyrazić głęboki i pełen należnego szacunku żal, iż inne obowiązki przeszkodziły Kaliguli Cezarowi wziąć udział w rozpatrywaniu tej sprawy. W osobie Kaliguli Cezara leży przyszłość i nadzieja imperium, obietnica nowej ery. Niech przed jego młodzieńczą postacią ustąpi despotyzm i samowola przeszłości. W duchu młodego władcy należy więc pojmować wniosek legata Syrii, gdy dla spokoju swojego sumienia stawia przed sąd byłego prokuratora w Cezarei, oskarżając go o okrucieństwa w stosunku do ludu Samarii. W myśl oskarżenia i załączonych świadectw, za których prawdziwość

legat gwarantuje swym życiem i czią, Poncjusz Piłat postępował wobec jednego z powierzonych mu ludów z niedozwoloną srogością. Bez uzasadnionego powodu otoczył wojskiem nie przeczujących Samarytan, zajętych religijną ceremonią. Kazał mordować niewinnych ludzi u ołtarzy, pozostałych uwięził i jeśli natychmiast nie mogli dostarczyć sumy potrzebnej do wykupu, sprzedał w niewolę. Takie zachowanie jest zdaniem kwestora niezgodne nie tylko z porządkiem ludzkim, lecz także z boskim. A profanacja ta dopóty będzie plamiła sławę Rzymu, dopóki ten, kto złamał pokój ołtarza, nie poniesie kary. W imię Witeliusza i sprawiedliwości prosi tedy kwestor senatorów o rozważenie tej sprawy.

Po tym wprowadzeniu nastąpiło prawie godzinne odczytywanie zeznań świadków o samarytańskich i syryjskich nazwiskach, których nikt nie znał, wypowiedzi stwierdzających jedno i to samo - winę prokuratora i niewinność Samarytan. Kwestor mruczał jednostajnym tonem. Tego typu wyliczania należały do procedury w procesach dotyczących krajów zamorskich, gdzie świadkowie nie mogli się stawić. Patres zaczęli przysypiać, niektórzy ukradkiem czytali coś schowanego w fałdach togi, inni rozmawiali cicho z sąsiadem. Westchnienie ulgi przebiegło salę, gdy mówca wreszcie skończył. Oczy wszystkich zwróciły się ku przewodniczącemu. Ten dał znak Poncjuszowi, który wstał i wystąpił naprzód. Był spokojny i opanowany.

- Czcigodni patres! Kiedy staję tu dzisiaj oskarżony o okrucieństwa wobec Samarytan w związku z potyczką pod Garizim, szczęśliwy jestem, że właśnie w rzymskim Senacie przeprowadzam swą obronę. Nikt bowiem nie zna obowiązków i ciężarów spoczywających na zarządzającym

provincją lepiej niż to szacowne grono. Obowiązki owe, jak wiemy, są wielorakie, zarówno cywilne, jak i wojskowe. Aby nie obciążać moich szlachetnych słuchaczy niepotrzebnymi danymi, skieruję uwagę na sytuację o decydującym dla Samarii znaczeniu - mianowicie wojskową. Aczkolwiek nie ona jedna się liczy, sprawa ma bowiem także tło polityczne.

Poncjusz przebiegł wzrokiem rzędy krzesel. Nikt nie czytał, nikt nie spał - wszyscy pilnie słuchali. Teraz najważniejsze, żeby utrzymać ich zainteresowanie.

Po opisanu rozmieszczenia stałych i sezonowych placówek Dziesiątego Legionu przeszedł do wydarzeń w Samarii. Zaciekawienie rosło. W krótkich przerwach między fragmentami mowy zapadała taka cisza, że słychać było każde skrzypnięcie stołka. Na koniec Poncjusz wystąpił bezpośrednio przeciw oskarżeniu, zrelacjonował prawdziwy przebieg bitwy i zamknął mowę odrzuceniem zarzutu o mordy i szantaż.

Siadając na swoim miejscu widział, jak wielu senatorów kiwa potakująco głowami. Rozumieli położenie - byli po jego stronie. Czuł się wyczerpany. Czoło miał wilgotne, wyciągnął z kieszeni chustkę i wytarł pot.

Zabrał głos przewodniczący. Obie strony przedstawiły swoje stanowiska. Mamy wobec tego zdanie przeciw zdaniu. Dlatego należy przejść do oceny materiałów dowodowych, które z racji warunków geograficznych ograniczają się do świadectw pisemnych. Kwestor i oskarżony proszeni są o udokumentowanie swoich wypowiedzi.

Kwestor położył zwoje przed prowadzącym posiedzenie. Poncjusz wstał, lecz nie podszedł, spytał tylko, czy wolno mu zabrać głos. Przewodniczący zwlekał chwilę, po czym wyraził zgodę.

Teraz się wszystko miało rozstrzygnąć. Poncjusz dotarł do najsłabszego punktu obrony.

Możliwie najkrócej streścił przebieg wydarzeń od momentu wyjazdu z Palestyny do dnia powrotu do Rzymu, gdzie jego pierwszą czynnością było zgłoszenie się na audiencję u Kaliguli Cezara i dostarczenie pisemnych raportów. Są one wyciągami ze szczegółowych opisów znajdujących się w archiwum w Cezarei, a zestawione z korespondencją z archiwum Tyberiusza Cezara dają przejrzysty obraz działań w Samarii. Niestety Kaligula Cezar wyjechał z miasta. Jeśli więc patres nie zechcą odłożyć rozprawy do powrotu cesarza, Poncjusz będzie odcięty od dokumentów poświadczających jego stanowisko. Sprowadzenie materiałów z Cezarei w ciągu dwóch dni, które mu dano do dyspozycji, było oczywiście niemożliwe.

W długich rzędach białych tóg nastąpiło poruszenie. Senatorowie obracali się w stronę Poncjusza, spoglądali na kwestora, próbującego protestować, wymieniali głośno uwagi, argumentowali za i przeciw. Przewodniczący musiał wielokrotnie stukać młotkiem w stół, nim mu się udało uciszyć salę. Prosił patres o uwagę, ponieważ tuż przed posiedzeniem odebrał pisemne oświadczenie Kaliguli Cezara na temat wyżej wymienionych raportów. Wziął do ręki zwój pergaminu i zaczął czytać.

Poncjusz chwycił się obiema rękami za stołek - kolejna pułapka. Ustna czy pisemna wypowiedź cesarza liczy się więcej od wszystkich oświadczeń razem wziętych. Kaligula to nie tylko Cezar, August, Imperator, Pierwszy Trybun i pontifex maximus, to także princeps senatus, pierwszy spośród senatorów. Jego najpierw się pyta o zdanie, jego słowa mają wagę decyzji i symbolizują nieograniczoną władzę. Dla tej przyczyny Tyberiusz, który

pragnął niezawisłości Senatu, zwykł był wypowiadać się dopiero po sformułowaniu przez patres ostatecznego sądu.

List Kaliguli został wysłany z Nemi. Ponieważ nie dane mu osobiście uczestniczyć w posiedzeniu, pragnął dla porządku przekazać senatorom treść znajdujących się w jego posiadaniu dokumentów. Po dokładnym zapoznaniu się zarówno z raportami, jak i z korespondencją swego poprzednika, nie znalazł niczego, co by mogło rzucić na sprawę nowe światło. Na próżno szukał choćby jednej okoliczności łagodzącej. Nic nie usprawiedliwia napaści na niewinnych Samarytan oddających się czynnościom religijnym. Każdy porządny człowiek powinien uznać masakrę pod górą Garizim za popełnione z zasadzki i ze szczególnym okrucieństwem przestępstwo.

Po dojściu do władzy celem jego, Kaliguli, stało się nie tylko spełnienie wymagań Tyberiusza Cezara w zakresie przestrzegania przez sądy zasad sprawiedliwości, lecz także rozszerzenie tego pojęcia na narody małe i uciśnione. Człowiek pokroju byłego prokuratora nie spełnia warunków, jakie cesarz stawia kandydatom do działalności publicznej, toteż Kaligula proponuje, aby wyłączyć Poncjusza Piłata z życia publicznego, a jako karę za przewinienia skazać go na dożywotnie wygnanie.

Poncjusz zbladł. To już koniec. Nóż w plecy. Śmiertelny cios.

W sali zapadła kompletna cisza. Jednym pociągnięciem pióra Kaligula pozbawił prawa do służby byłego prokuratora i Senat rzymski jego funkcji. Nie dość, że samowolnie przywłaszczył sobie dokumentację procesową, to jeszcze dyktował wyrok.

Patres ze spuszczonego wzrokiem poprawiali się na stołkach. Najwyraźniej czuli się dotknięci, ale nikt nie odważył się protestować.

Poncjusz zabrał głos.

- Princeps przemówił. Kimże jestem, szlachetni senatorowie., bym dodawał coś bądź ujmował słowom Imperatora? A jednak - zwrócił się w stronę kwestora - proszę o pozwolenie na postawienie memu przeciwnikowi jednego pytania. - Przerwał, by zebrani mogli wyrazić zgodę. - Kwestor w swoim wprowadzeniu omawia nową erę, w której żyjemy, i czyni to w imieniu legata Syrii. Niech tedy sprecyzuje, kiedy się ta nowa era zaczęła.

Kwestor, wyraźnie zaskoczony, odpowiedział niezdecydowanie, że nowe czasy należy liczyć od zmiany władcy. Poncjusz zwrócił się znowu ku przewodniczącemu, a wszyscy w napięciu i niepewności czekali, dokąd zmierza.

- Jeśli i zgromadzeni tutaj zgadzają się na takie datowanie, muszę przypomnieć, iż okres mojej działalności prokuratorskiej w Judei_Samarii przypada na czasy przed zmianą władcy, a więc na starą erę. Tyberiusz Imperator wysłał mnie na Wschód jako swojego zastępcę i w ciągu dziesięciu lat nie miał zastrzeżeń do mojego stylu zarządzania, o czym najlepiej świadczy tak długotrwała misja. Dlatego pytam was, czcigodni senatorowie, czy owe nowe czasy i ów nowy duch, których rzecznikiem stał się kwestor, posiadają moc prawną działającą wstecz?

Po raz kolejny nastąpiło poruszenie na sali - pomruki i zachęcające okrzyki mieszały się z głosami protestu i uciszaniem. Kwestor milczał zaczerwieniony; zirytowany przewodniczący usiłował zaprowadzić porządek. Sala uspokoiła się dopiero, gdy jeden z senatorów w pierwszym rzędzie zabrał głos.

Poncjusz zwrócił uwagę, że pater wielokrotnie spoglądał nań z

życzliwością i akceptacją. Odniósł wrażenie, jakby się gdzieś już widzieli, ale nie potrafił go umiejscowić. Sądząc po sąsiedztwie, musiał być patrycjuszem i do tego znaczną osobistością. Duże szare oczy, twarz o żywej mimice, zmysłowe usta. Głowę trzymał lekko odchyłoną do tyłu i odrobinę przekrzywioną na bok. Mówił wolno, nieco za wolno, jakby formowanie słów wymagało nie lada wysiłku.

- Patres! Zanim ta, muszę przyznać, niezwykła sprawa osiągnie etap końcowy, wydaje mi się nie od rzeczy dodać kilka komentarzy. Nazywając sprawę niezwykłą, mam na myśli krótki czas dany oskarżonemu na przygotowanie obrony, ale nie tylko. Rozprawa nie mieści się w ramach przeciętności także dlatego, iż pisemne materiały dowodowe, aczkolwiek znajdują się w zasięgu ręki, nie są dostępne dla nas, którzy mają wydawać wyrok. Sytuacja przeto uczyniła oskarżonego od pierwszej chwili człowiekiem z góry skazanym.

- A przecież w wystąpieniu oskarżonego podczas tego posiedzenia otrzymaliśmy dowody cech charakteru świadczące w moim mniemaniu na jego korzyść. Spokojne zachowanie, zwięzłe przedstawienie swojego stanowiska, rzeczowość, nie pomijając pełnej szacunku postawy wobec naszego princepsa, świadczą o opanowaniu i silnej woli, które, jak wynika z mojego doświadczenia, nie dadzą się pogodzić z okrucieństwem.

- Princeps wyraził wolę, by sprawiedliwość dotyczyła także ludów uciśnionych. Pójdę przeto jego śladem, wzywając o sprawiedliwość dla skazanego. Przyłączę się również do apelu kwestora, aby czcigodny Senat wykazał nowego ducha, zachęcając zebranych do wydania łagodnego wyroku. Akceptując tedy propozycję princepsa, by skazać oskarżonego na wygnanie, przedkładam, byśmy zastosowali najłagodniejszy jego wymiar,

czyli zesłanie poza terytorium miasta.

Z tymi słowy wziął stołek i przeniósł się na stronę Poncjusza.

Teraz głos miał przewodniczący.

Niestety, musi wyrazić fundamentalny sprzeciw wobec swego czcigodnego przedmówcy. Zachowanie oskarżonego dzisiaj w tej sali może być w równym stopniu skutkiem prostolinijności charakteru, co efektem maskowania. Zgodnie z wypowiedzią princepsa brak jakichkolwiek podstaw do łagodnego traktowania, toteż w imieniu Kaliguli wysuwa propozycję przeciwną, mianowicie wygnanie poza granice Italii, dokładnie do miasta Wienna w Galii, które już dawniej było wykorzystywane w tym celu wobec podobnych przestępców.

Przewodniczący skończył i zajął miejsce po stronie kwestora.

Wszyscy podnosili się i przestawiali stołki na stronę, której udzielali poparcia. Tylko Poncjusz nie ruszał się z miejsca. Wśród zgietku przesuwanych krzeseł, w hałasie i rozgardiaszu panującym podczas zmiany stronnictwa zachowywał obojętność i chłód. Myślał.

A więc wyślą go do Wienny "w dalekiej Galii", jak mawiali w Palestynie.

To tam zesłano byłego tetrarchę Judei_Samarii, kiedy Judejczycy oskarżyli go o okrucieństwa, po czym August ustanowił rzymskie zwierzchnictwo nad krajem. Teraz zaś ekspediuje się w to samo miejsce cesarskiego namiestnika, czyli jego, panującego na tym samym terytorium tyleż lat co wypędzony książę. Nawet wina jest ta sama - okrucieństwo.

Bywa czasami, że historia się powtarza, owszem, lecz jeśli mamy do czynienia z wierną kopią, podobieństwa nie mogą być wyłącznie dziełem przypadku. Dla znajdującego się na rzeczy związek pomiędzy jego sprawą i wydarzeniami aktualnymi za poprzedniej generacji nie ulega wątpliwości.

Elementem je łączącym jest Agrypa, przyjaciel i współwychowanek Kaliguli Cezara, wcześniej więzień, obecnie król...

Podobnie jak przed trzydziestu jeden laty August wykorzystał okrucieństwa tetrarchy oraz jego wygnanie do ustanowienia w Palestynie rzymskiej prowincji, tak dzisiaj rzekome okrucieństwa i wygnanie prokuratora posłuży Kaliguli jako pretekst do przywrócenia tam władzy królewskiej, zlikwidowanej przez pradziada. Jednocześnie Agrypa zemści się osobiście na Poncjuszu, a Samarytanie uzyskają zadośćuczynienie za klęskę pod Garizim i będą się mogli wywyższać nad Judejczykami, powołując się na to, że dzięki nim Palestyna odzyskała królewską koronę. Pytanie tylko, dlaczego wciągnięto w to Senat? Judea_Samaria podlega przecież cesarzowi. Nawet jeśli Samarytanie posłali swoją skargę okrężną drogą przez legata. Witeliusz także odpowiada przed Kaligulą, a nie przed Senatem. Jakie motywy kierują władcą, że składa proces na barki senatorów, a sam z pozoru staje z boku, więcej, nawet nie bierze udziału w rozprawie? Coś się za tym kryje.

Poncjusz rozejrzał się po sali. Środek był prawie pusty, tylko kilka osób rozważało wątpliwości i zwlekało jeszcze z decyzją, na którą stronę się udać. Większość dokonała już wyboru i utworzyła nowe, długie i nierówne rzędy. Poncjusz otworzył szeroko oczy ze zdumienia - liczba senatorów po obu stronach wydawała się równa. Czy to możliwe, żeby sprawa nie została rozstrzygnięta? Z wrażenia zrobiło mu się gorąco, wyciągnął szyję, nawykły do szacunkowej oceny stanu oddziałów, starał się bez wstawiania przeliczyć szeregi. Po liście Kaliguli nie przeszło mu nawet przez myśl, że wynik głosowania mógłby być dla niego korzystny.

Liczenie trwało. Poncjusz wstrzymywał oddech... lecz ostatni

niezdecydowani przeszli na stronę kwestora i tym samym propozycja princepsa zwyciężyła przewagą dwóch głosów.

Gdy napięcie opadło, Poncjusz czuł się do cna wyczerpany. Podczas ogłaszania wyroku głos przewodniczącego ledwie doń docierał.

Wprawdzie słyszał każde słowo, ale jakby go to już nie dotyczyło.

Wydawało mu się, że to nie rzeczywistość, lecz majaczenie chorego, które minie, jak tylko odzyska przytomność.

Przewodniczący uderzył trzykrotnie młotkiem - posiedzenie zakończone.

Patres pozdrawiali się wzajemnie skinieniem głowy i wychodzili. Poncjusz także skierował się do wyjścia, wtem przypomniał sobie, że jako skazanemu, człowiekowi pozbawionemu czci, wypada mu zaczekać, aż wszyscy opuszczą świątynię. Przyglądał się stojącemu naprzeciwko kwestorowi otoczonemu grupą gratulantów i raptownie oprzytomniał - zatkało mu dech w piersiach, jakby otrzymał cios prosto w żołądek.

Czerwona mgła przysłoniła wzrok. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wziął stołek pod pachę i ruszył w stronę urzędnika.

- Jak będziesz pisał do Agrypy o swym zwycięstwie, kwestorze - zawołał głośno ponad głowami oddzielających ich osób - spytaj go w moim imieniu, na kiedy znowu planuje powstanie przeciwko Rzymowi! Teraz, kiedy został królem, stać go chyba na kupienie sobie buntowników bez ryzykowania więzienia za długi!

Zapadła śmiertelna cisza. Tylko echo powtarzało głos Poncjusza, jakby przybijano do ścian świątyni każde jego słowo. Senatorowie skamieniali, bali się poruszyć, by nie wywołać katastrofy. Kwestor mienił się na twarzy, Poncjusz wbijał wzrok w jego oczy i dyszał ciężko. Zacisnął pięści - nic go nie powstrzyma, powie całą prawdę, wypluje wszystko, co się

nazbierało. Postąpił krok naprzód, gdy nagle tuż obok usłyszał dudniący śmiech. Odwrócił się gwałtownie i spostrzegł stojącego z nim ramię w ramię senatora, który pierwszy wziął jego stronę.

- Niezły pomysł, kwestorze, pozdrów Agrypę także ode mnie - senator krztusił się ze śmiechu. - Jeśli o mnie chodzi, znakomity przyrodni brat zawsze mi się kojarzył z zaskrońcem, którego boski wuj Tyberiusz zwykł był wszędzie obwozić ze sobą. Kiedy siadałem na sofie, leżał zwinięty pod poduszką; sięgałem po krzesło, wiał się po poręczu. Był wszędzie tam, gdzie się go najmniej spodziewano. Agrypa ma przeto świetne kwalifikacje, by zostać wspaniałym monarchą. Wróżę mu jako Agrypie Wielkiemu świetlaną przyszłość.

Pozostali także zaczęli się śmiać, a senator położył rękę na ramieniu zdumionego Poncjusza.

- Pewnie mnie nie pamiętasz - odezwał się przyjaźnie. - Klaudiusz, głowa żalonych resztek domu klaudyjskiego, odkąd mój boski wuj uczynił siebie Juliuszem. Z tej racji jestem głównym gwarantem twego kontraktu małżeńskiego, chociaż osobiście nigdyśmy się dotąd nie spotkali. Jak się czuje twoja wiotka połowica? W dalszym ciągu taka eteryczna?

Ujął Poncjusza mocno pod ramię i poprowadził do wyjścia.

- Wystarczy ci na dziś nieszczęścia, nie szukaj na dodatek prawdziwej zguby - rzekł cicho, gdy schodzili po wielkich schodach.

Poncjusz nie odpowiedział, więc Klaudiusz puścił jego ramię i obaj równym krokiem szli przez dziedziniec.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego okazujesz mi pomoc - zagadnął Poncjusz.

- Ja zaś chciałbym wiedzieć, dlaczego nie było tu dziś konsulów - odpowiedział Klaudiusz. - Ich głosy przeważałyby szalę.

- Dostali polecenie wyjazdu do Neapolu tuż przed nadejściem wezwania na rozprawę. - W głosie Poncjusza brzmiała gorycz. - Rozkaz najwyższej władzy.

- Tak myślałem. - Klaudiusz pokiwał głową. - W tym terminie rozprawy kryła się pułapka. Cóż, jako gwarant ze strony Prokuli - nagle zmienił temat - czuję się po prostu w obowiązku wesprzeć cię w trudnej sytuacji. Poza tym zainteresowanie obyczajami sądowymi jest poniekąd rodzinną słabostką u nas, Klaudiuszy. Dzisiaj na przykład zauważyłem kilka nieprawidłowości. Masz jakiś zatarg z Kaligulą?

Poncjusz potrząsnął głową - nie, nie z Kaligulą, lecz z Agrypą. To on nastaje na jego życie, a władca mu tylko ustępuje.

- Masz rację, to właściwe słowo. Choć Kaligula raczej nie należy do gatunku ustępliwych. - Klaudiusz zmarszczył czoło. - Ta przyjaźń między nim a Agrypą wygląda mi na razie na dość jednostronną, mam na myśli kosztowną dla Kaliguli. Najpierw królewska korona i złoty łańcuch, że nie wspomnę o kosztach profanacji pamięci zmarłego... nie tyle w złocie, ile w szacunku. A dzisiaj ciąg dalszy na tę samą melodię. Składa w ofierze na ołtarzu przyjaźni rzymskiego urzędnika, ożenionego z własną krewną i w dodatku członka bliskiej rodziny tegorocznych konsulów. Możesz mi powiedzieć, czym mu się Agrypa za to zrewanżuje? Albo czym, jakim wsparciem zasłużył sobie na takie względy?

Nie, nad tym aspektem sprawy Poncjusz się wcale nie zastanawiał.

Rewanż, zapłata? Skąd ma wiedzieć, co zamierza ten szatan? Złe rady, trucizna, zdrada... Na samą myśl o takim łajdaku porządni ludzie czują smród zgnilizny.

Klaudiusz pograżył się we własnych rozważaniach. Głowę przekrzywił

jeszcze bardziej niż zwykle.

- Nie podoba mi się, że list Kaliguli został przysłany z Nemi - mruknął pod nosem.

Poncjusz bez słowa spojrział nań z ukosa. Nie rozumiał. Nemi? Sam był tam przecież ostatnio. W Nemi spotkali się z Nigrinem...

Wspomnienie brata trafiło mocno jak kamienna kula. W Nemi tyle go spotkało radości, powitań, uścisków... A dzisiaj - skazany, pozbawiony czci, wygnaniec. Przed niespełna tygodniem miał przed sobą przyszłość, a u stóp niemal cały świat. Dziś skurczyło się to do jednej miejscowości o nazwie Wiena. Jego życie przedarto na pół i wyrzucono do kosza jak zapisany strzęp papirusu...

To miło ze strony Klaudiusza, że chciał pomóc, niezmiernie miło, ale Poncjusz wolałby już zostać sam. Dłużej nie wytrzyma, musi wracać do domu i zamknąć się u siebie. Poszukać ciemnej nory, jak zranione zwierzę, któremu dzisiaj zadano nieuleczalną ranę.

- Muszę wracać do domu - rzekł, wyciągając rękę na pożegnanie. -

Dziękuję ci, Klaudiuszu, za pomoc. Gdybyś mi nie przerwał, byłbym zgubiony. Mogłem zabić kwestora na miejscu. Mam tylko nadzieję, że nie wpadniesz z mego powodu w kłopoty.

- Ja i kłopoty? - Klaudiusz znowu się zaśmiał. - Nikt mnie przecież poważnie nie traktuje! Wiesz chyba, że tracę czas na myślenie, a nawet wyciągam wnioski z zebranych doświadczeń. Innymi słowy używam danego mi przez bogów rozumu, co nie przystoi mężom w mojej pozycji. Ojciec sięgał po władzę i umarł gwałtowną śmiercią. Podobnie brat. Dwaj jego synowie także byli ambitni i poszli ich śladem, że nie wspomnę o jedynej mojej siostrze. To wzbudziło we mnie nieufność, toteż zamiast

pożądać władzy i wpływów, zadowolam się w życiu innymi rozrywkami. Nigdy nie należy pogardzać dobrym winem, partyjką warcab czy piękną kobietą. Studiuję też procedury sądowe i strategię, czytam księgi, piszę pamiętniki i z bezpiecznego dystansu obserwuję, co się dzieje w państwie. Z całą skromnością mówię, wiedzie mi się bezwstydnie dobrze, a nawet, jak widzisz, zachowałem życie.

Klaudiusz znowu wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

- Prokula zawsze się pochlebnie wyrażała o wuju Klaudiuszu, a nie jest skora do pochwał - rzekł z powagą Poncjusz. - Dzisiaj zaś ja doświadczyłem twojej dobroci. W tym, coś dla mnie uczynił, niewielu cię będzie naśladować.

Głos mu się łamał, nie dawał się opanować.

Klaudiusz udał, że niczego nie zauważa, i rzucił tylko propozycję, że skoro mieszka na Awentynie, odprowadzi Poncjusza do samych drzwi. Po drodze gawędził o drobiazgach, nie oczekując odpowiedzi. W sytuacji bez wyjścia nie wolno stracić odwagi. Na świecie nie ma nic stałego, wyrok daje się przekreślić jednym pociągnięciem pióra. Kaligula może Poncjusza ułaskawić. Jak tylko wróci, Klaudiusz z nim o tym pomówi. Wienna jest zresztą o wiele lepszym miejscem, niż wskazuje na to jej sława. W tych stronach mają niezłe wino i równie dobre tereny łowieckie. Ojciec Klaudiusza kupił tam kawałek ziemi, gdy wznosił ołtarz pokoju w Lugdunum. A on sam często przebywał w Galii jako dziecko. Wpadnie do nich po powrocie Prokuli, będą mogli omówić sprawy praktyczne. Człowiek potrzebuje dachu nad głową i ogniska domowego, czy to w Rzymie, czy w Galii.

Wreszcie dotarli do bramy. W niszach po obu stronach stały niebieskie

syryjskie lampy olejne, oświetlające nocą wejście jak niegdyś w Cezarei. Na ziemi leżało kilka zwiędłych liści, pozostałości po powitalnych girlandach. Tamtego dnia brama była na oścież otwarta, a dom ozdobiony białym kwieciem i świeżą zielenią. Niedługo drzwi i okna zostaną na nowo zamknięte, zasłonięte okiennicami, zabezpieczone skoblami - na dożywocie. Słowo to zaczynało się rozrastać, otaczało Poncjusza ze wszystkich stron jak gęsta, szczelna palisada. Wewnątrz tego kręgu ma spędzić resztę życia jak zwierzę w klatce, póki go kiedyś nie wyzwoli Charon.

Klaudiusz żegnał się, poklepując go dla otuchy po plecach. Poncjusz próbował odpowiedzieć, ale nie zdołał. Tylko kiwnął głową i wszedł spieszenie do domu.

Zachowywał się jak lunatyk. Stał z przyzwyczajenia, gdy niewolnik odbierał od niego płaszcz. Nieprzytomny poszedł do komnat Prokuli. Zatrzymał się zdziwiony na środku cubiculum. Jak to, nie ma jej? Już miał wołać, gdy przypomniał sobie, że wyjechała - do Stabiów, ponoć coś złego dzieje się z jej matką. Rzucił się na najbliższe krzesło. Prokula była dlań zawsze jak zaciszny port podczas sztormu.

Teraz i ta kotwica puściła.

Był śmiertelnie zmęczony. Nie spał przez ostatnie doby, a teraz, gdy wszystko minęło, nie potrafił opanować myśli. Wirowały jak zeschnięte liście, pojedyncze słowa brzęczały w głowie niczym muchy w słoju.

Powiedzieli: wygnany?

To znaczy, że musi wyjechać, zostawić wszystko, co go otacza. Dom. Pracę. Już nie będzie zadań do wypełnienia. Skończyło się zaufanie. Został napiętnowany, wyrzucony poza nawias.

Klaudiusz może się pocieszać winem i kobietami. Zachował honor. Nikt go nie nazwał okrutnikiem, nie przygnoił oskarżeniem o zbrodnię, nie uznał winnym.

Powiadają: okrutnik?

Okrutny jest ktoś, kto na nic się nie oglądając, ulega swoim popędom, kto czuje radość z zadawanego innym bólu, kogo cieszy cudze cierpienie.

Czy Poncjusz jest taki w głębi serca, sam o tym nie wiedząc? Czy raczej odwrotnie - współczując ludzkim udrekom, ukrywa, że się nimi troska, i siłą woli zmusza myśli do oderwania się od tych niedoli?

Wciąż miał przed oczami gromady trędowatych w Egipcie i roje much krążące nad ich ranami. Jeszcze słyszał zawodzenia żebraków nad Jordanem, widział ich błagalne spojrzenia głodnych psów i wystające jak prety pustego kosza żebra. A kiedy przymknął powieki, dostrzegał całą ludzką nędzę i upodlenie w jednym bolesnym spojrzeniu bladego, okrwawionego Nazarejczyka w cierniowej koronie. Lata minęły, lecz ten obraz pozostał we wspomnieniu, świeży purpurą krwi - jak otwarta rana. I czegoż ten Nazarejczyk tak stoi i wpatruje się w niego? Dobrze wie, iż kto otrzymał władzę od cesarza, używa jej do ochrony pokoju i porządku. Musi uprzedzić rozruchy i zdusić je w zarodku...

Cóż mógł poradzić, że Samarytanie gromadzili się z bronią w rękę i że Garizim jest świętą górą? Czy to jego wina, że połała się krew? Jak by przetrwało prawo, gdyby nie zastosował kary? Naczelną potrzebę państwa stanowi pokój i on ma pierwszeństwo przed wszystkim.

Jest niewinny - bezprawnie skazany. To cesarz dokonał gwałtu na sprawiedliwości, a patres dali na to swoje przyzwolenie. To był podstęp, wyrok wydano z góry...

Nie można się z tym pogodzić! Obroni się, mało, weźmie odwet! Chwycił za pióro jak za sztylet, sprzeciw i nienawiść były niepowstrzymane niby strumień lawy z wulkanu nagromadzonej w sercu goryczy. Dźgał raz za razem papirusy na stole, powalał bezlitośnie ciosem ostrza wroga za wrogiem - kwestora, Witeliusza i Agrypę. Pióro wbiło się w blat, złamało, lecz jeszcze nie skończył, pozostał mu jeszcze jeden. Sprawdził odłamek. Tak, w sam raz się nada... wystarczy na ostatnie pchnięcie prosto w serce Kaliguli. Podniósł rękę do ciosu, lecz w trakcie zamachu ramię opadło bezwolnie na stół, łokieć przeszła gorąca fala bólu.

Zdezorientowany przyglądał się dłoni - podniósł rękę na cesarza? On? Czyżby nienawiść i chęć zemsty odebrały mu rozum? Uczyniły go zdrajcą - na równi z Sejanem i Agrypą?

Cisnął precz ułamek pióra. Skurczył się w sobie. Czy dlatego że sam panował w Palestynie, zapomniał, jak się wypełnia rozkazy?

Kimże się sobie wydaje, iż sprzeciwia się Cezarowi i Senatowi? Czemu pyta o winę bądź jej brak, o prawo lub bezprawie? Jedno tylko ma do zrobienia: ugiąć się i ustąpić. On - pionek w wielkiej grze państwa na szachownicy świata...

Jego obowiązkiem jest spełniać rozkazy - być posłusznym, milczeć, wytrzymać... bez jęku i skargi, niemy jak Nazarejczyk.

Znowu Nazarejczyk? Poncjusz pokręcił wolno głową. Zobaczył skrawek szaty, gdy go wyprowadzali, usłyszał oddalające się kroki i skrzypienie pióra po pergaminie, gdy podpisywał wyrok śmierci - długie P zakończone krzyżem.

Obrócił się niespokojnie, westchnął z jękiem. Zmęczenie ścisnęło mu czoło jak żelazna obręcz. Musi się przespać. Położył głowę na stole i

wcisnął twarz w ramiona, ale rozgorączkowane myśli dalej wirowały, a pod powiekami tańczyły zjawy i majaki.

Dawno już zapadł zmrok, gdy rozległo się skrzypienie drzwi i na stół padł promień światła. Na progu stanęła Rachela. Poncjusz wyprostował się i pospiesznie chwycił podziurawione arkusze, by udąć, że czyta - zapomniał, że nie ma światła.

- Zaraz zapalę. - Rachela postawiła szybko lampę na stole. - Szukałam cię, panie, po całym domu. Odźwierny powiedział, że wróciłeś, ale nie wiedziałam, że jesteś tutaj. Posiłek czeka. Trzeba się trochę wzmocnić. Ostatnio niewiele jadłeś, panie.

Pokręcił przecząco głową - nie będzie nic jadł.

Spojrzała nań z wyrzutem. Może chory? Zaniepokojona podeszła bliżej, dostrzegła ściągnięte, postarzałe, zmienione nie do poznania rysy.

Nieszczęście... Próbował się odwrócić, ale położyła mu obie ręce na ramionach.

- Uważaj! - ostrzegł ją groźnym tonem i odsunął od siebie. Nagle wybuchnął śmiechem. - Jestem niebezpieczny, rozumiesz? Okrutny. Kocham krew. Zabijam ludzi u ołtarzy i krzyżuję każdego, kto mi się nawinie pod rękę, najchętniej niewinnych. Nie gap się tak na mnie! To prawda, skoro Cezar i Senat tak mówią!

Patrzył na nią szyderczo.

- Na złego konia postawiłaś, moja droga. Nikomu już nie jest potrzebny. Od dziś nie chodzi w zaprzęgu. Upalikują go na dalekim pastwisku o nazwie Galia... nie po to, żeby się tam pasł i wczasował, nie myśl sobie, tylko dlatego że już się nie nadaje, przeszkadza tutaj, w mieście...

Zostałem wygnany! Wygnany z Rzymu na zawsze!

- Wygnany? - Rachela nie pojmowała.

- Owszem, dobrze usłyszałaś. - Uśmiechnął się gorzko. - Powinnaś była zrobić, jak ci radziłem, kiedyśmy wyjeżdżali. Zostać tam, skąd pochodzisz. A tak musisz się sama zatroszczyć o powrót. Widzisz przecież, jestem okrutny i dość mam własnych problemów.

Odpowiedziała cicho, że nie dla dostatku i wygody została z nimi, ale Poncjusz już jej nie słuchał. Dotknęła jego ręki i zapytała, czy posłał do Stabiów i powiadomił Prokulę. Potrzęsnał tylko przecząco głową. Z tym można poczekać, aż wróci do domu. Nieszczęścia zawsze przychodzą w czas. Teraz chce spokoju.

Obiecała, że sobie pójdzie, ale najpierw Poncjusz coś zje, a jeśli nie zje, to przynajmniej wypije. Wybiegła i zaraz wróciła z parującym dzbanem..

Wydawało mu się, że przemarzył do szpiku kości, więc wypił łyk - dobre, smakuje i rozgrzewa.

- Idź spać, panie, i wypij resztę w łóżu - poprosiła. - Potrzebujesz wypoczynku.

Ma autorytet ta ich Rachela. Poncjusz wstał, ziewnął - i zrobił, jak kazała wyzwolenica.

Pół godziny później Rachela uchyliła drzwi i nasłuchiwała przez szparę. Od strony łóża dobiegał ją ciężki, regularny oddech. Poncjusz spał jak kamień. Ten napój zawsze skutkował.

Ostrożnie się cofnęła, chwyciła zawój i pospieszyła do bramy.

Prokula musi wrócić - inaczej źle się to skończy. Ten śmiech Poncjusza nie był normalny. To śmiech człowieka zdesperowanego. Ale do Stabiów daleko.

Drobnymi krokami zbiegła ze zbocza. Noc była ciemna. Błądząc ulicami

po omacku Rachela odnalazła dzielnicę żydowską nad Tybrem. To tutaj. Wracając z Jerozolimy przywiozła list do jednego ze starszych synagogi. Potem poznała nieźle jego i rodzinę. To dobry i prawy człowiek, poprosi go o pomoc.

Długo rozmawiali. Rachela próbowała wyjaśnić wszystko, co wie - niewiele tego było, lecz gdy wyruszała w drogę powrotną, żydowski strażnik siodłał konia, by zawieźć posłanie do Stabiów. Za trzy dni być może Prokula będzie w domu.

Kiedy się obudził, głowa ciążyła mu jak młyński kamień. To znaczyło, że spał długo. Odruchowo sięgnął ręką do dzwonka, by mu przynieśli śniadanie.

W sypialni było ciemniej niż zazwyczaj.

- Pada? - spytał cubiculariusa.

Nie, pogoda piękna, zrobiło się naprawdę ciepło, ale zbliża się już wieczór.

- Wieczór?

Od razu wszystko sobie przypomniał. Odstawił kubek tak mocno, że napój wylał się na stolik. Galia...

Za trzy miesiące już go tu nie będzie. Taki otrzymał termin. W tym czasie trzeba się przygotować - na całe życie. Rozejrzał się dookoła. To, co dotąd traktował jako dom na stare lata, stało się stacją przejściową. Serce mu się ścisnęło w nagłym bólu. A co z Prokulą? Nie pomyślał o niej, choć tak bardzo są ze sobą związani. Nie przyszło mu do głowy, by mogła się znaleźć z dala od niego. A przecież Prokula oczywiście pozostanie wśród swoich, tu, w Rzymie. Poncjusz musi mieć na względzie jej dobro, nie własne. Jej nikt nie wygania z miasta. Trzeba porozmawiać z

Klaudiuszem, żeby się nią tymczasem zajął. Tymczasem? Przecież to "tymczasem" oznacza na zawsze! Wyrok jest dożywotni.

Poncjusz porwał się z łoża.

Nie, to niemożliwe, wykluczone! Może stracić w życiu wszystko, tylko nie Prokulę! Bez niej - to już naprawdę koniec!

Niech Klaudiusz raczej porozmawia z Kaligulą i poprosi go o ułaskawienie, żeby mógł zostać w mieście albo w jego pobliżu. Jeśli ma zamieszkać tam, gdzie nie będzie Prokuli, już lepiej odbierze sobie życie. To nie podlega kwestii.

Poncjusz włożył tunikę i przeszedł do tablinum. Pod stołem leżała wielka skóra lwa. Patrząc na nią, zastanawiał się, co słychać u Antypasa.

Trzeba ostrzec tetrarchę, zrewanżować mu się za wszystkie przyjacielskie przysługi. Przecież właśnie tego lata miał wytoczyć Agrypie proces. Musi temu zapobiec. Atak na Agrypę teraz to pewna śmierć. Dopiero kiedy jego stosunki z Kaligulą trochę ochłodną, mogą spróbować go obalić.

W zamyśleniu zanurzył nogę w sierść koloru pustyni. Wodził wielkim palcem po rozdartych oszczepem brzegach, wsunął czubek stopy w dziurę, a potem schował w niej całą.

Jak stosunki ochłodną... Kiedy to się stanie? Bzdura! Nie ma co marzyć!

Wiercił lekko stopą, póki nie zachręściła wyschnięta skóra, a potem cofnął nogę. Dziura ziała mrocznym wnętrzem.

Nie, nie odważy się dawać rad. Antypas ma dość rozumu, by się sam w tym połapać. Jeśli ktokolwiek mógłby się zmierzyć z Agrypą, to tylko on. Niemniej napisze list i doniesie, co się wydarzyło w Senacie, żeby tetrarcha przynajmniej był zorientowany.

Usiadł i przygotował papirus.

Poncjusz Piłat, prokurator Judei_Samarii Herodowi Antypasowi, księciu Galilei_Perei z pozdro...

Co też on wypisuje! Jaki prokurator?! Ciągle jeszcze czuje się prokuratorem. Czy te dziesięć lat przylgnęło doń jak druga skóra?

Zirytowany podarł papirus na dwoje, cisnął do kosza i odsunął krzesło. Stracił ochotę do pisania... I tak już zbyt późny wieczór na wyprawienie posłańca.

Drzwi do perystylu otwarto, by nocą ochłodzić dom. Poncjusz usiadł pod figowcem w rogu ogrodu. Było tu cicho, lecz cisza nie sprowadziła spokoju. Zamiast gnuśnieć wśród zieleni, postanowił przejść się trochę. Od wielu dni nie wychodził z domu, a teraz o zmroku nikt go nie zobaczy.

Skąd mu się wzięła ta myśl? Nie musi się przecież kryć. Jutro wybierze się w biały dzień na Forum i policzy, ilu mu zostało przyjaciół, kto się przyzna do znajomości i kontaktów ze skazanym na wygnanie.

Serce przeszył nagły ból. Jak przyjmie to Nigrin? On, tak czuły na to, co mówią ludzie? Ach, dlaczego go zawsze odpychał? Przecież Nigrin całemu światu rad by nieba przychylić.

Gdyby chociaż Prokula była w domu! A może mimo wszystko posłać po nią? Poncjusz poszedł do jej komnat. Sypialnia jest pełna wspomnień.

Tęsknota kłuje w piersi. Nie, zostawi ją w spokoju - może ostatni raz przebywa z matką.

Siadł za stołem, tak jak poprzedniego wieczoru. Błat z rzadkiego gatunku drewna o pięknych, równych słojach - kazał go zrobić dla Prokuli zaraz po ślubie. Kilka ciemnych plam szpeci powierzchnię po wczorajszych ciosach pióra. Poślinił palec i próbował je zetrzeć, ale tylko bardziej rozmazał.

Wyjął więc nożyk i delikatnie zeszkrobał tusz. Prawie się udało. Gorzej z

papierusami. Jeden niemal zupełnie zniszczony, dziura na dziurze, na wylot. Niedobrze! Rozwinął go i starał się wygładzić brzegi wokół śladów przebicia. Niezupełnie mu to wyszło, ale przynajmniej można odczytać treść.

To jedna z tych żydowskich ksiąg, które Prokula zbiera. Na marginesach pełno notatek, poszczególne wiersze popodkreślane, wszędzie mnóstwo różnych znaczków. Pomiędzy liniami rozplývają się pojedyncze litery jej pisma. Oczami duszy widział pochyloną żonę. Palce ma tak słabe, że aby przycisnąć pióro, musi je trzymać w specjalny sposób. Kiedy pisze, w kącikach ust pojawia się drobny rys zaciętości. Poncjusz obserwował ją wielokrotnie ukradkiem. Jest taka skupiona, gdy czyta. Nie interesują jej jedynie sprawy domowe.

Wygładzając jedną dziurę za drugą, czasami odcyfrowywał jej znaki. Po jakimś czasie wydało mu się niemal, że żona siedzi tuż obok. Chwilami potrząsał zniechęcony głową - czy kto widział coś podobnego? Dlaczego, na Jowisza, ta kobieta nie używa cyfr i nie numeruje odnośników jak normalni ludzie? Nie, po co, to zbyt łatwe i proste. Prokula musi prowadzić długie, nierówne strzałki przez kilka stron, aż wreszcie trafia na akapit, którego szuka, i z radości, że znalazła, strzela ostrzem przez tekst dokładnie w dane słowo. Doprawdy śmieszne, że tak sobie utrudnia życie, ale wszelkie uwagi nie zdadzą się na nic. Próbował, i to niejednym razem - bez skutku.

- Oczywiście, że umiem liczyć - odpowiadała wtedy. - Tylko po prostu nie lubię cyfr. Przypominają mi żołnierzy. Ty potrafisz dowodzić i dlatego umiesz obchodzić się tak z cyframi, jak i z żołnierzami. Ja - nie.

- Chyba nie zaprzeczysz, że cyfry są przydatne? - próbował ją mimo

wszystko przekonać.

- Nie, skąd... ale ludzie są różni. To, co odpowiada tobie, nie musi pasować mnie. Ty rozumiesz, a ja tego nie czynię. Najdokładniej widzę, kiedy zamknę oczy, najlepiej słyszę w kompletnej ciszy.

I co człowiek ma na to powiedzieć? Prokula zawsze była klasą sama dla siebie. Odróżniała się od innych. I może dlatego właśnie Poncjusz nie potrafił się już bez niej obejść. Nikt mu jej nie zastąpi. Stała się dla niego całym życiem.

Obracał dalej drążki, w miarę możliwości naprawiał zniszczenia. Oto znowu jedna z jej sławnych strzałek, tym razem rekordowej długości - mijają sześć kolumn, nim zagłębi się w tekst. Miejsce trafienia jest podkreślone, dodatkowo na marginesie obok widnieje znaczek. Poncjusz spojrzał zaskoczony... krzyż i P. Krzyż stoi osobno, trochę ukośnie, lecz P wskazuje wyprostowane jak grożący palec bezpośrednio na niego. Co to ma znaczyć? Skąd wzięła ten znak? Stawiał go na dokumentacji wyroków śmierci przed złożeniem w archiwum - najpierw imię skazańca, potem rodzaj śmierci, krzyż lub miecz, a obok pierwsza litera imienia prokuratora, czyli jego.

Prokula nigdy nie była obecna podczas rozpraw, nie widziała, jak go pisał. Wyrok śmierci... cóż, to nie temat do rozmów, zwłaszcza z kimś takim jak ona. Zrobiło mu się niedobrze. Czyżby jego żona nie była taka, jak sądził? Czyżby po kryjomu przeszukiwała archiwum?

Nie, to niemożliwe. Nie ona. Prokula jest na wskroś uczciwa.

Musiał przeczytać ten zaznaczony fragment, dojść, o co jej chodzi i skąd tu się wziął ten znak. Pięćdziesiąty trzeci rozdział księgi Izajasza w greckim tłumaczeniu. Jeśli się nie myli, Izajasz był jednym z tak zwanych

wielkich proroków...

Akapit jest zatarty od czytania. Wiele miejsc trudno odcyfrować, a i język jakiś taki staromodny - tłumacz widocznie starał się naśladować oryginał.

To potrwa. Poncjusz przysunął lampę i pochylił się nad papirusem.

Powolutku zaczynał się orientować w treści i docierając wiersz po wierszu coraz niżej, czuł, jak słowa stopniowo nabierają życia. Wybijają się z tekstu, poruszają w jego duszy struny pamięci i nim przeczytał ostatnią linijkę, zabrzmiały jak dzwony zwiastujące ponowne spotkanie.

Z głębi przeszłości ukazał się Izajaszowi ten sam widok co jemu na Gabbacie. Prorok w płaszczu z kapturem i on w todze - a między nimi stulecia - wskazują tę samą postać i obaj wołają te same słowa: Spójrzcie! Oto ten człowiek!

Poncjusz przeczytał raz jeszcze, półgłosem, najpierw z niedowierzaniem, potem z obawą i zdziwieniem - przytakiwał wołającemu, potwierdzał ruchem głowy... Nawet niebo Izajasza i Poncjusza ku przestrodze pokryło się żółtymi jak siarka chmurami.

"Nie miał On wdzięku ani też blasku... ani wyglądu, by się nam podobał... wzgardzony, odepchnięty przez ludzi." Zgadza się, uciekali od Niego nawet najbliżsi. Samotnie podążał cierniową drogą.

"Mąż boleści, oswojony z cierpieniem." Tak, wszyscy zboleli na ciele i duszy garnęli się do Niego, leczył ich, troszczył się jak o swoje dzieci.

"Wzgardzony tak, iż mieliśmy Go za nic." A jakże, pobity, opluty, wydrwiony.

"Nawet nie otworzył ust swoich. Jak baranek na rzeź prowadzony, jak owca niema wobec strzygących ją." Mówili, że tortury znosił bez jęku.

"Zgładzono Go z krainy żyjących; za grzechy mego ludu..." O tak, w imię

Kajfaszowego i kapłanów pożądania władzy i niezawisłości Jerozolimy.

"Usunięty po sądzie..." Wyrokiem wprawdzie Sanhedrynu, lecz usankcjonowanym przez rzymskiego prokuratora.

"I policzony został między przestępców..." Ukarany jak złoczyńca, umarł na krzyżu.

"I oręduje za przestępcami..." Modlił się przecież za swych katów i zbójców.

"Grób mu wyznaczono między bezbożnymi..." Racja, Arymatejczyk złamał żydowskie zwyczaje, wkraczając na teren Antonii, by prosić o wydanie zwłok. W głównej kwaterze bezbożników powzięto decyzję o miejscu złożenia do grobu.

"I w śmierci swej był [na równi] z bogaczem, [choć] nikomu nie wyrządził krzywdy i w Jego ustach kłamstwo nie powstało." Tak, tak było! Józef nie otrzymałby pozwolenia, gdyby chodziło o rzeczywistego przestępcę. W ten sposób Ten, który za życia niczego nie posiadał, po śmierci zajął grób bogacza.

Cuda prawdziwe... Jak to wszystko rozumieć? Czy upływ czasu i bieg pokoleń już się nie liczą? Czyżby Nazarejczyk zniósł wszystkie bariery? To przecież więcej niż jasnowidzenie, niż prorocstwo. To cud przeczący wszelkim rozsądnym wyjaśnieniom.

Poncjusz odłożył zwój i wsparł czoło na dłoni. Inne prorocstwa, o których czytał i słyszał, wypływały z naturalnych źródeł. Ujarzmiony, tęskniący do wyzwolenia naród otrzymuje rzecznika, w którego wizjach pojawia się zwycięstwo i wybawienie... Albo: z cierpienia i trudów walki wyrasta mąż wołający o nadzieję pokoju, księżę, któremu cała ziemia składa hołd...

Jeszcze inaczej: w chwilach dobrobytu i bogactwa głosy sumienia narodu

nawołują do wstrzemięźliwości i wskazują głębie zepsucia.

Takie rzeczy rozum przyjmie, natomiast to tutaj...?

Pięć lat minęło, odkąd między dziewiątą a dziesiątą godziną pewnego dnia siedział jako rzymski prokurator kraju w swoim gabinecie za

bezpiecznymi murami twierdzy, pogrążony w rozmowie z tamtejszym zamożnym obywatelem. W cztery oczy omawiali sprawę pewnego

wieśniaka, którego oddanie w ręce lokalnej jurysdykcji było przed południem jego pożałowania godnym obowiązkiem, a którego zwłoki o tej porze, bez specjalnego namysłu, przekazał owemu szanowanemu mężowi.

I oto dziś, po pięciu latach, przypadkowo odkrył, że obserwowała ich wówczas trzecia, nieżyjąca od setek lat osoba i dawno rozsypaną w proch ręką opisała to, co widziała powleczonymi bielmem oczami!

Czyste kpiny z porządku natury i tego, co mówi doświadczenie!

Szaleństwo, zabobon i bzdura - ale na stole leży niepodważalny dowód...

Poncjusz rozglądał się z lękiem. Czuł na sobie obcy wzrok, obecność jakiejś nieznannej siły. Musiał przeczytać ten ustęp raz jeszcze, upewnić się, że oczy go nie mylą, że dobrze zrozumiał. Ręka mu drżała, gdy podnosił papirus. Obwiodł palcem brzeg arkusza, sprawdził tytuł i akapit. Nic się nie zmieniło: Izajasz, rozdział pięćdziesiąty trzeci, tłumaczenie na grekę, wytarte od częstego czytania...

W całym fragmencie brak najdrobniejszego punktu zaczepienia dla rozumu. Słowa układają się jak cegły w gładkim murze, rozsądek nie ma się o co oprzeć.

Bezradnie wpatrywał się w dół stronicy. Wzrokiem wędrował po wierszach i zatrzymał się na znaczku Prokuli na marginesie. Zdanie obok podkreśliła falująca linia: "Pan zwałił na Niego winy nas wszystkich", a

słowo "winy" opatrzyła dwoma dodatkowymi kreskami...

Dlaczego zestawiała obok siebie winę, krzyż i jego P? O co jej chodzi? Obciąża go w ten sposób za wyrok śmierci? Mimo że umył ręce? Czy naprawdę jest o tym w głębi serca przekonana, że daje temu wyraz bez słów? Piórem, kreską, znakiem oskarża: Ty to uczyniłeś. Ty odebrałeś życie mojemu Rabbuni, choć prosiłam, byś go oszczędził. Ty, Poncjusz Piłat, przelałeś niewinną krew, wydałeś na rzeź baranka z proroctwa Izajasza...

Jak może być tak ślepa? Czy nie rozumie, że on w zastępstwie cesarza pilnuje dobra państwa? Nie słyszy ryku tłumu i słów Kajfasza, biorącego na siebie i swój naród krew ukoronowanego cierniami? Woli unurzać w niej własnego męża. Lekceważąc prawo i prawdę, dołącza do senatorów, staje w jednym rzędzie z kwestorem, wśród jego wrogów, osądza go, bapotępia...

Tama pękła. Poncjusz zniósłby podstęp, zdradę, podłość, cios nożem w plecy, pogodziłby się z niesprawiedliwością, przeżył wstyd - ale jeśli zawiedzie Prokula, jego świat runie w gruzy. Jeśli ona odepchnie go od siebie i obarczy winą, wtedy grunt spod nóg mu się usunie i otworzy przepaść. Wtedy pozostanie mu tylko śmierć.

Noc powoli odchodziła. Światło w lampie dopalało się chwiejnym płomieniem. Zapadła ciemność. Poncjusza ogarnęła pustka podobna słonej pustyni. Bez życia, bez ruchu, nawet myśli ustały.

Świt ustąpił przed dniem. Skulony w krześle Poncjusz wpatrywał się niewidzącymi oczami w blat stołu. Nie odpowiedział, gdy Rachela pukwała do drzwi - zamkniętych.

Godziny mijały. Rachela zapukwała znowu - obiad czeka...

Niech jedzą go ci, którym chce się żyć. Poncjusz najadł się do przesyty.
Zbliżał się wieczór. Po nim noc i pustka, pałaca samotność i mrok.

Uderzenia głuchego bólu - jak echo z Golgoty.

Około północy rozległ się hałas u wejścia. Poncjusz uniósł głowę,
nasłuchiwał. Głosy zbliżały się, ktoś szarpał klamką.

Czy to...? Ostatkiem sił dźwignął się, chwiejnym krokiem podszedł do
drzwi, otworzył...

Prokula wpadła z wyciągniętymi ramionami, lecz zaraz je opuściła
przerażona. Postradał zmysły?!

Poncjusz spoglądał obcym wzrokiem, jakby jej nie znał. Oczy w
czerwonych obwódkach uciekały na boki, rysy stężały, broda drżała. Przed
sobą, obronnym gestem, trzymał papirus.

- To tutaj... - wychrypiał. - Skąd się to wzięło...? - Rozwinął arkusz i
palcem pokazał miejsce.

- Pokaż! Mówisz o tym znaku?

Poncjusz kiwnął głową. Oddychał z trudem.

- To znak Pomazańca Bożego... Mesjasza. Po grecku nazywa się Chrystos.

- Nie, ten krzyż! Chodzi o ten krzyż i P... - Poncjusz drżał jak w gorączce.

- Krzyż? Tu nie ma żadnego krzyża! Przecież widzisz, że X stoi ukośnie...

To chi... znasz greckie litery, Poncjuszu. X oznacza nasze ch, p czyta się
rho i pisze zamiast r. Tekst jest po grecku, więc napisałam Jego inicjały w
tym samym języku dla podkreślenia, że proroctwo wskazuje na Niego.

XP - Chrystos... Poncjusz bez przekonania powtarzał w myśli to słowo...

Nie, to nieprawda! Już jej nie wierzy... Zmyśliła wszystko naprędce.

Kłamie jak inni. Gdzie jest Rachela? Ona zna grecki i Pisma - niech ona
powie, co to jest.

Rachela przybiegła natychmiast. Wystarczył rzut oka na zwój.

- Chrystos - powiedziała. - A cóż by innego?

Ucisk w czaszce zmaleł, rozluźniła się obręcz wokół serca. Poncjuszowi zrobiło się słabo, musiał usiąść, pochylił głowę, na dłoń spadła mu łza. A więc Prokula go nie zawiodła mimo wszystko. Nie przygniotła winą, nie uznała za okrutnika. To tylko wymysł, jego własne wątpliwości, głos sumienia, który przemówił w ciemności.

Chrystos... Pomazaniec... Rzeczywiście, żydowski Mesjasz, ten, na którego wskazuje Izajasz, to Nazarejczyk na Gabbacie...

Prokula stanęła u jego boku. Nic ich nie rozłączy.

Trzymała go za rękę, gładziła delikatnie po policzku. Co się takiego stało podczas jej nieobecności? Choroba? Nieszczęście?

Poncjusz starał się opowiedzieć, najpierw bezładnymi urywkami, stopniowo z coraz większym sensem.

Wygnany? Zostali wygnani? Jasne, że Prokula z nim pojedzie. Chyba nie wątpi, że będą razem, na dobre i złe - na zawsze.

Powiada, że do Galii? To prawie jak w domu. Była kiedyś w Galii z ojcem. Nie ma się co przejmować, że to dożywocie. Nareszcie będą mieli prawdziwe ognisko domowe, nie jak dotąd, gdy więcej przebywali poza domem niż w nim.

Poncjusz słuchał - nie słów, raczej głosu i melodii zdań. Prokula może się często wydawać niepewna czy nieobecna duchem, lecz kiedy przemówi jej serce, staje się pełna czułości i siły. Przypomina gałązkę wierzbową. Tak samo giętka jak ona, nie łamie się pod naporem - nawet takiego nieszczęścia. Łagodnie, jak wiosenny wietrzyk pobudza soki do krążenia, tak ona dodaje chęci do życia.

Kiedy Rachela wezwała na następny posiłek, Poncjusz ruszył do stołu. Minęło jednak sporo czasu, nim doszedł do siebie. Wystarczyło, że Prokula opuściła pokój, już opadała go niepewność. Lękał się spotkań z ludźmi. Najchętniej by się nie odzywał, tylko siedział pogrążony w myślach. Nad tyloma sprawami musiał się zastanowić.

Upłynął tydzień, nim Nigrin wrócił do domu. Sam - Kaligula wysłał Prokulusa na inspekcję do Ilirii. Humor Nigrinowi nie dopisywał. Cesarz potraktował ich jak chłopców na posyłki. Podróż do Bajów, którą czuł się tak pochlebiony, okazała się od początku do końca jednym wielkim rozczarowaniem. Wprawdzie imperator życzył sobie, by swoją obecnością nadali manewrom floty odpowiednie znaczenie, niemniej gdy się z Prokulusem pojawili, nawet nie spojrzął w ich stronę. Nie tylko nie wstał na ich widok - do tego się już przyzwyczaili - lecz nie krępował się także rozmawiać ponad ich głowami, a Nigrinowi zgoła przerwał w środku powitalnej mowy.

Same ćwiczenia zaś, wokół których uczyniono tyle wrzawy, były po prostu jawną kpina. Zamiast wypróbować, jak sprawne są okręty wojenne, połączono chmurę łódek w most pontonowy od Bajów do Puteoli. Mówiło się, że ma to coś wspólnego z planowaną inwazją w Brytanii, a Kaligula przejechał po nim wystrojony jak tryumfator, demonstrując, iż zbudował pomost między partią Tyberiusza w Misenum i opozycją z Puteoli. Przy każdym przyczółku zorganizowano poczęstunek dla ludu, toteż plebs wiwatował; rozważni mężowie jednak kręcili głowami - przygotowania do wojny to nie zabawa, a nikt z odrobiną rozsądku nie zakłada z góry zwycięstwa. Wiktoria jest panią wymagającą szacunku.

To, że Nigrin czuł się odepchnięty i rozczarowany, było wszak niczym w porównaniu z sytuacją, jaką zastał w domu. Teraz pojął, czemu obaj z Prokulusem byli tak niezbędni w Bajach, i cesarzowi przypisał całą winę za nieszczęścia brata. Zaprawdę serce Kaliguli miało podwójne dno.

Pozostawało pytanie, co teraz zrobić - prosić o ułaskawienie czy też nie? Poncjusz był przeciwny, natomiast Nigrin nie miał takiej pewności i zdecydował się wezwać na naradę rody Klaudiuszy i Poncjuszy. Zamiast Prokulusa stawiał się Klaudiusz.

Nigrin zrelacjonował przebieg wydarzeń i wszyscy zgodzili się co do tego, że Poncjusz został skazany niesprawiedliwie. Klaudiusz przyznał, że przez moment łudził się nadzieją, iż zdoła podważyć wyrok na podstawie zbyt krótkiego terminu, jaki upłynął od zawiadomienia do rozprawy, lecz okazało się, że Senat stoi na pewnym gruncie. W przypadku tak długiego okresu podróży z Palestyny do Rzymu Poncjusz powinien zameldować swoją nieobecność. Gdyby żył Tyberiusz, nie byłoby o tym mowy, lecz że sytuacja się zmieniła, powinien zawiadomić Senat. Opóźnienie nie powstało z winy Senatu - wyliczono dość czasu do pierwszej rozprawy. A że Poncjusz wrócił dopiero przed ostatnim terminem, musi to zapisać na własne konto.

Klaudiusz popierał zdanie Nigrina, iż należy spróbować wpłynąć na złagodzenie kary, jednak odradzał zwykły apel. Kaligula jest nieobliczalny, więc łatwo pogorszyć sytuację, zamiast ją polepszyć. Należy wymyślić ofertę, z której cesarz odniesie korzyść, i porozmawiać z nim prywatnie, zaproponować handel wymienny. Wiedział o tym i owym, co jego zdaniem mogłoby Kaligulę skusić, niemniej przestrzegał przed zbyt dużym optymizmem. Obawiał się bowiem, że władca ulega większym naciskom

ze strony Agrypy, niż się komukolwiek zdaje.

Poncjusz z głęboką wdzięcznością przyjął udzielone mu wsparcie.

Szczególną pociechę niosła świadomość, że najbliżsi nie obciążali go winą i uważali wyrok za krzywdzący. Sam był tego zdania, ale że wydał go Senat, nie dałoby się go zmienić przed następnym cenzusem, spisem obywateli, a więc dopiero za kilkanaście lat. Tyle czasu trwałaby jego niesława, nawet jeśli Kaligula złagodziłby karę i pozwolił pozostać w mieście. Gdziekolwiek by się pojawił, tam jego tropem dotarłaby obmowa. A jakież inne zajęcie mógł znaleźć człowiek aktywny jego pokroju poza udziałem w życiu publicznym? W takich warunkach Poncjusz wolał zejść ludziom z oczu - gdy zniknie on, zniknie też wstyd, który przyniósł rodzinie.

Rzym się go wyparł... Wołą cesarza jest, by opuścił miasto. Wszelka zmiana powinna więc nastąpić z jego inicjatywy.

Nigrin uważał tego rodzaju nastawienie za niesłuszne. Dożywotnie zesłanie to zbyt poważny wyrok, błędem byłoby unosić się ambicją. Przypomniał także, iż poprzez wystosowanie oficjalnej prośby rody zyskiwały okazję do wyrażenia sympatii i solidarności ze skazanym. Poncjusz zaprotestował. Nie duma skłania go do sprzeciwu wobec wysiłków uzyskania łagodniejszej kary. Skoro nawet patres ugięli się przed dyktatem cesarza, nie biorąc pod uwagę prawa i sprawiedliwości, jemu także nie pozostaje nic innego. Zresztą nikomu chyba nie uśmiecha się życie na czyjejś łasce, a zwłaszcza na łasce człowieka, który świadomie depreczu prawdę.

W porozumieniu z żoną doszedł do wniosku, że najlepiej będzie poddać się wyrokowi, pojechać do Galii i tam rozpocząć nowe życie. Zamiast

marnować czas na bezskuteczne apele, proponuje więc, by krewni omówili problem, który go dużo bardziej zajmuje, mianowicie przyszłą pozycję Prokuli.

Już niedługo nie będzie się mógł swobodnie poruszać i straci szacunek oraz wpływy, którymi dotychczas dysponował. Nie sądzi przeto, aby był właściwym człowiekiem do obrony interesów i bezpieczeństwa żony. Ponieważ zaś Klaudiuszowi, w przypadku gdyby zabrakło Poncjusza, przypada funkcja jej naturalnego opiekuna, wnosi, by ten od razu przejął swoje obowiązki.

Wielkodusznie i z dobroci serca Prokula zgodziła się towarzyszyć Poncjuszowi na wygnaniu. On zaś ma wrażenie, iż czyni jej krzywdę, rezygnując z prośby o ułaskawienie, chociaż żona poparła jego opinię na ten temat. Chciałby zmniejszyć tę niesprawiedliwość wobec niej i maksymalnie złagodzić zerwanie z dotychczasowym życiem, dlatego dodaje jeden warunek do scedowanych na Klaudiusza praw opiekuńczych. Prosi mianowicie, by pierwszą jego czynnością w tej roli było wyzwolenie wszystkich niewolnych Prokuli, których życzy sobie obdarzyć wolnością. Prokula przysłuchiwała się do tej pory w milczeniu. Teraz policzki jej pokraśniały ze wzruszenia. Bała się drgnąć, by nie zawładnęły nią emocje. Poncjusz się zmienił, nie wiedziała dlaczego, nic jej nie mówił o powodach, ale stało się coś, do czego przez lata tęskniła.

Propozycja *datio libertatis* wywołała powszechne poruszenie, Prokula bowiem dysponowała dużym posagiem i wieloma niewolnikami. Nigrin uznał to za niesłychane marnotrawstwo. W chwili obecnej, po długotrwałym okresie pokoju pod rządami Tyberiusza, ceny rynkowe niewolnych były niebotyczne, nawet towar stary i wybrakowany

znajdował chętnych nabywców. Zamiast wyzwalać, powinno się raczej sprzedać tych niewolników... Dziwne, brat na ogół był człowiekiem rozsądnym... Nim jednak Nigrin zdołał wypowiedzieć, co mu leży na sercu, zabrał głos Klaudiusz. Zadanie powierzone przez Poncjusza niemało go wzruszyło, toteż jak zwykle zaczął się jąkać.

- Twoje zamysły są godne pochwały, Poncjuszu. Najlepiej, jak umiem, zadbam o sprawy Prokuli, a jeśli któreś z was będzie potrzebowało pomocy, szukajcie jej u mnie. Możecie na mnie zawsze liczyć. Niech twoja żona da mi listę niewolników przeznaczonych do wyzwolenia. Zajmę się tym, jak tylko zostaną załatwione formalności związane z przejęciem prawnej opieki.

Powoli zbliżała się pora wyjazdu. Dom na Awentynie został sprzedany, a wszystkie dopiero niedawno rozpakowane ruchomości złożono z powrotem w skrzynie. Zamówiono statek z Ostii do Massalii. Stamtąd podróż przez Galię Narbońską do Wienney miała się odbywać wozami zaprzężonymi w konie.

Oboje z Prokulą zgodzili się, by ograniczyć do minimum liczbę domowników, lecz Poncjusz uznał, że jest ich zbyt wielu nawet po wyzwoleniu wszystkich z listy żony, toteż obdarzył wolnością także paru swoich. Trudność polegała na znalezieniu dla nich odpowiedniego protektora. Nienawykli do samodzielności, potrzebowali kogoś, kto by się nimi teraz zajął. Poncjusz nie miał chęci obarczać Klaudiusza dodatkowymi podopiecznymi. Nie przejawiał też ochoty do angażowania Nigrina, brat bowiem - nawet jeśli nie wypowiadał zastrzeżeń bezpośrednio - wyraźnie okazywał brak poparcia dla, jak to określał, niepotrzebnej rozrzutności. Może gdyby Prokulus zdążył powrócić z Ilirii

na czas, zechciałby się podjąć funkcji ich patrona?

Musiał także pomyśleć o przyszłości Racheli. Dla niej urządzenie się w Rzymie nie przedstawiało żadnych trudności, z takimi zdolnościami w każdej chwili dostałaby posadę w którymś z wielkich domów.

Nieszczęście polegało na tym, że wbiła sobie do głowy wyjazd z nimi do Galii.

Próbował wyjaśnić, że musi się zająć sobą sama, ponieważ jego pozycja uległa nieodwracalnej zmianie. Stracił sławę i poważanie i nie może zapewnić bezpieczeństwa towarzyszącym mu osobom. Przywiązanie do domu człowieka wygnanego jest raczej obciążeniem niż jakąkolwiek gwarancją. Musi też pamiętać, że tam, gdzie im przyjdzie mieszkać, nie spotka żadnego rodaka, nie zna mowy tamtych ludów, a poczta kursuje bardzo rzadko. Na wysłanie listu do Rzymu, żeby nie wspomnieć do Palestyny, będą sobie mogli pozwolić tylko od czasu do czasu.

A Rachela się uparła. Zdaje sobie sprawę ze wszystkich trudności i nic jej nie przerazi. Ba, jeśli jej nie wezmą z sobą, wyruszy na własną rękę.

Zdumiony, zaczął się tłumaczyć. Jeśli ma osobiste powody do wyjazdu, to oczywiście sytuacja się zmienia. Odradzał jej pozostanie z nimi dlatego, że chciał oszczędzić komuś, kogo ceni, ponieważ, na którą sam się naraził. Skoro jednak Rachela życzy sobie dzielić z nimi los na obczyźnie do końca życia, to chciałby poznać jej motyw. Nie dlatego że ciekaw jest jej tajemnic, lecz wolałby postawić we wzajemnych stosunkach na otwartość. Rachela w pewnym sensie podzielała jego zdanie co do szczerości, z tym że nie wobec każdego łatwo zdobyć się na bezpośredniość. Wiele spraw - dla jednych prostych - innym wydawało się niezrozumiałymi.

Z uśmiechem zapytał tedy, czy on, Poncjusz, zrobił na niej wrażenie

ograniczonego umysłowo.

Oczywiście nie to miała na myśli... I w sumie nie chodzi o nic bardzo skomplikowanego... Tylko...

Rachela splatała i rozplatała dłonie. Nagle spojrzała nań zdecydowanie.

- To mój Rabbuni chce, żebym z wami jechała.

Poncjusz popatrzył pytająco. Jej Rabbuni? Chodzi o Nazarejczyka?

Skinęła głową. Innego Rabbuni nie miała.

Cóż, w takim razie Poncjusz musi przyznać, iż rzecz jest bardziej złożona, niż przypuszczał. Dlaczego, na Jowisza, Nazarejczyk miałby ją wysyłać do Galii, chociaż za życia chyba nawet nie wiedział, gdzie ona leży? Rachela musi wytłumaczyć, skąd jej się wziął ten pomysł.

Proszę bardzo, nic łatwiejszego. Stało się to owego nieszczęsnego dnia, gdy zastała Poncjusza po powrocie z Senatu w pokojach Prokuli. Przeleżała się wtedy. Mało, przeraziła. Wyraz jego twarzy wskazywał, że zdarzyło się coś strasznego - może zgoła dużo większe nieszczęście niż wyrok zesłania. Jak tylko udało się jej go uspić, pobiegła do synagogi po pomoc.

Rozmowa ze starszym gminy i wyekspediowanie posłańca do Prokuli dobrze jej zrobiło. W drodze powrotnej czuła jednak niepokój. Zaczęły ją trapić wyrzuty sumienia. Niech Poncjusz nie zapomina, że nigdy przedtem nie działała na własną rękę i że właśnie postąpiła wbrew jego zdecydowanemu życzeniu, by nie zawiadamiać żony. W dodatku na uliczkach panowały smoliste ciemności. Bała się, że zabłądzi. Ze strachu serce jej biło jak młotem. Więc kiedy wreszcie dotarła do domu i zamknęła za sobą drzwi, uknęła. Żeby coś się powiodło, musiała wprzódy zawsze odmówić modlitwę. Nauczyli ją tego rodzice. Modlitwa wspierała ją całe życie, nawet w niewoli uwalniała od trosk.

Tym razem było podobnie. Strach ją powoli opuszczał i po chwili mogła już oddychać swobodnie. Jak długo tak klęczała, nie sposób powiedzieć. Nagle jednak poczuła, że nie jest sama, że obok niej ktoś stoi. Chociaż w tych ciemnościach nie mogła nikogo dostrzec, wiedziała, że to musi być jej Rabbuni, bo nikt inny nie przynosił ze sobą takiego spokoju, jaki ją ogarnął. Nie odzywał się, tylko na odchodnym skinął głową i wskazał palcem w kierunku przeciwnym do Palestyny, skąd przybyła. W tamtych stronach, jak twierdzą ludzie, znajduje się Galia.

Poncjusz słuchał bez słowa, teraz jednak przerwał.

- Ależ Rachelo, jak twierdzisz, było zupełnie ciemno, nic nie widziałas, więc jak mógł wskazać ci kierunek?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. - Zmarszczyła czoło. - Wiem tylko, że tak było.

Poncjusz przyjrzał się jej uważnie. Rozsądna kobieta, sprawna, bystra, na pewno nie naiwna. I bez reszty uczciwa. Gdyby sama nie wierzyła w tę historię, nigdy by jej nie opowiedziała. Zresztą żeby skłamać, musiałyby wymyślić coś bardziej inteligentnego niż te bzdury. Przypuszczalnie usłyszała o położeniu Galii przy jakiejś innej okazji i podenerwowanej wszystko się pomieszało.

- A może raczej ty sama chcesz jechać do Galii, Rachelo? - spytał. - Jaki powód mógł mieć twój Rabbuni, by cię tam wysłać? Dlaczego go o to nie spytałaś?

- Nie zwykłam pytać, gdy dostaję polecenie - odparła. - Nie myślałam o podróży. Tego wieczora miałam głowę zaprzątniętą wyłącznie tym, żeby tobie, panie, nie stało się coś złego.

Gdyby to Prokula puściła wodze fantazji, nie powiedziałaby ani słowa, lecz

że rozsądna Rachela do tego stopnia uległa kaprysom wyobraźni, tego nie był w stanie pojąć. Jedyne wyjaśnienie mogła stanowić wciąż żywa pamięć o Nazarejczyku; może ona spowodowała, że niewiasta poczuła jego obecność nawet tu, w Rzymie?

Może miała z nim więcej wspólnego, niż mu się zdawało?

- Dobrze go znałaś, Rachelo? Czy często przebywaliście razem?

- Czy znałam Nazarejczyka? - powtórzyła. - Nikt Go naprawdę nie znał, ani najbliżsi, ani nawet matka...

Niemniej widziała go, słuchała i doświadczała jego obecności, mając udział w owym niewypowiedzianym spokoju, który ta obecność niosła, a którego nie da się opisać innym słowem niż błogostan.

Poncjusz chciał wiedzieć, jak do tego doszło. Sam często wspominał Nazarejczyka, jednak aż do dnia gdy miał go sądzić, ani razu nie słyszał jego imienia. Jak go poznała?

To długa historia. Musi się cofnąć do czasów dzieciństwa, do owego zwyczaju modlenia się, o którym dopiero co mówiła. W jej domu rodzinnym godzina modlitwy przypadała przed wschodem słońca i Rachela trzymała się tej tradycji przez całe życie. Dzięki temu na ogół pojawiała się na targu jako jedna z pierwszych.

O tak wczesnej porze zwykle przychodzili dzień w dzień ci sami klienci i po jakimś czasie wszystkie te ranne ptaszki się znały. Niektórych witała skinieniem, z innymi wdawała się w pogawędkę. Jednym z tych ciągle napotykanych podczas pobytu Poncjusza w Jerozolimie był młodzieniec robiący okazałe zakupy. Skromny i nieśmiały, nigdy się do niej nie odezwał, choć go co ranka miło witała. Pewnego dnia jednak się spóźnił i bardzo mu było spieszno, co zauważywszy, zaproponowała swoje miejsce

na przedzie kolejki kupujących. Przyjął ofertę bardziej niż chętnie i zrewanżował się wyjaśnieniem, że pracuje w gospodzie i że nad ranem niespodziewanie pojawili się goście. Zazwyczaj zapowiadali swoje przybycie, ponieważ byli tak liczni. Ale dziś wszystkich zaskoczyli. Podziękował i przyrzekł się odwdzięczyć następnym razem, kiedy jej zabraknie czasu. Nazywał się Marek. Rachela podała mu swoje imię oraz dom, do którego należy.

Dzień później przyszedł o zwykłej porze i nawiązali rozmowę. Ciekawiło go, jak się jej powodzi u Rzymian, a ona wypytywała o pracę w zajezdzie. Oboje chwalili swoich chlebodawców. Marek stwierdził, że reguły panują u nich surowe, lecz jego pan jest dobry i sprawiedliwy. Roboty miał dużo, szczególnie teraz, gdy zjechało się tylu zamiejskowych. To znany mag z rodziną i uczniami, więc pilnując swoich obowiązków, równocześnie za nic w świecie nie odmówi sobie możliwości słuchania jego nauk. Nikt nie potrafi przemawiać tak jak on.

Na jutrzejszy wieczór Mistrz zapowiedział wystąpienie otwarte dla wszystkich chętnych, mężczyzn i kobiet. Zresztą towarzyszy mu matka i wiele innych niewiast, toteż jeśli Rachela miałaby ochotę, może przyjść. Ale niech wyruszy zawczasu, bo zwykle zbiera się dużo ludzi.

Wydawało się, że obliczyła czas z zapasem, lecz gospoda leżała na drugim końcu miasta, a ona nie знаła dobrze okolic góry Syjon, więc zaczynało się zmierzchać, gdy wreszcie wśród zaułków odnalazła właściwy dom. Ludzi w środku i na zewnątrz było pełno. Najpierw chciała zawrócić, ale ujrawszy, że inni, którzy także nie dostali się do wnętrza, po prostu siadają na bruku, dołączyła do nich. Brama zajazdu stała otworem - stamtąd miał przemawiać prorok.

Budynki po drugiej stronie ulicy wydawały się wsłuchiwać w niebo. Mur opasujący gospodę połyskiwał bielą wapna. Ciszę i mrok rozświetlał jedynie blask gwiazd. Nikt się nie odzywał, wszyscy czekali. Rachela, zmęczona całodziennym wysiłkiem, przymknęła oczy. Jak dobrze odetchnąć trochę w ciemnościach.

Po chwili usłyszała ruch na podwórzu i rozmowę. Mędrzec zwracał się do chorych na noszach. Potem gwar ucichł i rozlegał się tylko jeden głos.

Łagodny strumień słów torował sobie drogę przez mrok jak życiodajna woda ze źródła o niezmierzonej głębi. Jak fala miłości i mocy.

Czymże jest nędza i niewola, gdy serce może czerpać z morza miłosierdzia? Czymże jest troska, gdy noc szumi wiecznością, a świat spowija spokój? Rachel spojrzała w gwiazdy i poczuła, jak dusza się jej otwiera i pochłania całe niebo.

Głos umilkł. Ten i ów się podniósł, lecz Rachela pozostała, przyciskając ręce do piersi, jakby chciała tam zatrzymać usłyszane słowa. Ktoś delikatnie dotknął jej ramienia, szepnął do ucha, żeby wstała, inaczej wychodzący ją rozdepczą. Poderwała się półprzytomna.

- Dokąd idziesz? - spytał ktoś inny. - Możemy cię odprowadzić.

Zmierzali w tym samym kierunku. Bruk był nierówny, panowały ciemności, szakale wyły pod murami miasta, psy im odpowiadały.

Trzymając się za ręce, chwiejnym krokiem szli naprzód. Przystanęli w świetle pochodni przed Antonią. Rachela podziękowała za pomoc.

- Pokój z tobą! - odrzekli jej towarzysze. - Jego pokój!

Z tymi słowami pożegnania weszła do twierdzy. Musiała podzielić się otrzymanym darem i opowiedzieć, że oto wie, czym jest błogość.

Pospieszyła do Prokuli, która przysłuchiwała się słowom pokoju jak

uderzeniom gołębih skrzydeł. Niemniej jej gniazdo znajdowało się wśród orłów w Antonii i nigdy nie poszła z Rachelą do gospody. Ale to ona pierwsza nazwała Mistrza swoim Rabbuni.

Za każdym razem, kiedy pojawiał się w mieście, Rachela szła słuchać jego nauk. Ludzie napływali z bliska i z daleka. Wielu z nich zostawiało wszystko - domy, rodziny, ziemię - by wędrować jego szlakiem.

Ostatnio kiedy był w Jerozolimie, nie zatrzymał się w zajęzdzie na Syjonie, lecz u przyjaciół w Betanii na stokach Góry Oliwnej. Ofiarnego baranka pragnął jednak zjeść tam, gdzie zawsze obchodził Paschę, toteż rankiem wysłał dwóch uczniów z poleceniem, by przygotowano dla niego wieczerzę w gospodzie. Zeszli nad potok Cedron w kierunku sadzawki Syloe, skąd wszyscy w mieście czerpali wodę. Marek przychodził tam, jak tylko odniósł zakupy. Wkrótce też pojawił się z dzbanem na głowie.

Uczniowie przekazali mu pozdrowienie od Mistrza i poprosili o wyszykowanie na wieczór dużej sali.

O zachodzie słońca zajazd był gotowy do świętowania. Sale wyszorowano, lampy napełniono oliwą, ustawiono ławki wymoszczone świeżo obleczonymi poduszkami. Marek nakrył stoły i położył sterty rytualnych praśnych placków przekładanych gorzkimi ziołami. Zdjął chiton i przewiązał biodra kawałkiem płótna, jak zwykle gdy nalewał wina i usługiwał przy stole.

Pascha to święto radosne i dziękczynne, lecz tego wieczora Mistrz wyglądał na stroskanego. Na pytanie uczniów, co go trapi, odparł ze smutkiem, że jeden z nich go zdradzi. Spojrzeli nań przerażeni, z niedowierzaniem przyjmując, że któryś mógłby wpaść na podobny pomysł.

- To ten, który macza ze mną rękę w misie - powiedział cicho.

Nie zrozumieli, choć przyzwyczaili się, że często używa niejasnych zwrotów. Czy miał na myśli tego, kto sięgnie do misy po kawałek mięsa? Byli głodni i tęsknym wzrokiem spoglądali w stronę stołu...

Marek podał jadło i nalał wina, po czym wyszedł spożyć świątecznego baranka razem z gospodarzem i resztą służby. W ów dzień pamięci cały lud Izraela gromadził się o tej porze wokół stołu z ofiarnym mięsem, aby podziękować Panu za przymierze i dochowanie wierności. W każdym domu zamieszkanym przez Żydów rozbrzmiewały wersety Księgi Wyjścia. Od dzieciństwa wszyscy je znali na pamięć i półgłosem towarzyszyli czytającemu wymawiając dobrze znajome i tak bliskie słowa o wyswobodzeniu z niewoli.

Marek miał pełne ręce roboty. Zaraz po skończeniu posiłku i odśpiewaniu hymnu dziękczynnego musiał wrócić do dużej sali, do gości. Oni także już skończyli. Mistrz stał przy misie z wodą. Rozwiązując chiton, skinął głową uczniowi, który nosił trzos i rozliczał się z gospodarzem.

- Czyżże prędzej, co masz uczynić, Judaszu! - powiedział.

Ten nic nie odrzekł, lecz zastosował się do życzenia Mistrza i wyszedł, przy drzwiach obmywając ręce w misie. Mistrz wytarł dłonie i powrócił do stołu, by wygłosić naukę.

Jakże często słuchali jego słów przez owe cztery lata wspólnej wędrówki! Nigdy jednak nie przemawiał do nich tak jak teraz. Jakby całą mocą swej duszy starał się im - małej, bezbronnej gromadce - wyłożyć boskie zamierzenia na ziemi. Mieli usłyszeć w jego głosie pożegnanie, pojąć bezgraniczną troskliwość i zaniepokojenie miłości. Bał się o nich. A także tego, co miało nadejść. Jakby wbrew woli wyrwał się z ich kręgu, mówiąc:

Wstańcie! Idźmy stąd!

Odśpiewali hymn i wyszli.

Marek zaczął sprzątać. Święto - i po święcie. W ponurym nastroju zmiatał okruszki i wycierał rozlane wino, przypominając sobie wyraz twarzy Mistrza i jego głos.

Prawie kończył, gdy w uchylonych drzwiach pojawił się gospodarz.

Goście już poszli? Chciał się przywitać i spytać, czy są zadowoleni z obsługi. Nie widział się jeszcze z Judaszem i nie otrzymał zapłaty, ale może wrócić później wieczorem?

Marek odstawił miotłę... Dziwne! Przecież Judasz wyszedł przed wszystkimi. Mistrz jeszcze go poganiał. Stał wtedy przy misie z wodą przy drzwiach, rozwiązał chiton i mył ręce. Judasz wychodząc także opłukał palce...

Nagle zrobiło mu się zimno. Judasz maczał ręce w misie razem z Mistrzem!

- Wiem, dokąd poszli, zaraz ich przyprowadzę. - Rzucił się do drzwi nie czekając na odpowiedź.

Myśli kłębiły mu się w głowie. Gdzie jest teraz Judasz? Dokąd się udał, skoro nie zapłacił? Co właściwie zamierzał? Miał taką ponurą minę...

Zdradzi, powiedział Mistrz... Zdradzi?! Trzeba ich dogonić i przestrzec.

Powiedzieć, że Judasz uciekł i to on maczał ręce w misie razem z Mistrzem!

Marek znał miejsce, do którego się wybierali, ogród w dolinie Cedronu, na drugim brzegu potoku. Między drzewami panował mrok większy niż na gościńcu. Musiał rękami wymacywać drogę. Zatrzymał się, nasłuchując ich głosów, i kawałek dalej rozpoznał Mistrza. Był sam i w rozpacz

wzywał Ojca.

Marek nie ruszył się z miejsca. Nikt nie poważyłby się przeszkodzić w tej godzinie modlitwy. Opadł na kolana i czekał. Nagle zauważył przy furtce blask pochodni i usłyszał zbliżające się kroki.

Mistrz podszedł do śpiących uczniów.

- Wstańcie! - rzekł, budząc ich. - Godzina wybiła.

Rzucili się do ucieczki, a Marek razem z nimi, jako ostatni. Straże świątynne przeczesywały już ogród. Odkryli go pomiędzy krzakami i próbowali złapać. Nawet chwycili za lnianą przepaskę - w pośpiechu zapomniał się przebrać. Pozwolił temu łaskowi opaść, byle tylko ujść z życiem. Nagi biegł zaułkami do gospody.

Wracali tam również w miarę upływu nocy uczniowie. Kilku towarzyszyło Mistrzowi w pewnej odległości i starczyło im na tyle odwagi, by wejść za nim na dziedziniec pałacu najwyższego kapłana. Ich Nauczyciel został skazany na śmierć i odprowadzony do Antonii. Musieli za wszelką cenę dotrzeć do rzymskiego prokuratora i złożyć zeznania - chodziło przecież o życie. Zrozpaczeni popatrywali po sobie. Nikt z nich nie znał twierdzy... Nikt poza Markiem. Powiedział, że ma tam znajomą o imieniu Rachela, która zawiaduje gospodarstwem domowym.

Znowu biegł. Poskoczył do bocznego wejścia, którego używała Rachela, i poprosił o rozmowę. Strażnik od razu po nią posłał.

- Właśnie się brałam za sortowanie bielizny - mówiła, kończąc swą opowieść - gdy mnie wezwano na dół do Marka. Kiedy spytał o mnie, natychmiast zrozumiałam, że coś się święci, bo nigdy tego przedtem nie robił. Pospieszyłam do bramy. A tam Marek blady i niewyspany jąka, że nasz Rabbuni schwytyany, skazany na śmierć i odprowadzony na Gabbatę!

Więc biegnę z powrotem na górę i wpadam do Prokuli. Równie zrozpaczona jak ja, już chce spieszyć przed sąd i na oczach plebsu wstawiać się za Nim. Zatrzymałam ją. Pomyślałam o tobie, panie. O tym, kim ona jest i co się jej godzi. Prosiłam, by raczej przesłała ci wiadomość, więc drżącą ręką napisała na tabliczce swe świadectwo. Błagała o łaskę... Kiedy poznałyśmy przebieg rozprawy, zamknęłyśmy się obie w cubiculum. Źródło życia dla nas wyschło. Nic jednak nie zatrzyma biegu wszechświata. Nadszedł wieczór i następny ranek, a trzeciego dnia musiałam wrócić do swoich zajęć. Na targu usłyszałam pierwsze plotki. Zamiast do domu, poszłam do gospody. Tam spotkałam owe dwie kobiety, które wybrały się na Golgotę i znalazły pusty grób. Gdy z nimi gawędziłam, nadbiegła trzecia, ta, która została przy pieczarze. Wymachiwała rękami, krzyczała w głos, że niesie radosną nowinę, że ma pozdrowienie od Mistrza - On żyje, widziała Go, rozmawiała, nazwał ją po imieniu i wyznaczył wszystkim spotkanie w Galilei. Odwróciłyśmy się do niej plecami i odsunęły, udając, że nie słyszymy. Któż by wierzył w coś podobnego? Żadne wątpliwości nie potrafiły jednak zaćmić jej szczęścia, żaden chłód jej nie odstraszał. Wszak wiedziała, że Mistrz żyje!

Razem z Prokulą poszłyśmy więc do grobu. Tak jak mówili, kamień leżał odwalony, ale Jego nie widziałyśmy.

Wieczorem znowu odwiedziłam gospodę. Właśnie wrócił najstarszy z uczniów, którego Mistrz nazywał Kefasem.

- To prawda, że Mistrz żyje - rzekł. - Sam z nim rozmawiałem.

I co tu myśleć?

Następnego dnia zostałam w domu. Zrobiło się już późno, kiedy

otrzymałam kolejne wezwanie od Marka czekającego w bramie. Gdy nadeszłam, był zupełnie odmieniony, kipiał radością. Powiedział, że Mistrz przyszedł do gospody, stanął w tej samej sali, gdzie spożywali baranka, rozmawiał z uczniami, błogosławił ich i przekazał im znak pokoju. Jeden z nich nie był przy tym obecny. Nie chciał uwierzyć, kiedy opowiadali o wizycie. Stwierdził, że nie chce i nie może przyznać im racji, póki nie zobaczy w boku Mistrza rany po oszczepie, a w jego dłoniach i stopach śladów gwoździ.

Tydzień później Nauczyciel ponownie pojawił się wśród nich.

- Podejdz, Tomaszu! - odezwał się łagodnie. - Chodź i przypatrz mi się!
Tomasz padł na kolana.

- Pan mój i Bóg mój - szepnął.

A potem ukrył twarz w dłoniach.

Rachela zamilkła. Poncjusz milczał także. Wspominał małą tabliczkę Prokuli... Nagle zdało mu się, że słyszy stukot otwieranych połówek i na nowo czyta słowa zapisane jej dużym pospiesznym pismem - w każdej literze drżą Rachela, Marek i grupka uczniów, a jakiś głos cicho pyta: Czy sam od siebie to mówisz czy inni ci o mnie powiedzieli?

Pan mój i Bóg mój, odpowiedział Tomasz...

Wiał zimny północny wiatr. Otuliła się szczelniej penulą, jeżeli mógł nosić to miano czworokątny kawałek sfilcowanej wełny z dziurą na głowę.

Starła się przytrzymać rogi tkaniny, trzepoczące jak skrzydła nietoperza.

Szyję i głowę owinęła szalem, a jego końcami przykryła ramiona.

Najgorzej było z nogami. Przyzwyczajona do sandałów, musiała teraz wkładać ciżmy i obwiązywać je wełnianymi sznurkami, by trzymały

ciepło. Ciżmy uwierały, a sznurki obsuwały się lub rozwiązywały i mokre, umazane w błocie ciągnęły się z tyłu ku ucieście obserwujących oraz irytacji jej samej. Poncjusz pokazał jej wprawdzie, jak się je mocuje, bo znał tę sztuczkę z wojska, lecz Racheli brakowało pod tym względem zdolności i nie potrafiła sobie poradzić.

Spływali wielką płaskodenną łodzią w dół rzeki do rzymskiego garnizonu. Raz w tygodniu Poncjusz musiał się meldować w tamtejszej wartowni i składać podpis w rejestrze. W gruncie rzeczy nic trudnego i żaden powód do utyskiwań, gdyby nie to, że za każdym razem przypominał sobie rzeczy, o których najchętniej by zapomniał...

Rachela z ochotą mu towarzyszyła, by poczynić zakupy dla domu.

Wysadził ją na lewym brzegu, gdzie rozciągało się miasto i wielki galijski targ. Nie lubiła pływać łodzią, a już ta krypa budziła w niej prawdziwe przerażenie. Przeciekała jak sito, woda lała się do środka widocznymi dziurami, toteż gdziekolwiek Rachela usiadła, zawsze przemoczyła sobie nogi.

W porze ich przybycia do Galii wszystko wyglądało zupełnie inaczej, wręcz przyjaźnie. Powietrze było kryształowo czyste, niebo lśniło błękitem. Promienie słońca igrały w jesiennych liściach - nigdzie indziej nie widziała tak kolorowych jak tu, w Wiedniu; jakby cała dolina śpiewała dziękczynny hymn.

Na pierwsze tygodnie zamieszkali w gospodzie, tymczasem Poncjusz szukał dla nich domu. Cokolwiek jednak znalazł, czy to na sprzedaż, czy do wynajęcia, okazywało się niewspółmiernie drogie. Jak tylko się bowiem ludzie zorientowali, że jest nowy i potrzebuje dachu nad głową, podbijali ceny. Stało na tym, że musiał skorzystać z oferty Klaudiusza i

wprowadzić się do jego podmiejskiej rezydencji na prawym brzegu, nieco na północ od castrum, warownego obozu rzymskiego. Dom położony był trochę na uboczu, ale za to pięknie, w zakolu rzeki, z widokiem na wyższą część doliny. Zrujnowany i zarośnięty, nadawał się jednak do użytku, gdyby tylko Poncjusz miał wystarczającą liczbę ludzi. Ale w ich niewielkiej gromadce brakowało rzemieślników i ogrodnika.

Zarządca potraktował ich nieufnie. Przez piętnaście lat nikt mu nie przeszkadzał, przyzwyczał się zatem do własnych porządków. Nie zwracał sobie głowy utrzymaniem domu, chociaż w jego raportach ta pozycja wydatków opiewała na pokaźne sumy. Poncjusz przedłożył pełnomocnictwo Klaudiusza, więc zarządca nie mógł zgłaszać żadnych zastrzeżeń wobec niespodziewanych gości, jednak okazywał, jak niemile są tutaj widziani.

Początkowo wszystko szło dobrze, dopiero gdy zrobiło się chłodniej, dokonali katastrofalnego odkrycia. Budynek przeznaczono do użytku latem, stąd też, oczywiście, zwracał się ku północy. Nie przewidziano poza tym innego ogrzewania niż misy z żarem. Ciepło uciekało każdą szparą. Z tygodnia na tydzień narastał chłód. Mgła zalegała nad rzeką, rozpełzając się na całą dolinę. Drzewa błagalnym gestem wznosiły ku poszarzałemu niebu bezlistne konary, a między kolumnami pozbawionych drzwi krużganków wył północny wiatr.

Poncjuszowi udało się wreszcie zgromadzić robotników, którzy zbili z desek osłony na wyjścia do perystylu, tak że zyskali kilka pomieszczeń, gdzie mogli się wraz ze służbą stłoczyć i ogrzać. W tej ciemnicy i stęchliźnie Prokula nabawiła się brzydkiego kaszlu.

- Musisz wyjść na świeże powietrze - zaordynował Poncjusz.

- Zmarznę! - zaproponowała.

Popłynął więc łodzią do miasta, gdzie zaopatrzył wszystkich w ciepłe ubrania. Dla Prokuli zdobył płaszcz z kapturem podbity futrem, tak jednak ciężki, że zdołała w nim dojść zaledwie do brzegu rzeki i wrócić. Poncjusz utrzymywał się w formie jeżdżąc konno. Tutejsze konie, małe, krępej budowy, lecz posłuszne i wytrzymałe, bardzo mu się podobały. Pewnego dnia otulił Prokulę futrem i posadził przed sobą w siodle. Po powrocie do domu miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Od tego czasu codziennie brał ją na przejażdżkę. Przestała kaszeleć, zmęczenie ustąpiło i od dawna już tak dobrze nie wyglądała.

Rachela bardziej się teraz martwiła o Poncjusza niż o Prokulę. Schudł, rysy twarzy mu się wyostrzyły, szczęki ścisnął z wyrazem zaciętości. Czarne włosy, przed pół rokiem lekko tylko szpakowate, prawie zupełnie posiwiały. W kontaktach z ludźmi starał się utrzymać wesoły ton, nawet rzucał niekiedy jakiś żart. Zaledwie jednak zostawał sam, poddawał się ciężkim myślom. Pamięci nie można do niczego zmusić. Nie pomagało, że ze wszystkich sił próbował zapomnieć. Obrazy napływały niezależnie od woli. W łodzi miał zwyczaj wspierać się jedną nogą o stewę, zapatrzony w wodę z miną tak ponurą jak głębia pod stępką.

Saturnalia zbliżały się wielkimi krokami. Rachela westchnęła. Jakby nie dość było codziennych zmagania, trzeba jeszcze przygotować święta. Z tymi środkami, którymi dysponuje, nie będzie to łatwe. Wprawdzie nie cierpieli biedy - mleka, sera, mięsa i dziczyzny było w bród, brakowało jednak tego, co dodaje egzystencji smaku. Na galijskim targu nie sprzedawano korzeni, wszystkie szły prosto do obozu, a tam nie miała wstępu.

Nie, stanowczo niełatwo tu prowadzić dom. Problem służby wydawał się

nie do rozwiązania. Nie żeby życzyła sobie powrotu niewolników, lecz skazanej na najemną pomoc trudno zawiadywać gospodarstwem.

Niewolnych od dzieciństwa przyuczano do przeznaczonej im funkcji.

Jeden był odźwiernym, drugi pilnował ogrzewania, inny dbał o żar pod paleniskiem - każdy miał swoje obowiązki i dany zakres

odpowiedzialności. Natomiast ci najemnicy umieli niewiele lub nic.

Leniwi, nieodpowiedzialni, gdzie mogli, tam się wykręcali od roboty, a potrafili też kłamać i kraść.

Zdawała sobie sprawę, że nie wszyscy Galowie są jednacy, że tu, jak i gdzie indziej ludzie się między sobą różnią. Jedni mieszkają w miastach, inni na wsi, jedni pędzą żywot niewolników, inni cieszą się wolnością.

Niemniej ci, z którymi się spotkała, robotnicy dniówkowi, byli brudni i niegodni zaufania, jak wszyscy włóczędzy na całym świecie. Ich ubrania, zdaniem Racheli, wołały o pomstę do nieba. Spodnie wyglądały często tak, jakby ich nie zdejmowali od chwili uszycia do zdarcia na strzępy.

Galia południowa przypominała Italię, ale w miarę jak posuwali się na północ, a widok zawężał się do doliny Rodanu, zmieniały się też obyczaje.

Domy mieszkalne i budynki gospodarcze otaczały tutaj jedno wspólne podwórze i nikomu nie przeszkadzało, że na środku królowała kupa gnoju w bagnie uryny, a dzieci i zwierzęta domowe potykały się o siebie. Nawet nieczyste świnie biegały luzem. Rachela nazywała lokatorów tych zagród poganami i barbarzyńcami.

Łódź uderzyła o pomost. Rachela miała tu wysiąść, więc niezgrabnie, na chwiejnych nogach przeskakiwała wręgi. Nikt nie kwapił się jej pomóc.

Pachołek z nosidłem i koszami, który miał dźwigać zakupy, stał już na brzegu i wyglądało na to, że setnie się bawi.

Ze wsparciem pospieszył Poncjusz. Wyciągnął rękę, a ona chwyciła ją z wdzięcznością i wygramoliła się na ląd. Rant tuniki przemókł kompletnie, z cizem strumieniem ciekła woda. Poncjusz krzyknął gniewnie do pachołka i wioślarzy, że zamiast się głupio gapić, powinni znaleźć w głowach tyle rozumu, by przyjść jej z pomocą. Jeśli nie pojmą słów, to przynajmniej nie zmyli ich ton. Rachela pracuje wszak więcej niż oni wszyscy razem wzięci. Poncjusz musi dziś uszczelnić dno, żeby nie chodziła przemoczona na targ. Potrzeba tylko pakuł i smoły.

Przepełnęli na drugi brzeg, do obozu. Pomost od wartowni dzielił zaledwie kawałeczek, lecz myśl o tym, że tę krótką drogę będzie się pokonywało określonego dnia niezmiennie przez resztę życia, ciążyła niczym kajdany. Gdy po przyjeździe mieszkali jeszcze w gospodzie, Poncjusz przywdział raz paradny strój i wybrał się do obozu, by się przedstawić komendantowi. Do dobrego obyczaju należało zameldować przybycie, a poza tym jako nowicjusz w mieście musiał w paru kwestiach zasięgnąć języka. Ani jednak komendant, ani jego zastępca, ani inni wyżsi oficerowie, o których pytał, go nie przyjęli. Oznaczało to, że został pozbawiony kontaktu z rodakami. O tym wyrok nie mówił nic. Ten nieoczekiwany dodatek stanowił jeszcze jedną kroplę goryczy w i tak już wypełnionym po brzegi pucharze.

Poncjusz nie wspomniał o tym w domu - oszczędził Prokuli niepotrzebnego wstydu.

W wartowni nic się od tego czasu nie zmieniło. Przywitał się, wpisał imię i datę do rejestru, co znakiem potwierdził dyżurny kancelista. Przy drzwiach zauważył miecz, powieszony za rękojeść zamiast za uszko w pochwie i przechodząc poprawił go - dawniej udzieliliby nagany za niechlujstwo.

Jeden ze strażników uśmiechnął się na to.

- Nie zmieniłeś się, Poncjusz - odezwał się - służyłem pod twoimi rozkazami w Windonissie, dobre dwadzieścia lat temu. Nasz oddział zaliczano do najbardziej zdyscyplinowanych na całym odcinku.

Niemożliwe... a więc spotyka tutaj dawnych znajomych! Co za niespodzianka - i do tego miła! Windonissa? To chyba było przed wielką kampanią w Germanii, wtedy otrzymał swój przydomek. Cóż, wiele się od tego czasu wydarzyło.

Tak, strażnik doskonale rozumiał, jednak skoro Poncjusz świeżo przybył z Rzymu, chciałby usłyszeć nowiny... Blisko rok temu mówiło się o przyjeździe do Galii Gemellusa, potem zmarł Tyberiusz, a później już nie wracano do sprawy. Tu, w wartowni, zastanawiali się, co porabia drugi cesarz.

Zgodnie z prawdą Poncjusz odpowiedział, że nie wie. Zbyt krótko bawił w Rzymie, ostatnie zaś lata spędził na Wschodzie. Miło spotkać kogoś, kto go zna z dawnych dni. Następnym razem muszą więcej porozmawiać o Windonissie i starych czasach.

Nie warto zaraz zdradzać zbyt wiele... Może jak pozna człowieka bliżej... Chociaż wyglądał na godnego zaufania.

Kiedy przybili do lewego brzegu, Rachelą jeszcze nie nadeszła. Poncjusz skrócił sobie oczekiwanie wypadem do miasta. Przystanął przed świątynią Augusta. Zawsze się tutaj zatrzymywał. Męczyły go wyrzuty sumienia. Zwyczaj nakazywał po przybyciu na nowe miejsce złożyć ofiarę w świątyni. Dawniej uznaliby za niewybaczalną opieszałość, gdyby nie uczcił cesarza w mieście, gdzie się znajdował ołtarz Augusta, ale jakoś ostatnio jego obowiązkowość zmalała. Jeśliby złożył ofiarę za Kaligulę, poczułby

się jak najgorszy hipokryta.

W nocy przed opuszczeniem Rzymu Nigrin namówił go na pójście do świątyni Jowisza na Kapitolu. Przyzwoitość wymagała złożenia przed wyjazdem z miasta pożegnalnej ofiary, a Poncjusz nie chciał sprzeciwić się bratu w ostatnich wspólnie spędzanych chwilach. Nigrin wzruszył się, ciągle wycierał załzawione oczy. Natomiast Poncjusz czuł tylko obojętność. Światło kaganków, złoty poblask i tony fletu po prostu go odpychały, sprawiał przykrość zapach kadzidła i krwi. Jak mogło dojść do takiej oschłości? W pierwszej chwili obarczył za to winą Izydę, lecz potem doszedł do wniosku, że przyczyna być może znajdowała się w nim samym. Najzwyczajniej nie chciał pogodzić się z prawdą, że bogowie są przekupni.

Nieważne zresztą. I tak nie będzie ich sobą zajmował. Tylu Rzymian mieszka w okolicy, że August z powodzeniem obejdzie się bez jego wsparcia.

Odszedł już kawałek, gdy nagle wpadł mu do głowy pomysł. Zamiast złożyć ofiarę Kaliguli, może przecież uczcić Gemellusa, tego, o którym była mowa w wartowni. W końcu to taki sam cesarz jak Kaligula.

Jak pomyślał, tak zrobił. Zawrócił do bocznego wejścia, żeby przekazać służbie świątynnej zamówienie - od dziś za tydzień biały byk w ofierze dla cesarza.

Sługa odparł jednak, że białe byki zostały zużyte po zwycięstwie nad Galami.

W takim razie Poncjusz zadowoli się innym kolorem, ale zwierzę musi być bez skazy - dla Gemellusa Cezara.

Sługa otworzył usta ze zdumienia - dla Gemellusa?

Tak. Cóż w tym dziwnego? Dla Gemellusa, młodszego z cesarzy.

Potrząsał głową jeszcze na schodach - najwyraźniej po raz pierwszy się zdarzyło, że ktoś tutaj zechciał uhonorować Gemellusa ofiarą. A przecież miał do tego takie samo prawo jak Kaligula. Tym bardziej że był naturalnym dziedzicem Tyberiusza.

Poncjusz roześmiał się w duchu sam z siebie. Myślał, że tylko jego jednego prześladowają, a tu proszę! Nawet cesarzowi dzieje się krzywda.

Rzucił żebrakom kilka miedziaków. Oblegali świątynne schody podobnie jak w innych miastach. Tylko że ci tutaj, tak samo głodni jak gdzie indziej, lecz posiniali z zimna, budzili w nim większą litość. Było chłodno i wietrznie. Miał na sobie o wiele cieplejsze szaty niż ci biedacy. Ich dotknęła niesprawiedliwość na całe życie. Przyszli na świat w nędzy lub kalectwie. Jego los wydawał się dużo lepszy, prawdę mówiąc, mimo wszystko miał za co dziękować.

Kiedy wrócił na brzeg, Rachela jeszcze się nie pojawiła, natomiast kucharczyk przywłókł kosze pełne zakupów i dostarczył wiadomość, że spotkała znajomego i prosi o przysłanie łodzi za kilka godzin.

Niepodobne to do niej. Przypuszczalnie raczej odkryła jakieś smakołyki, które chce podać na saturnalia. A więc naprawę krypy trzeba odłożyć. W zamian Poncjusz może się wybrać na przejażdżkę z Prokulą. Zastanawiali się teraz nad kupnem posiadłości i rozglądali za czymś odpowiednim.

Te konne wycieczki stanowiły najlepsze chwile dnia. Ona także się nimi cieszyła. Poncjusz poznawał to po głosie i sposobie, w jaki mościła się w siodle, przytulając do jego ramienia.

Tym razem zwierzyła mu się, że chce nauczyć kilku Galów czytać i pisać, ale zachodzi obawa, iż przyjdzie jej się zmagać z oporną materią. Poncjusz

odradzał zajmowanie tym służących.

- Daj im raczej parę lekcji czynności - mówił. - Myślę przy tym o Racheli i jej rozlicznych obowiązkach. Rozważam nawet, czy nie kupić znowu paru niewolników, żeby mieć w domu kogoś, na kim można polegać, zamiast użerać się z tymi leniuchami, co to czmychają, ledwie sobie coś przyswoją.

- Nie, nie! - przerwała mu. - Nie rób tego. Musisz się zdobyć na cierpliwość, dać im czas. Kiedy się rozejdzie, że ludzie są u nas dobrze traktowani, sami z siebie przyjdą z pomocą.

Poncjusz nie odpowiedział. Zebrał cugle i chwycił konia krótko przy pysku, a że ten zaczął drobić w miejscu nieprzyjemnie krótkim krokiem, klepnął go mocno po zadzie.

To bardzo szlachetna zasada - czynić innym dobro, jednakże w jaki sposób ma zadbać o ich przyszłość, pozbawiony sprawnej służby? Gdyby komendant przyjął go normalnym trybem, mógłby pożyczyć wyćwiczoną drużynę z obozu. Zdawanie się na wędrownych obiboków nie może trwać wiecznie.

Żaden problem naśladować Nazarejczyka, gdy ktoś nie bierze pod uwagę praktycznych stron życia. On nie miał domu ani rodziny, lecz kto to posiada, musi chyba przede wszystkim troszczyć się o swoje i swoich? Zaprawdę niczego tak nie pragnie, jak spełniać marzenia Prokuli, także w części dotyczącej Nazarejczyka, ale człowiek odpowiedzialny nie powinien dla zachcianki przekraczać granic zdrowego rozsądku.

Weźmy na przykład wydatki. Nieraz już próbował tłumaczyć, że skoro nie mają dochodów i żyją z majątku, muszą przynajmniej na razie zachować umiar. Nie mogą zapraszać każdego z ulicy i żywić wszystkich

potrzebujących. Nie ma bowiem dnia, żeby nie widział w kuchni obcych. Doprawdy dość ma trosk w związku z tymi, którzy już znaleźli się pod jego opieką, by jeszcze zajmować się nie znanymi głodomorami.

Owszem, doskonale rozumiała - widział po spojrzeniu i postawie, że z całego serca chce mu być posłuszną, zamiast jednak spełniać wolę męża, splatała dłonie i oznajmiała, że o nią nie musi się martwić.

Odnosił wrażenie, że stoją na przeciwległych brzegach przepaści. On chciał przeciągnąć ją na swoją stronę, gdzie grunt był solidny i sprawdzony - tymczasem ona wabiła na swoją, gdzie jego zdaniem ugiął się pod stopami. Żadne nie myślało się poddać i chociaż rzadko rozmawiali o Nazarejczyku, zdawało się, że tworzy między nimi barierę milczenia. Wprawdzie Prokula potrafiła ją przekroczyć ni stąd, ni zowąd, mieszając go do rozmowy, ale Poncjusz za każdym razem robił unik. Proroctwo Izajasza i wszystko, co zajmowało jego myśli, pragnął utrzymać z dala od innych - nawet od żony. Z tą sprawą musiał uporać się sam. Kiedyś mu się to zapewne uda, do tego czasu jednak będzie żył dniem dzisiejszym i dawał z siebie tyle, na ile go stać. Gdy już korzystnie zakupią posiadłość i zostanie im dość na utrzymanie, będą do woli uprawiać dobroczynność i miłosierdzie. Na razie trzeba zachować wstrzeźliwość.

Wjeżdżając w drodze powrotnej w wiodącą do domu aleję, zobaczyli na schodach Rachełę, która już z daleka machała do nich ręką i wykrzykiwała, żeby zgadli, kogo spotkała w mieście. Kogoś znajomego, kto właśnie przybył...

Spojrzeli na nią z napięciem.

- Ktoś z domu?

- Nie, nie z Rzymu... z Palestyny...

- Z Cezarei czy z Jerozolimy?

- Ani stąd, ani stąd.

Rachela aż kipiała chęcią zdradzenia nowiny, lecz postanowiła jeszcze chwilę wytrzymać.

- Mówże wreszcie! - ponagliła ją Prokula.

Któż by inny, jak nie Herod Antypas, książę Galilei_Perei we własnej osobie! Spojrzała na nich tryumfująco.

Antypas w Wiennie? Czy to aby prawda?

Oczywiście, że tak! Po co by im miała kłamać? Na początku zresztą sama nie wierzyła własnym uszom. Płaciła właśnie za zakupy na targu, gdy obok wybuchła kłótnia. Jakiś człowiek nie znający tutejszej mowy sprzeczał się z przekupką, sądząc, że go oszukała. Rachela zauważyła, że nie jest Rzymianinem, i spytała po grecku, czy nie potrzebuje pomocy. Ucieszył się bardzo. Przybył z Palestyny i w tej zapadłej Galii nikt go nie rozumie.

Nastawiła uszu. Z Palestyny? Czy czasem nie z Galilei? Wydawało jej się, że rozpoznaje akcent. Obcy spojrzał na nią ze zdziwieniem. Pochodził z Tyberiady, należał do gwardii przybocznej księcia. Przyjechali do Wiedni dwa dni temu.

Książę jest w mieście? Odwiedziła go kiedyś razem ze swoim panem, Poncjuszem Piłatem, rzymskim prokuratorem Judei_Samarii.

Faktycznie, pamiętał tę wizytę. I cóż tu robi? Czy jej pan także jest w mieście? W takim razie powiadomi księcia, tylko musi wiedzieć, gdzie się prokurator zatrzymał.

Skończyło się na tym, że obeznana w okolicy Rachela pojechała z nim, by

zobaczyć, gdzie mieszka tetrarcha. Ogromny pałac leżał dobry kawałek za miastem. Na dziedzińcu obrazek jak z Palestyny - wielkie ognisko otaczały grupki gwardzistów, obok osiodłane konie pod długimi czerwonymi czaprakami... Można się u rodaków dowiedzieć o nowiny. Poncjusz rzucił wodze stajennemu i zdjął Prokulę z siodła. Gdy minęło zdumienie, pojawiły się wątpliwości. Co Antypas porabia w Galii? Czy i jemu coś się przydarzyło, tak że ostatnia nadzieja na rehabilitację za sprawą tetrarchy rozviała się jak dym?

Zdecydował, że od razu pojedzie z wizytą. Rachela miała wskazać drogę. Pochwalił ją za bystrość, z jaką wywiedziała się o miejsce pobytu księcia. Dojarze mówiła, że to dość daleko... dzieliła ich rzeka.

Dziwnie się czuł, ponownie widząc żydowskie straże i słysząc, jak na jego pojawienie w bramie nad dziedzińcem przetacza się rozkaz "Baczność!" Zabrzmiało w jego uszach niczym najpiękniejsza muzyka. Już tak dawno nikt mu nie okazywał należnego szacunku.

W pałacu było wilgotno i zimno jak w lochu. Główna sala mierzyła dobre czterdzieści kroków długości, a pod sufitem zmieściłby się pokaźny maszt. Połączony tron na podwyższeniu w głębi otaczały misy z żarem. Siedział na nim ktoś opatulony w szale i derki.

Tetrarcha poskoczył na powitanie Poncjusza, ciągnąc za sobą tren długiego płaszcza. Chwycił go w ramiona, klepał po plecach, z radości wykrzykiwał coś bez związku, nazwał przyjacielem i starym druhem... A więc jednak się spotkali! Zawsze twierdził, że im razem po drodze. Wszystko ma swój sens. Musi opowiedzieć o tym Herodiadzie. Choruje biedaczka, nie znosi zimna.

Herodiada jest tu także? Poncjusz poprosił o nowiny. Nie słyszał nic o

Palestynie, odkąd ją opuścił.

Cóż, jedno jest pewne, wiele się od tego czasu wydarzyło... Wprawdzie Antypas przeczuwał zbliżające się nieszczęście, ale w najśmielszych fantazjach nie wyobrażał sobie takich przemian... Któż mógł przed rokiem przewidzieć, że wtrącony do więzienia Agrypa zostanie królem...

Wiadomość o jego królewskiej koronie nadeszła razem z informacją o śmierci Tyberiusza. Początkowo sądził, że to tylko plotka. Wkrótce jednak przekonał się na własnej skórze. Agrypa nie tracił czasu - ile sił w żaglach przypędził objąć w posiadanie swe królestwo.

Gdziekolwiek się pokazał, czczono go jak wyzwoliciela. A on, wierny swoim zwyczajom, puszył się, rozdawał na prawo i lewo podarki i obietnice.

Dla zjednania sobie kapłanów i zyskania przychylności Jerozolimy natychmiast zaczął prześladować zwolenników Nazarejczyka.

Niektórzy z nich poszukali schronienia w kontrolowanych przez Rzymian miastach na wybrzeżu, inni udali się do dziedziny Antypasa, a jeszcze inni uciekli do Egiptu i Syrii. Agrypa jednak zawarł wkrótce ze swym przyjacielem, legatem w Antiochii, umowę o ekstradycji uchodźców i wyznawcy ukrzyżowanego znaleźli się w takiej biedzie, że wielu z nich pociągnęło w głąb Azji.

Tetrarcha w owym czasie zachowywał się biernie. Otoczony ze wszystkich stron wrogami, nie odważył się poprzeć żadnej z racji. Siedział cicho i czekał na pierwszy ruch Agrypy, czy to na polu dyplomatycznym, czy militarnym.

Bezczynność dawała mu się porządnie we znaki, ale napięcia nie zniosła w końcu Herodiada. Obawiała się, że tracą czas. Jej zdaniem powinni jak najszybciej wyjechać do Rzymu i skontaktować się z Kaligulą. Twierdziła,

że zna go przynajmniej tak dobrze jak brat. Skoro zaś on mógł zostać królem, to i Antypasowi należy się korona. Jak mąż tak ambitny może pogodzić się z podrzędną wobec Agrypy rolą? Czy zamierza się spokojnie przyglądać, jak jego dzieci będą służyć temu nędznikowi, spadkobiercy Filipa, za pachółków?

Czyżby stracił już odwagę i przebojowość z czasów młodości? Czy zapomniał, że kiedyś potrafił się sprzeciwić tak ludziom, jak i Bogu?

Nie, tego właśnie nie zapomniał i z tego powodu teraz zwleka...

Ale Herodiada się nie poddała. Niewieściami sztuczkami dolewała oliwy do ognia, powtarzała wciąż tę samą śpiewkę. Aż złamała opór stroskanego Antypasa. Dla świętego spokoju pojechał do Cezarei z nadzieją zawiązania sojuszu z tamtejszym nowym prokuratorem. Ów jednak przyznał otwarcie, że nie jest zainteresowany ofertą. W sytuacji gdy jego stanowisko miało tak chwiejne podstawy, wolał trzymać się Agrypy.

W drodze powrotnej zdecydował, że posłucha rady żony. Jego położenie stawało się na dłuższą metę nie do wytrzymania, toteż wszystko jedno, czy zwrócić się o pomoc do Kaliguli teraz czy później. Na jeden statek załadował dzikie zwierzęta, na drugi wyszukane wierzchowce i gwardię, a na trzeci wsiadł sam z Herodiadą i dworem, żeby nikt nie powiedział, iż przybywa do Rzymu jak pierwszy lepszy żebrak. Z dowodami przeciwko Agrypie z czasów buntu w Samarii nigdy się nie rozstawał. Dzień i noc spoczywały na jego piersi.

W Rzymie przyjęto ich po królewsku. Na uroczystej uczcie Kaligula osobiście poprowadził Herodiadę do stołu. Wiedli ożywioną rozmowę - najwyraźniej rzeczywiście przyjaźnili się w dzieciństwie. Po posiłku cesarz zaprosił Antypasa na rozmowę w cztery oczy, co nieźle rokowało.

Władca przyznał, że Herodiada wprowadziła go w ich problemy i że sam miał wiele zastrzeżeń, stawiając z takim zaufaniem na Agrypę. Niemniej z powodu opóźnienia powrotu Poncjusza Piłata nie dowiedział się w porę o wydarzeniach w Samarii, gdy zaś poprosił o dowody, okazało się, że posiada je tetrarcha. Ma wszakże nadzieję, że pobyt Antypasa w stolicy umożliwi mu zapoznanie się z zeznaniami, by mógł powziąć ostateczną decyzję co do przyszłego statusu Palestyny.

Nie zwlekając, Antypas wyciągnął tedy z zanadru dokumenty. Kaligula obiecał, że następnego dnia będzie je mógł odebrać. Nazajutrz jednakowoż pełen otuchy Antypas nie został przyjęty przez cesarza. Oddany pakunek zaś różnił się od tego, który wręczył. Zamiast zeznań świadków przeciwko Agrypie otrzymał dokument wystawiony w formie testamentu: Antypas, były tetrarcha Galilei_Perei, przejmuje niniejszym spadkiem po swoim bracie, Archelausie, dawniejszym księciu Judei_Samarii. Do decyzji o objęciu dziedzictwa po zmarłym w Galii dołączono klauzulę nakazującą mu osiedlenie się w posiadłości testatora w Wiennie ze skutkiem natychmiastowym. W myśl pisma musiał jechać prosto do Galii, natomiast jego małżonka, jeśli zechce, może wrócić do Palestyny, gdzie jej brat, król Agrypa, zapewni jej dobre przyjęcie i stosowne do stanu utrzymanie. Z oczu Herodiady strzeliły błyskawice.

- Nie znają mnie jeszcze, jeśli myślą, że jestem na sprzedaż! - krzyknęła blada ze złości. - Oczywiście, że pogardziłam Filipem, ale ciebie, Antypasie, nigdy nie zawiodę. Jestem twoja na śmierć i życie. Postąpiłeś wedle mojej rady i to ja ponoszę winę za twoje nieszczęścia!

Tak więc wyjechali...

W Massalii Antypas sprzedał dzikie zwierzęta i statki. Przedstawień

cyrkowych już nie będzie urządał. Nie potrzebowali też środków transportu na powrót do domu.

Poncjusz wciągnął głęboko powietrze. Zdrada, zdrada i jeszcze raz zdrada... czegokolwiek tknie Kaligula. Nie rozumie tylko, jak człowiek inteligentny i do tego dobrze poinformowany mógł dokonać tak złego wyboru, przedkładając nad tetrarchę takiego awanturnika.

Antypas odparł, że cesarz nie miał innego wyboru. Musiał tańczyć, jak mu Agrypa zagra, bo po śmierci Tyberiusza znajdował się w jego mocy.

Poncjusz oczywiście wie, jak zmarł Tyberiusz?

Zapytany zmarszczył brwi. Na ten temat panuje jednoznaczna opinia - apopleksja. Cały oddział gwardii poświadczy zaślabnięcie władcy.

Antypas pokręcił głową. Od uderzenia krwi do mózgu nie zawsze się umiera. Cesarz był krzepki. Może tylko uległ chwilowemu wzruszeniu, a może nawet nie to. Wiele osób po prostu uważa, iż zerwał sobie ścięgno.

Trafiło go podczas rzutu oszczepem, a że był mańkudem, trudno ustalić przyczynę bólu - bark czy serce. Gdyby rzeczywiście chodziło o atak apopleksji, chyba nie ruszyłyby tego samego dnia do Misenum, a następnego nie zasiadł do wieczerzy. A czy ktoś wspomniał o paraliżu?

Nie, Tyberiusz został całkiem zwyczajnie zamordowany. Pomysłodawca znalazł się w osobie Kaliguli, a truciznę dostarczył Agrypa.

Poncjusz nie znosił rozpowszechniania domysłów. Nikt przecież nie zabija człowieka naznaczonego stygmatem rychłej śmierci. Nawet jeśli to tylko atak serca w następstwie silnego wzruszenia, wystarczy jako znak ostrzegawczy. Dlaczego ktoś miałby się decydować na takie ryzyko wobec człowieka, któremu zgodnie z prawami natury nie zostało wiele czasu?

Tyberiusz przekroczył wszak dziewięćdziesiątkę... Czemu Kaligula,

prawomocny przecież następca cesarza, tak się spieszył do godności władcy, co - zważywszy wszystkie okoliczności - i tak by go niedługo nie ominęło?

Antypas zwrócił uwagę, że Poncjusz zapomniał o Gemellusie, ulubieńcu Tyberiusza, który skończył już dziewiętnaście lat. W wieku dwudziestu mógłby zostać konsulem, a wtedy cesarz zaproponowałby dla niego godność imperatora i przekazał dowództwo nad armią. W ten sposób nie tylko zabezpieczyłby wnuka, lecz także oddałby mu realną władzę w państwie - własną...

Nikt chyba nie uwierzy, że Kaligula z dobrej woli zgodziłby się odgrywać drugorzędną rolę. W każdym razie Tyberiusz w to nie wierzył. Znał go lepiej niż inni i dlatego w obecności godnych zaufania świadków przestrzegł, by się nie ważył tknąć Gemellusa, bo będzie to początkiem jego własnego upadku.

Kawa na ławę. Nie rada czy ostrzeżenie, lecz po prostu otwarta groźba, i to taka, która trafiła w cel. Po tej salwie Kaligula musiał się pożegnać z wszelkimi planami usunięcia drugiego cezara. W zamian za to wpadł na nowy pomysł... A może tak samego Tyberiusza?

Gdyby umarł, zanim Gemellus osiągnie dwudziesty rok życia, berło imperatora przypadłoby temu z cesarów, który osiągnął już pełnoletność i sprawował urząd konsula, a więc Kaliguli. A ten, zyskawszy władzę nad armią, będzie potrafił ją utrzymać.

Wprawdzie zabójstwo to rzecz ryzykowna - ludzie stali się podejrzliwi po serii śmiertelnych wypadków, które z upływem lat dotykały cesarski ród, niemniej Tyberiusz był na tyle wiekowy, że jego odejście przypisano by naturze i złożono na karb starości. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni środek

o natychmiastowym działaniu, nie wywołujący wymiotów ani bóli, jakiś mało znany gatunek ziela, najlepiej coś egzotycznego. Innymi słowy - Kaligula musiał zdobyć zaufanego pomocnika, który dostarczyłby truciznę do Rzymu.

Do tego nadawał się świetnie przyjaciel z dzieciństwa, Agrypa.

Inteligentny, gładki jak piskorz, pozbawiony skrupułów, w dodatku przebywał na Wschodzie. No i potrzebował pieniędzy, dużo pieniędzy. Po nieudanym powstaniu w Samarii znalazł się w pułapce i ukrywał u przyjaciela, legata Syrii. Był otwarty na każdą propozycję dającą okazję do zarobku. Nie miał nic do stracenia i wszystko do zyskania... Ze wszech miar idealny kandydat do tej funkcji.

Oferta Kaliguli spadła Agrypie jak manna z nieba. Bez zwłoki pierwszym statkiem popłynął do Egiptu, gdzie zmija oplata koronę faraonów, a kapitele świątynnych kolumn zdobią głowy węży. Nim jednak dokonał zakupu prezentu dla Kaliguli, załatwił sobie wstęp do wielkich domów bankierskich w Aleksandrii i poprzez transakcje finansowe zdołał odwrócić uwagę od właściwego celu swej podróży. Dlatego też nikt nie wiedział o małej buteleczce, którą uwoził ze sobą do Rzymu.

Co innego wszakże posiadać zabójczą truciznę, a co innego ją zastosować. Kaligula miał wszelkie powody do niepewności, zważywszy na niedawny los swoich dwóch braci. Poza tym stary cesarz umiał się bronić. Ponad czterdzieści lat nastawano na jego życie. W ochronie przed zamachami usunął się przecież na Kaprę, gdzie w jego pobliżu przebywali tylko nieliczni wybrańcy.

Mijał tydzień za tygodniem, a nie nadarzyła się okazja, by zrobić użytek z drogocennych kropli, noszonych na wszelki wypadek pod ręką, jako

amulet na piersi. Czas uciekał, dwudzieste urodziny Gemellusa zbliżały się wielkimi krokami, a tu nic. W dodatku Tyberiusz dowiedział się o bałaganie w finansach Agrypy i wtrącił go do więzienia. Od tego momentu gra nagle zaczęła się toczyć nie tyle o władzę i godność imperatora, ile o życie Kaliguli. Jeśli nie uda mu się wydostać przyjaciela z lochu przed procesem, Agrypa z zemsty wszystko wypale. Ta myśl sprawiała, że młody cesarz widywał koszmary w biały dzień.

Podczas turnieju w rocznicę śmierci Juliusza Cezara Tyberiusz zabił dzika, lecz gdy rzucał oszczepem, zmienił się na twarzy i chwycił za serce. Obecni przy tym, przekonani o ataku apopleksji i przerażeni, posłali po cesarów.

Radośnie podniecony Kaligula prostą drogą zmierzał do Misenum. Koniec jego niedoli! Fortuna wreszcie się doń uśmiechnęła. Staruch zmarł naturalną śmiercią, i do tego na czas. Teraz zawartość amuletu zachowa dla Gemellusa. Rozkaz uwolnienia Agrypy z pęt już został wydany.

Dotarł do celu wieczorną porą. Kogóż jednak ujrzał przez kolumnadę oddzielającą perystyl od atrium, jak nie Tyberiusza we własnej osobie z pucharem wina przed kolacją, otoczonego przyjaciółmi?

Gwałtownie, jakby go ukąsił skorpion, cofnął się za kolumnę, rozejrzał badawczo wokół i dostrzegł otwarte drzwi do triclinium. Pustego. Szybko zdjął amulet.

Niedługo potem wyszedł do oczekującego na dziedzińcu orszaku i pchnął do więzienia nowy rozkaz, aby Agrypę jeszcze trochę potrzymano w celi. Ponownie wszedł do pałacu i tym razem skierował się z wesołym pozdrowieniem na ustach prosto do perystylu. Udano się na ucztę.

Co do dalszego przebiegu wydarzeń wszyscy są zgodni. Tyberiusz nagle

zbladł. Jeden z obecnych chwycił go za rękę - miał nieprawdopodobnie słaby puls. Dobrej nocy życzył zebrany wsparty na liktorze. Dopiero w cubiculum osunął się nieprzytomny na ziemię. Gemellus nie zdążył do łoża konającego. Imperatorem został Kaligula.

Agrypa żył w więzieniu o chlebie i wodzie. Dni ciągnęły się w nieskończoność, a on obmyślał zemstę. Zapłaci mu ten tchórz! Zostawić współnika na pastwę losu! Ma przecież, nędznik, truciznę. Boi się tylko uderzyć.

Po pierwszej nowinie o ataku Tyberiusza zarządca więzienia nie śmiał wykonać rozkazu Kaliguli, bo brakowało na nim podpisu prefekta gwardii, lecz dozorca wypuścili więźnia z celi i uczęstowali winem. Skończyło się prawdziwym pijaństwem, więc gdy nadeszło następne polecenie, by go z powrotem zamknąć, ledwo trafili do lochu. W momencie pojawienia się trzeciego kuriera z rozkazem odstawienia Agrypy do Misenum, trzeba go było budzić siłą.

Tam czekał na niego testament Filipa, pisemnie potwierdzony przez władcę państwa, Kaligulę Cezara, oraz złoty łańcuch o wadze dorównującej kajdanom, które nosił w lochu.

Wymęczony pijaństwem nowy tetrarcha wyglądał strasznie. Podsiniąle, opuchłe oczy, smugi brudu i szczecina niegolonej brody na twarzy...

Purpurowy płaszcz, który miał na sobie w chwili aresztowania, po nocnej hulance poplamiony od góry do dołu, wydzieliał nieświeżą woń... Mimo to imperator przycisnął go do piersi, włożył na szyję kosztowny dar i ucałował w oba policzki.

Zamiast jednak dziękować, Agrypa potoczył dookoła zuchwałym wzrokiem i stwierdził, że wycierpiawszy tyle poniżeń, potrzebuje

królewskiej korony, żeby móc znowu chodzić z podniesioną głową. Kaligula się zachnął. Jak to korony? W umowie nie było królewskiego tytułu. Lecz Agrypa wbił weń zimne, beczelne spojrzenie - i pierwszą czynnością Kaliguli jako cesarza stało się ustąpienie żądaniom szantażysty. Legendę o szczęśliwym losie Agrypy podawano sobie z ust do ust w całym cesarstwie. Wrzało jednak od pytań. Skąd ta niespodziewana łaska wobec obcego, gdy inni, kiedyś mocno zasłużeni mężowie w dalszym ciągu zapelniali więzienia? Skąd specjalne traktowanie cudzoziemca? Zaroilo się od dziwnych plotek i gdy rozmowa schodziła na ten temat, zniżano głos. Podejrzenia szerzyły się jak pożar. Tymczasem bystry Agrypa rozpalil ogień zaporowy informacją, że słyszał, jakoby Kaligula gołymi rękami udusił umierającego. Samo w sobie niedorzeczne, ale motloch jest motloch, a żądza sensacji nie cofnie się przed żadną pożywką, nawet przed zabijaniem kogoś, kto już znajduje się w szponach śmierci. W stosunku do współnika użył innego sposobu. Perswadował, że sprawa zrobiła się poważna, że rozlicznym plotkarzom trzeba wreszcie zamknąć usta. Jakie plany ma na przykład wobec takiego Poncjusza Piłata po jego powrocie? Niebezpieczny z niego ptaszek, obeznany ze Wschodem... Za czym on tak długo węszy po drodze do Rzymu? Należy mu zwiazać język, zanim go rozpuści, ale nie zwykłą metodą. Śmierć mogłaby zwrócić uwagę. Gdyby go jednak usunąć z drogi za pomocą prawa, stałby się nieszkodliwy. Okrucieństwo to zarzut trudny do odparcia, a o buncie w Samarii mało kto wie. Gdyby Witeliusz, człowiek w końcu szanowany, zgodził się wnieść oskarżenie i doprowadzić do rozprawy przed Senatem, nikt by nie połączył upadku prokuratora z nagłym uśmiechem Fortuny do Agrypy.

Przygotowawszy pułapkę w najdrobniejszych szczegółach, pozwolił Kaliguli wykonać resztę, pożegnał się z druhem i współpiskowcem, po czym opuścił Rzym żegnany z należnymi królowi honorami.

- A wtedy przyszła kolej na mnie - roześmiał się gorzko Antypas. - Sam włożyłem głowę pod topór. O twoim losie dowiedziałem się za późno, gdy już byłem w Rzymie. Wersja, która wówczas krążyła, niewiele miała wspólnego z prawdą. Mianowicie za właściwym oskarżeniem przeciwko tobie krył się rzekomo nie Witeliusz ani tym bardziej Kaligula czy Agrypa, lecz Tyberiusz. To on miał cię wezwać do Rzymu, by pociągnąć do odpowiedzialności za nadużycie władzy. A to, że tak długo zwlekałeś z powrotem, tłumaczono sobie lękiem przed karą. Rozprawa i wygnanie miały jedynie świadczyć o tym, iż Kaligula lojalnie wykonuje zadania rozpoczęte przez poprzednika, a że okres twojej służby przypadł na czas przed objęciem przezeń władzy, przekazał sprawę Senatowi.

Poncjusz zbladł. Tak więc odarto go z resztek honoru. Kaliguli udało się unurzać w błocie nawet jego stosunki z Tyberiuszem.

Antypas położył mu rękę na ramieniu.

- Ani ty, ani ja nie wyjedziemy stąd żywi - rzekł z powagą. - Przegraliśmy i zostanie po nas taka opinia, jaką nam wystawią wrogowie. Nikt jednak nie powie, że Herod Antypas z tego powodu spuścił z tonu.

Tetrarcha nie należał do osób, które łatwo złamać. Prawdziwą pociechą było dzielić los z takim człowiekiem. Ostatnie wieści z Rzymu i Palestyny przepęłniły kielich goryczy. W przypadku likwidacji rzymskiego zwierzchnictwa nad Judeą lata spędzone na Wschodzie będą miały wartość straconego czasu. Nie ulegało wątpliwości, że cel Agrypy stanowiło zjednoczenie pod swoim berłem całego kraju. Wiele już w tym względzie

osiągnął. Królował na terenach Antypasa i Filipa, a poza tym w najlepsze podkopywał rzymski autorytet w Jerozolimie. Nieobeznany ze stosunkami wśród Żydów nowy prokurator zdjął ze stanowiska Kajfasza, a jego następcą pozostawał na żołdzie palestyńskiego władcy. Zniknął symbol współpracy Żydów z Rzymianami - zgasł kaganek przy kamiennej skrzyni z rytualnymi szatami, za którego wieczny płomień ponosił osobistą odpowiedzialność komendant twierdzy. Suknie arcykapłana przekazano do świątyni i tym samym odpadły wspólne ceremonie przy każdych uroczystościach. Wkrótce ze związków łączących Jerozolimę z Rzymem nie pozostanie wiele więcej ponad lojalność króla Agrypy - człowieka, któremu to pojęcie było obce.

Ponure perspektywy rozwoju sytuacji politycznej w Palestynie ciążyły Poncjuszowi. Starał się odsuwać od siebie te troski - wykluczony wyrokiem sądu z życia publicznego, nie musiał już czuć się odpowiedzialny za sprawy państwa. Któż jednak zdoła przekreślić to, co przez lata nadawało sens jego egzystencji?

Czy nie dość, że jednym ciosem pozbawiono go przyszłości? Teraz jeszcze rujnuje się jego przeszłość. Najgorsze, że podano w wątpliwość dobre stosunki z Tyberiuszem. Czy nikt już nie pamięta, iż w okresie afery Sejana najwierniejsi sojusznicy cesarza znajdowali się na Wschodzie, natomiast reszta administracji niemal się rozpadła? W tamtych wilczych czasach, kiedy wymieniono większość wyższych urzędników, prokurator w Cezarei przesiedział na swoim stołku nieporuszony jak skała pełne dziesięć lat. Komu droga jest prawda, ten przyzna, że dziesięć lat służby w zamorskich prowincjach stanowiło dopuszczalne maksimum.

Przyszły mu nagle na pamięć słowa Heroda Antypasa: dotknięty zemstą

Pana... Tyle że on sam nie miał już pana - jego pan rozsypał się w proch... Zapiekły żal wgrzył się w duszę. Co z tego, że zima minęła, a mrozy odeszły na północ? Poncjusz odgrodził się od ciepła i światła. Wokół kiełkowało nowe życie, lecz w jego sercu piętrzyły się zwały starego lodu. Prokula lękała się o niego. Dostrzegła nieobecny wzrok i głębokie bruzdy wokół ust. Nie potrafił się jednak otworzyć, jakby dźwigał bolesne brzemie i nie chciał nikogo dopuścić w pobliże.

Jedyną ulgę znajdował w pracy. Gdy wyciskał z siebie siódme poty, małał ciężar myśli. Wprawdzie wracał niejednokrotnie ze zdwojoną siłą, niemniej wysiłek zapewniał choć na krótką chwilę spokój. Poncjusz zajęcia miał dość. Odkupił dobra od Klaudiusza i teraz należało tę ruinę postawić na nogi. Zaorać pola, prześwietlić stare krzaki winorośli, posadzić nowe, urządzić po swojemu dom, a ogród wypielić i posprzątać. Krzątał się od rana do wieczora, ustalał i dyrygował, czasem ni stąd, ni zowąd sięgał po kielnię czy łopate.

Powoli posiadłość nabierała znowu znamion dobrobytu. Ściany obielono, żywopłoty przycięto, ścieżki wysypano żwirem aż po brzeg rzeki.

Poncjusz założył pod całym domem ogrzewanie, wymienił popękane rury i wyprostował kamienny stół oraz ławy w perystylu. Łodzie naprawiono już dawno - teraz przyszła kolej na pomost. Uwiązane pod prąd krypy szarpały się na cumach niczym Poncjuszowe myśli.

Właśnie szkicował niewielkie molo, które zamierzał zbudować, gdy nadeszła Rachelą z kilkoma wioślarzami, by go powiadomić, że się wybiera do pałacu tetrarchy, gdzie ma grono przyjaciół. Znalazła tam nawet kilka osób, które znały Nazarejczyka. Cieszy się na to spotkanie, bo jutro szabat.

Jutro? Cóż, niech no pomyśli - tak, rzeczywiście, szabat... Przypomniał sobie ten moment, gdy Prokula zasłała w Egipcie - nazajutrz także przypadał szabat. Jutro muszę iść do synagogi, powiedziała, jak tylko odzyskała przytomność.

Patrzył w ślad za łodzią z Rachelą, kiedy nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł. A gdyby tak w następny szabat popłynęli z Prokulą do Lugdunum? Poza tą jedną wizytą w Egipcie nie nadarzyła się więcej okazja do odwiedzenia synagogi - przyszły nieszczęścia, a potem wyjazd. Tutaj mieli znowu szansę. Wiedział od tetrarchy, że w Lugdunum jest synagoga. Że też nie pomyślał o tym wcześniej! Rachela z pewnością by im towarzyszyła, o wioślarzy łatwo, łódź zaś po naprawie jest tak wygodna, że podróż na pewno Prokuli nie zmęczy. Ba, gdyby miała ochotę, mogliby wybierać się tam co szabat. Jeśli zaś nadal chce przejść na judaizm - proszę bardzo. Nie muszą się już oglądać na nikogo, nareszcie są wolni i mogą robić, co im się żywnie podoba.

Tak się przejął tym projektem, że wsadził szkic do kieszeni i pospieszył do Prokuli. Znalazł ją w ogrodzie. Na widok wpadającego jak wichur męża otworzyła szeroko oczy. Powiada: przejść na judaizm? Skąd mu to, na wszystkie świętości, przyszło do głowy? I w jaki sposób to uczynić, skoro tu nie ma gminy?

Przekonywał z zapałem, że mogą popłynąć do Lugdunum, to niedaleko, a tam jest i synagoga, i gmina.

Oczywiście, Prokula chętnie się wybierze do synagogi - po prostu zbyt nagle spadła na nią ta propozycja. Zwłaszcza przejście na wyznanie Mojżeszowe. Ten pomysł mąż powinien sobie jednak wybić z głowy. Zmiana konfesji to sprawa poważna, wymagająca gruntownego

przygotowania. Oczyszczenie i przyjęcie do gminy trwa długo.

Poncjusz nie dał się zbić z pantafelku. W razie trudności z ciągłymi wyprawami do Lugdunum mogliby wybudować synagogę tutaj... Owszem, czemu nie?! Nie ma co robić takiej przerażonej miny. Połączą siły z Herodem Antypasem. Jego ludzie, plus Prokula, plus Rachelą z pewnością wystarczą do założenia gminy.

Przerwała mu zastrzeżeniem, że jeśli wlicza ją, to powinien także uwzględnić siebie.

Tu jednak nie chciał ustąpić. Wszystko to planuje wyłącznie z myślą o niej. Prokula przecież doskonale wie, że on w żadnym wypadku nie zamierza zostać żydem.

Oczywiście, że wie, tylko sądziła, iż zmienił zdanie, skoro nagle poczuł się w obowiązku zbudować synagogę. Jeśli bowiem on nie przejdzie na judaizm, ona także tego nie uczyni.

Ogarnęło go raptowne rozczarowanie. Czyżby straciła wiarę? Ona? Tak żywo zawsze zainteresowana tym, co się wiązało z Prawem Mojżeszowym?

Prokula potrząsnęła z oburzeniem głową. Jej przekonania są równie silne jak dawniej, a może nawet jeszcze się umocniły. Niemniej w kwestii wiary, podobnie jak w innych, chce stać u boku tego, z którym dzieli wszystko - na dobre i złe.

Poncjusz się zachnął. Pomysł z synagogą urósł nagle do sprawy życia lub śmierci... Takiej ofiary ze strony Prokuli nie może i nie chce przyjąć.

- Czy ty mnie szantażujesz, Prokulo? - spytał żartobliwie, żeby zamaskować poruszenie.

Dowcip chybił. Usta jej zaczęły drżeć, ręce splotła tak mocno, aż pobieleły

kostki.

- Tak, Poncjuszu - wyszeptała z pochyloną głową, by nie dostrzegł łez. - Z całej siły staram się wyrzucić na ciebie nacisk... Kuszę cię, zmuszam, dzień i noc błagam w modlitwach o pomoc, byś przestąpił ten próg. W głębi serca przecież wierzysz. Bariere stanowi rozsądek, dlatego nie chcesz się przyznać. Czemu zamykasz na to oczy i nie słuchasz serca? Rozejrzyj się! Zobacz wszystkich cierpiących na duszy i ciele! Patrz, ukochany, a ujrzysz Jego cierpienie, Jego barki uginające się pod brzemieniem grzechu, bóleści i udręki... W Jego wzroku dostrzeżesz katusze całego ludzkiego rodu. Jego spojrzenie towarzyszy nam na każdym kroku i zmusza do miłości... wiecznej, niezgłębionej miłości mojego Rabbuni.

Poncjusz zwrócił oczy na Prokulę, jej chude ramiona i wąskie barki. Istotnie, dostrzegł - Jego, który dawał słabym moc, chorym uzdrowienie, niepocieszonym nadzieję... Króla cierpiących w cierniowej koronie... Pochwycił mękę w Jego wzroku i blask umiłowania przebijający przez ból, gdy z otchłani zła ciśnięto weń całą nienawiść. Ujrzał władcę królestwa miłosierdzia. Ujrzał oto tego człowieka...

Bez słowa siadł obok Prokuli na ławce i zapatrzył się w ziemię.

- Nie chciałem o tym mówić - odezwał się wreszcie - ale skoro masz zamiar dzielić ze mną więcej niż życie, musisz to wiedzieć.

Znasz mnie dobrze, zawsze trzymałem się rzeczy konkretnych, uchwytnych, jak ty to nazywasz, spraw tego świata - cesarza, Rzymu, państwa. Kiedy mnie zawiodły, przybliżyło się nieuchwytnie. Jak się zastanowię, to rzeczywiście widzę więcej niż dawniej, nie tylko promienie słońca i zielone pola, fale rzeki czy tę dolinę. Za twoimi plecami

przeczuwam Wszechmoc, Tego, który nas natchnął duchem i życiem. Niebo i ziemia, to co w nas i wokół nas, co było i co będzie, jest jednością, częścią tego samego dzieła stworzenia. Żydzi mają rację, wiem to już od dawna. Ich Panem jest Wszechstworzyciel.

Ale... Czy to nie dziwne, że wyzwolony niewolnik często nie chce opuścić pana? Nauczyłem się słuchać poleceń Rzymu, Prokulo. Jestem Rzymianinem, każdym nerwem ciała i całą duszą. Z tego, iż zostałem zdradzony, nie wynika, że mogę i chcę zdradzić sam. Czy nie rozumiesz, miła, że nigdy nie stanę się żydem?

Pozwól mi zbudować synagogę, pozwól mi towarzyszyć sobie w szabat - i pozwól mi zostać, kim jestem. Nie zmuszaj mnie - jeśli mnie kochasz...

Tylko tyle mi jeszcze pozostało - być Rzymianinem.

Na trawniku pomiędzy nimi leżał ubiegłoroczny liść. Zeschły, pomarszczony, zachował wciąż resztki koloru. W nagłym podmuchu zawirował i uleciał w dal.

- Nieważne, Żyd czy Rzymianin - odparła Prokula cicho. - Istotne, żeby się narodzić na nowo. Nikt cię nie zmusza, Poncjuszu. Wiatr pędzi, dokąd chce. Pojedźmy więc razem do Lugdunum.

Następnym razem przy spotkaniu z tetrarchą wspomniał o planach budowy synagogi. Antypas z miejsca wykazał zainteresowanie i obiecał przyłożyć do tego ręki, ale jak wyznał, nie posiada na swoim dworze rzemieślników ani architekta. Wyjeżdżając z Palestyny przygotował się na gościnę w Rzymie, toteż z wyposażeniem synagogi będą kłopoty. Któż mógł przypuszczać, że wyląduje w tak pogańskim kraju jak Galia? Tu, w Wiennie, czytanie Pisma w szabat polegało na recytowaniu tego, co kto umiał na pamięć.

Poncjusz na wszystko miał radę. Architektem może zostać sam. W armii nauczył się miernictwa i dokonywania obliczeń, a szkicować zawsze potrafił. Antypas zaś, skoro został dobrze przyjęty w obozie, mógłby tam wynająć robotników. Pisma ma Prokula. Musiałby tylko poddać je oczyszczeniu w Lugdunum i znaleźć przewodniczącego gminy.

Nic go nie było w stanie powstrzymać. Jakby dlań nadeszła spóźniona wiosna, puściły lody i tamy - plany go dosłownie opętały. Nie pracował już, żeby odsunąć dokuczliwe myśli, lecz ponieważ czuł, że ma do spełnienia prawdziwe zadanie. A skoro ruszyły roboty budowlane, można było jednocześnie założyć ogrzewanie u Antypasa. Gwarantowane, że tej zimy nikt nie będzie marzył.

Ustalili, iż synagoga stanie na gruntach tetrarchy, więc Poncjusz rzadko teraz bywał w domu. Z czasem weszło w zwyczaj, że w dni obowiązkowego meldunku w wartowni Antypas odbierał przyjaciela przy Południowej Bramie, wracając z położonego tuż obok cyrku, gdzie trenował swoje wierzchowce. Obu im pasowało takie rozwiązanie. Po inspekcji robót ruszali czasem na polowanie i Poncjusz pojawiał się w domu dopiero wieczorem. W lasach roiło się od zwierzyny, psy mieli dobre, a tereny cieszyły się sławą nawet poza granicami Galii ze względu na wyjątkową rasę dzików o długich ryjach. Tetrarcha pożyczał mu na te wypadki konia, twierdząc, że nie znosi widoku owych krótkonogich galijskich szkap pociągowych, na które nie siadłby żaden szanujący się mąż. Obiecał też, że pod koniec prac budowlanych pozwoli przyjacielowi kupić konia ze swej stadniny. Oferta stanowiła dowód niezwyklej łaskawości, ponieważ stajnia Antypasa miała bardzo wysokie notowania w całej dolinie Rodanu, a on sam zarabiał na wyścigach masę pieniędzy.

Za przyczyną polowań Poncjusz nie obawiał się już tak dni, gdy musiał się meldować w wartowni. Polubiono go tam nawet i kiedy stawał w drzwiach, rozbrzmiewały wesołe okrzyki powitania. W jakiś sposób żołnierze dowiedzieli się o ofierze za Gemellusa. Czy świątynny sługa o tym wspomniał, czy ktoś z obozu odwiedził przybytek w dniu ofiary, dość że przykład okazał się zaraźliwy i coraz więcej osób czciło współcesarza. Niedługo liczba ofiar dorównała hołdom dla Kaliguli. Zdarzyło się, że kilku oficerów podeszło do Poncjusza na ulicy z pozdrowieniem i zaproszeniem do gospody.

W dniu zakupu konia wygnaniec przywdział paradny strój. Włożył najdelikatniejszą togę i najbardziej ozdobne buty. Za pas zatknął mieszek z pieniędzmi. Suma była niebłaha, choć Antypas nazwał ją ceną dla przyjaciela - sto sesterców. Inna sprawa, że proponowano mu dwa razy tyle, więc w pewnym sensie nie rzucał słów na wiatr.

Ponieważ mżyło, na wierzch zarzucił paludamentum - dla zachowania stylu - jeszcze z epoki prokuratorowskiej. Z wartowni przeto nie wypuszczono go, póki nie zdradził przyczyny takiej elegancji. Naturalnie skończyło się długą pogawędką o koniach, tak że na śmierć zapomniał o upływie czasu i do Południowej Bramy prawie biegł. Na domiar złego musiał jeszcze załatwić coś w galijskiej części miasta, co niemało przyczyniło się do opóźnienia. Normalnie za każdą bytnością na tym brzegu miał zwyczaj wstępować do świątyni Augusta, by cisnąć parę miedziaków żebrakom, dziś jednak zapomniał drobnych, odliczając denary. Nie starczyło mu nawet czasu, aby się zatrzymać, więc kiedy z konieczności tamtędy przechodził, odwrócił głowę w przeciwną stronę. Wiedział, że go śledzą wzrokiem. Wydawało mu się, że widzi ich

zawiedzione miny i opuszczające się puste garście. Nieświadomie zwolnił nieco kroku. Może wrócić i powiedzieć im prawdę, że nie wziął dziś pieniędzy, ale obiecuje dać więcej następnym razem?

Nie, nie ma na to czasu... To przecież tylko żebracy. Już późno, nie może kazać czekać księciu.

Spieszył się, więc ruszył środkiem drogi. Panował tam mniejszy ruch niż po bokach, lecz w miarę jak zbliżał się do murów, zaroilo się od pojazdów, toteż musiał ustąpić na pobocze. Rozglądał się żywo za tetrarchą, a przy bramie stanął obok poidel i kół do uwiązywania bydła, gdzie na pewno nie przeoczyłby przejeżdżającego Antypasa.

Oczekiwanie skracał sobie obserwacją. Tu zawsze tworzyła się kolejka.

Długi rząd pustych wozów opuszczał miasto, a załadowane ustawiały się do wjazdu.

Dalej mżyło. Otulił się szczelniej paludamentum i pomacał, czy za pazuchą jest mieszek. Irytowało go, że zapomniał o jałmużnie. To grzech i wstyd sprawić zawód takim nieszczęśnikom. Wystarczy już, że od rana do wieczora leżą na schodach, żeby uzebrać choć skórkę chleba, a tu jeszcze on wystawia ich do wiatru. Pogoda paskudna, wilgotno, zanosilo się na całodniowy deszcz. Nie, stanowczo powinien im być coś dać. Mając aż sto sesterców w kieszeni... A przynajmniej pocieszyć dobrym słowem.

Gdzież się podziewa ten tetrarcha? Jeśli zaraz nie nadejdzie, trzeba będzie pójść do cyrku i spytać, czy tam dzisiaj zaglądał.

Gdy rozważał, co ma robić, nastąpiła przerwa w ruchu i z rozgardiaszu na wprost niego wyłonił się mężczyzna z kijem nabitym gwoździemi, które za każdym krokiem stukały głośno w bruk. Wolną rękę wyciągnął przed siebie, jakby w obronie przed zderzeniem. Był ślepy. Ludzie się przed nim

rozstępowali, a jakaś kobieta ujęła go nawet za łokieć i przeprowadziła przez ulicę. Odeszła jednak zbyt wcześnie, zanim wstąpił na chodnik. Zdawało się, że ślepiec zaraz wpadnie na poidła. Poncjusz poskoczył z pomocą. Niewidomy podziękował, a na pytanie, dokąd zmierza, odparł, iż kierował się do rzeki, ale w hałasie czynionym przez wozy stracił rozeznanie. Rzymianin wyjaśnił, że stoją przed Południową Bramą na głównej ulicy.

- Pójdiesz tędy prosto - rzekł, idąc z nim kilka kroków. - Potem przy brzegu chodnika skrócisz w pierwszą poprzeczną w lewo i zejdziesz prosto na nabrzeże. Mogę cię zresztą zaprowadzić - dodał - to blisko.

Ślepiec położył mu rękę na ramieniu. Długą, wąską dłoń o prostych, delikatnych palcach, nienawykłą do ciężkiej pracy. Ostrożnie pomacał togę swego przewodnika, a potem gładził miękką wełnianą materię z widoczną przyjemnością.

- Chcę kupić leszczynę - tłumaczył. - Dzisiaj przyplęnęła tratwą...

Wyplatam krzesła... Ale oni ciągle podnoszą cenę, bo wiedzą, że muszę u nich kupować, żeby mieć z czego żyć. Gdybym miał ze sto sesterców, sprawiłbym sobie leszczynowy zagajnik i byłbym zabezpieczony do końca życia.

Poncjusz zadrzał. Skąd ten człowiek wie, ile on ma w kieszeni? Na wszelki wypadek sprawdził, czy trzosik wciąż znajduje się na miejscu.

- Mając sto sesterców, mógłbym nawet wynająć sobie ludzi, którzy by za mnie patrzyli - dodał ślepy. - Nieczęsto potrzebuję pomocy, ale czasami się to zdarza.

Czy on mówi sam do siebie czy prosi o wsparcie? Jeśli to drugie chyba nie ma wszystkich klepek. Nikt normalny nie żebrze o sto sesterców. Dla

przeciętnych ludzi to majątek, równowartość trzech niewolników albo jednego z najlepszych koni w Galii.

Żeby zmienić temat, Poncjusz zapytał, gdzie niewidomy mieszka, ale ten jakby nie słyszał.

- Tak, mając sto sesterców, byłbym uratowany - powtórzył po raz trzeci. Poncjusz milczał. Cóż miał na to odrzec? Chyba nikt nie podarowałby za nic swoich stu sesterców? Na garść miedziaków mógł sobie od czasu do czasu pozwolić, ale nie na takie sumy. Czy to jego wina, że ci nędzni kupcy od leszczyny próbowali oszukać biednego ślepcą? Co poradzi, że ten człowiek nie widzi i musi przebijać się przez wieczne ciemności? Dotarli do przecznicy i stanęli. Niewidomy puścił rąbek togi, wetknął kij pod pachę i rozłożył wzniesione dłonie, jakby chciał wymacać w powietrzu twarz swojego przewodnika. Ten gest przypominał coś... coś, czego Poncjusz nie potrafił wygrzebać z pamięci. W tym momencie ślepiec odwrócił głowę w jego stronę, jakby próbował go dojrzeć, ale nieruchome oczy wbiły się tylko w powietrze tuż obok.

- Wiem już, gdzie jestem, dalej trafię sam - rzekł. - Jeszcze wyjrzy słońce - dodał nieoczekiwanie zupełnie innym głosem.

Poncjusz wpatrywał się w wyciągniętą rękę, którą biedak chciał mu dziękować. Za co? Za to, czego nie dostał? Dziękować jemu, dzisiaj takiemu bogaczowi, że nie stać go było na miedziaka, choć w pasie czuł ciężar wypchanego trzosa? Sięgnął do kieszeni, gdzie pęczniał mieszek, tak pełny, że z trudem go dostał. Musiał porządnie szarpnąć i równocześnie mocno trzymać, żeby się nie otworzył.

- Proszę... - powiedział szybko.

Włożył woreczek w dłoń niewidomego i zacisnął jego palce. A potem

odwrócił się gwałtownie i pospieszył ku Południowej Bramie.

Po kilku krokach jednak zwolnił. Czyżby się obawiał, że zmieni zdanie, skoro tak pędzi? A może ucieka przed podziękowaniami? Zaprawdę, lepiej sprawdzić, czy ten człowiek wie, co trzyma w ręku. Musi zobaczyć jego minę, zaskoczoną czy może rozradowaną? Zawrócił, lecz w miejscu, gdzie go zostawił, ślepcy już nie było. Nigdzie na ulicy także go nie dostrzegł. Podszedł do rogu, gdzie obaj chwilę stali, ale w bocznej uliczce oprócz grupki bawiących się dzieci nie zauważył nikogo z kijem. Jak to się, na Jowisza, mogło stać? Przecież się nie rozwiął w powietrzu ani nie zapadł pod ziemię? Wszak niewidomy nie pobiegnie, a nawet gdyby zdołał, to nie zniknie z oczu w tak krótkim czasie...

Może on także się bał - tego, że mąż w miękkiej todze się rozmyśli i odbierze mu pieniądze? Wpadł w pierwsze napotkane podwórko i siedzi teraz w ciemnym kącie, drżąc ze strachu?

Co za szaleństwo! Czysty, klasyczny obłęd! Wyrzucił w błoto sto sesterców! Już po koniu - ani dzisiaj, ani w przewidywalnej przyszłości. Z pieniędzmi po wykupieniu posiadłości i tylu remontach było krucho.

Udział w kosztach budowy synagogi także nie wyniósł mało. Minie sporo czasu, nim się uzbiera nadprogramowe sto sesterców.

A co powie księciu? Gdyby wyznał, co zrobił, Antypas stwierdziłby, że jego przyjaciel upadł na głowę. Ba, gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział, wyśmiano by go jak miasto długie i szerokie. Dać się wywieść w pole pierwszemu lepszemu żebrakowi, pozwolić się oskubać z takiego majątku! Ktoś z olejem w głowie nigdy by na coś podobnego nie wpadł! Tyle że ten człowiek nie widział... Ślepe oczy nie kłamały. Brodził w ciemnościach. To się dało słyszeć po drobnych, niepewnych krokach. A

nad wargą miał siniaka, jakby go ktoś uderzył albo jakby się natknął na przeszkodę i upadł.

Teraz przypuszczalnie kuli się gdzieś w kącie i palcami maca każdą monetę, sprawdzając, czy jest na niej ten sam napis. Próbuje dźwięku - pozbawieni wzroku zazwyczaj mają dobry słuch. Upewniwszy się, że pieniądze nie są fałszywe, zacznie je pewnie liczyć mruczając cicho, pożądliwie... a przy ostatnim krążku dojdzie do stu i wieczne ciemności rozjaśni mu promień poczucia bezpieczeństwa.

Nie ma co, głupota nie głupota - najwyżej się będą z niego śmieli.

Ważniejsze, że ten człowiek ma za co żyć, niż żeby ktoś w pełni dysponujący wszystkimi zmysłami sprawił sobie nowego konia. Skoro do tej pory starczały mu galijskie szkapy... Poza tym i tak nie znajdzie takiego rumaka jak Ksantypa, nawet w stajniach tetrarchy.

Zbliżał się już do poidła. Żeby tylko Antypas nie znudził się czekaniem i nie odjechał. Ale nie, proszę, proszę, tym razem szczęście Poncjuszowi dopisało. Oto nadciągał książę we własnej osobie. Z daleka błyszczał jego purpurowy płaszcz. W ozdobnym rydwanie górował nad sznurem wozów i palił zuchwale z nabijanego złotem biczem. Ludzie oglądali się za nim z ciekawością.

Poncjusz wskoczył zręcznie pomiędzy wozy i wspiał się od tyłu na rydwan. Antypas skinął mu głową, nie odrywając wzroku od koni. Akurat wyprzedzał kolejny zaprzęg i koła dzieliła odległość niespełna dłoni.

Książę lubił dreszczyk emocji, a chciał też pokazać, że woźnicą jest nie od parady.

Budowa synagogi postępowała według planu, więc dyrektywy na następny tydzień zostały wnet ustalone. Antypas chciał Poncjusza poprowadzić do

stajni, żeby sobie zgodnie z umową wybrał konia, ale ten wykręcił się, że nie wziął pieniędzy i musi zaczekać do następnego razu. Jak zwykle wizyta zakończyła się polowaniem.

Każdy ruszał z psami w swoją stronę, a na szczycie wzgórza pod starym wykrzywionym przez wichry dębem mieli punkt zbiórki. Poncjusz pojawił się tam pierwszy. Nie szczęściło mu się dzisiaj w łowach, nie mógł się skoncentrować na zwierzynie. Psy się zbiesiły i koniec z gonem. Niewiele się tym przejął i pojechał pod dąb.

Zeskoczył z siodła, uwiązał konia w krzakach i czekał na Antypasa.

Deszcz przestał padać, zaczynało się przejaśniać. Ślepiec chyba miał rację, że jeszcze wyjrzy słońce. Ziemia jednak była wilgotna, więc Poncjusz zwinął płaszcz i usiadł na nim pod drzewem. Ledwo oparł się o pień, przyszła mu na myśl owa noc w czasie podróży do Palestyny, gdy siedział na zwoju lin i nagle zauważył w mroku Prokulę. Tej nocy ją pokochał. Po raz pierwszy zajrzał jej w duszę. Na co dzień duszami się nie zajmował, nie miał na to czasu wśród otaczających go intryg, pomiatany ze wszystkich stron. Ale w środku czekała cierpliwie dusza - cicha, przemilczana... Każdy człowiek, jak te żołądźce na dębie, posiada własne jądro, zarodek nieznanego życia. Dusze mają wszyscy, ślepi i widzący, zdrowi i chorzy. Czy jednak myślał kiedykolwiek o potrzebach duszy, rzucając pod świątynią drobne monety? Czy pamiętał o duszy ślepeca, gdy stali na brzegu chodnika? Może ten człowiek potrzebował bardziej opieki niż pieniędzy? Może wyciągając rękę tęsknił do dobroci? A on, zamiast powiedzieć przyjazne słowo, uciekł jak od zapowietrzonego. Uląkł się pary nieruchomych źrenic czy też uciekał od samego siebie?

W oddali stopniowo narastało ujadanie psów i nagle na polanę przy dębie

wytruchtał dzik. Potężny odyniec bez lęku szedł prosto na Poncjusza. W odległości paru stóp zatrzymał się i zaczął buchtować za żołądziami. Gdy przełykał, stroszył szczerć na kłębie i rozglądał się bacznie małymi, bystrymi ślepiami. Pożółkłe szable pociemniały u nasady, a wokół nozdrzy nagromadziła się zeskorupiała ziemia.

Nagle zwietrzył człowieka. Przestał się posilać i spojrzął mu w oczy.

Poncjusz zastygł w bezruchu. Zauważył go? Nie zacharkotał gniewnie, tylko lekko pochrząkiwał i mądrze, wszystkowiedząco patrzył. A potem spokojnie zeżarł jeszcze trochę żołądzi i równie statecznym truchtem, jak się pojawił, zniknął w gęstwinie po drugiej stronie polany.

Jazgot brzmiał już tak blisko, że dzwoniło w uszach. Sfory jak burza wpadły na przecinkę. Poncjusz zerwał się i cisnął oszczep drzewcem między psy. Odskoczyły z piskiem i zanim się pozbierały, już ich pan zdeptał trop dzika. Wołał je kolejno i wiązał na nowo rzemieniem w pary, choć rozgrzane i zgonione bronily się zaciekle.

Właśnie kończył przywiązywać ostatniego, gdy w pełnym galopie przypędził Antypas, wiwatując z daleka i wołając, że goni odyńca, starego chytrusa. Musiał gdzieś tędy sadzić... Wtem dostrzegł psy na lince i Poncjusza nie w siodle. Ściągnął wodze, aż koń przysiadł na zadzie. Co to ma znaczyć? Psy zgubiły trop? Dopiero co głośiły! Cóż, pewnie temu staremu oszustowi udało się wcześniej ujść w chaszczę. Ale co to...

Czyżby Poncjusz wybierał się do domu? Już? Na pewno zdążą przed kolacją jeszcze raz zapolować. Do tego zrobiło się wreszcie ładnie. Kto by pomyślał - po dzisiejszym ranku...

Faktycznie, kto - poza ślepcem. Poncjusz przyprowadził konia i przeprosił Antypasa za zawód. Przypomniało mu się coś, co musi natychmiast

załatwić w dobrach. Zapoleją już raczej innego dnia.

Tetrarcha wyglądał na zawiedzionego. Samemu nie chciało mu się kontynuować łowów.

W domu odźwierny doniósł, że zaraz po wyjeździe pytał o niego zarządzający Klaudiusza. Na wieść, że pan wróci dopiero wieczorem, uparł się, że zaczeka. Siedzi w perystylu.

Poncjusz się zirytował. Nie miał teraz ochoty na żadne rozmowy. Wrócił, żeby mieć spokój. Musi się zastanowić, wytłumaczyć sobie, dlaczego pozbawił Antypasa przynależnej mu zdobyczy. Co sprawiło, że popsuł polowanie, żeby ratować starego, podstępnego dzika oszusta...? Dopiero ponieważ uświadomił sobie, na jakie niebezpieczeństwo się naraził, pozostając pod dębem w odległości kilku kroków od odyńca.

Coś złego się z nim dzieje. Ucieka przed wyciągniętą dłonią, ale zachowuje spokój wobec pary zakrzywionych kłów. Coś z nim stanowczo nie tak.

W gorszej chwili zarządca nie mógł się chyba pojawić. Nie miał zresztą już nic wspólnego z owym wiecznie skrzywionym i zbuntowanym człowiekiem. Po wykupieniu majątku wyprowadził się do którejś z innych posiadłości Klaudiusza i więcej nie pokazał. Tylko Prokula spotkała go kiedyś w mieście i zaprosiła do domu. Chciała się poradzić w paru sprawach jako obeznanego w przedmiocie. Najwyraźniej cenił sobie rolę doradcy, bo kiedy go zachęciła do częstszych wizyt, skwapliwie korzystał z każdej okazji. Poncjusz jednak nie darzył go zaufaniem, choć twierdziła, że się zmienił. Ale jego żona zawsze się doszukiwała w ludziach najlepszych cech...

Cóż, skoro czeka już tyle godzin, musi go wysłuchać.

Zarządzający przeprosił za kłopot. W ciągu tygodnia ma wysłać Klaudiuszowi do Rzymu dokumenty dotyczące sprzedaży dóbr, a przeglądając je po raz ostatni, dopatrzył się błędu. Nic istotnego zresztą, niemniej należy to naprawić.

Poncjusz stał się czujny. Kto oszukiwał Klaudiusza, może również nabrać jego. Roszczenia po definitywnym zawarciu umowy brzmiały mało wiarygodnie, toteż odparł chłodno, że niezależnie od wielkości sumy, zjawia się w ostatniej chwili.

- Lepiej późno niż wcale - odpowiedział na to człowiek Klaudiusza. - Pomyłka nastąpiła mianowicie na twoją, panie, nie zaś na moją niekorzyść.

Wyciągnął z zanadrza papirus i wskazał palcem.

- Jak zapewne pamiętasz, zrezygnowałeś, panie, z czterech niewolników do łodzi. Prawda? A tutaj, przez jakieś nieporozumienie, zostali umieszczeni w wykazie. Tak więc zapłaciłeś, panie, za dużo.

Poncjusz spojrział w dokument. Co racja, to racja.

- Dwóch z nich było starych - ciągnął zarządzający. - Kosztowali po dwadzieścia. Ale pozostałych dwóch spełniało wszystkie warunki i ich cena wyniosła po trzydzieści... Co daje razem równo sto sesterców.

Odliczył pieniądze i położył je na stole.

- Nie masz, panie, zastrzeżeń? - dodał widząc, że Poncjusz milczy.

- Nie, nie... absolutnie, w żadnym wypadku. Zmęczyłem się na polowaniu i nie liczę tak szybko jak ty. Tyle ostatnio miałem pracy. - Poncjusz przeciągnął ręką po czole. - Mówiłeś, sto sesterców? Równa liczba, setka, łatwo porachować. - Opanował się. - Pieniądzy nigdy za wiele, będą jak znalazł. Proszę, tu jest pokwitowanie... i dziękuję. Bardzo szanuję

uczciwość.

Zarządca wyszedł z zadowoloną miną, a Poncjusz zebrał monety i położył je na stole w tablinum. Wpatrywał się w nie bez ruchu. Sto sesterców.

Dokładnie sto... Innymi słowy, otrzymał z powrotem pieniądze, które podarował. Trzydzieści i trzydzieści to sześćdziesiąt, dwadzieścia dodać dwadzieścia daje czterdzieści. Razem sto. Każde dziecko to policzy.

Upuścił kilka monet na podłogę - nie były fałszywe.

Zabawny zbieg okoliczności... Koń... leszczyna... omyłka w rachunku.

Trzy różne wydarzenia splecione ze sobą za sprawą tej samej sumy...

Albo Klaudiuszowy zarządca rzeczywiście się zmienił i naprawiał własne oszustwo, albo w istocie zwrócił uwagę na błąd, który oboje pominęli. Coś takiego mogło się oczywiście zdarzyć - dzisiaj czy innego dnia. A więc nie ma się czemu dziwić. Po prostu przypadek i tyle...

Pieniądze są jego.

Mieszek oddał, ale ma jeszcze stary. Teraz się przyda. Zebrał monety do wysłużonego trzosa. Od razu zrobił się ciężki - jak ów włożony w dłoń ślepeca... Dłoń o wąskich, prostych palcach, tak białą, że przez skórę przebijały niebieskie żyły.

Zasnurował woreczek i rozejrzał się w poszukiwaniu skrzyni na pieniądze. O, jest, stoi na swoim miejscu w kącie. Otworzył ją, wrzucił mieszek i podążył ku drzwiom. Chciał się dowiedzieć, jak Prokula spędziła ten dzień, i zrelacjonować niezwykłą grę przypadków, a poza tym pozbyć się widoku tych dłoni...

Na progu stanął i zmarszczył czoło. Co to znowu za manewr? Czy nie życzył sobie właśnie przed chwilą spokoju i samotności, żeby to i owo przemyśleć? Znowu próbuje uciekać? Czego się boi? Wspomnienia pary

rąk? Czyż taki z niego tchórz, że jak co do czego przyjdzie, nie odważy się przeanalizować wszystkiego do końca?

Zdecydowanym krokiem podszedł do skrzyni, wyjął mieszek i ważył go w dłoni. Wreszcie wysypał monety na stół, przyciągnął sobie krzesło i zaczął się w nie wpatrywać.

Przypadek i zabawny zbieg okoliczności, tak to ujął. Chce się sam z sobą bawić w ciuciubabkę? Czyż życie jest zbieraniną luźnych elementów, zestawionych zupełnie bez planu?

Czyż wszystkie kawałki nie są starannie dopasowane - czy nie jesteśmy częściami całości? A może wolno nam rozłożyć strukturę uniwersum na składniki, nazwać to, co się dzieje, przypadkami i rozdrobnić życie na incydenty?

Przypadek to zwodnicza maska, za którą się człowiek kryje przed dotknięciami przeznaczenia. Chustka na oczach ciuciubabki, która traktuje egzystencję jak zabawę... To szeroko rozwarte nożyce lekkomyślności, którymi przecina się nici wiążące całość w wyższy sens.

Wszystko i wszyscy mają swoje miejsce. Każdy pyłek kurzu, nawet robaki w ziemi...

A ślepiec - czy zebrał? Skąd się wziął, dokąd zmierzał, czego chciał, wyciągając ręce? W jaki sposób ten obcy potrafił poruszyć ukryte wspomnienie, wywołać obraz innych rąk o białych, prostych palcach, rozprostowanych i przygniecionych - dwóch odwróconych dłoni bez skazy, rozwieranych na siłę, gdy gwóźdź przebijał gorące, czerwone mięśnie i białe ścięgna...

Stukot młota i rany od gwoździ - oto odpowiedź świata dla troskliwych dłoni wyciągniętych na pomoc nędzy... Wyszyszono, ukoronowano

cierniem i skazano na śmierć Miłosierdzie - a wyrok usankcjonowano na Gabbacie...

Kto to uczynił? Odpowiedz, Poncjuszu! Odpowiedz sam sobie! Wymów te słowa, ty, który wiesz. Wymów, jeśli masz odwagę...

To ty siedziałeś na kurulnym krześle. Ty - Poncjusz Piłat.

Głuchy na głos serca, posłuszny podszeptom rozsądku, dałeś światu to, czego żądał. Złożyłeś podpis pod wyrokiem, zaciągnąłeś dług po wsze czasy, podpisałeś cyrograf. Zawiniłeś - poszedłeś za radą Zła.

Słuchałeś podszeptów rozsądku, Piłacie.

Rozsądek. Słowo wydaje się nagle nienawistne, rozdziera duszę jak ciernie. Rozsądek - tarcza i osłona kłamstwa, pierwszy bojownik zdrady, nadzorca zniewolonej ludzkości, bezlitosny bicz intelektu, knut wiedzy na bezbronne plecy niewinności.

Rozsądek potrafi być wieloraki, przemawia językami wieży Babel, szepcze fałszywie i chytrze za plecami odpowiedzialności, obowiązku i cnoty...

Lepiej, żeby umarł ten jeden człowiek, niż żeby stoczył się w przepaść cały naród, mówi słowami Kajfasza.

Wydaj nam Barabasa, woła głosem ludu, daj nam tego, który kłamie, kradnie, morduje, który jest bliski naszemu sercu...

Pomyśl przede wszystkim o obowiązku i stanowisku - o cesarzu, Rzymie, państwie, sączy głos rozsądku w ucho sędziego na kurulnym krześle.

Śmierć to śmierć, kontynuuje, gdy pieczęć złamana i grób pusty. Umarły przestaje istnieć, nikt nie może zmartwychwstać...

Rozsądek kłamie! Kłamie, bo nie zna innej prawdy niż poznawalna zmysłami, innej czułości poza pożądaniem, innej miłości poza rozkoszą.

Nie pojmuje, że siła tego uczucia nie zna barier ni granic. Że potrafi połączyć ten świat z innym, rozsadzić grób, przeżyć śmierć i iść z wyciągniętą ręką przez tłum w jedności z nędzą i cierpieniem, że umie dotrzeć mimo żałoby do grupki uczniów i przemówić do Marii z Magdali płaczącej przy grobowcu. Że ta miłość może podać dłoń obarczonym brzemieniem grzechów i przygniecionym ciężarem winy.

Poncjusz wpatruje się w błyszczący wzgórek monet - oto pomoc rozsądku dla nędzy tego świata. Czy świat potrzebuje właśnie pieniędzy? Czy nie brakuje mu miłości? Czy nam nie brakuje miłości, byśmy potrafili rozdzielać ziemskie skarby? Miłości w cierniowej koronie, która wybacza swoim wrogom, otwiera przed rozbójnikami bramy raj, która prosi za swych katów...

Panie, Ty, który umarłeś i który żyjesz, Ty, który jesteś... módl się... módl za wszystkich... módl się za mnie...

Panie, jestem jednym z tych, którzy pozbawili Cię życia. Mój podpis wyryty jest razem z krzyżem, spleciony z Twoim imieniem, Chrystos... Módl się za mnie, Chrystosie... za mnie, który dał przemówić rozsądkowi, który słuchał jego fałszywego głosu... Odpuść mi, Panie... błagam... Modłę się do Ciebie, Chrystosie. Czy możesz wybaczyć to, co uczyniłem?

Tej nocy Poncjusz nie spał. Kapitulacja była bezwarunkowa. O świcie zrzucił w zbrojowni na stos pancerz i napierśniki, tarczę i miecz, łuki, strzały i oszczepy. Przy następnym terminie meldunku zabierze to wszystko do wartowni - niektóre z nich to naprawdę kosztowne egzemplarze.

Został mu jeszcze tylko pamiątkowy oszczep, dar od kolegów z oddziału,

gdy nadano mu honorowy przydomek Piłata. Nie była to zwykła broń bojowa, nigdy nie użył jej w bitwie, nie została splamiona krwią. Służyła na specjalne okazje - ostatni raz nosił ją podczas pożegnalnej parady w Palestynie. Przyglądał się teraz szlachetnemu kształtowi ostrza. Doskonała robota. Ten, kto je wykuł, należał swego czasu do najslawniejszych płatnerzy w armii. Poncjusz przełożył oszczep przez kolano i złamał. Odłamki położył na stole.

O wschodzie słońca poszedł do Prokuli. Jeszcze spała. Usiadł ostrożnie u wezglowia. Światło padało wąskim strumieniem na podłogę, więc nie widział jej twarzy, tylko słuchał wolnego, regularnego oddechu. Nic ich już nie dzieli. Nareszcie stali się w pełni jednością. Ona nigdy nie dała się zwieść głosowi rozsądku. Przy niej zazna spokoju.

Po chwili przerzuciła ramię przez poręcz łoża. Wychylił się lekko. Czyżby się obudziła?

- To ty, Poncjuszu? - spytała nie otwierając oczu.

- Tak, ja - odezwał się. - Poddaję się, Prokulo. Twój Rabbuni stał się moim.

Usiadła w pościeli, nagle w pełni rozbudzona.

Rachela, która przyszła rozsunąć zasłony, zatrzymała się niepewnie, widząc go w ubraniu. Już się miała wycofać, gdy odezwała się Prokula.

- Podejź tutaj, Rachelo, nasze marzenie się spełniło.

Dawna niewolnica wybuchnęła płaczem, tak głośnym i niepoahowanym jak wówczas, kiedy obdarzyli ją wolnością. Poncjusz najpierw się przestraszył, lecz pojawiwszy troskliwość tego gorącego serca w stosunku do siebie, przyciągnął ją do piersi i trzymał w ramionach, póki się nie uspokoiła.

Przed południem odwiedził zarządcę Klaudiusza, by mu odpowiednio podziękować. Poprzedniego wieczoru miał zbyt wiele do przemyślenia i nie w pełni okazał, jak wysoko ceni sobie jego uczciwość.

- Nie dziękuj za to mnie, panie - odparł zarządca, jakby się broniąc. -

Wdzięczność należy się raczej twojej małżonce. Gdyby więcej było takich jak ona, świat wyglądałby inaczej. To dzięki niej rozliczyłem się z Klaudiuszem, a ten bilans wcale nie przyszedł mi łatwo.

Gawędzili długo. W trakcie rozmowy Poncjusz spytał o sposób wysyłania poczty do Rzymu. Żaden z posłańców ekspediowanych przez niego nie przynosił z powrotem odpowiedzi, a ponieważ mijało półtora roku od ich wyjazdu ze stolicy, mógł założyć, że zarówno brat, jak i szwagier pisali. Podejrzewał przeto, że w sprawie maczali palce szpiedzy Kaliguli, i chciał wiedzieć, jak z pocztą do Klaudiusza radzi sobie jego urzędnik.

A więc nigdy nie używał wynajętych ludzi. Posługiwał się służącymi Klaudiusza, którzy jeździli stałą trasą w orszaku zbrojnych. Nikt nie odważył się grzebać w Klaudiuszowej poczcie, toteż jeśli Poncjusz sobie życzy, może dołączyć swoje listy do przesyłki, którą odprawia w przyszłym tygodniu. Odpowiedź powinna nadejść w ciągu miesiąca.

Prawdziwe święto nastąpiło w dniu, gdy pojawiły się pierwsze wieści z domu. Odczytywali je z Prokulą raz po raz na głos, żeby nie przeoczyć żadnego słowa.

Wszyscy cieszyli się dobrym zdrowiem, nawet matka Prokuli po długiej chorobie przychodziła z wolna do siebie. List Nigrina robił wrażenie niezwykle ostrożnego, jakby brat bał się pisać otwarcie.

Natomiast Prokulus stwierdzał bez osłonek, że sytuacja jest niepewna.

Urzędnicy mianowani przez Tyberiusza, którzy nie wycofali się z

działalności dobrowolnie, narażali się na ryzyko stanięcia przed sądem. Szukanie wsparcia w Senacie nie miało sensu, Kaligula bowiem demonstrował wobec tego ciała niemaskowaną pogardę. , Któregoś dnia, wjechał nawet konno na salę posiedzeń i stwierdził, że jako władca państwa czerpie więcej korzyści ze swego wierzchowca niż z czcigodnych patres.

Otoczenie cesarza składało się z zaufanych niewolników i awanturników. Nic też dziwnego, że coraz więcej porządnych ludzi wiązało swe nadzieje z Gemellusem. Koniec końców nacisk stał się tak znaczący, że Kaligula nie odważył się przeciwstawić kandydaturze współrządzającego do godności konsula. Żeby jednak nie tracić władzy imperatora, zdecydował, że Gemellus pozostanie w Rzymie, a on ruszy na inspekcję wojska do Galii. Była to ważna nowina. W drodze Kaliguli przez prowincję Wienna stanowiła niebagatelny przystanek. Wzdłuż Rodanu wiodła trasa zaopatrzeniowa do większości armii nad Renem i w Belgice, częściowo także w Recji. Jeśli Lugdunum uchodziło za ośrodek handlu, to Wiennę uznawano za centrum militarne Galii. Wojsko od dawna wyglądało tej wizyty, ale uwagę opinii publicznej zwróci to, że złoży ją Kaligula, nie zaś Gemellus. Następnym razem kiedy Poncjusz będzie się meldował, rozpowszechni tę wiadomość w wartowni.

Najbardziej zainteresowany okazał się jednak Herod Antypas. Obecność cesarza oznaczała wyścigi rydwanów, Antypas zaś mógł się z góry uważać za zwycięzcę. Pytanie tylko, czy powinien powozić osobiście? W Rzymie panował obyczaj, że po przejechaniu rundy honorowej zwycięzca ma prawo wyboru nagrody z rąk władcy. Jeśli tutaj też tak będzie, Antypas poprosi o pozwolenie na powrót do domu... Oczywiście nie w charakterze

króla, nawet nie księcia, po prostu jako zwykły człowiek. Z chęcią przysięgnie, że nikomu nie wejdzie w drogę, byle mu tylko dali wrócić - choćby miał zamieszkać w sercu pustkowia. Tęsknił bowiem, strasznie tęsknił do krystalicznego powietrza i żaru złocistych piasków pustyni. Wszędzie indziej niebo straszło mętną szarością. Tylko w domu, w Perei, górowało czyste i nieskalane nad ziemią. I nigdzie gwiazdy nie świeciły takim blaskiem.

Kaligula wylądował w Massalii. W Wiennie oczekiwano go w drugiej połowie sierpnia. Przygotowywano się gorączkowo. Tutejsze Pole Marsowe od rana do wieczora rozbrzmiewało marszowym krokiem i gniewnymi komendami. W koszarach muzycy ćwiczyli co tchu w piersiach, natomiast w amfiteatrze w stukocie młotów i dłut oraz w tumanach marmurowego pyłu wykańczano nowy tron dla cesarza. Drogi i dróżki blokowały fury pełne kwiecica i zieleni, z których niewolnice w całym mieście wily kilometry wieńców i girland.

W całej tej bieganinie Poncjusz pozostał jakby na uboczu. Co prawda sam postanowił trzymać się na czas cesarskiej wizyty własnych śmieci, jednak poczuł się odepchnięty, gdy przyjaciele z wartowni zaledwie mieli czas wymienić słowa pozdrowienia, zwłaszcza po tym, jak ich szczodrze obdarzył swoją bronią. Pocieszał się za to żebrakami. Przyniósł im kiedyś parę derek i ubrań, toteż przestali na jego widok jęczeć o datki, wiedząc, że jak będzie coś miał, to im da.

Pewnego razu usiadł raptem na schodach i wdał się z nimi w pogawędkę. Na pytanie, dlaczego z nimi rozmawia, podczas gdy inni na ogół udają, że ich nie widzą, zaczął im opowiadać o jednym Żydzie, którego kiedyś

spotkał, a który nawiedzał wszystkich potrzebujących wsparcia i nawet poświęcił dla nich życie. A uczynił to nie z konieczności - był wszakże synem żydowskiego Boga - lecz dlatego że ustanowił nowe królestwo o nazwie Miłosierdzie i rządził w nim tak dobrze, iż ciągnęli doń ludzie ze wszystkich stron kraju. Inni panujący z zazdrości kazali go ukrzyżować. On, Poncjusz, także się do tego przyczynił, bo nie umiał postąpić inaczej. Kiedy jednak odkrył, kim naprawdę był ów król, przyrzekł sobie iść jego śladem na dobre i złe.

Żebracy pytali tedy, jak Rzymianin może naśladować ukrzyżowanego. Opowiedział im wszystko. Najpierw myśleli, że to żart. Wybuchnęli śmiechem. Potem jednak, poznając, że mówi serio, poprosili o dalszą opowieść.

W Galii ponoć także, jak słyszeli, żyje wielu cudotwórców, ale jeszcze żadnego nie spotkali. Zresztą czyż to nie cud prawdziwy, że oto Rzymianin siada z nimi na świątynnych schodach? Do tego nie byle jaki Rzymianin - wielki pan, który bywał u samego Tyberiusza. Nie wspominał im o tym, ale w mieście krążyło wiele opowieści.

Rachela w owym czasie jak zwykle zajmowała się gospodarstwem. Tuż przed przyjazdem cesarza wybrała się na targ po zapasy. Z jedzeniem mogło być krucho... Dwór Kaliguli liczył dobre kilka tysięcy ludzi.

Poncjusz towarzyszył jej, by zajrzeć do żebraków i uprzedzić, że minie parę dni, nim się znowu pojawi. Zdecydował pozostać w domowych pieleszach, póki nawała nie przejdzie.

Żebracy także musieli na rozkaz komendanta opuścić schody. W świątyni Augusta planowano podczas cesarskiej wizyty różne uroczystości i takie wyrzutki jak oni źle się prezentowały u wejścia. Tego polecenia jednak nie

mieli zamiaru usłuchać. Przecież właśnie przy wielkich ceremoniach najwięcej zarabiali, a tu każą im się wynosić. Z czego będą przez ten czas żyli? Nie mają nawet skórki chleba.

Zaproponował, by się tymczasem przenieśli do niego, zapewni im dach nad głową i pożywienie, może też przysłać po nich krypę.

Ledwo wierzyli własnym uszom.

W dniu przybycia Kaliguli wjechał konno na wzgórze za miastem, by obserwować obóz i samą ceremonię. Rozciągał się stamtąd częściowo widok na główny trakt, tak że dostrzegał jeźdźców i cesarskie orły. Dzień był ciepły, znad rzeki wiał lekki wietrzyk, który przynosił na wzniesienie strzępki melodii i Poncjusz rozpoznał imperatorski marsz. Serce mu się ścisnęło - przypomniał sobie, że Ksantypa na dźwięk tych tonów zaczynała tańczyć.

Tetrarcha postanowił osobiście wystartować w wyścigach rydwanów i przez ostatnie tygodnie, zajęty treningiem, nie miał czasu ani na polowanie, ani na dogłądanie budowy synagogi. W dzień po uroczystym wjeździe pojawił się jednak niespodziewanie w pełnym galopie u wlotu alei wiodącej do Poncjuszowego domu.

Dość to było ryzykowne, zważywszy, że nazajutrz czekał go pierwszy bieg. Poncjusz pospieszył mu naprzeciw i od razu zauważył, że coś się wydarzyło, Antypas bowiem oglądał się po wielekroć za siebie, a nawet przetrząsnął pobliskie krzaki, by się upewnić, iż nikt nie podsłuchuje.

- Gemellus nie żyje - wyszeptał Poncjuszowi prosto do ucha. - Został zamordowany. Jeden z kurierów nie utrzymał języka za zębami. Kaligula zachowuje to, póki się da, w tajemnicy, i rozkazał nie wprowadzać zmian w ustalonym programie.

Morderstwo? A więc obecność cesarza w Galii ma mu zapewnić alibi...

- Jesteś pewny? - spytał Poncjusz.

Antypas skinął głową. Nastrój w mieście - jakby sam diabeł przyjechał, nigdzie ani uśmiechu, ludzie się boją na siebie spojrzeć, żeby nie zdradzić, iż znają nowinę. Kaligula przyczał się jak wąż przed ukąszeniem. Nie robi kroku bez gwardii, która dzień i noc otacza go murem. Nie weźmie do ust jadła ni trunku, nim wprzód inni wszystkiego nie posmakują. Cały obóz jakby przesiąkł jadem.

- A co z moim wyścigiem? - ciągnął Antypas. - Jeśli teraz wygram, może mnie to kosztować głowę. Wycofać się także nie odważę, bo pomyślą, że się obawiam i coś ukrywam.

- Rzeczywiście, musisz pojechać - zgodził się Poncjusz. - Na rezygnację już za późno. Przyślij mi jutro wiadomość, jak poszło.

Antypas odjechał.

Straszne nieszczęście, ta nowina o Gemellusie. Gdy jednak ktoś nie wzdraga się przed pozbawieniem życia własnego dziada, nie okaże większych skrupułów w stosunku do brata. Prokula przeraziła się tak bardzo, że zemdlała. Znała młodszego cesarza, pochodził przecież z jej rodu. Jak się potoczą losy świata, skoro władzę przejmuje zło?

Następnego dnia pogoda znowu dopisała, jak przez cały ostatni miesiąc.

Zdenerwowany Poncjusz snuł się nad rzeką w oczekiwaniu na wyniki wyścigów. Gdzieś nad głową wyciągał trele ptak, trawa nie obeschła jeszcze po nocnej rosie, a drżąca gałązka wierzby zanurzała końce listków w wodzie. Spoglądał w kierunku miasta. Rzeką, na powierzchni gładka i lśniąca, kipiała w głębi podstępnyimi wirami... Nagle poczuł, że w serce wkrada mu się niepokój, jakby gdziekolwiek obróci oczy, czaiło się

niebezpieczeństwo.

Niechby tylko Antypas nie wykierował się w tym wyścigu na własną zgubę! O tej porze miał się zacząć pierwszy bieg. Na pewno sprawdza teraz po raz ostatni rydwan, wodzi ręką po uprząży, podnosi kopyta koni, szepcze im do ucha słowa zachęty, wreszcie chwyta bicz i z głośnym okrzykiem wskakuje do wozu.

Poncjusz lubił Antypasa. Tetrarcha walczył z Janem - cóż za beznadziejna potyczka - a o Nazarejczyku nie chciał słuchać. Jego prorokiem był Chrzciciel...

Wtem uwagę Poncjusza przyciągnęły uderzenia wiosel tuż przy brzegu i z gęstwiny wierzbowych zarośli wyłoniła się łódź Antypasa. A na dziobie - ktoś inny jak nie sam książę! Zeskoczył blady na ląd. Wyścigi zostały odwołane.

Poprzedniego wieczoru wraz z Herodiadą uczestniczyli w uroczystym przedstawieniu w teatrze. Uzgodnili, że będzie wyglądało bardziej naturalnie, jeśli się oboje stawiają, chociaż żadne nie przejawiało ochoty do rozrywki. Najwidoczniej wszyscy ich sąsiedzi na widowni wpadli na ten sam pomysł, bo ławy zapełniły się gęsto, a od kosztowności wprost lśniło. Tetrarcha nigdy by nie przypuszczał, że w prowincjonalnej Wiennie znajdują się takie bogactwa.

Wieczór zapowiadał się wspaniale. Na bezchmurnym niebie świecił księżyc, nie wiał najłżejszy wiaterek. W dolinie połyskiwał srebrny welon mgły, a z wyżyn amfiteatru dostrzegało się szeregi ciemniejących tajemniczo wzgórz, jakby cała Galia stanowiła scenerię sztuki.

Na widowni panowało napięcie. Cesarz się spóźniał, a tymczasem każdy rzucał ukradkiem spojrzenia ku pierwszemu rzędowi i ku nowemu tronowi

z białego marmuru, od którego odcinała się krwista purpura poduszek. Nikt nie wymieniał imienia Kaliguli. Rozmawiano o wszystkim i niczym, udawano bez troskę, lecz w powietrzu drżały emocje i Antypas raz po raz oblewał się zimnym potem.

Wreszcie zaryczały trąby. Zebrani podnieśli się z ław... W rozwianych szatach, ze złotym wieńcem na głowie wkroczył cesarz. Szerokim ruchem ręki odpowiedział na powitalny okrzyk. Można sądzić o Kaliguli, co się chce, lecz nie da mu się odmówić uroku. Jednym grymasem nie zdradził złego nastroju. Niemniej w pierwszym rzędzie zasiadł sam, a dalszych, za jego plecami, nie zajęli dworacy, lecz gwardia. Wprawdzie w togach, jednak pod fałdami wyraźnie przebłyskiwały pancerze. Najbliżej cesarza znajdował się afrykański król Juba, kuzyn Kaliguli w trzeciej linii i potężny władca, ubrany w długą błękitną szatę z jedwabiu i złotą koronę. W przerwie przywitali się z Kaligulą i zagłębili w rozmowie. Nikt nie słyszał, o czym mówili, lecz zauważono, że cesarz stracił humor. Może Juba pozwolił sobie na jakąś krytyczną uwagę?

Po przedstawieniu, gdy czekano na lektyki, Antypas stanął obok niego. Ich także łączyło pokrewieństwo. Afrykański władca wyraził chęć przybycia do cyrku przed wyścigami, żeby pogawędzić i przyjrzeć się koniom.

Wyraźnie coś mu leżało na sercu.

Tetrarcha pojawił się o umówionej porze, na długo przed biegiem, lecz Juba nie przyszedł. Zaczął się irytować. Jako jeden z zawodników nie mógł w taki sposób marnować czasu. Już kierował się ku stajniom z postanowieniem, że zapomni o całym incydencie, gdy nadzorca toru przekazał mu wiadomość o odwołaniu wyścigów.

- Jak to?! - wykrzyknął wzburzony. - Czy może dlatego Juba nie

przyszedeł? Powinien się tu zjawić godzinę temu!

Nadzorca spojrział nań przeciągle. Często się spotykali na hipodromie, więc znali się dobrze.

- Król Juba nie żyje - rzekł cicho. - Został zabity w drodze powrotnej z teatru dzisiejszej nocy... przez cesarskiego gwardzistę. Kaligula powiada, że jego błękitna szata działała mu na nerwy.

Antypas popędził do domu, jakby się ścigał ze śmiercią, ale po drodze przypomniał sobie obietnicę daną Poncjuszowi i postanowił go przestrzec. Kazał wiosłować tuż przy brzegu, żeby go nikt nie zobaczył. Nie należało teraz wzbudzać zainteresowania.

Obóz został zamknięty, nie wpuszczano ani nie wypuszczano nikogo bez hasła. Oddziały otoczyły także miasto. Mogą być obaj wdzięczni losowi, że mieszkają za murami. Ma tylko nadzieję, iż nikt nie wie o jego umówionym spotkaniu z Jubą - inaczej jemu również grozi śmierć. Rusza teraz prosto do domu i nie wychyli stamtąd nosa przed odjazdem Kaliguli. Przyjacielowi doradza to samo.

Poncjusz szedeł powoli ku domowi. Ród Juby cieszył się w Afryce zasłużoną sławą. Wydał trzech królów tego samego imienia, a ostatni z nich żył na przyjacielskiej stopie z Tyberiuszem i stał się jednym z najwierniejszych sojuszników Gemellusa. A teraz nie żyje. On także. Zbrodnia rodzi zbrodnię. Tyrania przypomina grzędawisko pełne krwi. Jeśli władca stąpnie na nie choć jedną nogą, będzie się z każdym krokiem pograżał głębiej i nigdy nie wróci na suchy ląd. Kaligula unurzał się już we krwi po pas.

Trzeba porozmawiać z Prokulą. Opatrywała kaleki w atrium. Czas dłużył się tutaj przywykłym do życia na świątynnych schodach, więc gdy

wyszedł do nich, prosili, żeby się przysiadł, co też uczynił. O Jubie i kolejnym nieszczęściu opowie żonie potem.

W trakcie rozmowy pojawiła się Rachela z posiłkiem. Poprosił o porcję. Mogli zjeść oboje tutaj, niekoniecznie w triclinium. W tym momencie usłyszał walenie do drzwi wejściowych. Nim się zdołał podnieść, dwóch zbrojnych legionistów odsunęło przerażonego odźwiernego i stanęło na progu.

Zdumieni widokiem, jaki się roztoczył przed ich oczami, spytali, czy znajduje się tu mąż zwany Poncjuszem Piłatem.

Na to wstał pan tego domu i zaprosił ich do tablinum.

Tam wytłumaczył żołnierzom, że taka sytuacja nie zdarza się co dzień, udzielił bowiem tylko schronienia żebrakom ze schodów świątyni Augusta, póki ich obecność w mieście nie jest pożądana.

Jeden z legionistów zajął miejsce przy drzwiach, drugi usiadł za stołem i stwierdził, że przybyli tu właśnie w związku ze świątynią Augusta.

Podobno Poncjusz uczcił ofiarą Gemellusa, a nigdy nie poświęcił byka Kaliguli.

A więc Kaligula przeczesuje miasto. Węszy w rejestrze ofiar. Pomyślał chwilę, nim odpowiedział.

- Jak przypuszczalnie wiecie, większość życia spędziłem w służbie Tyberiusza Cezara. Wracalem z Palestyny, gdy zmarł, a po przyjeździe do Rzymu zostałem natychmiast postawiony przed sąd i skazany na zesłanie. Dlatego nie miałem ani czasu, ani okazji odprawić modłów ku pamięci Tyberiusza u jego urny. Po osiedleniu się tutaj moja ofiara naturalną kolejną rzeczą przypadła w udziale temu z cesarzy, który nosił nie tylko jego imię, lecz dziedziczył jego krew: Tyberiuszowi Gemellusowi.

Żołnierz wyjął notatkę.

- Twoja ofiara dla Gemellusa spowodowała szereg innych tego typu.

Kapłani świątyni Augusta uważają, że świadomie pomija się Kaligulę.

- Moim motywem była wdzięczność wobec mojego dobroczyńcy,

Tyberiusza Cezara - odparł chłodno Poncjusz. - Na ogół rytuał ofiarny jest mi obojętny - dodał.

Przesłuchanie się jednak jeszcze nie skończyło. Żołnierz chciał wiedzieć, komu Poncjusz składał przysięgę na wierność, Kaliguli czy Gemellusowi?

- Ani jednemu, ani drugiemu - odrzekł. - Jak już wspomniałem,

znajdowałem się w podróży, gdy zmarł Tyberiusz, a nim dotarłem do

Rzymu, skończył się okres składania przysięg. Potem zaś po wyroku,

problem rozwiązał się sam. Któż bowiem potrzebuje wierności zesłańca?

- O tym zadecyduje komendant - odparł legionista i wstał.

Ruchem ręki wezwał do wyjścia towarzysza. Na progu odwrócił się jeszcze.

- Nie czynię tego dla własnej przyjemności - rzucił nieoczekiwanie.

Poncjusz uśmiechnął się z przymusem.

- Myślisz, że nie wiem, co to znaczy rozkaz?

Skinął głową. Żołnierze oddali honory i wymaszerowali.

Ledwo się za nimi zamknęły główne drzwi, wpadła Prokula.

- Czego chcieli? - spytała z obawą.

- Dowiedzieć się, dlaczego złożyłem ofiarę ku czci Gemellusa, a nie Kaliguli. Myślę, że podałem powód możliwy do przyjęcia. Mniej mi się podoba, że wypytywali o przysięgę na wierność. Dałem do zrozumienia, że nikt nie jest zainteresowany wiernością zesłańca. Miejmy nadzieję, że się ze mną zgodzą.

- A jeśli nie? Jeśli się nie zgodzą? - pytała dalej z lękiem w oczach.

- Cóż, zależy - odparł. - Wiesz, kto jest moim Panem. Przed innym nie zegnę kolana. Nikt na świecie nie zmusi mnie do przyrzekania wierności mordercy.

Minęło wiele dni. Kaligula jeszcze nie wyjechał i miasto w dalszym ciągu otaczał kordon wojska. Żebracy przyzwyczaili się do ciszy i po tej stronie rzeki czuli się jak w domu. Kilku znalazło drobne zajęcia, reszta przebywała przy budynkach gospodarczych i w ogrodzie. Zajmowała się nimi Rachela. Prokula nie odstępowała Poncjusza. Nawet na godzinę się nie rozstawali. Nadzieja, że przysięga zesłańca się nie liczy, mogła się lada chwila rozwiać jak dym.

Nie wziął się jeszcze za pomost, którego budowę planował, i krypy dalej obijały sobie boki, uwiązane pod prąd. Ukradkiem zerkali w dół rzeki - z prądem i dobrymi wioślarzami zdołaliby dotrzeć daleko, zanim ktokolwiek odkryłby ich zniknięcie. W milczeniu spoglądali po sobie i odwracali głowy w drugą stronę. Jedno znało myśl drugiego, a wspólnie pamiętali - Jego, który się nie ugiął.

Słowa stały się zbędne. Tylko z rzadka je już wymieniali.

- Trzymaj się Klaudiusza - potrafił powiedzieć. - Jego zarządca ci pomoże.

A ona kiwała głową, wiedząc, co ma na myśli.

- Nie podejmuj żadnych decyzji, póki się nie poradzisz Racheli -

kontynuował innym razem. - Nasz Rabbuni posłał ją do nas. Jest mądra.

Trzymajcie się razem.

Albo:

- Nikt nie rozdzieli nas, którzyśmy się stali jednością w Chrystosie.

Pojmujesz, miła? Nawet śmierć...

Prokula brała go wówczas za rękę.

Pewnego dnia przed południem znajdowali się w ogrodzie, gdy nadpłynęła łódź pełna zbrojnych. Zobaczyli ją równocześnie. Prokula zbladła tak, że aż usta jej zbieleły. Poncjusz otoczył ją ramieniem i mocno przytulił.

- Chodź! - rzekł. - Kończy się nasze zesłanie. Rabbuni wzywa. Zeszli razem świeżo wygracowaną, miękką ścieżką, wijącą się lekko przy pomoście. Po każdej stronie rosły gęste, ciemnozielone krzaki. Woda chlupotała o deski.

Prokula złożyła mu głowę na piersi i mocno otoczyła go ramionami. Pochylił się nad nią - wszystko, co dobre na tym świecie, prawdziwe, wierne i drogie trzymał teraz w objęciach.

Łódź dobiła do pomostu, jeden z żołnierzy wyskoczył na ląd - ten sam, który go przedtem przesłuchiwał.

- Dobrze, że jesteś gotowy - pozdrowił Poncjusza raźnie. - Dzisiaj są modły ku pamięci Gemellusa, a potem masz być zaprzysiężony. Czasu mamy tyle co na drogę.

Prokula zaczęła drżeć. Ujął jej twarz w dłonie i zajrzał w oczy.

- Słyszysz, że muszę iść - odezwał się. - Pozdrów Rachełę. Dzięki, ukochana, za wszystko i módl się za mnie... módl...

Delikatnie wyzwolił się z jej uścisku i odsunął na odległość ramion, obejmując kibić obiema rękami. Potem powoli je opuścił i stali tak chwilę bez ruchu.

- Módl się! - powtórzył raz jeszcze, odwrócił się szybko i wskoczył na pokład.

Żołnierz przy cumach przyglądał im się ze zdziwieniem.

- Płyniemy tylko tam - skinął głową Prokuli i wskazał palcem na południe,

ku miastu. - Za godzinę lub dwie będziesz go miała z powrotem.

Wioślarze odepchnęli łódź od brzegu. Woda zachlupotała wzdłuż burt.

Nie stanął dzisiaj na dziobie. Oglądał się za siebie. Jakaś postać ciężko i niezgrabnie zbiegała ścieżką w ogrodzie. To Rachela, błogosławiona Rachela. Obie z Prokulą stanowiły jego życie i wobec obu miał dług miłości.

Przybili. Na nabrzeżu pustki. Poncjusz spojrzął na strome podejście wiodące do wartowni. Już więcej się tu nie pokaże. Szkoda, że nie mógł się pożegnać. Na pewno wspomną o nim, kiedy nie przyjdzie w następnym terminie meldowania.

W miarę jak zbliżali się do świątyni Augusta, narastał tłok na ulicach, tak że na ostatnim odcinku przednia straż torowała sobie drogę głownią miecza. Pusty dziedziniec przed świątynią otaczał kordon legionistów, a po obu stronach schodów, gdzie zazwyczaj leżeli żebracy, ustawiała się gwardia cesarska. U ich stóp, na wprost wejścia, stali rzędami ci, którzy mieli złożyć przysięgę. Wśród nich tetrarcha. Gdy Poncjusz chciał do niego podejść, został zatrzymany.

Z wnętrza świątyni dobiegała muzyka. Ofiarny byk został zabity, Kaligula wyciera się teraz z krwi tej, która ma go oczyścić z plam po krwi Gemellusa Cezara. Poncjusz zacisnął zęby.

Ofiara spełniona. Prefekt gwardii wyszedł na schody. Rozległa się komenda: Bacność!

Za moment na najwyższym stopniu pojawił się Kaligula w wieńcu z dębowych liści na głowie. Pod krótkim płaszczem błyszcząły haftowane złotem naramienniki imperatora. Srebrne blachy na piersiach zdobiła wielka głowa Meduzy. Smukła, wyprostowana sylwetka zdradzała jednak

napięcie i brak snu. Oczy wędrowały niespokojnie od postaci do postaci. Komendant zaczął stentorowym głosem odczytywać akt przysięgi. Poncjusz znał go na pamięć, zamiast wszakże powtarzać jak inni, zaciskał wargi. Słyszał mamrotanie sąsiada - słowa wiły się jedno za drugim na kształt ogniów w kajdanach, jak niewolnicze pęta na całe życie, oznaczały przymus i posłuszeństwo do ostatniego tchnienia, życie i śmierć dla Cezara Imperatora.

Cezar Imperator... Poncjuszowi szumiało w uszach, oczy mu zasnuła mgła. Czemu nie nazwać owego Cezara i Imperatora jego prawdziwym imieniem? Zastępcą Szatana, Księciem Zła, Wrogiem Prawa, Bojownikiem Nienawiści, Zdrady i Kłamstwa...

Przysięgę złożono. Teraz komendant odczytywał imiona. Wywoływani kolejno przyklękali na schodach i z ręką na mieczu cesarza wypowiadali słowa: i ja. Odbywało się to w porządku alfabetycznym. Herod Antypas był jednym z pierwszych, Poncjusz Piłat ostatnim.

Czekał z oczami utkwionymi w schody. Napięcie rosło. Stopnie rozmywały się - rosły, stały się strome, węższe, wyższe. Na ich szczycie na miejscu cesarza on sam, a u stóp postać ze związanymi rękami, blada, poturbowana, bezdennie smutna.

Zamknął oczy i zacisnął palce. Panie, Jezusie z Nazaretu, pomóż! Pomóż mi złożyć świadectwo za Tobą. Tyś jest Panem, tylko Ty jedyny. Pomóż, bym nie zawiódł tak jak przedtem.

- Poncjusz Piłat!

Nadeszła jego kolej.

Na dźwięk własnego imienia poczuł dreszcz, krew mu napłynęła do serca, mało nie rozsadziła piersi.

- Obecny!

Stary wojskowy dryl kierował jeszcze językiem. Poncjusz odpowiedział mechanicznie. Zamiast jednak wystąpić z szeregu, stał nieruchomo, blady, zawzięty, wbijając wzrok przed siebie.

Komendant przez chwilę mu się przyglądał. Czy ten człowiek na dole nie rozumie?

- Wystąp! Klęknij! Słyszysz, Poncjuszu Piłacie? - głos pobrzmiwał naganą.

- Słyszę, komendancie, ale nie posłucham. - Odpowiedź była głośna i jasna.

W tej samej chwili poczuł przyływ otuchy. Pod jego spojrzeniem wszystko nabrało wyraźnych konturów, utrwaliło się i stężało jak te schody. Podniósł głos jakby w tryumfalnym wołaniu:

- Moim Panem jest Chrystos. On jest Prawdą i Życiem. Nigdy nie usłucham żadnego innego i nigdy nie zegnę kolana przed cesarzem! Na dziedzińcu zapadła taka cisza, że słychać było szelest skóry pod pancerzami. Tysiąc oczu wpatrywało się w Poncjusza. Chyba zwariował! Odmówić złożenia przysięgi przed obliczem cesarza! Ludzie stali jak sparaliżowani, wstrzymując z przerażenia oddech.

- Brać go!

Jak Jowisz _\$mściciel cisnął Kaligula gromem rozkazu w buntownika. Zaśniło od zbrojnych. Żołnierze chwycili go za ramiona, wykręcili je z żelazną mocą do tyłu i jednym ruchem powalili na ziemię. Podkute buty kopały gdzie popadło, gdy za nogi wlekli go przez dziedziniec. Głowa obijała się o bruk. Świat się kręcił. Wreszcie wszystko ogarnęła czarna ciemność.

Poncjusz leżał w bocznej uliczce. Do świadomości przenikały ostre ukłucia bólu. Wzrok składał obraz po kawałku w całość. Otaczali go żołnierze, a ze wszystkich stron tłoczyli się ludzie, wyciągali szyje ciekawscy. Chcieli spojrzeć na leżącego, który odważył się porzucić cesarza dla innego pana.

Pytania padały jak grad... Chrystos? A któż to taki? Jakiś nieznany Grek? Jakiś wróg Kaliguli? Może przyjaciel Juby? Albo zbuntowany wobec Rzymu? Tylko wariat albo głupiec by uwierzył, że można się sprzeciwić cesarzowi.

Chrystos... Poncjusz zamknął oczy i wszystko zaczęło płynąć. Głosy wokół niego narastały w huk wodospadu. Z całej siły walczył z nurtem, który chciał go wciągnąć pod powierzchnię. Tylko jedno słowo oderwało się od szumu i błyszczało jak kropla nad kipielą - Chrystos.

Poncjusz powtarzał je szeptem i widział, jak lśni, unosi się do gwiazd i świeci w ciemności.

Wokół pustka i cisza.

Żadnych głosów, huku wodospadu, żadnych gwiazd. Czy jeszcze żyje? Odwraca głowę, jęczy cicho - ból jak ognista strzała przeszywa kark. Owszem, żyje. Życie i ból to bliźniaczy bracia. Jęk staje się głośniejszy. Czeka chwilę, nim odważy się ponownie obrócić.

Gdzie jest? Uwięziony?

Kamienne sklepienie, okute drzwi, w nich otwór, zamknięty od zewnątrz. Wysoko za prętami przemykają chmury. Pręty - jeden wzdłuż, jeden wszerz, jak krzyż... Krzyż?

Gęsta mgła otula pamięć. Tu i tam całun pęka, pojawiają się luźne, nic nie

mówiące obrazy. Szuka po omacku związku, ale gdziekolwiek spojrzy, napotyka barierę schodów. Na ich szczycie ktoś przemawia.

- Nie jestem winien krwi tego Sprawiedliwego! - woła na cały świat.

Niewolnik podaje mu misę, w której zanurza ręce. I krzyczy. Człowiek na schodach to on sam, a misę wypełnia krew. Z palców skapują mu ciepłe czerwone krople. Wstrząsany dreszczami jęczy, łka jak dziecko, szlocha, drze rękami ziemię.

- Poncjusz Piłat!

Wzdryga się na dźwięk swojego imienia. Nadeszła jego kolej? Czy to głos komendanta wzywa go ze szczytu schodów?

Nie, inny - łagodny i cichy. Wstrzymuje oddech.

- Czy mnie słyszysz, Poncjuszu Piłacie? Wiesz, kim jestem?

Wzruszenie odbiera mowę.

- Pamiętasz, jak wyjaśniałeś żebrakom na świątynnych schodach, że moje królestwo nosi nazwę Miłosierdzie?

Nieznacznie potakuje. Przed oczami pojawiają się wychudłe twarze, głodne spojrzenia, powykęcane członki...

- Czemu więc wątpisz we własne słowa, w moje Miłosierdzie? Pamiętasz Gabbatę? Powiedziałem ci wtedy, że twoja władza pochodzi z góry, od Tego, który kazał mi przejść drogę męki. Darowałem ci pociechę, żebyś się nie załamał pod ciężarem winy. Więc uwierz mi, Piłacie, w imię tego krzyża na mych barkach, w imię mej śmierci i zwycięstwa! Uwierz, że łaska przebaczenia dana jest wszystkim, także tobie.

Wierzę, Panie, wierzę do bólu serca, ale jakże mi pojąć tak wielkie miłosierdzie?

Zapadła noc. Poncjusz pograżył się w półsen. Na korytarzu rozległy się

kroki, ktoś otworzył zasuwę i ciemność przeciął snop światła. Wędrował po podłodze, aż znalazł leżącego. Poncjusz rozwarł powieki i zaraz ramieniem osłonił oczy przed ostrym blaskiem. Jakiś człowiek pochylił się nad nim z latarnią - strażnik.

- A więc żyjesz. Niewiele ci brakowało. Dostałem rozkaz, żeby cię utrzymać przy życiu. Tu jest derka i trochę wina. Czemu się trzęsiesz? Masz gorączkę?

Wino... Chwycił pożądliwie puchar, rozchlapał ponad połowę, lecz starczyło jeszcze na kilka łyków. Gardło miał tak opuchnięte, że płyn ledwo spłynął. Ale jak smakuje! Oblizwał spękane wargi - był taki spragniony!

- Dlaczego masz mnie utrzymać przy życiu? - spytał bezgłośnie.

- Dlaczego? Chyba sam wiesz najlepiej. - Strażnik się zaśmiał. - Musisz zostać przesłuchany. Odpowiedzieć za swoje postępowanie. Z buntu przeciw cesarzowi nie wyplączesz się tak łatwo.

Oczywiście, że nie... Nie tak łatwo. Łomot w głowie przeszkadzał myśleć. Strażnik okrył go derką i napił resztą wina. Poncjusz wyszeptał słowa podziękowania. Ból w karku palił ogniem. Nie ma za co dziękować.

Strażnik spełnia tylko rozkaz. Poszedł. Znowu zaległy ciemności.

Przesłuchanie... Pamięta przesłuchania z wojska, te krzyki z podziemi, blask rozżarzonego żelaza, swąd przypalanego ciała, łamane kołem kości, wrywane mięśnie... Ogarnia go trwoga. Koszmar nie ustępuje. Szatan chichocze, oblizuje zgłodniałe wargi, buchając krwawym oparem nienawiści...

Ludzki rozum z odkrywczą zręcznością wymyśla coraz to nowe narzędzia do jego warsztatu. Żądza mordy rodzi kata... A Szatan zaciera ręce i cieszy

się złą radością.

Niedługo człowiek przewyższy swego mistrza. Zamienią się rolami.

Szatan będzie się uczył od ludzi używać rozumu w służbie Zła, na śmierć i zatracenie.

Poncjusz zbudził się z krzykiem, zlany potem, prawie bezprzytomny, wstrząsany drgawkami. Na nocnym niebie w okienku pobłyskiwały gwiazdy. Wyciągnął do nich ręce. Pomóż mi... pomóż, Ty, który przeszedłeś drogę męki i który będziesz nią kroczył, dopóki będzie istnieć świat i Zło. Wesprzyj mnie siłą Twojej dobroci...

Dni nic nie różniło od nocy. Zacierały się odczuwalne zmysłami granice. Czasami tylko sekwencje bólu torowały sobie drogę przez zwały cieni, by stać się dotkliwą rzeczywistością.

Poncjusz był jednak silny. Ciało się goiło. Powoli życie odnosiło zwycięstwo.

Wraz z życiem budziła się tęsknota. Godzinami leżał wpatrzony w okienko pod sklepieniem. Wiatr gnał chmury po niebie, błękit zastępował szarość - jak w oczach Prokuli. Może jest teraz w ogrodzie, może patrzy na te same chmury... Niebo należy do nich obojga. Nieba nie odbierze im nikt.

Mógł już siadać oparty o ścianę, a pewnego dnia udało mu się podnieść na nogi. Kark miał wykrzywiony, a jedno ramię częściowo niewładne, ale głowę znowu jasną i sprawną, choć pamięć nie taką jak dawniej. Z dnia na dzień oczekiwał kroków w korytarzu.

Co ranka wydrapywał na murze kreskę, by zaznaczyć upływ czasu. Gdzie się podziali ci, co go mieli przesłuchiwać? Może spytać dozorcę?

Stary strażnik zaprzyjaźnił się z więźniem. On także służył w armii.

Walczył w Germanii. Tam odniósł ranę i został zwolniony z wojska. Potem

był pomocnikiem felczera, a na koniec przyszedł tu, do więzienia, na dozorcę chorych. Na razie miał pod opieką tylko Piłata, więc przynosząc dzienną rację strawy i picia, lubił sobie pogawędzić.

Któregoś dnia przyniósł pozdrowienia. Ostatnio przed bramą usadowił się żebrak, który powiada, że go zna. Należy do zgrai ze schodów świątyni Augusta, ale przeniósł się tutaj właśnie przez wzgląd na niego. Pyta, czy mu się obróciło na życie i czy wyjdzie na wolność. Całe miasto mówi o Piłacie. Wszyscy na własne oczy widzieli, co się wydarzyło: Rzymianin odmówił ukłęknięcia przed cesarzem. Póki Kaligula przebywał w Wiennie, trzymano ciekawość na wodzy. Ledwo jednak wyjechał, ludzie zaczęli się gromadzić przy świątynnych schodach, poszeptywać w grupkach, pytać, grzebać, węszyć...

A żebracy objaśniali. Znają tego człowieka, powiadali. To on zapewnił im utrzymanie, gdy w związku z przyjazdem cesarza zostali wypędzeni ze schodów. Mieszkali w jego domu i za parę miedziaków chętnie o nim opowiedzą.

Poncjusz, bajali, był kiedyś możnym władyką, zastępcą samego cesarza. Ale na Wschodzie znalazł sobie nowego, mocarniejszego pana, takiego, który nigdy nie umrze i którego bogowie wybrali i ustanowili władcą nowego królestwa o nazwie Miłosierdzie. Był Żydem ten król i nazywano go Mesjaszem, ale Grecy twierdzą, że jego imię brzmi Chrystos.

Wystarczyło o nim wspomnieć, a na żebractwo spadał deszcz miedziaków. Jeszcze nigdy nie mieli takich dochodów. Wszyscy też zarabiali po równo, bo nauczyli się dzielić między sobą. Nawet ten przy więziennej bramie dostawał swoją część, chociaż leżąc tutaj nic nie zarobił.

Poncjusz milczał. Czyżby żebracy ze świątynnych schodów stali się

głosicielami prawdy o królestwie Miłosierdzia? Czy sami okazują miłosierdzie jemu...

- Zechcesz im coś przekazać? Pozdrów ich ode mnie - poprosił strażnika - i powiedz, że czuję się dobrze, że zdałem się na Chrystosa.

- Też coś... dobrze! - mruknął dozorca i wbił wzrok w ziemię. Inni też dowiadują się o jego stan. Nie może dłużej ukrywać, powie, jak jest.

Komendant bez przerwy pyta, czy więzień wkrótce będzie gotowy do przesłuchania. Ostatnio ledwo zdołał go powstrzymać. Następnym razem już się nie uda.

Strażnik podszedł do drzwi. Mamrotał pod nosem. Chętnie zatrzymałby sobie tego więźnia na zawsze. Zamknął zasuwę.

Następnym razem?

Piłat liczył kreski na ścianie. Niedługo postawi ostatnią - końcową kreskę życia.

Myślami był przy Prokuli i Racheli, które pozostawi osamotnione, bez opieki w obcym kraju. Przyciskał czoło do znaków na murze, rozpaczliwie aż bolało.

Czemuż wątpi? Ma większe zaufanie do własnych możliwości i tej ochrony, którą mógłby im zapewnić, niż do mocy Tego, który otwiera groby, pokonuje czas i przestrzeń, który jest siłą słabych?

Korytarzem zbliżały się kroki - znane, starego dozorca, i młodsze, krzepkie, miarowe.

Drzwi się otworzyły. Obcy zmrużył oczy. Nieprzywykły, musiał się oswoić z panującym tu mrokiem. Cella pusta, a więc więzień siedział na podłodze. Teraz wstał z trudem.

Obcy zadał kilka pytań. Szybko, bo nie chciał długo przebywać w tym

śmierdzącym lochu - zeszłoroczne odchody więźniów cuchnęły obrzydliwie. Przesłuchanie odbędzie się jutro. Strażnik dostał polecenie oporządzenia więźnia. Przesłuchiwać będzie osobiście komendant, a on nie znosi brudu.

Mycie! Co za luksus, jaka przyjemność! Woda i wywar z sosnowych igieł, brzytwa, grzebień! Piłat wyszorował się od stóp do głów. Włosy sięgały mu ramion. Rozczesał je starannie, odsunął z oczu, pośrodku zrobił przedziałek. Znowu przypominał człowieka, nie zwierzę w klatce.

Wytrzeptał ubranie, a raczej brudne łachmany. Grunt, że ciało miał czyste. Czuł się jak odnowiony. Zdał egzamin przed świątynią, to i tym razem nie zawiedzie.

Więzienie znajdowało się w obudowie trybun wokół cyrku, z wejściem od południa. Gdy go wyprowadzali, świeże powietrze uderzyło jak obuchem. Zamroczony, zatrzymał się, lecz natychmiast władowali go do lektyki. Tam spętali mu nogi łańcuchem i zaciągnęli zasłony. Zaraz jednak znalazł szparę, do której przyłożył oko. Sycił się widokami.

Dobiegł go stukot kopyt. Czy to trenuje Antypas? Zbliżyli się do bram miejskich, gdzie się zazwyczaj spotykał z tetrarchą, gdy ruszali na polowanie. O, tam stoją poidła, tam się pojawił ślepiec; a tam - pierwsza boczna w lewo; na rogu się rozstali; tu wyciągnął dłonie - te same, które kazały mu się rozliczyć. A tam? Skrawek północnego biegu rzeki, zarys tympanonu i dachu... Prokulo, jedyna moja, największe ukochanie na świecie... i ty, Rachelo, wierna przyjaciółko...

Most - wartownia - obóz - hasło - rozkaz.

Lektyka podskoczyła, wylądowała na ziemi. Był u celu, w pretorium.

Pozostał w kajdanach. Odwykł od chodzenia. Stąpał chwiejnie, z trudem

pokonał schody. Kręciło mu się w głowie, gdy wszedł do sali i pozdrowił rozpartego przy stole komendanta.

- Siadaj! - komendant wskazał mu krzesło. - Jako prokurator byłeś w lepszej formie - dodał niespodziewanie.

Piłat wpatrywał się w okrągłą, bladą i nijaką twarz o jasnych brwiach i obwisłej wardze. Znał ją. Ale skąd? Gdzie i kiedy spotkał tego człowieka? Grzebał w pamięci. Ale pamięć już nie ta sama. Prokurator? W namyśle pomasował kark...

Komendant zauważył ten odruch i prawidłowo go zinterpretował.

Faktycznie, nieźle go urządzili.

- A jak wymienię imię twojego konia? Nazywała się Ksantypa i uparłeś się, żeby wjechać na niej do miasta, chociaż na nabrzeżu czekały przygotowane lektyki i muzykanci.

Ksantypa? Nabrzeże? Wjazd do miasta? To chyba Cezarea? Rzeczywiście, teraz sobie przypomniał! Mgła się rozwiała. Przed Pilaatem siedział komendant Sebaste z Dziesiątego Legionu, który ich witał przy trapie w Cezarei, a który kiedyś służył w gwardii, człowiek Sejana, niedługo potem przeniesiony ze Wschodu.

- Teraz pamiętasz? - Komendant patrzył na niego badawczo. - Muszę zresztą przyznać, że na schodach świątyni także bym cię nie rozpoznał, gdybym nie miał listy i nie wiedział, że to ty. Bardzo się zmieniłeś, Poncjuszu, od palestyńskich czasów. - Uniósł z sarkazmem jedną brew. - Tak, tak, któż by wówczas przypuszczał, że przyjdzie nam się spotkać w takich okolicznościach? Że służbisty i wierny cesarzowi prokurator skończy jako buntownik, tymczasem ja, groźny zwolennik Sejana, stanę się wybrańcem imperatora i będę decydował o losie nieposłusznych. -

Nagle zmarszczył brwi. - Skąd wiedziałeś, kim jestem? Dlaczego mnie wtedy odesłałeś? Całe lata mnie to męczyło. Odpowiadaj!

Cezarea... Jak to dawno. Trzeba czasu, żeby pozbierać wszystkie wątki, zwłaszcza jeśli ktoś niezbyt dobrze pamięta. Poncjusz z wysiłku potarł czoło... tak, już ma.

- Zdradził cię sposób bycia, komendancie, musztra i taktyka gwardii podczas ćwiczeń oraz to, że służyłeś na Palatynie. Już pierwszego dnia zacząłem cię podejrzewać. Nie odważyłem się wziąć na siebie takiego ryzyka i pozostawić na stanowisku głównodowodzącego legionu człowieka związanego z Sejanem. Nie było wówczas wielu takich, na których Tyberiusz mógł polegać.

Komendant spojrzał nań wnikliwie.

- Skoro mnie rozszyfrowałeś... dlaczego oszczędziłeś mnie potem, podczas samej rozprawy z Sejanem?

- Oszczędziłem? - powtórzył Poncjusz. - Przecież nie miałem powodu nastawać na twoje życie.

- Wielu nie miało powodów, a jednak zabijali. - Komendant zaśmiał się gorzko. - Opłacało się.

Poncjuszowi zrobiło się gorąco.

- Uważasz mnie za donosiciela? - spytał gniewnie.

Czy ten człowiek go podejrzewa o zarabianie na czyjejś śmierci?

Komendant wzruszył ramionami. Nie chciał nikogo obrażać. Liczne wysoko postawione i godne szacunku osobistości ciągnęły dodatkowe zyski z afery Sejana. Większość z jego rocznika w gwardii padła tego ofiarą. On sam drżał o życie, a człowiekiem, którego najbardziej się obawiał, był Poncjusz. Bo skoro go usunął ze Wschodu, musiał wiedzieć,

kim jest.

- Widać byłeś szlachetnym wyjątkiem - kiwnął głową w jego stronę. - Cóż, dobrze, że to sobie wyjaśniliśmy. Czasami warto wiedzieć, dlaczego się zachowało życie. Nie wszyscy odnoszą się do niego z taką pogardą jak ty, prokuratorze. Zostałbyś zabity na miejscu, gdybym nie wkroczył i nie zastrzegł, że należy cię oszczędzić, byśmy się mogli dowiedzieć, kim jest twój pan. Udało się... ledwie.

Komendant przerwał. Może oczekuje podziękowań? Poncjusz nie potrafił już tak szybko myśleć i formułować zdań jak dawniej.

- Twojego nowego pana poznałem dzięki Prokuli - kontynuował komendant. - Wziąłem ją w krzyżowy ogień pytań. Szczęśliwyś, mimo całego braku rozsądku, że masz takiego adwokata. Ta kobieta wzruszy nawet kamień swoimi opowieściami o Chrystosie. Dlatego obiecałem ci pomoc. Ja też zmieniałem panów, odkąd wyjechałem z Palestyny. Moim mottem w czasach, gdy czyhała na mnie śmierć, stało się: żyj i daj żyć innym! Życie - to znaczy budzić się z poczuciem bezpieczeństwa, oddychać bez lęku, radować się i używać życia, tego jednego, które mamy do dyspozycji. Bachus stał się moją pociechą, a Epikur drogowskazem. Obaj dobrzy panowie. Nic mnie teraz nie obchodzi Sejan czy Tyberiusz, a nawet Kaligula i Gemellus, byłem tylko ja żył.

- Czemu chcesz umrzeć, Poncjuszu - ciągnął - skoro jedna przysięga może cię uratować? Wierność, powiadasz? A kogóż ucieszy twoja wierność, jeśli umrzesz? Niewiele potrzebuję, tylko przysięgi dla cesarza w obecności świadków - i możesz sobie iść. Co za znaczenie mają dla ciebie słowa, o które nikt nigdy nie zapyta? Wrócisz do domu, do stęsknionej, wyczekującej cię małżonki i możesz oddawać cześć jakiemu chcesz panu.

Mnie to obojętne. Więcej ci nie będę zawracał głowy.

Do domu... Na tę myśl Poncjuszowi zrobiło się ciemno przed oczami. Już stoi w łodzi, już każe się wieźć za rzekę. Oto brzeg, wyżej dom - a tam, tam biegnie jego Prokula, rzuca mu się rozszlochana w ramiona. Nigdy, przenigdy się nie rozstaną. Rachela całuje skraj togi, oblewa go łzami. Wszyscy domownicy wylegają, by go powitać, krzyczą jeden przez drugiego, nawet psy ujadają z radości...

Ścisnął poręcz krzesła i rozejrzał się, jakby szukał pomocy, wsparcia kogoś silniejszego od siebie. Gdzie jest Chrystos? Gdzie się podział jego Pan?

Komendant zauważył to wahanie.

- Prokula prosiła za tobą. Na kolanach mnie tu błagała. Chyba nie odrzucisz jej starania, skoro i ja tego nie uczyniłem? Posłuchaj rozsądku, Piłacie, po co życie poświęcać na próżno?!

Posłuchaj rozsądku. Tak powiedział? Poncjusz uniósł głowę, jakby coś łowił uchem. To głos Szatana. Teraz musi się mieć na baczności.

Odsunął z rozmachem krzesło i wstał tak gwałtownie, że zapomniawszy o łańcuchach, mało się nie przewrócił. Pokrzywiony, na poły sparaliżowany próbował oddać honory, ale musiał się wesprzeć o poręcz.

- Dziękuję, komendancie. Wiem, że chcesz mojego dobra, lecz jedno jest droższe niż życie: prawda. Kiedyś ujrzałem tę prawdę w cierniowej koronie. Kiedyś moje uszy słyszały jej głos. Pozwoliłem wówczas, by zagłuszyły go podszepty rozsądku. Pozwoliłem przybić do krzyża miłosierdzie. Uczyniłem tak dla cesarza i zachowania pokoju na świecie. To się już więcej nie powtórzy. Raczej sam wkroczę na drogę męki. Moim Panem jest Chrystos. On jest prawdą i życiem, dlatego nie mogę słuchać

innych. Muszę odmówić złożenia przysięgi cesarzowi.

Cóż, w takim razie - śmierć. Komendant westchnął. Skoro ten człowiek sam nie chce się ratować, to któż mu pomoże? Swoim uporem pozbawił się nawet prawa do ścięcia mieczem. Przepisy wymagają w tym przypadku uduszenia i pozostawienia zwłok bez pogrzebu.

Nie, temu trzeba zapobiec. Zimny dreszcz przebiegał komendantowi po plecach. Już lepsze tak zwane samobójstwo. Delikwent wypija napój odurzający, zasypia, a wtedy przywiązuje się go do krzesła, otwiera mu żyły i już po wszystkim usuwa sznury, a felczer wypisuje akt zgonu. Samobójstwo nie budzi takiego zainteresowania. Rzecz pożądana po niepokojach związanych z Jubą i Gemellusem. Poza tym najbliżsi mogą wówczas zabrać ciało i urządzić przyzwoity pogrzeb ze stosem. No i zachowują prawo do majątności, która w przypadku egzekucji jest konfiskowana.

To się jej przyda, kiedy zostanie sama z daleka od swoich.

Tak więc samobójstwo jest dla wszystkich zainteresowanych najlepszym rozwiązaniem.

Komendant wypisał rozkazy. Nic więcej dla dawnego prokuratora nie mógł uczynić.

Noc.

W okienku świecą gwiazdy. Od granatu nieba odcinają się pręty tworzące krzyż. Cela ta sama, tylko nie ma dawnego strażnika. Jego miejsce zajęli dwaj zbrojni wartownicy. Wnoszą stół, krzesło - nawet lampę mu dają. Z początku nie pojmuje, lecz gdy stawiają przed nim puchar, już wie, co się stanie. To napój usypiający. Po wypiciu zaśnie i już się nie obudzi. Za

każdym poruszeniem płomienia wino lśni jak krew. Zanurza w nim palec. Jest gorzkie.

Kiedyś sam kazał podać taki napój umierającemu... który odsunął go od siebie... Mistrz chciał w pełni świadomości odejść na spotkanie ze swoim Stworzycielem.

Rozgląda się szybko. Gdzie by tu opróżnić kielich, żeby nie zostawić śladów? Przesuwa stół pod okienko, wdrapuje się nań i stając na palcach, sięga otworu - puchar akurat mieści się między prętami. Wylewa wino. Wciąga w płuca czyste chłodne powietrze. Wsłuchuje się w ciszę. Jak rzeka w dolinie przepływają wspomnienia. Każde uderzenie serca, każdy oddech, każdy krok w życiu zbliżał go do tej chwili. Wszystko, co widział i słyszał, mówił i czuł, znajdzie zaraz ujście w śmierci.

Myśli i wzrok ulatują ku gwiazdom, które On zapalił, zanim powstał świat. Wyznaczył ich drogę, by w odpowiednim czasie spotkały się nad stajnią, gdzie Syn Boży przyszedł na świat - ten świat, na którym nie było dla Niego miejsca. Chrystosie, w męce na krzyżu znalazłeś w swoim sercu kąt dla przestępcy. W imię Twego miłosierdzia, nie odpychaj mnie, gdy przyjdę o wschodzie słońca.

Gwiazdy bledną. Poncjusz schodzi na ziemię i siada na krześle. Na dźwięk kroków w korytarzu odchyła głowę i zamyka oczy. Dla dwóch wchodzących wygląda, jakby spał. Zerkają na pusty puchar i porozumiewają się skinieniem. Przywiązują go do poręczy, podstawiają naczynie pod nadgarstki i każdy z nich robi niewielkie nacięcie. Potem gaszą lampę.

Odzywa się ból. Stopniowo ogarnia wszystkie członki, rwie w każdym mięśniu, każe się wyginać w łuk i jęczeć. Serce bije głucho, nierówno, w

uszech szumi, obrazy rozmywają się przed oczami - czerwona mgła wypełnia celę.

Gdzie się znalazł? Rozpoznaje to krzesło! Gabbata?

Otchłań otacza go kipiela, ze wszystkich stron syczy ku niemu szyderstwem, nienawiścią, drwiną, cały świat kamieniuje go słowami pogardy...

Spójrzcie na okrutnego Piłata! Będzie sądzony, jak sam sądził!

Głębiej niżli nóż wbija się w duszę to oskarżenie. Ciało wiotczeje, drży lekko, jeszcze uniesiona ostatnim wysiłkiem głowa odwróci się by oczy dojrzały w okienku krzyż - i cichnie szum, niknie ból, rzeczywistość rozwiewa się w jedno z blaskiem nieba.

Uwolnił się od obowiązków sędziego. Król Miłosierdzia wziął sądy w swoje ręce.

Posłowie

Kiedy się człowiek od najmłodszych lat interesuje epoką następującą po narodzinach Chrystusa, wydarzenia na Gabbacie nie są tylko jedną z głównych scen pasyjnego misterium, lecz stanowią centrum historii świata.

Na Gabbacie stają oko w oko dwaj ludzie. Jeden reprezentuje światowe mocarstwo, Rzym, drugi - krainę nie z tego świata. Jeden jest zwykłym człowiekiem, wykonującym swoją pracę pewnego, na pozór zwykłego dnia, drugi - uosobieniem świętości. Ta przedziwna konfrontacja pomiędzy

władzą doczesną z jednej strony i władzą ducha z drugiej wyryła się po wieczne czasy w świadomości chrześcijan. Poncjusz Piłat stał się tematem niezliczonych komentarzy następnych pokoleń.

Większość z nich znajduje się pod wpływem słów wyznania wiary:

"...umęczony pod Ponckim Piłatem". Słów, które moim zdaniem nie oznaczają, iż Piłat prowadził działalność typu gestapowskiego, są jedynie określeniem czasu w erze, gdy świat nie dorobił się jeszcze wspólnego kalendarza. Chcę podkreślić, iż nie jestem ani teologiem, ani historykiem, lecz po prostu pisarką. Dla mnie historia to coś więcej niż naukowe badania, to emocje. Chrześcijaństwo zaś to nie teologia, lecz życie. Stąd też ta książka jest opowieścią o moim Piłacie.

Wcześniej naszkicowałam stosunki w Rzymie w czasach Chrystusa. Tym razem staram się ustawić Poncjusza Piłata w opozycji do owego rzymskiego środowiska, do którego, jak wiemy, należy. Tym samym podchodzę do ewangelii z rzymskiego punktu widzenia, co znaczy, iż uwypuklam postaci i wydarzenia w zupełnie inny sposób, niżby to się stało we fryzie bazującym na tradycji chrześcijańskiej. Wiele szczegółów uznanych tam za zbędne, tutaj nagle zyskuje znaczenie.

Weźmy taki przykład:

Chrześcijanin z ostatnim czwartkiem życia Jezusa natychmiast skojarzy ostatnią wieczerzę, komunię i Getsemani. Lecz gdy spojrzymy na wydarzenia oczami współczesnych Chrystusowi, to przecież nikt nie przewidywał, co przyniesie wieczór. Uczniowie, jak wszyscy inni Izraelici w czwartek przed Paschą, zajmowali się zarzynaniem jagnięcia na uroczystą kolację. Dlatego nie spieszymy obyczajem chrześcijańskim od razu do wiecznika, lecz spokojnie towarzyszymy dwóm, których Mistrz

wysłał z Betanii, w drodze przez dolinę Cedronu, obok sadzawki Syloe (o której się w tym kontekście w ewangeliach nie wspomina, lecz wiemy, że się tam znajdowała) i u źródła spotykamy naturalną kolejną rzecz, już jak opisują ewangelie, człowieka z dzbanem na głowie, to znaczy niewolnika zaopatrującego zajazd w wodę. Zamiast jednak przekazać mu polecenie Mistrza, by przygotowano wieczorny posiłek, sami idą do gospody.

Ewangelista Marek podaje powód. Mianowicie w trakcie zabijania baranka Mistrz zdecydował, gdzie będą jedli świąteczną kolację, toteż owi dwaj uczniowie widocznie nieśli pomiędzy sobą na drągu mięso i musieli je dostarczyć do gospody. Obraz staje się z miejsca bardziej konkretny, ale pozostaje pytanie, dlaczego w ogóle mówi się o tym niewolniku z dzbanem, skoro jest w tej scenie zbędny, nie musi nawet przekazać informacji, a w całej, dość zwięzłej Ewangelii Świętego Marka nie odgrywa żadnej roli?

Później, w ogrodzie Getsemani, jeden Mistrz wie, jak blisko jest godzina śmierci. Uczniowie śpią. Znowu rodzi się pytanie, którego nie da się pominąć: kto był świadkiem wewnętrznej walki Jezusa, skoro żaden z uczniów nie czuwał?

Marek jest jedynym z czterech ewangelistów, który na to pytanie odpowiada w rozdziale 14, 51_#52R: "A pewien młodzieniec szedł za Nim, odziany prześcieradłem na gołym ciele. Chcieli go chwycić, lecz on zostawił prześcieradło i nago uciekł od nich."

Mamy więc poszukiwanego świadka, ani Marek bowiem ani pozostali nie wymieniają nikogo innego. Kim mógł być ten młody człowiek? Lniana przepaska na biodrach stanowiła odzienie niewolników podających do stołu. Wyraźnie napisano, że "młodzieniec szedł za Nim", Mistrz zaś

podniósł się od świątecznej kolacji, więc chodzi chyba o usługującego z gospody. Myślami cofamy się teraz do pierwszego niewolnika wymienionego przez Marka, tego z dzbanem. Ewangelista musiał widać dobrze znać służących z zajazdu, skoro dwukrotnie w ciągu tego samego dnia każe im się pojawić w swojej relacji. I oczywiście zaraz pytamy, dlaczego Marek nie poświęca temu drugiemu słudze, bądź co bądź głównemu świadkowi wydarzeń z ostatniego wieczoru życia Mistrza, więcej miejsca niż pierwszemu, którego obecność w opowiadaniu nie wpływa na rozwój akcji.

Jeśli nawet założymy, że jednakowo skromne omówienie postaci należy przypisać temu, iż człowiek z dzbanem może być również człowiekiem w lnianej przepasce, to stajemy wobec kolejnej niewyjaśnionej zagadki, związanej z identyfikacją naocznego świadka chwili najświętszej, momentu modlitwy Syna do Ojca, momentu wewnętrznych zmagania Chrystusa. Ewangelista zwraca na niego uwagę, zna jego pochodzenie, ale mimo to każe mu pozostać osobą anonimową.

Jedynym możliwym rozwiązaniem wydaje się utożsamienie niewolnika z gospody z ewangelistą Markiem. W takim wypadku skromność, z jaką nie wspomina o sobie więcej, jest absolutnie na miejscu. Rozpatrując pod tym kątem opis wydarzeń pomiędzy Betanią a Getsemani, zauważymy, że niewolnik z dzbanem jednak pełni w opowiadaniu pewną funkcję. Marek przedstawia się w ten sposób swoim słuchaczom i delikatnie zaznacza w rozdz. 14, 13_#14, że Mistrz go znał i wskazał swoim uczniom, oraz daje do zrozumienia, że prawdopodobnie pomagał podczas posiłku, a potem zaniepokojony o Mistrza podążył jego śladem i stał się świadkiem bójki w Getsemani. Takie - umniejszające własną wartość w stosunku do treści

przekazu - wprowadzenie postaci jest, trzeba przyznać, godne prawdziwego ewangelisty.

"Wiek" ewangelii był przedmiotem niekończących się dyskusji. Jako narrator znajduję zarówno w ewangelii Markowej, jak i u Jana tak wyraźne cechy osobistego przeżycia, że oba opisy muszą moim zdaniem pochodzić z okresu współczesnego Chrystusowi. Silnie związane z tamtą epoką elementy lokalnego kolorytu w ewangelii Mateusza lokują także jego w kręgu osób bliskich Mistrzowi. Natomiast ewangelia Łukasza jest znacznie późniejsza. Nie mam oczywiście podstaw do wydawania opinii na temat, w jakim momencie ewangelie przybrały znaną nam dzisiaj formę.

Moja "anielska" teoryjka jest naturalnie pomysłem czysto autorskim.

Uderzyło mnie kiedyś, jak często używamy zwrotu "jesteś aniołem". W połączeniu z wizją Jana na początku Objawienia: "Siedem gwiazd to Aniołowie siedmiu Kościołów..." oraz ze zdaniem z Pliniusza Starszego, iż esseńczycy prowadzili rejestry imion aniołów, wymyśliłam sobie, że czasami trudno odróżnić anioły w ludzkiej postaci od niebiańskich, zwłaszcza z dystansu dwóch tysięcy lat. Godne uwagi jest nasze wyobrażenie anioła wciąż jako postaci męskiej, choć zupełnie pozbawionej płciowości, po dziś dzień ubranej w białą lnianą szatę - wypisz, wymaluj portret esseńczyka. Niemniej, jak mówię, jest to wyłącznie moja teoryjka i mam nadzieję, że nikt nie weźmie mi jej za złe. Wiele miejsca w swoim opowiadaniu o Piłacie poświęcam Janowi Chrzcicielowi. Czynię to z dwóch powodów. Po części dlatego, że zapewne jego egzekucja stała się przyczyną wspomnianej w ewangelii wrogości pomiędzy Piłatem a Herodem Antypasem. Po drugie, ponieważ historia pojawienia się Chrzciciela (z uwzględnieniem aniołów czy bez)

czyni jego matkę odpowiedzialną za nadanie mu esseńskiego imienia Jan i jego esseńskie wychowanie. Ją z kolei łączyło bliskie pokrewieństwo z Marią Panną. W odróżnieniu jednak od Jana, Jezus wychowuje się w domu i nie zostaje wysłany na pustynię do esseńczyków. Opowieść o dwunastoletnim Jezusie w świątyni nie tylko pozwala nam poznać jego niezwykle zdolności duchowe. Jest to równocześnie ważna informacja, że Józef kazał go wychowywać w kierunku zgodnym z naukami kapłanów. Skłonności religijne Marii wychodzą na jaw, gdy Jezus na Golgocie przekazuje opiekę nad nią w ręce swego ucznia o esseńskim imieniu Jan, zamiast powierzyć ją któremuś z braci, co przecież byłoby bardziej naturalne.

Czy można zaryzykować tezę, iż napięcie w rodzinnym domu pomiędzy "prawomyślnym" ojcem a matką, po cichu oddaną ideom esseńczyków, stało się przyczyną, dla której Zbawiciel nigdy nie wymienia ich nazwy, choć jego wypowiedzi często cechuje esseński dobór słów?

Żeby uniknąć nieporozumień, zwracam uwagę Czytelników, że każąc Prokuli zaznaczyć na marginesie proroctwa Izajasza pierwsze litery imienia Chrystusa, nie miałam na myśli monogramu Chi Rho jako symbolu religijnego. Greka była wówczas wspólnym językiem całego, znanego w epoce antycznej basenu Morza Śródziemnego i jeśli w jednym z wierszy Rzymianina Wergiliusza można doszukać się wpływów żydowskich, musiało do tego dojść za pośrednictwem greki. W ewangeljach mówi się, że również Grecy interesowali się Zbawicielem, a greckie tłumaczenie słowa Mesjasz (Christos) na pewno było znane w mowie i w piśmie, na długo zanim X\$ρ (Chi Rho) stało się znakiem Chrystusa w Kościele.

Ze względu na budowę powieści nie zachowałam chronologii w stosunku do buntu pod Garizim i zamieszek w Jerozolimie, albowiem daty tych wydarzeń nie mają znaczenia dla rozwoju akcji.

Pragnę także zaznaczyć, iż określeń Świątynia i świątynia używam analogicznie do słów Kościół i kościół, w odniesieniu do budowli lub instytucji.

W przypadku posiedzenia Senatu, na którym zapada wyrok na Piłata, dopuściłam się pewnych nieścisłości. Zważywszy jednak na tyrańskie postępowanie Kaliguli wobec senatorów, nie miałam skrupułów, nadając tej naradzie z lekka niecodzienny przebieg.

Teza o samobójstwie Piłata i powiązanie jej z męczeńską śmiercią za wiarę stanowiły dla wielu w miarę upływu lat coraz większy problem, ponieważ odebranie sobie życia nie da się, jak wiadomo, pogodzić ze światopoglądem chrześcijan. Już w pracy nad poprzednią książką, gdy studiowałam epokę Sejana, uświadomiłam sobie, iż wiele z rzekomych samobójstw musiało w istocie być zakamuflowanymi morderstwami, porównywalnymi ze znanymi nam przypadkami z czasów Hitlera (Rommel). Dlatego rozwiązanie zagadki samobójstwa Piłata nie sprawiło mi trudności, natomiast dużo bardziej niepojęta wydawała się męczeńska śmierć zaledwie w osiem lat po Ukrzyżowaniu. W owym czasie o Chrystusie nie mógł wiedzieć w Wiedniu nikt poza Piłatem, Herodem Antypasem i ich ludźmi. Nieprawdopodobne więc, by wyznawanie wiary w Niego stało się przyczyną gniewu władz. Piłat musiał się wobec tego w ten czy inny sposób dopuścić wykroczenia przeciw prawom rzymskim, na przykład w imię Chrystusa odmawiając przysięgi na wierność cesarzowi. W następnych stuleciach był to jeden z częstszych powodów prześladowań

i męczeństwa chrześcijan. Ponieważ zaś wiedziałam, iż Kaligula przebywał w Wiedniu w tym samym czasie co Piłat, zastosowałam ten powód jako rozwiązanie najbardziej naturalne. Z pewnością musiały się na tym terenie bardzo wcześnie zaznaczyć wpływy chrześcijaństwa, już bowiem za czasów Marka Aureliusza wystąpiły w Wiedniu liczne prześladowania, a Euzebiusz za ich przyczynę podaje odmowę złożenia przysięgi na wierność cesarzowi. Wprawdzie jednym z pierwszych męczenników za wiarę był piętnastoletni chłopiec, zbyt młody na zaprzysiężenie, może jednak nie bez znaczenia jest to, iż nosił imię Pontus. Interesująca wydaje się także informacja, że najstarszy francuski kościół znajduje się właśnie w Wiedniu, a Poncjusz Piłat był jednym ze świętych w Kościele koptyjskim, jego małżonka zaś, Prokula (Prokle) - w greckim.

Zanim postawię ostatnią kropkę w książce o Piłacie, winnam Czytelnikom pewne wyznanie. Otóż odważyłam się sięgnąć po materiał omawiany nieustannie od dwóch tysięcy lat, zachęcona wzruszającym psalmem Johana Halmrasta "O błogosławiona chwilo...". Pozwolę więc sobie zakończyć tę powieść strofą, która miała dla mnie największe znaczenie.

...On żyje, a mnie dał przekazać@ swym druhom radosną tę wieść -@
Mnie, ziarnku prochu, nic więcej,@ bym ludziom nadzieję chciał nieść.@
I ja Jego słowa powtarzam,@ o, gdybym wyśpiewać je mógł!@ Anioły nie
pragną goręcej@ rozgłaszać, że żyje nasz Bóg.@